

# ATENEUM.

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XIV.

ROK IV.

TOM II—ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1879.

# OD REDAKCYI.

Zeszyt czerwcowy **ATENEUM** kończy piérwsze półrocze tego wydawnictwa, a ztąd uprasza się uprzejmie Panów prenumeratorów półrocznych o wczesne zgłaszanie się z żądaniem dalszéj prenumeraty. Przytém nadmienia się, iż Redakcya odpowiadać może za akuratną dostawę, lub przesyłkę zeszytów „Ateneum“ tym tylko z panów prenumeratorów, którzy się będą zgłaszali z prenumeratą **b e z p o ś r e d n i o** do Redakcyi (Niecała Nr. 7) i wysyłali pod jéj adresem pieniądze przez pocztę, dołączając dokładny swój adres, oznaczający wyraźnie imię, nazwisko, gubernią, stacyą pocztową i miejsce zamieszkania.

---

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „Ateneum“

*w ciągu Maja r. 1879.*

1. **Jan Gnatowski**. Realizm w literaturze nowoczesnéj. Studyum. Lwów, 1879.
2. **Kazimierz Stadnicki**: Przyczynek heraldyki polskiéj w Wiekach Średnich. Lwów, 1879.
3. **Krzeszowice** jako zakład lekarsko-zdrojowy wód siarczanych, p. *Władysława Sciborowskiego*. Kraków, 1878.
4. **Wykład publiczny o prawie** Malthusa w przyrodzie, p. Dra. *Rostafińskiego*. Kraków, 1879.
5. **Pamiętnik Zbigniewa Ossolińskiego**, wojewódy sandomierskiego † 1623. Wydał Dr. *Wojciech Kętrzyński*. Lwów, 1879.
6. **Poglądy Warsz. Tow. Lekarskiego**, w przedmiocie zabezpieczenia Warszawy i Kr. Pol. od wybuchu dżumy. Waszawa, 1879.
7. **Sprawozdanie** z czynności zakładu narodowego imienia Ossolińskich za rok 1878.
8. **Encyklopedya Rolnictwa** Tomu V-go zesz. 9-y. Warszawa, 1879.
9. **O uczeniu rzemiosł**, odczyt Dr. *Ludwika Natansona*, na dochód osad rolnych. Warszawa, 1879.
10. **Skrypt Fleminga**, p. *J. I. Kraszewskiego*. Warszawa, 1879.
11. **W starym piecu**, studyum psychograficzne, p. *J. I. Kraszewskiego*. Warszawa, 1879.
12. **Jan Herbert**, kasztelan sanocki, rys biograficzny przez *Klemensa Dzieduszyckiego*. Lwów, 1879.

---

# LISTY CZESKIE.

## I.

### Spór narodowości.

Sine ira et studio.

Spór narodowości wpływa na całe życie publiczne w Czechach tak dalece, iż niepodobna ani wyrobić sobie dokładnego pojęcia, ani wydać sądu o jakimbądź tego życia objawie, nie zbadawszy wprzód tego, co właściwie stanowi u nas podstawę i wyjaśnienie wszystkiego: mianowicie sporu narodowego między Niemcami i Słowianami.

Ktokolwiek uważałby to moje twierdzenie, za przesadzone, ten łatwo przekonać się może, że jest w błędzie; niech sobie tylko wystawi, iż spór między narodowościami przestał istniéć. Spostrzeże wtedy, że wszystko cokolwiek dziś nie da się osiągnąć, co jest w téj chwili niemożliwém, stanie się jak za dotknięciem czarnoksięskiéj laski możliwém i łatwém do osiągnięcia; że wszystkie trudności stojące w tym lub w owym kierunku na drodze rozumnego postępu, same z siebie upadną i że bez najmniejszéj wątpliwości rozterki narodowe w Czechach są rzeczywistą przyczyną naszych niedojrzałych stosunków, a nawet, jak się to niżéj pokaże, powodem nierozjaśnionego i trudnego do rozjaśnienia odmętu politycznego w całém państwie.

Słyszałem niegdyś z ust nader szanownych zdanie, które wtedy wydało mi się wielce paradoksalném: że „narodowość ma w sobie coś zwierzęcego.“ Nie wyrzekłem się wprawdzie do dziś dnia mego zdania, że narodowość jest wytworem przedewszystkiém ludzkim; ale kiedy pomyślę jak szkodliwie w naszych czasach, a szczególniéj w Czechach, narodowość stoi na przeszkodzie najwyższym interesom człowieka, jak tamuje wzrost zasad prawdziwie humanitarnych i kręz-

puje rozwój prawdziwie ludzkiéj kultury, słowem jak powstrzymuje szerzenie prawdziwie chrześciańskiéj cywilizacyi, gotów jestem uznać za dość uzasadnione to określenie, przynajmniéj z tego stanowiska z jakiego je do mnie wypowiedziano.

Niepodobna zaprzeczyć, że narodowść w dzisiejszéj cywilizowanéj Europie służy różnym ludom za pożądany pozór do zaspokojenia ogólnie jeszcze, jak się zdaje, odczuwanéj potrzeby, która jako przeciwna pojęciu czystego humanitaryzmu może być nazwana zwierzęcą potrzeby nienawidzenia się nawzajem. Ponieważ szczery, niczém nieosłonięty popęd do mordu i rabunku nie zgadza się z dzisiejszemi stosunkami, ponieważ idee religijne jako pozór do napadania się wzajemnie także się już zużyły, więc Europa posługuje się w tym samym celu inną ideą, a ludy rzucają się jedne na drugie w imie narodowości, bo muszą przecie mieć jakiś powód do nienawiści.

Jest to więc ogólna choroba naszych czasów, która i w Czechach rozpościéra swoje antycywilizacyjne działanie, wspominam zaś o niéj jedyuie w zamiarze wykazania, że Czechy ze swemi rozterkami narodowemi nie są bynajmniéj jakimś odosobnionêm i anormalném zjawiskiem w historyi ludzkości.

W Czechach mieszkają (śmiało rzec można, na nieszczęście kraju) dwie narodowości. Z podawanéj w okrągłych cyfrach pięciomilionowéj ludności, *trzy* miliony przypada na Słowian, *dwa* na Niemców, to jest trzy miliony zalicza się do słowiańskiéj, dwa miliony—do niemieckiéj narodowości. Podzielić ludność czeską na prawdziwych Słowian i na prawdziwych Niemców, to jest na Słowian i Germanów czystéj krwi, jest oczywistém niepodobieństwem, chociaż granice obu narodowości dadzą się w kraju dość dokładnie przeprowadzić, a nawet na wielu mapach z pewną ścisłością są wskazane. Z takiego rozgraniczenia wypada, że ludność słowiańska od południowo-wschodniéj morawskiéj granicy największą część Czech zajmuje, a ludność niemiecka otacza ją półkolem, które sięga na północ do Leitmeritz, na wschód do Pilsen. Ale gdyby nawet pominąć okoliczność, że dzisiejsze rozterki narodowe nie doszły jeszcze i da Bóg nie dojdą do tego stopnia natężenia, ażeby pociągnęły za sobą zupełne wyodrębnienie wszelkich stosunków życiowych w obu narodowościach, gdyby nie zwracać uwagi na to naprzykład, że związki małżeńskie między Niemcami i Czechami są zarówno w stolicy jak na prowincyi rzeczą bardzo zwyczajną; to i tak jeszcze istnieje w całym kraju mnóstwo rodzin, których nazwiska są w zupełnéj sprzeczności z dzisiejszą ich narodowością. Dr. Rieger, przywódca narodowego słowiańskiego stronnictwa, ma stanowczo niemieckie nazwisko, a przodkowie jego

byli tak niewątpliwie Niemcami, jak przodkowie Dr. Schmeykala, naczelnika stronnictwa narodowego niemieckiego, byli Słowianami. Takich przykładów przytoczyćby można w Czechach już nie na setki, ale na tysiące; fakt zaś, że redaktor główny dziennika niemieckiego nazywa się Klučák, a właściciel dziennika czeskiego podpisuje się Gregr, jest niemniéj znaczącą ilustracyą naszych narodowych stosunków.

Nie ma ani jednego miasta czeskiego, może nawet nie znalazłaby się ani jedna wieś czeska, w któréjby przynajmniéj jedna obecnie słowiańska rodzina nie nosiła niemieckiego nazwiska; odwrotnie znowu dzieje się w niemieckich miastach i w większych nieco niemieckich wioskach.

To wzajemne mieszanie się obu narodowości jest zaiste charakterystyczną cechą ludności w Czechach.

Zrozumienie obecnego do siebie stosunku obu narodów byłoby niemożliwém bez pobieżnego rzutu oka na przeszłość. Jeżeli dziś Niemcy wywodzą swoje panowanie w kraju od historycznego prawa, to wypada obejrzéć się w przeszłość i przekonać się na czém właściwie oparte jest to prawo. Nie zamierzam tu bynajmniéj pisać historyi Czech, ani wdawać się w uczone traktaty o piérwotnéj siedzibie Słowian lub Germanów. O Bojach galskich, którzy na kilkaset lat przed Chrystusem weszli do Czech jako zdobywcy, nie wiele mam do powiedzenia, bo nie są to bynajmniéj Germanie. Przypuściwszy nawet, że przez jakiś czas panowali nad krajem znanym obecnie pod nazwą Czech, to i tak jeszcze można postawić pytanie: czy znaleźli tam już jaką ludność miejscową i czy ją pod władzę swoję podbili? Kto chce powstrzymać się od wszelkich przedwczesnych przypuszczeń, musi odpowiedziéć „nie“; a tym sposobem wszelkie sięgające owych czasów pretensye opiérają się na piérwotném posiadaniu kraju zarówno przez Niemców jak przez Słowian.

Po Bojach panowali w Czechach z nierównie większém prawdopodobieństwem, niewątpliwie germańskiego pochodzenia Markomanowie, i tu niemieckie pretensye słuszniejszą już mają podstawę, ale téż kwestya staje się w tych czasach bardziéj skomplikowaną. W gruncie rzeczy możliwe są tylko dwa wypadki:

1) Albo Markomanowie germańscy przybyli do kraju niezamieszkałego i wyszedłszy zostawili także kraj niezamieszkały, który późniéj nie wiadomo w jakim czasie zaludnili Słowianie. W takim razie Czechy po wyjściu Markomanów były ziemią bez posiadacza, którą szczep słowiański zajął w posiadanie, a więc dawny posiadacz dobrowolnie stracił do niéj wszelkie prawo.

2) Albo Markomanowie Germańscy zastali w Czechach ludność słowiańską, którą podbili, i która po odejściu Markomanów wzmogła się nowemi immigracyami.

Wziąwszy na uwagę, że Słowianie w najdawniejszych czasach znani byli jako szczep rolniczy, że nikomu jeszcze nie powiodło się i zapewne nigdy się nie uda dowieść immigracyi Słowian do Czech w jakimś ściśléj określonym czasie i na podstawie pewnych wskazówek, możnaby już dziś dojść do przekonania, że panowanie Niemców w Czechach nie opiéra się przynajmniéj na zbyt dawném prawie historyczném. Poniżéj wykaże się łatwo jak dalece takie panowanie na innéj drodze uzasadnione i usprawiedliwione być może, a nadto o ile jest potrzebném lub nawet pożyteczném.

Niemcy utrzymują, że Czechy jedynie niemieckiemu żywiołowi zawdzięczają wysoki stopień cywilizacyi na który się wznieśli, że niemiecki duch, niemiecka wytrwałość i praca niemiecka działały i działają dotychczas jako cywilizacyjne bodźce, że zatém pod tym przynajmniéj względem należało się i dziś jeszcze należy się Niemcom w Czechach stanowisko duchowéj przewagi. Jest to pytanie nad którém dłużéj zatrzymać się muszę, ażeby je dokładniéj rozpatrzéć; ono to bowiem jest osią około którego obraca się w naszych czasach cała kwestya narodowości, w niém bierze początek pretensya Niemców do utrzymania panowania w Czechach, do wyższego uzdolnienia duchowego, które ma im nadawać prawo rozciągania opieki nad słabszymi umysłowo Słowianami, a zatém i wywierania rozstrzygającego wpływu we wszelkich sprawach publicznych, na niém wreszcie opiéra się pretensya Niemców do politycznéj hegemonii w kraju.

Według twierdzenia Niemców, popiéranego wytrwale wszelkiemi możliwemi wywodami, Czechy słowiańskie na całym obszarze aż do 12-go wieku, dopiéro w 13-tém stuleciu przez założenie niemieckich miast weszły na drogę prawdziwie europejskiéj cywilizacyi—Niemcy więc mieli być prawdziwemi cywilizatorami Czech. W powyższych dowodzeniach nieuwzględniona jest ważna okoliczność, że już przedtém starosłowiańskie stosunki w Czechach zmieniły się znacznie przez wytworzenie się na wzór niemieckiéj szlachty feudalnéj, stanu szlacheckiego, który w ucisku poddanych, w niesforności względem króla, usiłował odznaczyć się tém wszystkiém, co wówczas charakteryzowało niemiecki feudalizm. W tém dawniejszém przeszczepieniu na grunt czeski niemieckich stosunków, nie widzą Niemcy zadatków niemieckiéj kultury. Dopiéro kiedy królowie czescy na wzór mocarzy niemieckich, broniąc się od téj szlachty żądnéj terrytoryalnego panowania, poczęli budować miasta i sprowadzać niemiec-

kich osadników od téj chwili Niemcy upatrują nagle w Czechach rozkwit prawdziwie europejskiéj cywilizacyi.

Rzecz naturalna, że w nowo założonych miastach niemieckich, których mieszkańcy suto obdarowani byli przez królów czeskich, oddzielnemi przywilejami na wyłączne prowadzenie handlu i przemysłu, zakwitł też przemysł i handel, nierównie prędzéj aniżeli wśród dawniejszej ludności, nie posiadającej takich przywilejów a uciskanéj i wyzyskiwanéj przez chciwych magnatów; ale Niemcy za daleko się posuwają twierdząc i dowodząc, że dopiéro od niemieckich urządzeń municypalnych, datuje się wprowadzenie do Czech prawidłowych stosunków prawnych, i początków prawdziwéj oświaty. Za daleko się posuwają, utrzymując dla zachowania konsekwencyi, że zanim krzewiciele niemieckiéj kultury przynieśli ze sobą wszystko gotowe do barbarzyńskiego kraju, Czechy nie znały ani przemysłu, ani handlu, ani uregulowanych stosunków prawnych, ani narodowéj kultury, że nie posiadały nawet zaczątków narodowéj literatury. Podobne twierdzenia, powtarzam, sięgają za daleko, ale jednocześnie wyjaśniają, wynikającą z nich koniecznie niemiecką tendencyą, dopatrywania się fałszerstw, w pomnikach narodowéj poezyi słowiańskiéj, odkrytych nowszemi czasy w Czechach (Krolodvorský rukopis, Libusin sond); autentyczność bowiem tych pomników w niwecz obraca wszelkie germanizacyjne wywody.

Nie potrzeba zresztą zgłębiać historyi czeskiéj, ażeby przekonać się o bezzasadności tych wywodów i żeby dojść do przekonania, że istniejące podówczas w Czechach starosłowiańskie prawa przekształcone zostały przez wprowadzenie przemocą nowego prawa niemieckiego, że stara, narodowa kultura popchniętą była na nowe tory przez obce żywioły i że jest jeszcze kwestyą sporną, czy naturalny rozwój miejscowéj kultury nie byłby doprowadził do lepszych wyników aniżeli gwałtowne wprowadzenie obcéj cywilizacyi; dość tylko wiedzieć, dla ocenienia prawdziwéj doniosłości niemieckich twierdzeń, że krążyć one zaczęły w nowszych dopiéro czasach między Niemcami zamieszkującymi Czechy.

Zanim jednak wyjaśnię pobudkę z któréj powstały podobne argumentacye, muszę jeszcze w krótkości wspomniéć o dwu epokach dziejowych, wielkie mających znaczenie w historycznym rozwoju stosunku obu narodowości w Czechach: o wojnach husyckich i o fatalnéj dla Czech wojnie trzydziestoletniéj.

Na początku XV wieku stosunek Niemców do Słowian w Czechach tak się ukształtował, że Niemcy występują w kraju prawie wyłącznie jako mieszkańcy miast, cała zaś wiejska ludność, z małemi wyjątkami, jest pochodzenia słowiańskiego. Niemcy tworzyli po mia-

stach na zasadzie swoich przywilejów tak zwane rody czyli familie patrycyuszów, i albo wyłącznie trzymali ster rządów, albo téż wywierali na rządy wpływ roztrzygający. Ruchy zatém husyckie były w miastach rodzajem demokratycznéj rewolucyi przeciwko niemieckim patrycyuszom: szczególniej wypadki w Pradze przypominają zupełnie paryską komunę z r. 1871. Wojny husyckie są epoką walki narodowéj między Niemcami i Słowianami i nic nad to naturalniejszego, że dziś jeszcze stanowią przedmiot literackiej waśni. Podczas gdy Słowianie widzą w wojnach husyckich epokę olbrzymiego rozwoju narodowej siły i objawiającą się wtedy dzikość tej siły łatwo usprawiedliwiają jako złe konieczne; pogląd Niemców na ten okres historyi czeskiej brzmi zupełnie inaczej, a wspomnienie doznanych krzywd tak dalece wpływa na ocenę całego, w gruncie rzeczy religijnego ruchu, że nie wszyscy chcą widzieć w Husie zwiastuna tyle sławionego reformatora narodowego—Marcina Lutra.

Historya Czech nie należy niestety do dziejów na któreby Niemcy i Słowianie z jednakową dumą oglądać się mogli, pod tym względem rzecz się ma z nami tak jak z francuską szlachtą i z ludem francuskim, ilekroć mowa jest o wysławianéj przez naród rewolucyi francuskiéj. Czechy były i są do dziś dnia placem boju żywiołów, słowiańskiego i niemieckiego; nasza historya jest szczególną mieszaniną spokojnego oddziaływania i wrogich starć obu tych narodowych pierwiastków, a dopiéro rozwój prawdziwéj cywilizacyi i wpływ zasad humanitarnych może zbliżyć erę zgodnego na jednéj ziemi pożycia.

Dzisiejszy liczebny stosunek Niemców do Słowian jest wynikiem wojny 30-to letniéj, która szczególniéj Czechy strasznie spustoszyła. Z czterech milionów ludności zamieszkałéj w Czechach przed wojną pozostało się w r. 1648 mniej niż czwarta część. Reszta mieszkańców słowiańskich ściągnęła ku środkowi kraju; północne i zachodnie okręgi graniczne zaludnili niemieccy przybysze; tym sposobem wytworzył się wyżéj podany i obecnie jeszcze istniejący stosunek ludności niemieckiéj do słowiańskiéj.

Królestwo czeskie straciło swoję dawną państwową niepodległość. Polityka dynastyi Habsburskiéj obrała sobie za stałą zasadę ciemiężenie w dwojakim kierunku narodowego, słowiańskiego żywiołu. Reakcya katolicka, przez rząd popiérana, zaciążyła szczególniéj nad Słowianami, a dążenie do utrzymania supremacyi Habsburskiéj w państwie niemieckiém nie mogło téż sprzyjać rozwojowi słowiańskiego pierwiastku w Czechach. Literatura narodowa słowiańska tępiona była jako kacerska, a wiek XVIII jest okresem coraz większego upadku życia narodowego w Czechach, który w końcu umożliwił

cesarzowi Józefowi II-mu ryczałtową germanizacyą całego kraju przez wprowadzenie niemieckich szkół we wszystkich gminach.

Szczególna okoliczność przyczyniła się do nadania spokojniejszego i przyjaźniejszego nastroju stosunkowi obu narodowości w Czechach: mianowicie rozwój rządowego absolutyzmu według francuskich wzorów. Jednakowa strata wszystkich politycznych swobód, jednakowa z góry zarówno nad Niemcami jak i nad Słowianami rozciągana kontrola, wyrodziła w obu narodach jednakową apatyą i uczyniła z nich spokojnie obok siebie żyjących towarzyszów niedoli. Niemcy mieli jednak w całym kraju niemieckie urzędy, niemieckie sądy i niemieckie szkoły, a język niemiecki stał się wszędzie panującym; jeżeli więc gdzie niegdzie po wsiach, a nawet w kościele w stolicy, kaznodzieja odezwał się po czesku, nie mogło to przecież razić ich nieprzyjemnie.

Zapomniano o dawnych narodowych rozterkach, o dawnych narodowych odrębnościach, a teraźniejszość marna, bez sławy i czynów, obudziła nawet w niemieckich umysłach wspomnienie minionych czasów, kiedy lud czeski dźwignął się do walki za wolność polityczną i religijną. Dzieje Czech stały się wspólną własnością Niemców i Słowian, strzeżoną z równą czcią przez oba narody. Egon Ebert napisał swoję „Wlastę,“ a wojny husyckie znalazły natchnionych piewców w poetach niemieckich: Maurycym Hartmanie i Alfredzie Meissnerze. A kiedy wśród ludności słowiańskiéj, obudziło się nagle jakby ze snu śmiertelnego już prawie zamarłe życie narodowe; kiedy ruch słowiański obejmował coraz szersze przestrzenie; kiedy tu i owdzie młode siły pracowały z wzniosłém namaszczeniem, z abnegacyjną ofiarnością, bez żadnych materyalnych widoków, nad stworzeniem nowéj literatury narodowéj; wtedy znowu Niemcy spoglądali ze szczerém uczuciem na to dążenie i nie wahali się w końcu głośno wypowiadać, że narodowy żywioł słowiański w Czechach więcéj energii i dzielności w czynach wykazuje, aniżeli niemiecki, a pochwałę tę i uznanie słowiańskich dążeń wyrazili bez zazdrości, bez zawiści najszlachetniejsi i najwykształceńsi mężowie Niemiec.

Trwały te dobre czasy narodowéj harmonii do roku 1848.

Początki ruchów marcowych r. 1848 zaświadczyły jeszcze wyraźnie o panującym podówczas pokojowym i przyjaznym stosunku między obu narodami. Był to niewątpliwie fakt charakterystyczny, że piérwsze zgromadzenie ludowe w dniu 11 Marca w sali łazienek Wacława odbyło się z czeskiéj inicyatywy i pod kierunkiem stronników czeskiéj narodowéj partyi. Miało to być „zgromadzenie obywateli“; nie wszyscy wprawdzie wchodzący dowieść mogli swego prawa „obywatelstwa“ pragskiego; ale postawieni umyślnie w tym celu przy

drzwiach wchodowych obywatele Pragi pilnowali, ażeby na zebranie wpuszczano tylko „przyzwoite“ osoby. Na zgromadzeniu było bardzo wielu Niemców. Posiedzenie zagajono mową czeską; w czeskim języku odczytane były artykuły petycyi do cesarza, poczém drugi mówca czeskiéj narodowości przemówił po niemiecku i odczytał petycyą w niemieckim przekładzie. Petycyą przyjęto z ogólném zadowoleniem. Następnie wybrano przez aklamacyą członków komisyi petycyjnéj, do któréj prezydujący na zgromadzeniu proponowali Czechów i Niemców. Wszystko odbyło się w jak najlepszym porządku. Pewien Niemiec, jak to wnieść można było z wadliwéj wymowy, odezwał się z tłumu po czesku: „Čech a Něemec jedno tělo“—a wykrzyk ten przyjęto grzmiącym oklaskiem. W dniu 11 Marca nie można było wątpić, że Czechy i Niemcy, zgodnie, zjednoczonemi pragnieniami powitawszy wschodzącą jutrzenkę politycznéj wolności, wśród wspólnéj pracy doczekają się chwili, kiedy ta jutrzenka piękném dzienném światłem oświeci nową i lepszą epokę historyi czeskiéj.

Praga ukazała się odrazu, jakby za dotknięciem czarodziejskiéj laski w odmiennéj, narodowéj barwie. Pierwsze wolne słowa na publiczném zebraniu w czeskim zabrzmiały języku, czeski język zdobył sobie prawo jawności. Było to zaiste szczególne zjawisko, kiedy Niemcy, którzy przed 11 Marca używali czeskiego języka zaledwie tylko ze służbą domową, po 11 Marca starali się widocznie z wykształconymi ludźmi czeskiego pochodzenia, po czesku rozmawiać. Narodowość czeska dźwignęła się z dotychczasowego poniżenia do zupełnego z niemiecką równouprawnienia. Ale w tym właśnie pocieszającym fakcie, krył się już zarodek przyszłéj waśni.

Nie można się dziwić, że w obozie niemieckim uważano to społeczne równouprawnienie za rewolucyjną uzurpacyą; nie można się dziwić, że w niemieckim obozie musiano się obawiać niedokładnéj znajomości czeskiego języka jako pewnéj niższości; że uczuwano pewne skrępowanie w tych nowych lepszych czasach, które przez to stać się mogły dla Niemców gorszemi czasami. Przytłumiona w piérwszych chwilach zapału duma narodowa, pewne siebie przeświadczenie o wyższości musiały się zachwiać; Niemcy doznać musieli bardzo naturalnego uczucia niezadowolnienia, widząc, że naród czeski, uważany dotychczas za umarły politycznie, naród którego objawy życiowe zaznaczano dotąd, że tak powiem, ze wspaniałomyślném politowaniem, jako coś pod każdym względem nieszkodliwego, ten naród stanąć chciał obok Niemców w pełni siły żywotnéj z dążeniem do jednakich praw politycznych i społecznych.

Nic dziwnego powtarzam, że obóz niemiecki dostrzegł w tém uzurpacyą, ograniczenie prawa od dawien dawna nabytego.

Uczucia niezadowolenia i wynikające z nich obawy wzmogły się jeszcze wkrótce i zyskały pewną podstawę w opłakanéj okoliczności, że między Czechami młodzi zapaleńcy i nierozważni agitatorowie wywołali husyckie wspomnienia i otwarcie wspominać zaczęli o wypędzeniu Niemców z Czech. Nic to nie pomogło, że znakomita większość ludności czeskiéj takich idei nie podzielała, a nawet je potępiała; Niemcy trzymali się niezbitego faktu, że coś podobnego jawnie było wypowiedziane. Nieuniknionćm tego następstwem było oziębienie serdecznego stosunku między obu narodowościami.

Po téj zgodzie tak nierozważnie zakłóconéj, nastąpiła wkrótce otwarta niezgoda. Na rewolucyjnym sztandarze sąsiednich Niemiec wypisano hasło politycznego zjednoczenia Niemiec; a do zjednoczonych Niemiec należéć miały wszystkie kraje Związku niemieckiego. Komisya pięćdziesięciu wysłała zaproszenie do Palackiego, wzywając go do udziału w przygotowaniach do utworzenia niemieckiego narodowego parlamentu. Palacky nie przyjął zaproszenia, w odpowiedzi sformułował program polityczny, który dla Niemców był programatem narodowego czeskiego stronnictwa, a zarazem zdawał się być ograniczeniem ich narodowych dążeń.

W Pradze zjawili się agitatorowie polityczni z Niemiec, ale nie mogli już otwartéj rozwinąć działalności, w obec podrażnionéj opinii w kołach narodowych czeskich; Kuranda i Wachter przybyli do Pragi i próbowali po raz ostatni złamać opór Czechów przeciw wyborom do frankfurckiego parlamentu; ale rokowania z delegatami komitetu narodowego nie doprowadziły do pożądanego celu, a zebranie ludowe zwołane przez niemieckich agitatorów zostało przemocą przez Czechów rozpędzone. Piosneczki wyszydzające to zebranie śpiewano po wszystkich ulicach; chciano przynajmniej w Pradze siłą przeszkodzić wyborom do parlamentu niemieckiego. Polityczne dążenie Czechów i Niemców po 11 marca różniły się już zupełnie, jakkolwiek wielu Niemców zgodziło się na polityczny program Czechów i zrzekało się myśli politycznego zjednoczenia z Niemcami.

Dawna austryacka polityka rządu centralnego w Wiedniu stała zupełnie po stronie Niemców, ale ze względu na wzrastające rozdrażnienie i bacząc na rewolucyjne ruchy, w innych częściach państwa działania jéj osłabiające, pragnęła uniknąć starcia. Nie chciano wyrzec się austryackiéj supremacyi w Niemczech; właściwie zatém życzono sobie w Wiedniu ogólnego udziału w wyborach do parlamentu frankfurckiego wszystkich krajów, należących do związku niemieckiego; rozpisano więc wybory, wstrzymując się z wyżéj przyto-

czonych powodów od energicznego ich przeprowadzenia. Należy zaznaczyć z uznaniem, że wtedy Niemcy wstrzymali się od udziału w rozpisanych wyborach, co przeszkodziło możliwemu, prawdopodobnie krwawemu starciu obu narodów. Ale sama możliwość takiego starcia była już najoczywistszym dowodem, że polityczne ruchy w sąsiednich Niemczech zniszczyły dobrą początkowo harmonią między Niemcami i Słowianami w Czechach. Nie myślę bynajmniéj oskarżać o to Niemców, bo zamierzam tylko wykazać w jaki sposób ukształtował się stosunek obu narodów w Czechach pod wpływem ówczesnych wypadków.

Z tych piérwszych czasów narodowéj rozterki datuje się zarzut stawiony Czechom przez Niemców: „Wy Słowianie poświęcacie wolność dla narodowości.“ Niemcy kolebkę politycznéj wolności widzieli tylko we Frankfurcie; Wiedeń wydawał im się ogniskiem zastarzałej reakcyi; ponieważ więc Słowianie czescy dostrzegali w zjednoczeniu Niemiec groźbę dla swéj narodowości, a zabezpieczenie jéj uważali za możliwe jedynie w Austryi przekształconéj na zasadzie politycznéj wolności, okrzyczano ich jako satelitów reakcyi. A kiedy Havlíček przekonywany przez Niemca dowodzącego, że z Frankfurtu tylko wyjść może prawdziwa wolność, pozwolił sobie trywialnego wyrażenia: „wolimy knut rosyjski aniżeli niemiecką wolność,“ powtarzano ten frazes żartobliwy we wszystkich niemieckich kołach i w dziennikach jako oczywisty dowód, że Słowianie w Czechach nie byli w stanie wznieść się do pojęcia politycznéj wolności. Niższość rasy stała się na téj zasadzie rzeczą zupełnie dowiedzioną, a podniecone przez to u Niemców przeświadczenie wyższości, przyczynić się tylko mogło do zwiększenia rozdziału między Niemcami i Czechami.

Kongres słowiański (Sjezd slovansky) zwołany na dzień 2 Czerwca r. 1848 nie był również téj natury, ażeby mógł przywrócić z gruntu już zachwianą zgodę między Niemcami i Słowianami w Czechach. Rozsądniejsi Niemcy przewidywali tylko groźbę przewagi w Austryi słowiańskiego żywiołu; bojaźliwi dostrzegali już w zjeździe Słowian straszne widmo krwawego prześladowania Niemców. Ze strony czeskiéj popełniono istotny błąd, nie ograniczywszy zjazdu na Słowianach austryackich, przez co kongres dał powód do niepotrzebnych napomknień o panslawizmie, a obecność na nim Rosyanina Bakunina zaszkodzić tylko mogła osiągnięciu praktycznego celu zjazdu, to jest pożądanego zbliżenia między austryackimi Słowianami, bo wyglądało to, jak gdyby czysto rewolucyjna propaganda należała do punktów programatu kongresowego.

Wielu Niemców opuściło wtedy Pragę, a kiedy powstanie czerwcowe (13—17 czerwca) przerwało bieg kongresu, można było czytać

w dziennikach niemieckich przerażające opisy okrutnych morderstw spełnionych jakoby w Pradze na Niemcach; a jakkolwiek były to zmyślenia, żadnéj nie mające podstawy, dowodziły przecież wyraźnie, że Niemcy z zupełną pewnością spodziéwali się w Pradze podobnych wypadków.

Powstanie czerwcowe w Pradze było właściwie tylko nieuniknioném przesileniem paroksyzmu rewolucyjnego. Agenci madziarscy i agitatorowie ogólnéj rewolucyjnéj propagandy wyzyskali panujące rozdrażnienie, ażeby w Pradze wywołać zbrojne powstanie ludu. Madziarowie mieli swój spacyalny interes w przerwaniu prawidłowego przebiegu kongresu słowiańskiego i w sparaliżowaniu wpływu tego zjazdu na Słowian austryackich: osiągnęli téż swój cel w zupełności. Stronnictwu rewolucyi europejskiéj musiało na tém wiele zależéć, aby ruch narodowy roku 1848 nie zakończył się spokojnie; nader rozważne uchwały kongresu słowiańskiego nie były po myśli tego stronnictwa; nadchodzące otwarcie sejmu królestwa czeskiego musiało wydać się téj partyi groźbą dla jéj planów, pracowała więc ze wszystkich sił nad tém, ażeby wszystko powstaniem zbrojném zniweczyć.

Powstanie wybuchło; ale tu właśnie należy wyraźnie zaznaczyć, że większość walczących na barykadach chwyciła za broń nie za podmuchem intryg madziarskich lub rewolucyjnéj propagandy, lecz, że stała się bezwiedném narzędziem do nieznanych sobie celów pod wpływem ogólnego rozdrażnienia. Najwymowniejszym dowodem mego twierdzenia: że powstanie czerwcowe w Pradze było istotnie przesileniem rewolucyjnego paroksyzmu, jest fakt, że kiedy Windischgrätz stłumił powstanie, Praga stała się nagle zupełnie spokojném miastem. Upojenie, doszedłszy do najwyższego stopnia w walce na barykadach i w zamienionych tam strzałach, rozprószyło się wraz z dymem prochowym; walczący wytrzeźwieli, przyznając się między sobą, że nie wiedzieli właściwie na co budowane były barykady i dla czego do wojska strzelano.

Po stłumioném powstaniu nastąpił stan oblężenia, witany z radością przez Niemców, którym się zdawało, że powstanie było dla nich istotnie bardzo groźném. Można było wtedy z zupełną słusznością powiedziéć, że Słowianie są stronnictwem rewolucyjném, a Niemcy poplecznikami reakcyi; ale nie tyle tu o to chodzi ile o zaznaczenie, że skutkiem takiego zakończenia wypadków r. 1848, stosunek między Niemcami i Czechami stał się jeszcze drażliwszym; a jakkolwiek Niemcy przyznać w końcu musieli, że w powstaniu czerwcowém nikt nie myślał ani o prześladowaniu, ani tém mniéj o mordowaniu

Niemców, pozostał zawsze powód do zapytania: „Kto wié coby się stało z Niemcami, gdyby było powstanie zwyciężyło?“

Wypadki czerwcowe w Pradze stanęły na przeszkodzie otwarciu sejmu czeskiego; był to jedyny grunt na którym wtedy osiągnąć można było załatwienie waśni między Niemcami i Czechami. Rząd centralny w Wiedniu nie zwoływał już więcéj tego sejmu, lecz rozpisał wybory do sejmu ustawodawczego do Wiednia, co dowodziło, że w Wiedniu nie tylko nie zwracano już na takie rzeczy żadnéj uwagi, ale że powzięto tam silne postanowienie nie ułatwiać nadal Czechom oporu przeciw niemieckiéj polityce rządowéj. Charakterystycznym pod tym względem był fakt, że arcyksiążę Jan, wybrany już na wielkorządcę, przybył z Frankfurtu do Wiednia na otwarcie austryackiego ustawodawczego sejmu w dniu 22 Lipca 1848 r. i bardzo wyraźne były słowa jego mowy tronowéj: „*w ścisłém zjednoczeniu z Niemcami, wszystkie interesa znajdą silną podstawę.*“

Tym sposobem narodowe dążenia Słowian potępione zostały już w Lipcu 1848 r.: *Niemcy stali się stronnictwem rządowém w Czechach.*

Naturalném tego faktu następstwem było, że przedstawiciele Czech w wiedeńskim sejmie ustawodawczym walczyli napróżno za prawa królestwa czeskiego, ziomkowie niemieccy nie poparli ich, bo mieli więcéj sympatyi dla Madziarów niż dla Słowian, i śmiało można twierdzić, że przymierze Niemców przedlitawskich z madziarskimi hegemonistami w Zalitawii powstało już w roku 1848.

Rok więc 1848 miał dla Czech ten smutny wynik, że oba narody kraj ten zamieszkujące stanęły w obec siebie jako dwa odrębne stronnictwa polityczne, których interesa trudne były do pogodzenia.

Czechy nie myśleli bynajmniéj o Austryi słowiańskiéj, tak daleko życzenia ich nie sięgały, pragnęli, przeciwnie, Austryi bez wszelkiéj narodowéj hegemonii, Austryi w którejby oba narody jednakowo panowały, dla siebie zaś chcieli zupełnych, nieulegających sporowi praw swobodnego narodowego rozwoju, chcieli tych samych praw dla wszystkich narodowości cesarstwa i dla tego wypisali na swym sztandarze: „równouprawnienie narodów“ (rovnopravnost národů). Sądzili, że będą mogli osiągnąć to równouprawnienie przez dalsze wykształcenie istniejącego w Austryi charakteru federacyjnego konstytucyi państwowéj i w tym kierunku dążyli do najszerszego samorządu królestwa czeskiego. Czechy więc nie mieli ze swego stanowiska żadnéj sympatyi dla niemieckiéj polityki rządu centralnego w Wiedniu i chętnie oddaliby hegemonią Austryi w Niemczech w zamian za zniesienie wszelkiéj hegemonii w nowouorganizowanéj Austryi oddzielnéj od Niemiec.

Niemcy mieli wobec tego właściwie jeden tylko paragraf w swoim narodowo-politycznym programacie, wzmiankowany już w mowie tronowéj arcykięcia Jana: „ścisły sojusz z Niemcami.“ Nie potrzebowali walczyć w Austryi o utracone prawa narodowe, ale pod wpływem obudzonego uczucia narodowego widzieli polityczne zjednoczenie Niemiec jako najwyższy cel swoich życzeń, i jeżeli trudno byłoby wprost twierdzić, że zjednoczone Niemcy więcéj im wtedy na sercu leżały aniżeli Austrya mająca się na nowo zorganizować, to niepodobna zaprzeczyć, że wzgląd na to zjednoczenie miał swój bardzo znaczący wpływ przy kształtowaniu się austryackiego imperyum. Łatwo téż pojąć, że prawa autonomiczne królestwa czeskiego miały u nich o tyle podrzędne znaczenie, o ile hegemonia niemieckiego żywiołu wydawać im się musiała ważną i potrzebną. I nic dziwnego, że w równouprawnieniu narodowém, do którego dążyły Czechy widzieli niebezpieczeństwo dla swego narodowego programatu.

Oczekiwane przekształcenie Austryi skończyło się nareszcie cofnięciem konstytucyi nadanej w r. 1849 i przywróceniem absolutnych rządów. W Niemczech ruchy 1848 r. skończyły się prawie tak samo: król pruski nie chciał przyjąć korony cesarskiéj z rąk ludu i nie mógł zresztą jéj przyjąć bez zgody Austryi, któraby nie dała swego przyzwolenia; ruch narodowy przybrał cechę rewolucyjno-republikańską, i zdławiony wreszcie został pruskim orężem. Dawny związek niemiecki odrodził się jak feniks z płomieni rewolucyi, które go pochłonąć nie mogły.

Niemcy i Czechy doznali wspólnego losu zawiedzionych nadziei, na jednych i na drugich zaciężyły w krótce absolutno-policyjne rządy zupełnie odrębnéj natury, i stali się więc znowu pod pewnym względem towarzyszami cierpienia. Ale ciężar nowego austryackiego absolutyzmu niejednakowo obu stronom dolegał. W Pradze, Czechowie tylko wystąpili w zbrojném powstaniu, był to dla rządowéj polityki w Wiedniu pożądany pozór, ażeby niesfornym Czechom dać dotkliwiéj uczuć ciężką rękę rządów policyjnych, aniżeli Niemcom. Podczas kiedy dzienniki niemieckie mogły przynajmniej jako tako wegetować, prasa czeska doznawała ostatecznego ucisku; podczas gdy od stronnictwa niemieckiego żądano tylko bezwarunkowego poddania się, nie zagrażając jego istnieniu, postępowano ze stronnictwem narodowém czeskiém w taki sposób, jak gdyby istnienie jego uważane było za groźne dla Austryi i jak gdyby w sferach rządowych żywiono istotnie zamiar wytępienia żywiołu czeskiego. Zaledwie obudziwszy się do nowego życia, Czechowie znów rozpocząć musieli smutną walkę o narodowe istnienie, które według wszelkiego prawdopodobieństwa uledz miało bezwzględnym ograniczeniom.

W takich okolicznościach dawniejszy przyjazny stosunek między Niemcami i Czechami nie mógł już powrócić; sympatya dla narodowych dążeń, która przed r. 1848 uchodzić mogła za humanitarną przychylność, byłaby teraz targnięciem się na wyraźne widoki bardzo sprężystych policyjnych rządów; zresztą między Niemcami i Czechami wytworzyły się zbyt jaskrawe polityczne sprzeczności, które już podobnych sympatyj dopuścić nie mogły. W ciągu ośmiu lat (1852—60), kiedy przywódcy stronnictwa narodowego słowiańskiego, skazani na zupełną bezczynność w skutek utraty wszelkiéj nadziei zupełnie obezwładnieli, uwydatniła się znów pomiędzy Niemcami dążność naukowego uzasadnienia wyższości niemieckiego żywiołu na któréj oprzéćby się dało prawo do niemieckiej przewagi nad niższą słowiańską rasą. Jako charakterystyczną ilustracyą stosunku Niemców do Słowian w ciągu tego smutnego ośmiolecia przypomnę fakt znaczący, że młode siły narodowego słowiańskiego stronnictwa rozpoczynały swój dziennikarski zawód w służbie tych niemieckich dzienników, które w łamach swoich drukowały piérwsze napaści na autentyczność najdawniejszych pomników literatury słowiańskiéj w Czechach.

Podobne napaści ze strony Niemców na skarby narodowe pokonanego przeciwnika nie świadczą bynajmniej o wspaniałomyślności napastującego; ale jest to uwaga, którą tu mimochodem tylko czynię, bo idzie mi głównie o wykazanie, że w ciągu owych ośmiu lat nie powróciło przyjazne porozumienie się między Słowianami i Niemcami.

Ośm lat upłynęło; wybuchła nieszczęsna wojna włoska r. 1859, ustały w Austryi rządy policyjnego absolutyzmu, a jako piérwsze świtanie nowéj ery, nastąpiło w dniu 5 Marca 1860 roku zwołanie „wzmocnionéj Rady państwa.“ 20-go Października ukazał się „cesarski dyplom do uregulowania wewnętrznych prawno-państwowych stosunków monarchii,“ jako podstawa nowego austryackiego konstytucyonalizmu.

Jakkolwiek uciskane dotychczas narody monarchii austryackiéj, a między niemi specyalnie Czechy, szukały napróżno w cesarskim dyplomie szczerego, wyraźnego uznania i rękojmi swoich praw narodowych a zamiast tego nie znalazły nic, prócz „równości Naszych poddanych przed prawem“ i tłómaczenia dyplomu „z autentycznego tekstu na krajowe języki;“ powitano dyplom z radością jako zapowiedź lepszych czasów i oczekiwano z radością, jeżeli nie z wielką nadzieją, ogłoszenia zawarowanych w dyplomie cesarskim praw konstytucyjnych.

Ogłoszenie nastąpiło 27 Lutego r. 1861, poprzedziło je długie wyłuszczenie w „Gazecie Wiedeńskiéj“ (Nr 48) zasad, któremi rząd się kierował, i które mogły nie tylko rozprószyć obawy stronnictw narodowych, ale nawet wzmocnić nadzieję lepszéj przyszłości. *Exposé* zawiérało między innemi taki ustęp.

„Austrya, umieszczona wśród rodziny ludów europejskich w ten sposób, że na terrytoryum jéj przypada znaczny kontyngens każdéj z tych rodzin, i to nie w odosobnieniu, ale raczej w nierozerwalném z innemi powikłaniu, *nie wydaje się być powołaną do przeprowadzenia sprężystéj centralizacyi*, bo do tego potrzebną jest zawszeześrodkowana hierarchia zarządu, który jednym tylko językiem posługiwać się może, co znów rozbija się o wielojęzykowy ustrój całego państwa. Gdy więc wyrzec się trzeba wszelkiéj myśli centralizacyi zbyt daleko posuniętéj, nie pozostaje nic innego jak przeprowadzić z całą dokładnością systemat samorządu i czuwać nad tém, aby granice były szanowane, prawa stosowane i samowola większości poskramiana. Ponieważ zaś w tym wypadku „*nie potrzeba będzie wysyłać w różnych kierunkach wyćwiczonéj w jednym języku biurokracyi, która dla saméj dogodności chętnie posługuje się jednostajnym językiem, więc i wszelka wątpliwość: czy wszystkie języki znajdą należne sobie uwzględnienie*, z *natury rzeczy upaść musi*.“

Wreszcie *Exposé* kończyło się wyraźnie temi słowy:

„*Takie są zasadnicze myśli, któremi kierowano się przy wznoszeniu budowy konstytucyjnéj przyrzeczonéj w Dyplomie*.“

Przedstawiając obraz dzisiejszego stosunku Niemców do Słowian w Czechach, należy z silnym naciskiem zaznaczyć, że owa tak zwana „myśl zasadnicza,“ powtórzona dosłownie z *exposé* „Gazety Wiedeńskiéj,“ nie znalazła najskromniejszego nawet miejsca, najsłabszego uwzględnienia w urządzeniach królestwa czeskiego. W prawach konstytucyjnych dla królestwa czeskiego z 26-go Lutego r. 1861 nie wspomniana jest ani jedném słowem nader ważna okoliczność, że w tém królestwie zamieszkują dwa narody, i co za tém idzie, nie istnieje najlżejsza wzmianka o prawach narodowych; nie znajdziemy tam wreszcie żadnego paragrafu, na którym Czechy oprzéćby się mogli dopominając się zabezpieczenia praw swej narodowości. Prawo konstytucyjne dla Czech jest zwykłą szablonową robotą, w któréj nie zwracano żadnéj uwagi na specyalne stosunki Czech, a szczególniéj na skład ludności tego kraju z dwóch narodów. Że nie było to przypadkowe przeoczenie, ale umyślne pominięcie, wnosić już można z téj okoliczności, że wyłuszczeniem „kierowniczych zasad“ uznano za stosowne, również nie przypadkowo, lecz rozmyślnie obudzić nadzie-

je i schlebić usprawiedliwionym życzeniom, o których urzeczywistnieniu ani na chwilę wtedy nie pomyślano.

Na urządzeniach r. 1861 opiéra się obecny „prawny“ stosunek Słowian do Niemców w Czechach; musimy więc przyjrzéć im się nieco bliżéj.

Według § 3, sejm składa się z 241 członków. Z urzędu posiadają głosy: arcybiskup Pragi, biskupi leitmeritzki, königgratzki i budweiski, oraz rector magnificus uniwersytetu praskiego. Pozostaje więc 236 członków z wyboru a mianowicie:

70 posłów wielkiéj własności gruntowéj;
87 posłów z miast, ognisk przemysłowych, izb handlowych i
79 posłów gmin wiejskich.

Podręcznik statystyczny dla monarchii austro-węgierskiéj, wydany przez c. k. komisyą centralną, podaje według spisu ludności z Października r. 1857 następujące cyfry, liczące narodowości miejscowych mieszkańców:

1.766.372 Niemców — 36,9%
2.925.982 Czechów — 61,2%
86.339 Izraelitów — 1,9%.

Na zasadzie praw wyborczych nadanych 26 Lutego r. 1861 dla sejmu czeskiego, zachowany być winien następujący stosunek posłów obu narodowości, z wyłączeniem 5 głosów z urzędu i 70 posłów wielkiéj własności ziemskiéj.

| | | |
|---|---|---|
| Miasta i ogniska przemysłowe | 41 niemieckich, | 31 czeskich; |
| Izby handlowe i przemysłowe | 15 „ | 0 „ |
| Gminy wiejskie | 31 „ | 48 „ |
| Ogółem | 87 niemieckich, | 79 czeskich, |
| czyli | 52.4% | 47.6%. |

Środki, użyte do osiągnięcia tak sztucznéj reprezentacyi królestwa czeskiego, nie tyle tu wprawdzie mają znaczenia co motywa, na których się opierano przedsiębiorąc je; niektóre z nich jednak choćby najtreściwiéj przytoczę:

1. Podzielono Pragę według dawnych dzielnic na pięć okręgów wyborczych i dano każdemu po dwóch wyborców; takim sposobem przypadło na:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Okrąg Altstadt z | 47.000 mieszkańców | 2 | posłów |
| „ Neustadt z | 78.000 „ | 2 | „ |
| „ Kleinseite z | 24.000 „ | 2 | „ |
| „ Josephstadt z | 11.000 „ | 2 | „ |
| „ Hradschin z | 6.000 „ | także 2 | „ |

Spodziewano się więc mieć w sejmie tylko dwóch posłów czeskich z Neustadt i liczono na przeprowadzenie w innych okręgach samych tylko niemieckich deputowanych.

2. Dano niemieckiemu miastu Reichenberg, liczącemu około 25.000 mieszkańców, 3 posłów, a wątpliwemu Pilsenowi, tylko jednego, jakkolwiek Pilsen ma tyleż mieszkańców co Reichenberg.

3. Utworzono np. jeden czeski okrąg wyborczy (Smiechór, Zbraslav, Beronn, Unhošt') z 90.000 mieszkańców, i jeden niemiecki (Joachimsthal, Platten) 16.000.

4. Utworzono 15 posłów Izb handlowych i przemysłowych, mając pewność, że przy pomocy Izraelitów będzie można Czechów przegłosować.

Co do wyborów 70 posłów wielkiéj własności ziemskiéj — rząd spodziewał się mieć je zupełnie w ręku, słowem, że liczył na sejm czeski, na którym naród czeski, to jest *dwie trzecie* ludności kraju, tworzyły *jednę trzecią* reprezentacyi krajowéj.

W ten sposób ukształtowane przedstawicielstwo królestwa czeskiego miało dla *ówczesnego* rządu austryackiego imperyum, wielkie znaczenie. Po stracie Lombardyi i zupełném przez to zachwianiu się stanowiska Austryi we Włoszech, trzeba było w Wiedniu jeszcze więcéj myśléć o utrzymaniu supremacyi Austryi w Niemczech, a w tym celu koniecznem się okazało, podawać Czechy za bardziéj niemieckie aniżeli niemi w istocie były.

Nic dziwnego, że Niemcy uważali taki z góry im nadany stosunek, który ich czynił narodem panującym w kraju, za *prawo* zupełnie zgodne z konstytucyą; jak znowu równie jest naturalném i łatwém do pojęcia, że Czechy widziéć musieli w tém eskamotowaniu swéj większości, *krzywdę* przeciwną zasadom prawdziwego konstytucyonalizmu. I tak, Niemcy stali się „wiernokonstytucyjnemi“ — a Czechy wyszli na przeciwników konstytucyi lutowéj,—a przecież zbytecznem byłoby zwracać tu uwagę, że Czechowie nigdy nie byli i nie będą przeciwnikami prawdziwego konstytucyonalizmu.

Kreślenie historyi czeskiéj konstytucyi nie leży w zakresie mego zadania; zresztą w następnym liście o odszczepieństwach w łonie stronnictwa narodowego, będę zmuszony mówić o stosunkach i wypadkach, które tymczasowo na boku pozostawię.

Skutkiem swéj niemieckiéj polityki, Austrya zawikłała się w r. 1864 w wojnę duńską, z któréj w 1866 rozniecila się wojna prusko-austryacka. Bismarck grał na wielką stawkę, ale wygrał. Austrya zmuszoną była zrzec się supremacyi w Niemczech, dawny

Związek niemiecki został rozwiązany, a na jego miejsce powstał związek północno-niemiecki z Prusami na czele. Stanowisko krajów południowo-niemieckich (Bawaryi, Wirtembergu, Badenu) zostało pozornie niezdecydowaném, ale w istocie Prusy zawarły już z niemi tajemne przymierze zaczepno-odporne.

Austrya mogła była wtedy skupić się w sobie i umocnić na wewnątrz; ale w Wiedniu inne plany pozyskały przewagę. Były saski minister państwa, baron Beust, znany antagonista Bismarcka, wyniesiony został do godności sterującego austryacką polityką, a znaczenie tego kroku nie mogło być dla nikogo tajemnicą. Beustowi zdawało się, że przepołowiwszy monarchią, z gruntu wyleczy Austryą ze wszystkiego co ją dolega. Według jego planu, Madziarowie w nowéj Zalitawii, dotychczas równie przeciwni konstytucyi lutowej, mieli być zaspokojeni zostawszy tam panującym narodem; niemiecki charakter Przedlitawii zyskałby również rękojmię, gdyby Słowian jeszcze silniéj „do muru przyciśnięto,“ niemiecka Przedlitawia byłaby w takim razie zupełnie przygotowaną do wejścia w skład Związku południowo-niemieckiego z Bawaryą, Wirtembergiem i Badenem; tym sposobem sojusz z Francyą mógł być przywrócony, a Austrya osiągała wszystko czego pragnęła: spokojność wewnątrz, stanowisko polityczne na zewnątrz i potrzebną do tego oporność przeciwko Prusom.

Dla zachodniéj połowy cesarstwa, nie mającéj do dziś dnia urzędowéj nazwy i tylko dla dogodności nazywanéj „Przedlitawią“ potrzebne były nowe prawa konstytucyjne, które datują z 21-go Grudnia r. 1867, i dla tego noszą tytuł: „konstytucyi grudniowéj.“

W myśl tych planów wyższéj niemieckiéj polityki państwowéj, Niemcy w Czechach musieli się stać jeszcze bardziéj panującym narodem, a Czechowie protestowali tém silniej przeciwko téj nowéj konstytucyi, że przez nią prawno-państwowe stanowisko królestwa czeskiego bardziéj jeszcze narażone było.

Rok 1870 położył nagle tamę wszystkim planom hrabiego Beusta: Austrya nie mogła przeszkodzić ani obaleniu Francyi, ani odbudowaniu cesarstwa niemieckiego z Prusami na czele; trzeba się było wyrzec wszelkich nadziei utworzenia związku południowo-niemieckiego. Obok przepołowionego imperyum austryackiego, stanęło teraz cesarstwo niemieckie potężnie jednolite, przynajmniéj, w swéj sile zbrojnéj.

Dla Austryi nadeszła znów chwila koniecznego zwrotu wewnętrznego: rząd chciał zawrócić, ale nie mógł. Zdążając do zdobycia supremacyi w Niemczech, a późniéj przynajmniéj w południowych

Niemczech, urządzono wszystko w Przedlitawii tak, że teraz niepodobna było złamać sztucznie wytworzonéj i wszystkiemi rządowemi środkami wspartéj supremacyi niemieckiéj wewnątrz kraju, bo ją otwarcie wspiérała potężna siła rozprężliwości cesarstwa niemieckiego.

Gabinetowi Hohenwarta (Luty i Październik 1871 r.) przypadło niewdzięczne zadanie przekształcenia Przedlitawii, które musiało rozbić się i rozbiło się rzeczywiście o przewidywaną opozycyą niemieckiego żywiołu, obstającego przy swojéj zgodnéj z konstytucyą hegemonii.

Użyto wszystkich sił, aby hegemonią Niemców (w Czechach specyalnie) oprzéć na prawie konstytucyjném i przez to osiągnąć hegemonią Austryi w Niemczech; pruska zaś hegemonia w Niemczech uważała sobie za narodowe zadanie rozciągnąć opiekę nad tém konstytucyjném prawem Niemców w Czechach. Książę to Bismarck właściwie obalił gabinet Hohenwarta; a jeżeli nowe ministeryum Adolfa Auersperga zapowiedziało „nową erę," w któréj „panowanie siły" miało ugiąć czeską opozycyą, to jest zmusić ją do poddania się bezwarunkowo z góry nadanéj hegemonii niemieckiéj, uczyniono to również dla przypodobania się księciu Bismarkowi. I doszło w Austryi do tego, że to państwo nie tylko pozbawione było wszelkiego wpływu na wewnętrzne sprawy Niemiec, ale że własne jego sprawy wewnętrzne załatwiały się według dekretów nowego kanclerza niemieckiego.

Łatwo pojąć jak w podobnych warunkach ukształtować się musiał w Czechach stosunek Niemców do Słowian.

*Opozycyą czeską chciano ugiąć*, co, w zakresie przedstawianego tu stosunku Niemców do Słowian w Czechach, miało znaczyć, że Słowianie czescy mieli być zmuszeni energicznemi rządami do przyjęcia bez oporu nienormalnéj supremacyi Niemców narzuconéj z góry, nieodpowiedniéj istniejącym stosunkom i narażającéj istnienie całego państwa — czyli że mieli poddać się dobrowolnie „konstytucyjnéj przewadze Niemców." Słowianie czescy powinni byli według tego uważać za „konstytucyjny" obowiązek, usankcyonowanie swoją uległością „konstytucyjnego" prawa Niemców do hegemonii w Czechach.

Odtąd nie dość, że Niemcy byli stronnictwem rządowém, ale rząd stał się sam narzędziem Niemców i używali go też Niemcy za swoje narzędzie.

Nie mam zamiaru spisywać historyi cierpień opozycyi czeskiéj, a właściwiéj mówiąc dziejów narodu czeskiego w ciągu lat sześciu (1872—1878). Kto chce zapoznać się szczegółowo z tą historyą, niech

czyta broszurę, w któréj baron Aleksander v. Helfert (bezimiennie) na podstawie dokumentów opracował piérwsze dwa lata (1). Ograniczę się tylko na krótkiéj wzmiance, że rząd austryacki w ciągu tego sześciolecia użył wszystkich środków jakiemi tylko rząd rozporządzać może: ucisku prasy, ograniczenia prawa zgromadzeń, dręczenia jednostek kwaterunkami wojskowemi, wpływania na wybory, aby tylko złamać opozycyą Czechów przeciw nadanéj a krzywdzącéj konstytucyi lutowéj.

Rząd austryacki pracował przez te sześć smutnych lat w podwójném znaczeniu *pour le roi de Prusse*: bo najprzód robota jego wyglądała jak gdyby rząd austryacki chciał przygotować królestwo czeskie do przyjęcia hegemonii pruskiéj, a powtóre, cel nie był osiągnięty, bo opozycya czeska nie ugięła się, ani złamać się nie dała.

Ale ogólny stan rzeczy, warunki polityczne, wzajemny stosunek państw europejskich, rozwój państw pojedyńczych, wszystko to inaczéj się jakoś ułożyło w ciągu tych sześciu lat, aniżeli przypuszczano po wielkiém zwycięztwie Niemców nad Francuzami.

Cesarstwo niemieckie nie stoi już tak groźnie jak na początku r. 1871. Pięć miliardów kosztów wojennych, wypłaconych przez Francyą, nie dały Niemcom stanowiska najbogatszego państwa w Europie. Wraz z wszelkiemi przyjemnościami i niebezpieczeństwami chwały wojennéj, przejęły Niemcy od Francyi i niedogodności dalszego rozwoju nowoczesnego socyalizmu, a genialny statysta, który stworzył cesarstwo, stara się teraz usilnie przekonać swego cesarza i pana, że mu jeszcze zostało dość geniuszu na rozpędzenie wszystkich złych duchów, które na swoje usługi wywołał, aby tylko co prędzéj wprowadzić w życie to czego pragnął. Cesarstwo niemieckie ma dość u siebie do czynienia, i to właśnie paraliżuje jego siłę rozpręźliwości.

Obalona w r. 1871 Francya dźwignęła się znowu, a jeżeli w organizacyi siły zbrojnéj nie doszła jeszcze do doskonałości, to zaświadczyła świetnie przed Europą na wystawie paryskiéj r. 1878, że ją wypłacone w bajecznie krótkim czasie 5 miliardów bynajmniéj nie zubożyły, jak sobie tego życzył ks. Bismarck, że nawet pod względem ekonomicznym wyżéj teraz stoi od nowego cesarstwa niemieckiego. Francya upokorzyła dotkliwie w r. 1878 swego dumnego zwycięzcę i wiele się przyczyniła do rozproszenia otaczającéj go początkowo aureoli.

---

(1) Zgoda i wierność konstytucyi. Lipsk 1873 u Luckhardt'a.

Wschód słowiański zdobył się też w ostatnich latach na wielkie narodowe czyny, a jakkolwiek powodzenie niezupełnie odpowiedziało pragnieniom, to jednak niepodobna zaprzeczyć, że ostatnia słowiańsko-turecka wojna wywarła pewien wpływ na podniesienie ducha narodowego we wszystkich Słowianach w Europie.

Czasy zmieniły się znowu i wolno wątpić, ażeby cesarstwo niemieckie zdobyło przewagę w Europie.

I w Austryi także gabinet Adolfa Auersperga, który chciał dowieść narodowi czeskiemu, że nie ma prawa do istnienia, musiał ustąpić z widowni politycznéj, a rząd zaniechał celów dla których to ministeryum było utworzone.

W obec tych wszystkich wielkich zmian w Europie, i spodziewając się tego co się już po części ziściło, nieugięta opozycya czeska znalazła się znów w sali sejmowéj (we Wrześniu r. 1878); wypadnie więc w końcu zastanowić się, czy możliwém byłoby wytworzenie między Niemcami i Słowianami takiego stosunku, ażeby oba narody mogły żyć obok siebie spokojnie i przyjaźnie w pięknéj, błogosławionéj krainie czeskiéj.

Do osiągnięcia tego pożądanego rezultatu potrzebne jest wspólne działanie trzech czynników: *Czechów*, *Niemców* i *rządu austryackiego*. Ze zbadania każdego z tych czynników pojedyńczo, zakreślenia dzisiejszego ich stanowiska i wynikających ztąd dążeń pokaże się: czy to czego sobie wielu życzy jest możliwém, i w jakich warunkach ta możliwość wcielićby się powinna w rzeczywistość.

Jakkolwiek *Czechy* stanowią znakomitą większość ludności całego kraju, nie myślą oni bynajmniéj o prostém odwróceniu dzisiejszego stosunku między obu narodami; narodowa ich polityka nie opiéra się na zasadzie: „Otes-toi de là, que je m'y mette; dążeniem Czechów nie jest odebranie Niemcom hegemonii w Czechach, w celu przywłaszczenia jéj sobie. Czechowie chcą uczciwie i otwarcie stworzyć w kraju takie instytucye, któreby każdéj narodowości zapewniły zupełne uprawnienie, nieograniczoną swobodę rozwoju życia narodowego; nie pragną więc być narodem panującym w królestwie Czeskiém nie chcą w ogóle panowania jakiéjbądź narodowości, ale mają na myśli uczciwie przeprowadzone narodowe równouprawnienie obu szczepow kraj zamieszkujących. Czechowie nie są wcale panslawistami i uważają nawet panslawizm polityczny to jest zjednoczenie wszystkich Słowian w jednem państwie za niemożliwe. Sami będąc Słowianami, uważają wprawdzie wytworzenie i rozwój przyjaznych stosunków i wzajemnéj sympatyi między wszystkiemi ludami słowiańskiemi, za rzecz naturalną i dla celów humanitarnych pożą-

daną, ale są znów stanowczo tego przekonania, że ten pożądany stosunek wzajemnéj sympatyi między ludami słowiańskiemi wyłącza myśl hegemonii jednego z tych ludów nad innemi, i jako prawdziwi Słowianie, jako przedstawiciele prastaréj zasady wolności narodowéj, nie są panslawistami. Czechowie nie chcą również słowiańskiéj Austryi, to jest nie dążą do obalenia w imperyum austryackiém narodowéj hegemonii Niemców i Madziarów, ażeby na jéj miejsce utrwalić przewagę Słowian. Żywią oni jeszcze dotąd przekonanie, że państwo austryackie w Europie środkowéj ma do spełnienia posłannictwo cywilizacyjne wysokiéj doniosłości, ale, według ich pojęcia rzeczy, to posłannictwo nie polega bynajmniéj na ujarzmieniu ludów słowiańskich przez naród niemiecki, ani na zabezpieczeniu przewagi jednemu uprzywiliowanemu narodowi przez wynarodowianie i niewolę innych. Czechowie są tego zdania, że nie może być mowy o missyi cywilizacyjnéj tam, gdzie całym narodom odebrano to najwyższe duchowe dobro, którego pielęgnowanie stanowi jedyną treść pracy około prawdziwéj narodowéj kultury. I dla tego Czechowie chcą, aby w całém państwie postawiona była zasada narodowego równouprawnienia, i w tém widzą wzniosłą misyą cywilizacyjną Austryi; ażeby Europie przedstawić mogła piękny widok państwa, w którém różne ludy żyją obok siebie w pokojowéj pracy i w błogosławionéj zgodzie, tak jak kiedyś, w dalszéj jeszcze i piękniejszéj przyszłości, wszystkie cywilizowane narody Europy obok siebie mieszkać będą. Więc Czechowie gotowi są do zgody, wyciągają do niéj obie ręce, ale wymagają, jako należnego im prawa, zupełnego politycznego i narodowego równouprawnienia z Niemcami, a zatém usunięcia wszystkiego, co strąca naród czeski na podrzędne stanowisko i co krzywdą, a po części przemocą stawało im na przeszkodzie w swobodnym rozwoju sił narodowych.

Czechowie żądają dla królestwa czeskiego innéj konstytucyi, która nie milczałaby rozmyślnie, jak obecna, ale przeciwnie jawnie i wyraźnie wypowiadała, że oba narody zamieszkujące Czechy używać mają równych praw politycznych i narodowych, i że żaden z nich panującym nie będzie. Ażeby zaś taka zasada nie pozostała martwą literą jak art. XIX austryackich praw organicznych, lecz wykonywaną była we wszelkich stosunkach wspólnego politycznego pożycia, wymagają Czechowie specyalnych, prawnych postanowień, któreby przewidując możliwe starcia niemieckich i czeskich interesów narodowych takowe regulować i spokojnie załatwiać mogły. Czechowie nazywają to „prawem o narodowościach" i są przekonania, że dwa narody mogą wtedy tylko mieszkać w jednym kraju bez prawnego określenia i uregulowania wzajemnych stosunków, to jest bez prawa

o narodowościach, jeżeli jeden uznany jest za pozbawiony praw a drugi za jedynie i wyłącznie uprawniony.

Czechowie domagają się porządku wyborczego, opartego na słuszności i na jednakowéj dla obu narodów zasadzie biernego i czynnego prawa wyboru i wybieralności, protestując tém samém przeciw obecnemu urządzeniu, które większość ludności czeskiéj wszelkiemi możliwemi szykanami redukuje w reprezentacyi kraju do nienaturalnéj mniejszości.

Czechowie pragną nadto w cesarstwie austryackiém innego rządu, który nie byłby narzędziem popiérającém i utrzymującém jaką, bądź narodową supremacyą, panowanie téj lub owéj narodowości nad innemi, lecz któryby się przejął przekonaniem, że szczytna misya cywilizacyjna Austryi, jako główna podstawa usprawiedliwiająca jéj istnienie, opiéra się na przeprowadzeniu prawdziwego równouprawnienia wszystkich austryackich narodów.

W rezultacie Czechowie widzą zbawienie swoje i przyszłość swoję jedynie w Austryi przekształconéj na tych zasadach w spokojną ojczyznę wszystkich narodów.

W obec tych pragnień i żądań, *Niemcy* stoją naturalnie na przeciwném stanowisku, jako: „beati possidentes“ (tak się nawet sami nazywają); obecny porządek rzeczy nie tylko że w niczém nie naraża ich narodowego istnienia, ale nawet przy pomocy prawa wyborczego jest podstawą ich narodowéj hegemonii; rząd nie ogranicza w niczém praw narodowych Niemców; gdyby zaś życzenia i żądania Czechów miały być spełnione, Niemcy musieliby wyrzéc się nabytych przywilejów a do tego naturalnie nie mają żadnéj ochoty.

Stanowisko ich w obec Czechów wyrosło po r. 1848 z rozwoju kwestyi niemieckiéj i dziś jeszcze w znacznéj mierze od ich stosunku do téj kwestyi zależy. Daleki jestem od oskarżania Niemców o zdradę kraju względem Austryi; ale kiedy idzie o określenie ich stosunku do Czechów, niepodobna pewnych rzeczy zamilczać. Nastręcza się tu ważne pytanie: *czy królestwo czeskie pozostanie częścią składową państwa austryackiego*, *czy téż wejdzie w skład niemieckiego cesarstwa.* Nie tu miejsce zastanawiać się: jak i kiedy się to stanie; dość tylko stwierdzić, że w rozstrzygnięciu téj kwestyi, tkwi rozwikłanie całéj kwestyi czeskiéj. Podrzędną również jest okoliczność czy w Berlinie lub gdzie bądź indziéj w państwie niemieckiém, posiadanie Czech uważane jest za potrzebne do utrwalenia stanowiska politycznego Niemiec; rdzeń kwestyi zawiéra się w pytaniu: czy Niemcy czescy należyć chcą do Austryi, czy téż do cesarstwa niemieckiego. Gdyby ziścić się miało to drugie przypuszczenie, w takim razie zgoda między Niem-

cami i Słowianami w królestwie czeskiém byłaby po prostu niemożliwą, bo Słowianie czescy nigdy nie mogą sobie życzyć, aby ojczyzna ich przyłączoną była do państwa niemieckiego; przepaść dzieląca oba narody byłaby wtedy nie do zapełnienia. Gdyby zaś Niemcy w Czechach chcieli zostać przy Austryi, wtedy byłoby tylko kwestyą czasu: kiedy zasada równouprawnienia wszystkich narodów w Austryi zupełne odniesie zwycięstwo.

To wielkie dzieło dojść może do skutku jedynie za sprawą trzeciego czynnika, który też przy pojednaniu Niemców ze Słowianami główną odegrywać musi rolę.

*Rząd austryacki* musi na nowo rozpocząć dobrze to, co źle robił w Czechach, i to powodując się przekonaniem, że robi dobrze w rozsądnie zrozumianym interesie całego państwa.

Rząd austryacki stworzył niemiecką hegemonią w Czechach, chcąc przez to zabezpieczyć austryacką hegemonią w Niemczech; Austrya miała się okazać Niemcom w cesarstwie bardziéj niemiecką aniżeli nią jest w istocie, ażeby supremacya Austryi nieniemieckiéj nie raziła im oczów czémś, czegoby więcéj lękali się aniżeli pragnęli. Od 1866 i 1870 ta niemiecka polityka Austryi stała się bezprzedmiotową; i nie dość, że kwestya, kto zdobędzie hegemonią w Niemczech, Austrya czy Prusy, rozstrzygniętą została na niekorzyść Austryi; ale nowy stan rzeczy podaje nawet w wątpliwość dalsze istnienie Austryi. Stosunek Austryi do Niemiec odwrócił się w zupełności: dawniéj Austrya chciała mieć dla siebie całe Niemcy, a po 1866 przynajmniéj Niemcy południowe; teraz Niemcy nie żądają wprawdzie całéj Austryi, ale chciałyby mieć przynajmniéj jednę jéj połowę. Rodzi się więc pytanie: czy cesarstwo austryackie będzie nadal istniéć przy cesarstwie niemieckiém, czy też nie? Przypuściwszy, że zadaniem prawdziwego austryackiego rządu, będzie zabezpieczenie wszystkich żywiołów wchodzących w skład państwa austryackiego, należałoby również przypuścić, że Austrya uczyni wszystko co do tego jest niezbędném. Jeżeli więc Austrya, chcąc panować w Niemczech, robiła dawniéj wszystko co mogła, aby się wydać bardziéj niemiecką niż nią była, to teraz powinno jéj wiele na tém zależyć, ażeby się pozbyć tego fałszywego blasku, ażeby przedstawić się cesarstwu niemieckiemu we właściwéj postaci i natchnąć je przekonaniem, że kraje nieniemieckie nie należą do jednolitego narodowego państwa niemieckiego.

Ze względu więc szczególniéj na królestwo czeskie, jedném z głównych zadań rządu prawdziwie austryackiego, mającego przedewszystkiém na myśli dalsze istnienie państwa austryackiego, jest

dążyć ze wszystkich sił do zgody między Niemcami i Czechami, na podstawie uznanego przez oba narody hasła: *chcemy zostać przy Austryi*!

Załatwienie sporu narodowości w Czechach jest właściwie kwestyą istnienia monarchii austryackiéj. Albo Austrya ma jakieś posłannictwo cywilizacyjne i zjednoczy różne swoje ludy w spokojném obok siebie pożyciu, albo nie ma żadnéj misyi, a w takim razie nie ma też zasady dalszego istnienia.

*Prawda.*

# Najznakomitsi komedyopisarze hiszpańscy.

## I.

## LOPE DE VEGA

### Studyum literackie.

> El arte dramatico acompana á la vida humana como una de sus formas, como una de sus eternas vestiduras.
>
> . . . . . . . . . . . . . . . .
>
> La mistica y la novela, como antecedentes y elementos artisticos; el alma nacional, como asunto y argumento, y como regla, la inquieta y sobreexcitada avidez de nuestro pueblo para gustar deleites e imaginaciones que dieran solaz á sus almas hartas ya de dominar al mundo conocido: tal es el teatro espanol.
>
> Canalejas.

1.

Jeżeli mamy się zgodzić na ten pewnik, że epika kwitnie w zaraniu dziejowego życia narodów, że liryzm zwiastuje młodzieńczą ich dobę a dramat jest płodem duchowéj dojrzałości; to przyznać musimy, że pośród narodów dzisiejszéj Europy Hiszpania i Anglia złożyły najwcześniéj wymowne świadectwo *maturitatis*, one jedne tylko zdobyły się na dramat narodowy w najistotniejszém pojęciu tego słowa.

Najbujniejszy rozkwit dramatu u obu tych ludów przypada mniéj więcéj w jednym czasie, tj. w drugiéj połowie XVI i w piérwszéj XVII wieku; ale gdy u Anglików występuje genialny Szekspir i ogromem swoim wszystkich poprzedników i następców zasłania, u Hiszpanów przeciwnie, sztuka dramatyczna posiada cały szereg uzupełniających się wzajemnie utalentowanych przedstawicielów, których wspólną działalność odzwierciedlić musimy, jeśli gruntowne poznanie olbrzymiego bogactwa hiszpańskiéj sceny ma być studyów naszych owocem.

Zresztą pod względem czasu Hiszpania wyprzedziła nawet Anglią. Kiedy *Heywood* przedstawiał swe bufonady, pozbawione intere-

su i artyzmu; kiedy Paryż posiadał bardzo poziome *misterye*, *Lope de Rueda*, Hiszpan, grywał na placach publicznych Madrytu prawdziwe już komedye.

Bogactwo literatury dramatycznéj Hiszpanów jest rzeczywiście zdumiewające!... Hiszpania liczy 423 autorów, których sztuki objęte zostały katalogami i stanowią olbrzymią cyfrę 2.600 tragedyj, komedyj i dramatów, nie licząc w to 464 sztuk nieznanych z nazwiska autorów. Jeśli zaś zwrócimy uwagę, że w powyższéj liczbie mieszczą się tylko 763 sztuk Lope de Vegi, kiedy dokładnie wiadomo, że pisarz ten stworzył przeszło półtora tysiąca dzieł dramatycznych, których połowa tylko w katalogach figuruje, i jeśli przypomnimy sobie, że dzieła 35 autorów dramatycznych całkowicie zaginęły; to przyjść musimy do wniosku, że twórczość dramatyczna hiszpanów jest bezprzykładna. Przyjąwszy średnią cyfrę 2.000 wierszów w sztuce, otrzymamy ośm milionów wierszów, poświęconych teatrowi w ciągu półtora wieku, czyli 26 sztuk rocznie.

„Dobre czy mierne,“ mówi Fée, z którego powyższe szczegóły czerpiemy (1), ,,sztuki te nie są do siebie podobne, a obok kompozycyj dziwacznych i przeciwnych smakowi, charakterów nienaturalnych i emfatycznych a rozwlekłych frazesów, — spotka czytelnik w najmierniejszéj nawet sztuce piękne sceny, wstrząsające sytuacye, wielkie myśli w szlachetną obleczone szatę i uczucie pełne podniosłego heroizmu.“

Prawie wszystkie sztuki starożytnego dramatu hiszpańskiego pisane są wierszem, po większéj części rymowanym i to przeważnie 8-o, czasem 7-o a rzadko 11-to zgłoskowym, choć wszystkie te miary bardzo często w jednéj sztuce spotkać można, a mało jest takich utworów, któreby sonetami i oktawami przeplatane nie były.

Ta olbrzymia płodność fantazyi hiszpańskich poetów stała się skarbnicą dla Europy, która w niéj jawnie i skrycie pomysły do dzieł swoich czerpała. Już Diez w komentarzach do Velsqueza zwrócił uwagę na uzurpacye, jakich się Francuzi, Włosi i Anglicy względem dramatu hiszpańskiego dopuszczali (2) a Schlegel zasadnie twierdzi, że długa byłaby lista autorów dramatycznych, którzy pomysły do swych utworów ukradkiem z dramatów hiszpańskich zaczerpnęli (3). „Literatura hiszpańska jest jako las olbrzymi, do którego tysiące ludzi

---

(1) Etudes sur l'ancien théatre espagnol Paris 1873 p. 149.

(2) Velasquez Geschichte der Span. Dichtkunst aus d. span. übers von Dieze Göttingen 1769 p. 330.

(3) A. W. Schlegel Cours de litter. dram Paris et Genève 1814 T. III p. 234.

chodzi tajemnie po drzewo," mówi obrazowo Habeneck (1). Wiadomo, że Cyd Kornela, którym ten autor niesłychany entuzyazm Francuzów dla geniuszu swego rozbudził, jest prawie tłómaczeniem sztuki Guillena de Castro pt. *Las mocedades del Cid* (młodość Cyda) (2). *La princesse d'Elide* Moliera, napisana w dniach kilkunastu z rozkazu Ludwika XIV, jest tylko parodyą „Wzgardy za wzgardę" (*Desden Con Desden)*, arcydzieła Moreta. „*Don Juan*" Moliera jest tylko naśladowaniem sztuki „*Don Juan, el burlador de Sevilla*," napisanéj przez Tirso de Molina. „*Gil Blas*" blednie w obec „awantur wielkiego Tacana," napisanych przez *Quevedo* (3). „*Le Menteur*" Kornela jest daleki od swego pierwowzoru „*La verdad sospechosa*" Alarcona a „*Hernani*" ma zbyt wiele podobieństwa z *Garcia del Castanar*," pięknym dramatem Franciszka de Rojas, żebyśmy nie mieli przypomnieć sobie pobytu Wiktora Hugo w Hiszpanii!...

Kiedy inne narody tonęły w namiętném naśladownictwie wzorów klasycznych, z uszczerbkiem dla indywidualnéj samodzielności; Hiszpanie, dalecy od niewolniczego poddawania się przepisom i krytyce starożytnych prawodawców literatury, zachowali w skutek tego wybitną oryginalność, która jest najistotniejszą cechą ich twórczości. Kiedy Francya stawała się kolejno włoską, hiszpańską lub angielską, Anglia zaś francuzką, włoską lub niemiecką; wtedy Hiszpania, począwszy od XIII aż po koniec XVII wieku, rozwijała się w jednym wyłącznie narodowym kierunku. Arcydzieła Kalderona i stary poemat o Cydzie są dziećmi tego samego natchnienia. Geniusz narodowy budząc się tworzył niezliczoną ilość dramatów, przysłów, komedyj, tragikomedyj w 6-u, 7-u lub 21 aktach jak „*Celestina*," z alegoryami, jak sztuki Cerwantesa, z muzyką lub bez niéj a zawsze o jednéj niewyczerpanéj treści: sława Hiszpanii, tryumf kościoła, miłość i walka! (4) Ta ostatnia tak dalece wplotła się w życie starożytnego Celtyberów plemienia, że mu za chléb powszedni służyła. Po morderczych w ciągu wieku zapasach z Rzymem kultura italska przeniknęła półwysep, język zwycięzców stał się językiem zwyciężonych, a ztąd współudział Rzymian w kształtowaniu się hiszpańskiego narodu był wielki. Po upadku światowładczego państwa, Hiszpania stawała się kolejno łupem Swewów, Alanów, Wandalów i Wizygotów. Ci ostatni, najliczniejsi, a może najsilniejszym obdarzeni charakte-

---

(1) Chefs d'Oevres du théatre espagnole Paris. Introduction.

(2) Fée loc: cit. Les trois Cid p. 147.

(3) Baret Histoire de la litter. esp. Paris 1873 p. 516—535.

(4) Ph. Chasles Etudes sur le drame espagnol Paris 1877—18.

rem, pozostawili widocznie ślady swego wpływu na duchu, obyczajach i języku Hiszpanów. Nie mniejszą rolę w dziejowym ich pochodzie odegrała Afryka. W początku VIII wieku Muzułmanie Maurytanii, Arabowie i Berberowie dosięgli skał Gibraltaru, a po kilku miesiącach walki prawie cały półwysep stał się ich łupem. Wpływ zdobywców na charakter podbitego ludu w ciągu 7-o wiekowéj walki był olbrzymi; krzyżowanie się ras nieustanne zmodyfikowało piérwotny typ iberyjski: krew Berberów i Semitów walczyła w żyłach Hiszpana o lepsze z krwią Basków. O doniosłości tego wpływu Saracenów świadczy wymownie język kastylski, który otrzymał od Maurów więcéj wyrazów arabskich, niż kiedyś germańskich od Wizygotów. Około 2.000 słów semickich, świadczących o stanie cywilizacyi ówczesnéj, pozostało w języku hiszpańskim, przypominając okres przemysłowego i naukowego rozwoju, którym dzielili się z Europą Arabowie Grenady i Korduby (1). W tym samym czasie, obok Maurów rozwielmożnili się i Żydzi, których przed epoką prześladowań mieszkało w Hiszpanii przeszło 800.000.

Na charakter więc Hiszpana składały się, jak widzimy, oprócz klimatycznych i etnograficznych warunków i inne różnorodne czynniki. Hiszpan, to dziecko krwi gorącéj, odznacza się odwagą, patryotyzmem i niepodległością ducha obok religijności i awanturniczo-wojennego charakteru, który w wiekowych zapasach z Rzymem, Germanami i Arabami dzielności swojéj pomnikowe złożył dowody. Fantazya potężna i bogata, wrażliwość silna, marzycielstwo... zmysłowość, inteligencya bystra, lecz niezbyt refleksyjna, skłonność do uczuć bałwochwalczo-religijnych i przesądnych, brak zmysłu praktycznego, upodobanie w formach zewnętrznych, odwaga osobista i zbiorowa, próżność i duma zarówno indywidualne jak narodowe, cześć na wskróś bałwochwalcza dla uczuć szlachetnych i rycerskich, których najjaskrawszym objawem jest idea honoru i poetyczno-zmysłowéj galanteryi; autokratyzm i centralizacya w polityce zapożyczone od Rzymian zarówno jak miłość równości raczéj niż wolności i religijnego formalizmu, nietolerancya i sekciarstwo, przyjęte od Arabów wraz z dążnością do rozkoszy zmysłowych, — oto żywioły składające charakter hiszpańskiego narodu, a odzwierciadlone, jak to zobaczymy, w jego literackich pomnikach. W szczególności, mieszkańcy pirenejskiego półwyspu są niedbali w życiu codziennem; w masach odróżniają się śród innych ludów duchem spokojnéj stanowczości i niezmordowaną wytrwałością, która w miarę wartości spra-

(1) E. Reclus Géographie universelle. Paris 1876. T. I. p. 652.

wy stanowi już to sławę już nieszczęście narodu. Dworak, urzędnik, mogą służyć z cynizmem ręce, która ich płaci; lecz gdy Hiszpan, z łona ludu, chwyci się jakiéj sprawy, wytrwa przy niéj do śmierci: póki żyje, nie można o nim mówić, że zwyciężony. Walka z Mauramí trwała VII wieków bez przerwy, amerykańskie wyprawy wiek cały. Wojna o niepodległość z Napoleonem jest pomnikiem historycznym bezgranicznego patryotyzmu i poświęcenia Hiszpanów, którzy z dumą powiedziéć mogą, że w ciągu czteroletnich zapasów, Francuzi nie znaleźli pomiędzy nimi... szpiega!... Przy całéj dumie i owéj „*pompeuse gravité*,“ odziedziczonéj po Wizygotach, Hiszpan jest miły w obejściu; szanuje sam siebie bardzo, lecz nie mniéj jest uprzedzający dla innych; przezorny i odgadujący łatwo ujemne strony człowieka, nie pozwala nim sobie pogardzać. Nawet gdy żebrze, umié zachować postawę pewnéj szlachetności. Drobnostka wydobywa z jego piersi potoki dźwięcznych wyrazów; lecz gdy idzie o rzecz poważną, jedno słowo... giest mu wystarcza. Przy sile charakteru Hiszpan posiada zawsze pewną ujmującą wesołość: umié on być szczęśliwym!... Nic go nie niepokoi, gdyż filozoficznie przyjmuje życie takiém, jakiém się ono przedstawia; nędza nie przestrasza go wcale, umié nawet wyciągnąć z niéj pewne korzyści. Pomimo namiętności i fanatyzmu z jakim Hiszpanie przystępują do każdéj sprawy, potrafią przyjmować z rezygnacyą to wszystko, czemu przeszkodzić nie mogą (1). Ostatnia abnegacyjna strona charakteru Hiszpana uzewnętrzniła się najwymowniéj w stosunku tego narodu do hydry, która pierś jego toczyła, tj. do monarchiczno-religijnego despotyzmu, w który pogrążyły Hiszpanów nieustanne walki religijne. Najprzód pod królami wizygockimi bronili z zajadłością aryanizmu przeciwko Frankom, potém, stawszy się katolikami, wiedli walkę religijną przeciwko zwycięzkim Muzułmanom przez 20 kilka pokoleń. Ztąd wypłynęło, że patryotyzm rasy i języka zidentyfikował się prawie zupełnie z bezwzględném posłuszeństwem dla rozkazów duchowieństwa, które odtąd rozwielmożniało się w państwie coraz więcéj, a wreszcie, wszedłszy w związek z monarchią, zrodziło krwawéj pamięci inkwizycyą. Pod panowaniem arabskiém Hiszpania liczyła 20 milionów mieszkańców, a po strasznych konwulsyach narodu zmniejszyła się do 7 zaledwie; monarchiczno-religijny Moloch zaprzepaścił w swojém wnętrzu 13 milionów ludności!... Monarchowie austryaccy zamieniali żołnierzów hiszpańskich w ciemiężycielów Italii, Niderlandów i Ameryki. Trzeba było wówczas zabijać, aby nie być zabitym,

(1) Reclus loc. cit. I. 658.

zostać żołnierzem... lub księdzem. Młodzi Hiszpanie cisnęli się tłumnie do klasztorów, których przeszło 9.000 było w różnych stronach tego państwa.

Pod naciskiem teroryzmu stała się Hiszpania katolicką, uciśnioną i biédną, ale dzięki swemu pełnemu kontrastów charakterowi, nie zatraciła wrodzonéj oryginalności i werwy. Duchowieństwo jedynie posiadało pewną swobodę, prawo i możność życia, z jego też łona wyszli najweselsi, najswobodniejsi i najznakomitsi autorowie dramatyczni. Lope de Vega, Tirso de Molina, Calderon, byli kapłanami, Moreto pod koniec życia oddał się całkiem dewocyi. Nie należy ztąd wnosić, żeby wiara jedynie miała być dźwignią duchową tych ludzi; dla tego na łono kościoła uciekali, że tam tylko mogli znaléść pomoc i protekcyą. Będąc członkami duchowieństwa, mogli swobodniéj mówić i pisać o tém wszystkiém, czego świeccy pisarze dotknąćby się nawet nie śmieli (1).. Rzeczą jest znów szczególną, że ci sami sławni autorowie, którzy kończyli swą karyerę na przywdzianiu sukienki duchownéj, rozpoczynali życie publiczne od korda. Prawie każdy z nich był pierwiastkowo żołnierzem, tak, że literaturę hiszpańską wzbogacili nie uczeni, lecz wojacy.

Uniwersytety hiszpańskie liczne, bogate, potężne przywilejami, zostawały pod wpływem klasztornym. Najgłówniejszém następstwem ich przywilejów było, a poniekąd jest i dzisiaj lekceważenie postępu nauk, konserwowanie starożytnych nadużyć i bezmyślnéj formy kształcenia, którą przechowywano jako najdroższą spuściznę. Hiszpania wcale nie brała udziału w owéj gorączce erudycyjnéj „odrodzenia,“ które nadało tyle życia XVI wiekowi; żaden z poetów hiszpańskich nie ma sławy klasyka lub wielkiego poety łacińskiego, albo greckiego, natomiast wszyscy prawie są żołnierzami. Boscan, Garcilaso, Diego de Mendoza, Móntemayor, Castilejo, Cervantes, Lope de Vega walczyli dzielnie, Don Alonzo de Ercilla przeszedł Atlantyk i cieśninę Magielańską, Kamoens dzielnym był równie żołnierzem jak poetą.

To przymierze Bellony i Apollona nadało literaturze hiszpańskiéj charakter energiczny, szlachetny i rycerski, ztąd też owo bożyszcze wojaka, honor, odgrywa tak wszechwładną rolę w dziełach hiszpańskiego teatru. Teatr ten nosi wybitne piętno czasu: duma narodowa była spotęgowana zwycięztwami, więc duch wojenny, rycerski przenika większość utworów. W skutek połączenia się całéj Hiszpanii pod katolickimi królami, w skutek odkrycia nowéj części

---

(1) Habeneck loc. cit. 26.

świata i dokonanych w Italii zdobyczy, Hiszpanie poczuli się nagle silnym narodem. To poczucie narodowéj potęgi tak oddziaływało na duchową kulturę i umysłowy rozwój Hiszpanów, że pomimo rozbudzonych w tym czasie studyów nad klasyczną starożytnością, kształtowanie się mowy kastylskiéj robiło olbrzymie postępy, a istniejący przez długi czas rozdział uczonéj, dworskiéj poezyi od ludowéj ustąpił miejsca zjednoczeniu się bratnich żywiołów na korzyść narodowéj literatury. Straciwszy swobodę w życiu realném, Hiszpanie rozwijali gorączkowo życie sztuczne, którego najsympatyczniejszemi dla nich szrankami była scena, przedstawiająca u nich w skutek tego prawdziwe i dosadne malowidło narodu (1). Nawet panowania Filipa III i IV, za których polityczna wielkość państwa najwidoczniej się już rozkłada, przedstawiają świetne zjawisko pod względem umysłowego rozwoju. W epoce klęsk wojennych poeci obdarzali swój naród najpiękniejszemi pieśniami. Ten wspaniały ruch intelektualny uważać należy jako rodzaj protestacyi narodu, który wyczerpany i zgnębiony przez najsroższy despotyzm, dziełami swemi wymownie świadczy, że ducha zgnębić niełatwo.

Początków dramatu hiszpańskiego szukać należy w kościele a mianowicie w misteryach religijnych, odgrywanych w XIII wieku ku uczczeniu większych uroczystości religijnych. W tym samym czasie powstały i przedstawienia świeckie za Alfonsa Mądrego, wykonywane niekiedy z towarzyszeniem śpiewu, deklamacyi, tańców i muzyki (Danza de la muerte). Za panowania Henryka IV, w końcu XV wieku, rozwój sztuki dramatycznéj potęguje się znacznie, i w téj epoce spotykamy już opowiadania dyalogowane, budzące pewien interes w narodzie i wprowadzające sztukę dramatyczną w nowe stadyum rozwoju, którego piérwszym, znakomitym już przedstawicielem — *Juan de Encina* (1468 r.). W jego pracach spotykamy widoczny postęp sztuki dramatycznéj, która z surowych bez planu i akcyi dyalogów, w tonie lirycznym trzymanych, przekształciła się w małe komedyjki intryg o istotnie dramatycznym charakterze a przedstawiane przeważnie w czasie uroczystości religijnych i już nie w kościele lub na rynku, lecz na zwyczajnéj scenie, przy pomocy aktorów z profesyi i całego teatralnego aparatu, a wreszcie w obec wykształconéj publiki na dworze księcia Alby (2). Treścią i formą wskazują pasterskie rozmowy Enciny (eclogas) na piérwotne źródło

(1) Sismondi De la litter. du midi de l'Europe. Paris 1819 III, 494.

(2) Ferdinand Wolff, Studien zur Geschichte der Span. und Portug. Nationaliter. Berlin 1859—270.

któremu winny swój początek, a mianowicie zdradzają widocznie wewnętrzny związek z kościelnemi, średniowiecznemi dramatami (1).

Przykład Enciny oddziaływał, gdyż spotykamy bezpośrednich jego naśladowców, a mianowicie Lucasa *Fernandeza* i *Diego de San Pedro* w Hiszpanii oraz *Gil Vicente* w Portugalii. Fernandez pozostawał przez czas długi w niezasłużoném zapomnieniu, tak, że nawet Moratin zna go tylko z nazwiska a Schack i Ticknor a nawet Amador de los Rios w swém pomnikowém dziele (2) ignorują go zupełnie. Pierwszy Gallardo zajął się przypomnieniem zasług tego pisarza, a Akademia hiszpańska wydała w r. 1867 zbiór dzieł Fernandeza, zawiérający sześć sztuk dramatycznych i dyalog do śpiewu (3). W prologu umieszczonym na czele tego wydawnictwa Manuel Canete, określając stanowisko Fernandeza, robi takie porównanie, że Encina był Lope de Vegą, a Fernandez Kalderonem epoki królów katolickich. Z sześciu sztuk Fernandeza trzy są świeckie, jedna religijna, a dwie-religijno światowe. Nadzwyczajna prostota budowy, brak węzła dramatycznego, przewaga komizmu, poetyczny koloryt malowideł obyczajowych — oto charakterystyczne cechy sztuk Fernandeza, które noszą ogólny tytuł komedyj, niby komedyj, aktów i fars (4). Występuje on niejednokrotnie i śmiało przeciwko fałszywéj pobożności i świętoszkom, co spowodowało, że inkwizycya, niszcząc jego *farsas*, zamieniła je w białe kruki.

Niepospolite stanowisko w literaturze dramatycznéj Hiszpanii zajął Ferdynand de Rojas napisaniem rozpoczętéj przez Rodrigo de Cota sztuki w 21 aktach, p. t. *Celestina* o Tragicomedia de Calisto y Melibea (1482). Jedni, jak Tiknor, Amador de los Rios, Alcantara Garcia i inni nazywają tę sztukę *novela dialogada*; drudzy zaś, jak Moratin i Lista *novela dramatica*, albo wreszcie, co Wolff uważa za najtrafniejsze, *comedia novelesca* (5). Forma tego dzieła jest rzeczywiście epiczno-dramatyczna. Dramat ukazuje się tu jeszcze w „szerokiéj, fałdzistéj szacie epiki,“ ale zdaje się już oswobadzać z owych więzów, aby w krótkim czasie krokiem pewnym wstąpić na scenę. Pod względem wyboru, układu i podziału fabuły w Celestynie przemaga epika, która widnieje tu w gadatliwości opowiadającego, roz-

---

(1) Seis Representaciones de Juan de Encina Teatro espanol anterior a Lope de Vega. Hamburgo 1832 p. 3—38.

(2) Historia critica de la literatura espanola. Madrid 7 vol. 1841—65.

(3) Farsas i eglogas al modo y estiilo pastoril y castellano fechas por Lucas Fernandez Salmantino. Madrid 1867.

(4) Alcantara Garcia Historia de la literatura espanola. Madrid 1877 p. 355.

(5) Ueber die Celestina loc. cit. 280.

strzeleniu się akcyi i w epizodach, hamujących szybki bieg dramatyczny, a wreszcie w przewadze sytuacyj; posiada jednak owa tragikomedya dramatyczny nastrój, dramatyczne życie i dramatyczność w akcyi i przez akcyą uwydatnionych dość plastycznie charakterów. Inwencya, styl jasny i ozdobny, dyalog łatwy i naturalny, humor i dowcip, piękna dykcya, ubarwiona czysto ludowemi zwrotami mowy i na wskróś kastylską solą — oto wybitne zalety Celestyny, które usprawiedliwiają nadzwyczajne jéj powodzenie w kraju i zagranicą. W jednym wieku doczekała się ta praca przeszło 30 wydań, a w krótkim czasie tłómaczono ją na język angielski, holenderski, niemiecki, (1) trzy razy na francuski (2), na włoski i na łaciński. Oprócz tego wywołała bardzo żywe naśladownictwo.

Gil Vicente, Portugalczyk (3) żyjący w piérwszéj połowie XVI wieku, posiadał więcéj dramatopisarskich zdolności niż Encina. Obdarzony dowcipem i dostatecznie wykształcony posiadał do pewnego stopnia tajemnicę efektów scenicznych i umiał ożywić swoje dramaty nagromadzeniem szczegółów, przedstawianych barwnie i z werwą poetyczną. Komedye tego pisarza są albo religijno-pastérskie i alegoryczno-religijne, albo téż odtwarzają epizody z rzeczywistego życia zaczerpnięte. Szczególnie jednak plastyczny talent poety okazał Gil Vicente w farsach, posiadających niepospolicie rozwinięty żywioł komiczny i odtwarzający w naturalnych barwach błyszczącą powierzchnią południowego życia i jego wrażliwą ruchliwość. Realizm tego życia, odzwierciadlony w utworach Gil Vicente'a, stanowi wybitny kontrast z późniejszym idealnym kierunkiem hiszpańskiéj sceny (4). Bartłomiej de *Torres de Naharro* (1517 r.) jest autorem ośmiu prac dramatycznych, które nazywa komedyami (5). Na piérwszych stronach jego książki spotykamy interesujące obserwacye i teoretyczne uwagi o sztuce dramatycznéj, z których widać, że znane już wówczas powszechnie wzory klasyczne nie przypadały mu do smaku. Naharro dzieli komedyą na dwa rodzaje: *comedia a noticia*, będąca wierną fotografią życia i *comedia a fantasia*, czerpiąca przedmiot ze świata fikcyjnego, ale w granicach prawdopodobieństwa. Zamiast aktów, wprowadza dni (jornadas), które u późniejszych pisarzów prawo obywatelstwa otrzymały. Cztery z komedyj tego pisarza nazwaćby można nowelami dramatycznemi, który to

---

(1) Ed v. Bülow Celestina dram. Novele aus dem span übers. Leipzig 1843.

(2) Germond de Lavigne La Celestine. Paris 1864.

(3) Ocho Representaciones de Gil Vicente Teatro espanol loc. cit 41—98.

(4) Moritz Rapp Spanisches Theater Hildburghausen 1868 T. 1. p. 30.

(5) Comedias de Bartolome Torres Naharro Teatro espanol loc. cit. 101—246.

rodzaj tak się późniéj u Hiszpanów rozwinął; cztery zaś inne są wiernemi obrazami obyczajów, z rzeczywistego życia zaczerpniętemi. W komedyach Naharry intryga jest już głównym motywem dramatycznego interesu, przyczém rysunek charakteru o tyle tylko bywa uwzględniany, o ile służy intrydze. Z poważnym nastrojem sztuki idzie zawsze w parze nieodłączny komizm, a przy każdéj sposobności liryzm jaskrawo występuje; romantyczne wreszcie awantury ze wszystkiemi ich perypecyami należą również do ulubionych pomysłów tego pisarza. Wszystkie komedye Naharra pisane są wierszem rymowym, trohaicznym, prawie zawsze ośmiozgłoskowym, płynnym i harmonijnym. Każda sztuka zaczyna się przedmową (Introito), nie mającą nic wspólnego z treścią komedyi i rodzajem prologu (Argumento), który nam to opowiada, czegobyśmy wiedzieć nie chcieli. Z powodu lekceważenia kościoła, prace dramatyczne Naharra zostały przez inkwizycyą zakazane (1). Komedye tego pisarza, jakkolwiek jeszcze bardzo surowe i nie odpowiadające warunkom sztuki, stanowczo jednak posunęły o krok naprzód teatr hiszpański, który, zyskawszy teraz narodowe podwaliny, rozwija się coraz bujniéj w tym kierunku.

Na „Celestynie“ kształcił się już widocznie *Lope de Rueda* (2), piérwszy twórca prawdziwéj komedyi hiszpańskiéj (1544 r.), którą według wyrażenia Cerwantesa, rozebrał ze staréj szaty, a w strój świeży przyodział. Z rzemiosła złotnik, nie wiadomo z jakich pobudek poświęcił się sztuce dramatycznéj; to tylko pewna, że odgadnąwszy zarówno potrzeby i upodobania Hiszpanów jak i niepospolitą siłę swego talentu, zeksploatował go korzystnie dla pożytku i sławy swego narodu. Zorganizował on towarzystwo aktorów, których był duszą i przebiegał z niém główniejsze miasta swéj ojczyzny, jak Sevilla, Corduba, Valencia, Segovia, zdobywając wszędzie entuzyastyczne owacye i oklaski. Jak wysoko postawiły go tryumfy sceniczne w oczach współczesnych świadczy wymownie okoliczność, że gdy umarł, pochowano go w katedrze Korduby, jego, który przecież był... aktorem!... Dążność zdobycia sympatyi ludu, którego był dzieckiem, widnieje we wszystkich dramatycznych utworach Lope de Ruedy, to też odznaczają się one wybitnie naturalnością myśli, na wskróś ludowo-kastylskiemi wyrażeniami, swobodną, humorystyczną wesołością i szczęśliwemi obrazami obyczajów codziennego żywota. Dzięki powyższym rysom, Lope de Rueda uważany jest słusznie za prawdzi-

(1) Baret loc. cit 227.
(2) Comedias de Lope de Rueda Teatro espanol loc. cit 249—464.

wego twórcę ludowéj sceny hiszpańskiéj (1). Do realnego tła swych utworów i powszednio-życiowéj ich tendencyi musiał L. de Rueda zastosować i odpowiednią formę, w skutek czego, schodząc z drogi przez poprzedników wytkniętéj, pisze swe komedye prozą, któréj piękność przewyższa nawet językowe zalety „Celestyny.“

Poklask, jaki sobie zdobyły jego komedye, wywołał żywe naśladownictwo innych pisarzów, którzy wstępując w ślady mistrza, nie mało się do rozwoju teatru narodowego przyczynili. Tu należy przedewszystkiem *Juan de la Cueva* (r. 1550), uważany zwykle za zwiastuna Lope de Vegi (et precursor). Utworzył on piérwszy właściwie historyczne sztuki, podzielił je na 4 *jornadas*, ustalił metryczną budowę sztuk scenicznych, która wkrótce potém, z małemi odmianami, powszechnie przyjętą została. Długie opowiadania epiczne przemagają u niego a wybuchy uczucia w liryzmie, szkodzące dramatycznéj stronie utworów scenicznych, stają się od czasów Cuevy właściwością hiszpańskiego dramatu. Oprócz tego żywioł tragiczny i komiczny tak się w sztukach tego pisarza zlewają, że ich rozgraniczyć niepodobna. Cueva posiada rzeczywisty talent, ale sztuki jego grzeszą jeszcze brakiem jedności akcyi, brakiem planu i nadzwyczajną dowolnością w przeprowadzeniu charakterów (2). Do najznakomitszych naśladowców tego pisarza należy *Cerwantes*, którego *entremesses* są niekiedy arcydziełami dowcipu, humoru i subtelnéj a właściwéj autorowi ironii. Chwiejąc się jednak ciągle pomiędzy klasycyzmem a narodowym kierunkiem, Cerwantes nie zajął takiego w dramacie hiszpańskim stanowiska, jakieby na genialnego twórcę Donkichota przystało.

Widzimy tedy, że scena hiszpańska przed Lope de Vegą miała już utalentowanych pracowników, którzy, doskonaląc wprawdzie stopniowo już to rozwój intrygi, już to plastykę charakterów, nie umieli jednak jeszcze spożytkować wszystkich żywiołów swojskich i owładnąć wszystkiemi tajemnicami sztuki ku wytworzeniu na wskróś narodowego i wymaganiom artyzmu odpowiadającego dramatu. Dążność tworzenia pod wpływem arcydzieł klasycznych została wprawdzie stanowczo zdyskredytowana u narodu, zostawiła jednak po sobie dosyć śmiesznych uprzedzeń, dziwacznych krytyk i kalekich przykładów, wzrostowi narodowego dramatu przeciw działających. Jednakże, jakkolwiek wszystkie prawie sztuki z téj epoki odznaczają się albo zupełném dziwactwem i rażącą dzikością planu,

(1) Ticknor loc. cit. 454.
(2) Wolff loc. cit. 614.

albo ubóstwem dramatycznéj treści, wszędzie przecież, pomimo tych ciemnych punktów, spotykamy jeden jaśniejszy, tj. widoczną dążność ku lepszemu, która, wspaniałe na przyszłość zapowiadając rezultaty, wydała wreszcie.... Lope de Vegę.

Zresztą do tak zdumiewającego szybkiego rozwoju sztuki dramatycznéj w Hiszpanii przyczyniły się, okrom zamiłowania narodu w widowiskach scenicznych, i inne a wyjątkowe zupełnie okoliczności.

Inkwizycya, występująca zawsze jako wróg zacięty swobodnego postępu na polu wiedzy i dławiąca usilnie każdy wolniejszy głos filozofii, historyi lub nauk empirycznych, okazywała się dość łaskawą dla beletrystyki. Ztąd też wszystkie intelektualne siły narodu, które przy innych warunkach byłyby się rozstrzeliły, zostały zogniskowane w jednym punkcie... w scenie. W kraju najsroższego despotyzmu autorowie dramatyczni cieszyli się większą swobodą słowa niż gdzieindziéj. Nie było wypadku, żeby którykolwiek z nich pociągnięty został przez inkwizycyą do odpowiedzialności, pomimo, że w bardzo wielu komedyach i niezliczonych humorystycznych między aktach duchowieństwo katolickie jest przedmiotem zjadliwéj chłosty. Religia w takiém była u narodu poszanowaniu i tak głęboko zapuściła korzenie, że wszelkie żarty sceniczne za napaść uważane nie były, tém więcéj, iż ci sami komedyopisarze w innych swych dziełach składają niewzruszone dowody bezgranicznego dla katolicyzmu uwielbienia. Istniała więc w Hiszpanii wyraźnie zakreślona granica między życiem a sceną i widocznie interesem było rządu i duchowieństwa o tyle więcéj okazywać pobłażania teatrowi, im więcéj życiowa samodzielność narodu w żelaznych jęczała pętach (1).

Z drugiéj znów strony, nigdzie stosunki codziennego życia nie splotły się do tego stopnia z poezyą i nigdzie średniowieczny romantymz nie przetrwał tak długo jak w Hiszpanii. Duch rycerski, spotęgowany niezwykłemi okolicznościami, w jakich się naród przez czas długi znajdował, przeżył siłę, która go do życia powołała. Miecz, który kawaler hiszpański nosi zawsze u boku, nie służy wcale ku ozdobie, lecz stanowi krwawe narzędzie obrony lub zemsty w rozpowszechnionych nad miarę pojedynkach. Intrygi miłosne i romantyczne awantury są tutaj na porządku dziennym, honor zaś jest najpowszechniejszym i najbardziéj niewzruszonym kodeksem. „W obec takich żywiołów,“ mówi Schack „zamiłowanie do poezyi w tym okre-

---

(1) Schack Geschichte der dram. Liter und Kunst in Spanien. Frankfurt am Main, 1854, II—20.

sie ogarnęło wszystkie stany. Gorączka robienia wierszów stała się epidemiczną: książęta i hrabiowie, wojacy i mężowie stanu, prawnicy i lekarze, księża i mnichy pretendują do poetycznego natchnienia. Łatwość, z jaką język hiszpański do wersyfikacyi się skłania, sprzyjała bardzo téj manii. Romanse, redondille, decimy, glossy, sonety, oktawy i kanzony były następstwem najzwyklejszych codziennego życia wypadków. Poezya stała się upiększycielką towarzyskich stosunków oraz tłómaczką wszelkich cierpień i rozkoszy życiowych" (1). Na takiém to tle epoki występuje kolosalna postać Lope de Vegi, którego Cerwantes cudem natury (monstruo de naturaleza) nazywa.

2.

Około połowy 16 wieku, w miasteczku asturyjskiém Carriedo mieszkał z żoną i synem dzielny hidalgo Feliks de Vega, uprawiający obok ojczystego zagonu i sztuki piękne. Zagalopowawszy się pewnego razu w namiętności ku jakiéjś donnie uciekł z nią do Madrytu, lecz ścigany przez energiczną małżonkę musiał jéj uledz i.. nastąpiła zgoda, ukoronowana ostatecznie.... przyjściem na świat genialnego sceny hiszpańskiéj zapaśnika, który dzięki opisanéj awanturze nazywał siebie „dzieckiem zazdrości." Urodzenie to miało miejsce 15 Listopada r. 1568, a więc na 18 miesięcy przed Szekspirem.

„Zaledwie mówić umiałem," pisze o sobie poeta już natchniony przez muzy, siostry Apollona, „próbowałem pióra, szczebiocząc wiersze w swém gniazdku" (2). W piątym roku życia, opowiada współczesny biograf Montalvan (3), Lope de Vega rozumiał język łaciński i, nie umiejąc jeszcze pisać, dyktował własne wiersze kolegom, których opłacał śniadaniami, a następnie poetyczne elukubracye wymieniał za cacka i obrazki (4). Mając lat dwadzieścia wstąpił do kolegium cesarskiego w Madrycie, należącego do Jezuitów, gdzie układał czteroaktowe komedyjki, tańczył, śpiewał i robił szpadą, a wreszcie odbywał studya na uniwersytecie d'Alcala de Henares, których jednakże nie ukończył.

Zostawszy wcześnie sierotą, Lope de Vega, mając opiekuna w wuju, inkwizytorze don Miguel del Carpio, ogołocony został z ojco-

---

(1) loc. cit. II—39.
(2) Lafond Etude sur la vie et les oevres de Lope de Vega. Paris, 1857, p. 3.
(3) Fama posthuma.
(4) Hinard Theatre de Lope de Vega. Paris, 1869, p. ij.

wizny przez jednego z krewnych, który z niewielkim majątkiem poety uciekł do Ameryki. Pod wpływem rozbudzonego wcześnie ognistego ducha postanowił, będąc piętnastoletnim młodzieńcem, zrobić wędrówkę po świecie i w tym celu, zebrawszy trochę grosza, udał się z kolegą uniwersyteckim Hernando Munoz przez Segowią do Asturgi, zkąd dzięki interwencyi corregidora wrócił pod opieką policyi do opuszczonego gniazda (1). Gnębiony niedostatkiem wkrótce opuścił Madryt i zaciągnął się w szeregi armii Filipa II pod komendę markiza de Santa Cruz, jednego z najgłośniejszych wodzów owego czasu, z którym odbył kampanią w Portugalii, wówczas przez wojska hiszpańskie zajętéj i przyjął udział w wyprawie przeciwko Terceirze roku 1577. Sprzykrzywszy sobie po roku służbę wojskową powrócił do Madrytu, gdzie zainteresował się nim bliżéj Jeronimo Manrique de Lara, biskup d'Avila i dwunasty wielki inkwizytor, który poruczył naszemu poecie obowiązki swego sekretarza.

Na tém stanowisku będąc pisał Lope de Vega modne wówczas eklogi i komedyą pastérską Jacintho, z któréj można już było decydować o przyszłém powołaniu autora, jako dramatycznego pisarza. Manrique de Lara, oceniając talent poety, wysłał go dla dokonania studyów na uniwersytet d'Alcala, za co Lope de Vega zachował ku swemu dobroczyńcy wzdzięczność dozgonną, którą głośno wyznaje w przedmowie do swojéj Jerozolimy (2). Pomimo tak przyjaznych stosunków, rozstał się Lope de Vega w końcu r. 1578 ze swoim chlebodawcą, gdyż „miłość, ta miłość, która wszystkim obietnicom swoim kłam zadaje" kazała mu iść za sobą. Co do szczegółów téj piérwszéj romantycznéj doby w życiu Lope de Vegi historycy są w niezgodzie. Znakomity pisarz francuzki M. Fauriel, idąc za Frańciszkiem Lope de Aquilar, w rozprawie pt. *Lope de Vega* utrzymuje, że poeta opisał piérwszą swoję miłość w utworze dramatycznym prozą p. t *Dorotea* (3). „Nie jest to," mówi ten sam pisarz w innym swym artykule (4) fikcya poetyczna lub romans, będący płodem li tylko imaginacyi autora; jest to historya, biografia a przynajmniéj fragment biograficzny Lope de Vegi. Dorotea jest cała historyą młodości tego pisarza, a w skutek tego stanowi cenną pamiątkę, odnoszącą się do najdramatyczniejszego peryodu jego życia (5). Tak samo patrzą na

---

(1) E. Baret Oevres dram. de Lope de Vega. Paris, 1869, T. I—III.

(2) Hinard loc. cit. I—IV.

(3) Revue de deux mondes, 1839 r., p. 598.

(4) Les amours de Lope de Vega, Revue d. d. mondes, 1843—3—882.

(5) loc. cit. 1843—3—924.

ten przedmiot Ticknor (1) i Lafond (2). Ten ostatni, nie wątpiąc ani na chwilę o słuszności uwag Fauriela, poświęca w swojéj książce cały rozdział tłómaczeniu prześlicznych scen z Dorotei, które wyświetlają nam stosunek poety tak do ostatniéj, tytułowéj bohatérki, jak do Marfizy.

Don Ferdynand (imię, pod którém poeta siebie ukrywa) mieszkał w Madrycie u krewnéj, która miała córkę i siostrzenicę Marfizę. Tę ostatnią Ferdynand kochał i był kochany; ale jakiś stary bogacz zażądał jéj ręki i otrzymał. Zrozpaczony kochanek zmienia siedzibę, którą tym razem wyszukali mu przyjaciele u separatki Dorotei. Wrażliwy Ferdynand, uwiedziony olśniewającą pięknością téj niewiasty, stał się jéj niewolnikiem i panem. Ale nikczemna matka młodéj kobiéty nie takiego pragnęła dla swéj córki kochanka, więc lekceważąc ubogiego Ferdynanda, używa całéj potęgi macierzyńskiego wpływu i szpetnych intryg, aby skłonić serce Dorotei ku bogatemu szlachcicowi Don Bela. Kobiéta bez moralnych zasad w walce ze złotem upaść musi, więc téż i nowa bogini Don Ferdynanda poświęca serce dla kruszcu. Oto jest treść utworu, pełnego scen pięknych i dramatycznych, w bohatérce którego Damas Hinard, wbrew Faurielowi, autora sztuki nie upatruje, twierdząc, że nie ma na to żadnych dowodów (3). Bądź co bądź poeta musiał ciężko odpokutować ten epizod swéj młodości, gdyż samo imię kobiéty, którą kiedyś ubóstwiał „oblewało go potém krwawym a mroźnym“ (4). Zerwawszy zupełnie z Doroteą, przyjął obowiązki sekretarza księcia Alby i tu pod wpływem *Dyjany* Montemayora, natchnionéj *Arkadyą* Sennazara, napisał także *Arkadyą*, w któréj, podług Montalvana, i sam poeta i pan jego biorą współudział (5). Po kilku latach wrócił pod dach zacnego biskupa d'Avila, aby się stanowi duchownemu poświęcić, lecz i tym razem figlarz kupidyn poważne jego zamiary w niwecz obrócił. „W chwili, gdym pod opieką biskupa miał zostać księdzem,“ mówi o sobie poeta, „pokochałem; olśniły mię oczy kobiéty“. W r. 1584 ożenił się z Izabelą d'Urbino, dziewicą wielkiéj piękności i niepospolitych zalet moralnych. Lecz zaledwie zaczął kosztować słodyczy rodzinnego życia został wtrącóny do więzienia za zabicie jakiegoś hidalga, który obrażony na poetę stanął z nim do pojedynku. Dzięki

---

(1) loc. cit. I. 562.

(2) loc. cit. 4—46.

(3) loc. cit. I—XLIX.

(4) Baret loc. cit. IV.

(5) Imię Belardo, pod którém ukrywa się autor w tym poemacie, służyło mu późniéj za pseudonim literacki na wielu pracach.

usilnéj protekcyi, skazany był tylko na wygnanie z Madrytu. Poprzedzony już sławą udał się do Walencyi, która, podobnie jak Sevilla, starając się rywalizować z Madrytem, posiadała w swych murach znakomitych uczonych, artystów i poetów dramatycznych, jak np. autora *Cyda* Wilhelma de Castro, z którym Lope de Vega serdeczne zawarł stosunki. Z tego miasta robił nasz poeta wycieczki do różnych prowincyj Hiszpanii, gromadząc zasoby faktów i obserwacyj, które kiedyś miał w pracach swoich spożytkować. Pobyt w Walenecyi, która naprzód ujrzała na scenie utwory Lope de Vegi, nie pozostał tedy bez wpływu na rozwój działalności dramatycznéj tego pisarza.

W tym czasie umarła Izabela. Dotknięty głęboko tym ciosem, zaciągnął się poeta w wojenne szeregi Filipa II, który właśnie wyprawiał „niezwyciężoną armadę“ przeciwko Anglii. W pośród szczęku oręża wykończył swoję *Piękność Angeliki* (Hermosura de Angelica), poemat epiczny w 20 pieśniach, pod wpływem Aryosta napisany. Powróciwszy do Madrytu, był kolejno sekretarzem markiza de Malpica, markiza Sarria a wreszcie zawarł powtórnie związek małżeński z Joanną Guardia, z którą miał dwu synów i córkę. Od téj chwili poeta poświęcił się gorliwie teatrowi. Gust publiczności do widowisk scenicznych rozpowszechnił się bardzo we wszystkich warstwach społecznych, tak, że Hiszpania posiadała wówczas czterdzieści towarzystw aktorskich, z których sześć w samym Madrycie i w okolicach; dwie wspaniałe sale zbudowane w téj stolicy istnieją dziś jeszcze. Gdy więc publika chciwa była nowości, dyrektorowie trup potrzebowali olbrzymiego zapasu sztuk dramatycznych i płacili za każdą pięćset realów, tj. około 60 rubli na dzisiejszą monetę (1). Zabrawszy się do pracy, Lope zdobył sobie bardzo prędko niesłychane powodzenie i olbrzymią popularność nie tylko w kraju, lecz i u obcych. Sztuki jego grywano z powodzeniem w Rzymie, Neapolu i Medyolanie (2).

Entuzyazm fanatycznych wielbicielów poety przejawiał się w najprzesadniejszych formach. Tak np. na czele jednego wydania dzieł Lope de Vegi odbity był chrabąszcz konający na kwiatach, które miał właśnie pochłonąć, a jako komentarz do tego emblematu, umieszczony był pod spodem następujący dwu wiersz:

> Audax dum Vegae irrumpit scarabaeus in hortos
> Fragrantis periit victus odore rosae (3).

---

(1) Hinard loc. cit. X.

(2) Ticknor loc. cit. T. I—629.

(3) Zuchwały robaku, który miałeś napadać ogrody Vegi, konasz zwyciężony wonią róży.

To uwielbienie narodu spotęgowało się jeszcze, kiedy papież Urban VIII napisał do poety własną ręką, podnosząc go do godności doktora teólogii i udzielając mu jednocześnie tytuł: *fiscal de la camara apostolica* (1). Widziano kardynała Barberiniego w orszaku, który otaczał poetę na ulicach Madrytu. Filip III, spotkawszy go, kazał zatrzymywać karetę, aby nań spojrzéć; zbiegano się ze wszystkich stron Hiszpanii i Włoch nawet, aby poznać *feniks geniuszów* (fenix de los ingenios) i *cud natury* (monstruo de la naturaleza). Ten piérwszy tytuł zamieszczony został obok nazwiska poety w akcie notaryalnym z r. 1610 a Cerwantes w prologu do swych komedyj, drukowanych w r. 1614, tak mówi: „Cud natury, wielki Lope de Vega, owładnął berłem komedyi, podbił pod swoję władzę wszystkich aktorów i napełnił świat sztukami.“ Portret jego znajdował się we wszystkich domach. Skoro tylko wyszedł na ulicę, drzwi, okna i balkony zapełniały się ciekawemi. Kobiéty, starcy i dzieci wskazywali go sobie z miłością a dumą. Otaczano go i błogosławiono jako wieszcza Hiszpanii, który miał swemi dziełami rozstawić szeroko imię swego narodu. Była to zaiste najszczęśliwsza epoka w życiu tego pisarza (2).

Zanim jednak Lope de Vega zdobył to uznanie powszechne, nie obeszło się i bez pewnych przeciwności. Jako autor dramatyczny musiał nie jeden atak wytrzymać. W piérwszych chwilach jego działalności fanatyzm religijny wypowiedział wojnę teatrowi. Szczęściem uniwersytet w Salamance, któremu Filip II powierzył roztrzygnięcie téj sprawy, pozostawił Hiszpanom widowiska sceniczne. Za następnego panowania ataki powtórzyły się jeszcze, a komedye Lope de Vegi stały się przedmiotem specyalnéj denuncyacyi, która wywołała wreszcie barbarzyński wyrok, żeby autor pisał odtąd tylko religijne dramaty. Dopiéro za Filipa IV, mającego wielkie upodobanie w teatrze, scena poczuła się swobodniejszą, chociaż protekcya tego monarchy nie zasłoniła Lope de Vegi od niejednokrotnéj napaści kleru (3).

Nie mniéj był nasz poeta przez pewien czas szczęśliwy w życiu rodzinném, które miało dlań powab nieskończony, dzięki najlepszéj towarzyszce i małemu Don Carlosowi, którego ojciec kochał nad życie. Oto jak opisywał tę świetlaną dobę swojéj przeszłości. „Miłosne burze zamilkły wreszcie, byłem wolny od jéj szaleństw. Codziennie budząc się, widziałem obok siebie twarz piękną młodéj małżonki

(1) Alcantara Garcia loc. cit. 491.
(2) Baret loc. cit. VIII.
(3) Maury Espagne poetique. Paris, 1826. T. 1—279.

i liliowo-różaną buzię Karolka, który zachwycał moję duszę słodkim szczebiotem. Najdrobniejsze dzieciństwa, wypaplane tą pół-mową, zdawały mi się wyrocznią. Aby pisać lub rozmawiać z księgami szukałem samotności. Gdy mię wzywano do posiłku odpowiadałem nieraz, że chcę zostać w spokoju, gdyż nauka tak jest potężna i tak przykuwa do siebie; lecz wtedy mój Karolek przybiegał po mnie. Olśniewając mię swym wzrokiem i obejmując w ramiona ciągnął za rękę a dusza moja oczarowana szła za nim aż do siedliska, w którém czekała mię żona" (1). Lope wszystko zabarwiał kolorytem własnéj imaginacyi, którą też opromieniał i swą miłość dla dzieci (2).

Ale szczęście poety niedługo trwało: ukochany syn jego Karol, w którym ojciec zogniskował wszystkie nadzieje, umarł w 7-m roku życia a wkrótce potém Donna Joanna poszła za synem, zostawiwszy maleńką sierotkę Felicyannę. Rozpacz Vegi nie miała granic. Złamany temi klęskami zwrócił się ku religii w tém przekonaniu, że Bóg za dawne grzechy zsyła nań krzyże i wzywa do ekspijacii. Odtąd zerwał ze światem, poświęcił się modlitwie, miłosiernym uczynkom a wreszcie został księdzem w r. 1609. To nowe powołanie jednak nie przeszkadzało mu eksploatować i daléj skarbów dramatycznego talentu, którym wywalczył sobie imię rozgłośne i dostatek; owszem, więcéj niż kiedykolwiek geniusz jego niezrównaną potęgę twórczość rozwinął.

Znaczna większość komedyj tego pisarza powstała właśnie w dobie kapłańskiego życia poety. Lope de Vega potrafił zjednoczyć w sobie najgorliwszego kapłana z najpopularniejszym i najnamiętniejszym pisarzem dramatycznym. Pomiędzy sztukami Vegi, kapłana, i pracami jego z tych czasów, gdy był światowcem, kochankiem i mężem, nie ma najmniejszéj różnicy tak pod względem treści jak i sposobu jéj traktowania. Miał jeszcze poeta troje dzieci: syna Lope i dwie córki. Skazany na ciągłe troski w życiu rodzinném, doświadczył jeszcze nowéj zgryzoty, gdy syn, którego radby był widzieć oddanego naukom, w 20-m roku życia wstąpił jako ochotnik do floty i zginął. Na domiar nieszczęścia naturalna córka poety, Marcela, ukochana przez ojca, wstąpiła do klasztoru, zrywając tym sposobem nić ostatnią, która poetę do świata wiązała. Że ta córka musiała być dziewicą niepospolitych zalet świadczy, obok bałwochwalstwa ojca, z jakiém ją kochał i ta okoliczność, że Guilhem de Castro, autor Cyda, dedykował jéj tom swego teatru z bardzo pochlebnemi słowy.

---

(1) Baret loc. cit. I—IX.

(2) Fauriel loc. cit. 614.

Felicyana, najmłodsza z jego córek, ostatnia rozstała się z ojcem, zostawszy żoną Ludwika de Usategni, któremu zawdzięcza Hiszpania wydanie wielu pośmiertnych dzieł poety. To rozstanie się z córką było ostatnim wypadkiem w życiu poety. Odtąd zdaje się być zmęczony wszystkiém, nawet sławą, gdyż wychodząc, przebierał się, aby nie być poznanym. Zdrowie jego żelazne zaczęło niknąć, podkopywane postem i praktykami ascetycznemi. Wróciwszy pewnego razu z posiedzenia naukowego słabszym niż kiedykolwiek, gasł prawie w oczach. Przeczuwając zgon bliski, pożegnał się z przyjaciołmi słowem zachęty do miłości i zgody. „Prawdziwa sława,“ mówił do Montalvana, „zasadza się na cnocie; oddałbym chętnie wszystkie zdobyte oklaski za jeden więcéj dobry uczynek. Dawszy wreszcie ostatnie błogosławieństwo Felicyanie, umarł w 73 roku życia, d. 27 Sierpnia r. 1635.

Śmierć Lope de Vegi pogrążyła Madryt w żałobie, a naród usiłował przynajmniéj wspaniałość pogrzebowych ceremonij dostroić do wyżyn olbrzymiéj jego sławy. Książę de Sessa, obecny przy ostatnich chwilach poety, mianowany został przez niego egzekutorem testamentu i dziedzicem manuskryptów. Przyjąwszy tę misyą zaszczytną, postanowił sam jeden ponieść koszta pogrzebu. Otoczony grandami hiszpańskiemi i tłumem najrozmaitszych panów, uczonymi artystami i masą ludu, szedł na czele tego smutnego orszaku. Ceremonie religijne trwały dni dziewięć przy akompaniamencie królewskiéj kapeli i przy całéj pompie religijnéj. Codziennie inny biskup celebrował w pontyfikalnych szatach. Wszystkie zgromadzenia religijne uczestniczyły w eksportacyi bez wezwania; okna i balkony przepełnione były ciekawemi, a na wszystkich ulicach Madrytu falowały niezliczone tłumy ludu. Żaden wielki człowiek, w żadnym narodzie z taką sławą nie wstępował do grobu. Na żądanie zakonnicy Marceli, kondukt pogrzebowy przeszedł wzdłuż jéj klasztoru, aby córka mogła po raz ostatni pożegnać wzrokiem ukochane prochy swego ojca!... W chwili, gdy zdejmowano trumnę z katafalku dla złożenia jéj w grobie, z piersi obecnych wydarł się jęk bolesny.., którego echo, powtarzane wiekami, stanowi najszczytniejszy pomnik dla wieszcza!... Chwała dzielnemu narodowi, który tak geniuszów swoich czcić potrafi!...

Lope de Vega był średniego wzrostu, dobrze zbudowany i zręczny; twarz miał piękną, fizyognomią orła. Obdarzony smakiem artystycznym lubił pewną elegancyą w umeblowaniu, piękne obrazy i księgi. Niewiele dbając o własne sprawy, na usługi przyjaciół całą gorliwość poświęcał. Grzeczny dla mężczyzn, pełen galanteryi dla

kobiét, był zawsze najwymowniejszym i najmilszym uczestnikiem każdego towarzystwa. Z zasady nie cierpiał ludzi: pytających kogoś o lata, zażywających tabakę w obec zwierzchników; duchownych wierzących wróżkom; starców czerniących włosy i nakoniec nieprzyjaciół kobiét, jako niewdzięcznych dla płci, któréj matkę zawdzięczają. Wesoły i złośliwy, nigdy przecież nie pisał satyr, choć go niejednokrotnie atakowano. „Satyra“, mówił, „więcéj przynosi krzywdy autorowi, niż temu, kogo gryzie. Ten rodzaj pracy tylko złym ludziom przystoi. Kocham tych, którzy mnie lubią, lecz nie nienawidzę tych, którzy mnie nienawidzą“. Do kłócia zachęcał poetów w swéj „Nowéj sztuce dramatycznéj“, ale ranić zabronił (1). Dzięki nadzwyczajnéj twórczości posiadał znaczne dochody, a Montalvan nazywa go najbogatszym i najbiédniejszym z poetów Hiszpanii. Najbogatszym, bo w podarunkach otrzymał 10.000 dukatów, za komedye 80.000 dukatów, za inne prace literackie 6.000 d., zyski ze sprzedaży prac drukowanych 16.000 d., posagi dwóch żon 7.000 d.—razem więc przeżył około 100.000 dukatów, nie licząc pensyi 250 dukatów pobiéranych od króla, 150 od Jeronima Manrique, 300 z beneficyów otrzymanych od księcia de Sessa itp. (2). Pomimo takich dochodów, był najbiédniejszym z poetów tego czasu, gdyż hojność jego nie miała granic. Nigdy biedny nie odszedł od jego progu, nie otrzymawszy jałmużny; a piéniądze wiecznie na stole jego leżały, żeby nie potrzebował tracić czasu na ich szukanie. Miłosierdzie jego było tak niewyczerpane, że częstokroć oddawszy biednym całą swoję garderobę nie miał w czém wyjść na miasto. Zresztą obyczaje poety były proste, potrzeby skromne a największych przyjemności dostarczała mu tylko natura. Widok gwiaździstego nieba, gór, pól i lasów budził w nim zawsze najrozkoszniejsze wrażenia. Zmuszony przebywać w mieście, zamieszkał domek z ogródkiem „najdrobniejszym z ogródków“. „Był tam,“ pisze poeta, „dziesiątek kwiatków, dwie altanki z dzikiego wina, jedna pomarańcza, jeden krzak róży i dwa drzewa, zamieszkałe przez dwa słowiki. Rezerwoar z dwu kubłów wody naśladował fontannę“... Na głównych drzwiach domu poety był taki napis:

D. O. M.

Parva propria — magna;
Magna aliena — parva.

---

(1) Hinard loc. cit. XXI.
(1) Lafond loc. cit. 59.

Nadzwyczajna płodność Lope de Vegi stała się prawie legendową. Krytyk włoski Signorelli utrzymuje, że nasz poeta potrzebował dwa dni czasu do napisania komedyi. Buterwek i tém się nie zadawala, podając, że autor „Gwiazdy Sewilskiéj“ wykończał w 24 godzinach pięcio aktową sztukę wierszowaną o redondillach, tercetach i oktawach. Że te szczegóły są przesadne, to pewna, nie ulega jednak wątpliwości, że *niektóre* sztuki rzeczywiście w 24 godzinach napisane zostały, jak tego dowodzą słowa Lope de Vegi:

Pues mas de ciento en horas veinti cuatro
Pasaron de las musas al teatro (1).

Płodność tę wywoływały same warunki, w jakich się ówczesna publiczność znajdowała. Wiadomo, że poezya dramatyczna stanowiła wtedy prawdziwe święto dla narodu, który, pragnąc ciągle nowości, najwięcéj trzy razy słuchał cierpliwie tego samego dramatu. Komedya tak wielkie miała wówczas znaczenie, że nie było uroczystości bez scenicznego widowiska. Dzisiaj uczeni z trudnością nieraz odgadują znaczenie tych lub owych ustępów dawnéj sztuki, któréj piękność i zalety podziwiały kiedyś i rozumiały najniższe klasy ludu.

Dzięki téj niesłychanéj płodności, Lope de Vega napisał dwa poematy historyczne: *Piękność angieliki i Jerozolima zdobyta;* cztery mitologiczne: *Circe*, *Andromeda*, *Philomeda*, *Proserpina;* cztery legiendowe: *Św. Izydor*, *Dragontea*, *Korona tragiczna i Notre Dame de la Almuneda;* poemat żartobliwy *la Gatomachia;* wiele poematów opisowych i dydaktycznych; mnóstwo sonetów, romansów, ód, elegij, wiele prac przeplatanych prozą i wierszem; ośm noweli prozą, sporą ilość prac dydaktycznych, a wreszcie tysiąc pięćset komedyj i przeszło 400 autosów i międzyaktów (2). Fée oblicza, że gdyby Eug. Sue, Al. Dumas i Sand pisali swe romanse wierszem, wszystkie ich dzieła, razem wzięte, stanowiłyby małą zaledwie cząstkę tego, co nasz autor napisał. Stosunek zaś liczebny prac Delilla, jednego z najpłodniejszych poetów Francyi, do utworów Lope de Vegi jest jak 1 : 116 (3).

Niepodobna zaprzeczyć uwadze Buterweka, że „natura musiałaby sama stać się cudem, gdyby Lope de Vega, przy takiéj gorączce rymowania, stworzył cokolwiek zupełnie doskonałego“ (4), lecz jednocześnie, poznawszy kilkadziesiąt sztuk tego pisarza, możemy bez wahania wypowiedziéć o nich to samo zdanie, jakie lord Holland po

---

(1) „Gdyż więcéj jak sto sztuk przeszły w 24 godzinach od muz do teatru.“

(2) Hinard loc. cit XXXIII.

(3) Fée loc. cit 301.

(4) Geschichte der Künste und Wissenschaften Göttingen 1804. T. III, 365

przeczytaniu kilkuset przed półwiekiem wypowiedział: „Nie czytałem wszystkich komedyj Lope de Vegi,“ mówi ten pisarz, „lecz nie spotkałem ani jednéj, któréjbym nie czytał od początku do końca z naprężoną nieustannie ciekawością“ (1). Surowy sędzia hiszpańskiego teatru Sismondi, uważając sztuki Lope de Vegi za „*absolument bruts*,“ dodaje przecież, że w każdéj z nich znaléść można iskrę geniuszu (2); znakomity zaś znawca teatru Schlegel utrzymuje, iż zawiérają one tyle interesujących sytuacyj i niezrównanego humoru, że prawie wszystkie zmodernizowane odpowiednio zrobiłyby dziś jeszcze silny efekt na scenie (3). Jeżeli kiedy poeta powałany został do wzbogacenia swego narodu nie tylko jednym dramatem, lecz całą dramatyczną literaturą — to był nim Lope de Vega. Posiadał on nie tylko wszystkie zalety, niezbędne zarówno dla epika, liryka jak dramaturga, t. j. ruchliwość ducha, głęboki dar spostrzegawczy, zapał i podniosłość uczucia, polot fantazyi, najgłębszą znajomość ludzi i charakterów, najbystrzejszy zmysł wnikania w namiętności oraz pojmowania ich przyczyn i siły, a wreszcie niewyczerpaną inwencyą i owo spokojne, obejmujące spojrzenie, tak niezbędne do uporządkowania i przeprowadzenia dramatycznego planu; ale obok tych wszystkich darów posiadał jeszcze i owę najdoskonalszą harmonią sił duchowych, z któréj wystrzela sztuka, niby kwiat najpiękniejszy ludzkiego ducha.

Dramat, jako organiczny związek epiki i liryzmu, leżał właśnie w zakresie twórczości Lope de Vegi, w którego dramatycznym artyzmie zjednoczyła się objektywna, przezroczysta jasność i pogodne przedstawienie eposu z porywającym i wstrząsającym serca liryzmem; oba jednak żywioły występują na scenę wcielone w zaokrąglone, plastyczne kształty pełnéj życia, nigdy zaś skostniałéj akcyi (4).

Zanim przystąpimy do bliższego wtajemniczenia się w dzieła Lope de Vegi, wypada nam przedewszystkiém zwrócić uwagę na jednę z prac tego pisarza, w któréj wyświetla stanowisko swoje względem wzorów i prawideł klasycznych, t. j. na rodzaj poematu dydaktycznego p. t. *Arte nuevo de hacer comedias* (nowa sztuka dramatyczna). Pozwólmy mówić samemu autorowi: „Ktoby teraz chciał pisać dla teatru podług przepisów sztuki umrze bez sławy i nagrody; gdyż pomiędzy ludźmi nie posiadającemi wyższego wykształcenia zwyczaj zawsze przemaga. Niejednokrotnie usiłowałem pisać zgo-

---

(1) Maury Espagne poetique. T. II, p. 264.
(2) Loc. cit. 512.
(3) Loc. cit. 247.
(4) Schack loc. cit. T. II, 231.

dnie z owemi przepisami, które mało komu są znane; lecz skorom widział na scenie pełne magicznych przypraw potworne płody, na które zbiegają się mężczyźni i kobiéty, pochłaniając gorączkowo te głupstwa; wróciłem do swoich barbarzyńskich przyzwyczajeń; i gdy mam pisać komedyą, zamykam wszystkie prawidła na trzy zamki, wypędzam z gabinetu swego Plauta i Terencyusza, z obawy, abym nie usłyszał ich krzyku i wówczas piszę podług sztuki przez tych wynalezionéj, którzy pragnęli zdobyć oklask tłumu. Zresztą, jeżeli publiczność płaci za te głupstwa, słuszną jest rzeczą, aby jéj upodobania zostały zadowolone"... (1).

Zatwardziali klasycy nie mogli darować poecie tego rozbratu z greckiemi tradycyami i długi czas mścili się na nim zjadliwością stronnych uprzedzeń. Między innemi Velasquez tak się z goryczą o Lope de Vedze wyraża: „Wypędził on ze swych komedyj wszelkie prawdopodobieństwo, prawidłowość, prawdę, przyzwoitość, jedném słowem to wszystko, co stanowi całą złudę dramatu. W jego dziełach nie masz żadnéj jedności akcyi, miejsca i czasu: w oczach widzów bohatérowie przychodzą na świat, rosną, starzeją się i umiérają w nieustannéj włóczędze z zachodu na wschód i z północy na południe. Prowadząc ich prawie powietrzem, tu im każe autor bitwę stoczyć, tam intrygę miłosną zaprowadzić, gdzieindziéj zostać mnichami, a w inném wreszcie miejscu umiérać. Jedna scena jest we Flandryi, druga we Włoszech, inne w Meksyku, Hiszpanii lub Afryce" (2). W tym samym duchu krytykował teatr hiszpański i Boileau, mówiąc:

Là souvent le heros d'un spectacle grossier
Enfant au premier acte-est barbon au dernier.

Tego rodzaju naiwnym ocenom wykarmionych na klasycyzmie krytyków zawdzięcza Lope de Vega, że cały wiek XVIII z pewném lekceważeniem go traktował. Ba i dziś jeszcze niektórzy z pisarzów tego odstępstwa od greckich reguł darować mu nie mogą. Baret, pisarz francuzki, zgorszony wzmiankowaną wyżéj otwartością poety mówi: „Są ludzie, którzy z okiem utkwioném w ideał poświęcają mu fortunę, nawet spokój. Biedni pocieszają się i wznoszą jak Cerwantes wielkością myśli i potęgą uczucia, które przekazują światu, jako naukę i przykład. Cnota jest szlachetnym płaszczem, który zasłania przed ich oczyma szpetność nędzy. Są to przyjaciele spraw upadłych, serca poświęcone idei, zasadzie, sztandarowi. Inni przeciwnie, przy-

---

(1) Hinard loc. cit. (XXI).

(2) Geschichte der Span. Dichtkunst aus dem span übers. von Diez. Göttingen, 1769, p. 331.

kuci do ziemi są niewolnikami swych potrzeb, poświęcają się powodzeniu i fortunie.

Nie mają oni, mówiąc z Wolterem, żadnego smaku do męczeństwa. Zamiast myśléć— rachują; jeśli mają talent — eksploatują go. Są to częstrokroć ludzie wielkiéj zasługi, nigdy — bohatérowie ludzkości. Co może mieć za związek ta bardzo piękna zresztą tyrada z Lope de Vegą, odgadnąć trudno; gdyż zarówno życie tego pisarza jak jego dzieła świadczą, że nie frymarczył nigdy ani godnością, ani talentem. Możnaż poczytać za występek autorowi, że z potrójną jednością Arystotelesa był w niezgodzie, że śmiało, jak przystoi na geniusza, odrzucił wszelkie naśladownictwo i formuły, któreby polot jego twórczości krępowały. Czyż wszystkie n. p. płody Ronsarda i Malherba, z konwulsyj spętanego klasycyzmem mózgu zrodzone, warte są jednéj komedyi Lope de Vegi, którą życie autorowi podyktowało?... Możnaż przypuścić, żeby tak genialny pisarz zrywał z Greków i Rzymian tradycyami gwoli jedynie kaprysom niesfornego motłochu, a nie z własnego przekonania. Gdyby tak było, to czyż twórczość jego okazałaby się tak potężną?... Można jeden, albo kilka wreszcie utworów napisać pod naciskiem zewnętrznym i wbrew najdroższéj idei, ale zaimprowizować cudownie półtora tysiąca sztuk scenicznych, wzbogacić naród całą literaturą dramatyczną — dla grosza, to już za śmiała hipoteza. Gdyby wreszcie Lope de Vega miał na uwadze tę lub inną klasę narodu i na podobieństwo Plauta, rzucał wołającemu o *circenses* proletaryatowi rażące jaskrawością koncepty; ale przeciwnie, do niepokalanéj muzy hiszpańskiego dramaturga cisną się nie tylko wszystkie warstwy narodu, nie wyłączając koronowanych jego przewodników, lecz i obce krainy. Z drugiéj strony nadzwyczajna hojność i czynna filantropia poety świadczą wymownie, że pisarz, który ostatnim groszem z ubogimi się dzielił, nie byłby odstąpił swych przekonań dla złota. Jeżeli więc, jak to sam mówi, postanowił czynić zadość wymaganiom widzów; to dowodzi tylko, że zrozumiał wybornie ich upodobania i potrzeby, że ducha czasu odgadnął. „Sztuka ta," pisze w przedmowie do jednéj ze swych komedyj, „napisana została podług *systemu hiszpańskiego* a nie według surowych reguł starożytności greckiéj i łacińskiéj; *gdyż smak może zmieniać przepisy, jak moda zmienia stroje a czas zwyczaje.*" I w innéni jeszcze miejscu otwarcie mówi, że nigdy naśladowca nie wyrównał wzorowi. Geniusz może tylko uwzględniać własne prawa a nieśmiertelność jest jedynie umysłów oryginalnych udziałem. Albożinną drogą poszedł Szekspir?... „Prawdziwéj komedyi celem jest odtwarzanie czynności ludzi i malowanie obyczajów tego wieku, w którym żyli," mówi w swéj sztuce dramatycznéj Lope de Ve-

ga (1), a wszystkie jego prace powyższemu określeniu zadosyć czynią i jako takie drogocenny skarb stanowią. — Całe życie intelektualne owego wieku ogniskowało się w sztuce dramatycznéj, przedstawiającéj wówczas zdumiewające widowisko, w którém twórczość autorów i entuzyazm ludu łączą się w jednę siłę, dla wytworzenia najwspanialszych objawów estetycznych, skrystalizowanych w bogatéj literaturze dramatycznéj. Rezultat ten prawie wyłącznie zawdzięcza Hiszpania Lope de Vedze, który szukając natchnienia w poezyi ludowéj i dając jéj formę artystyczną, odpowiednią wymaganiom czasu, urzeczywistnił przygotowane już zlanie się poezyi uczonéj z ludową, a tém samém stworzył prawdziwą poezyę narodową, która w sferze sztuki dramatycznéj wywołała właściwy teatr narodowy.

Lope wiedział, że klasyczne reguły jedności przestały być niewzruszone, że sztuka zdobyć się już mogła na inne prawdopodobieństwa środki, że przepisy owe mogły być dobre i niezbędne dla narodu śród którego powstały i dla poetów w nim szukających natchnienia, — nie wystarczały przecież dla Hiszpanii. Naród hiszpański *par excelence* południowy, mistycznie religijny, o kipiącéj wyobraźni, która szukała raczéj wewnętrznych wrażeń duszy, niż zmysłowych porywów, owocu walk namiętności a nie rezultatów fatalizmu; naród żądny skomplikowanych przedmiotów, rozgorączkowany do cudownych czynów i zawiłych sytuacyj, mógłże się zadawalać prostotą zwyczajnych kombinacyj, których mu świat klasyczny dostarczał?... Geniusz hiszpański obejmował olbrzymią przestrzeń poetyczną; aby go zająć i zniewolić do sceny trzeba było odźwierciedlić na niéj całą historyą, cały poemat epiczny, a wtedy chętnie spieszył z poetą z zachodu na wschód, ze stulecia w stulecie. Ciekawość, która prowadziła Hiszpanów do teatru i ich fantazya obejmowały wszystkie kreacye umysłowe: cieszyli się zarówno w niebie jak w otchłani, jeśli tylko spotykali tam jak na ziemi bohatéra, którýby wraz z zadziwiającemi przygodami, skomplikowaną intrygą, wewnętrznemi walkami namiętności, wrażliwością honorową, subtelną galanteryą i religijnemi a rycerskiemi postępkami odtwarzał im ich samych i licował z indywidualną właściwością ich uczuć. Niedość na tém, Hiszpanie wymagali wreszcie, żeby liryka, epika i akcya wyraźnie się w teatrze jednoczyły, gdyż przywykli do pompy, bogactwa i obfitości swéj pięknéj mowy nie mogli, nawet dla dramatu, wyrzec się czaru różnorodnych a harmonijnych jéj wdzięków. Wielki, śmiały i na wskróś hiszpański Lope de Vega przeznaczony był właśnie do

---

(1) Hinard loc. cit. (XV).

stworzenia systematu dramatycznego, będącego prawdziwym obrazem intelektualnych i moralnych potrzeb Hiszpana (1). Przed nim kwitła poezya duchowna i świecka już to pod postacią *tablados* (teatrów) podtrzymywanych przez lud w Sewilli; już to jako *artificios* (sztuki), które arystokracya Walencyi popiérała; już to wreszcie jak grecko-łacińskie reminiscencye, pielęgnowane przez uczonych w Salamance; lecz wszystko to ustępuje, korząc się przed magiczną potęgą Lope de Vegi, który dla tego właśnie zrzekł się reguł klasycznych, żeby pod wpływem natchnienia raczéj niż rozwagi wytknąć dramatowi nową drogę.

Hiszpania przyklasnęła dziełu mistrza, a jakkolwiek zapleśniali klasycy z niechęcią patrzyli na „feniksa geniuszów,“ będącego z Arystotelesem w dysharmonii; to jednakże tryumf Lope de Vegi tak powszechny i zupełny najdotykalniéj przekonywa jak nieuzasadnione są wszelkie przeciwko niemu wystąpienia w guście Bareta, który zresztą jest pomimo tego dzielnym tłómaczem i wielbicielem poety.

Ogrom prac scenicznych Lope de Vegi najrozmaiciéj bywa przez krytyków rozkładany. Uczony hiszpański Albert Lista dzieli je na 8 klas: 1) comedias de *costumbres* (obyczajowe); 2) *de capa i espada* (płaszcza i szpady); 3) *pastoriles;* 4) *heroicas;* 5) *tragicas;* 6) *mitologicas;* 7) *de santos* (świętych i 8) *filosoficas o ideales*, podług innych zwane *morales*. Do tych 8-u klas nie zostały jeszcze wcielone: *autos sacramentales i entremesses*.

Podział powyższy, zanadto drobiazgowy, da się zredukować do trzech grup o silnie odrębnym charakterze:

1) Komedye *intrygi*, albo *płaszcza i szpady*, odznaczające się bogatą inwencyą i budzące żywy interes. Tu nam autor odtwarza całe życie hiszpańskie ze scenami na balkonach, ulicach i przy wyjściu z kościołów. Szpada i sztylet u boku, gitara na ramieniu, serenady, piosenki, pojedynki, miłostki, zazdrość, pojednanie i małżeństwo — oto świat dla tych komedyj, w których służący panów odgrywają niepospolitą rolę. Główniejsze a znane nam komedye z téj kategoryi są następujące: *Esclava desu galan* (Niewolnica swego kochanka); *Las bizarrias de Belisa* (Kaprysy Belisy); *El acero de Madrid* (Woda żelazna madrycka); *El perro del hortelano* (Pies ogrodnika); *Lo cierto por lo dudoso* (Pewne za niepewne); *La moza de cantaro* (Panna służąca); *Amar sin saber a quien* (Kochać, nie wiedząc kogo); *Si no vieran las mujeres* (Żeby kobiéty nie zobaczyły!); *Las flores de don Iuan y rico y pobre trocados* (Kwiaty Donchuana); *El villano en su*

---

(1) Antonio Gil de Zarate Resumen historico de la litaratura espanola. Paris, 1874, p. 412.

*rincon* (Wieśniak w swoim zakątku); *Por la puente Juana* (Piękna Toledanka); *La hermosura aborrecida* (Piękność wzgardzona); *La Villana de Getafe* (Wieśniaczka z Getafe); *La boba para los otros y discreta para si* (Głupia dla drugich—mądra dla siebie); *Los milagros del desprecio* (Skutki pogardy); *La nina de plata* (Piękność złotooka); *El anzuelo de Fenisa* (Wędka Fenicyi) i inne.

2) Komedye i dramaty heroiczne, osnute po większéj części na kronikach hiszpańskich i legendowych podaniach oraz na przekręcanych częstokroć faktach, z obcéj historyi zaczerpniętych, jak np. *El nuevo mundo, descubierto por Cristoval Colon* (Krzysztof Kolumb); *Castigo sin venganza* (Kara nie zemsta) *El caballero de Olmedo* (Kawaler Olmedo); *La Estrella de Sevilla* (Gwiazda sewilska); *El mejor alcalde el rey* (Najlepszym sędzią król); *Historia de Wamba* (Wamba); *Porfiar hasta morir* (Walczyć aż do śmierci); *Dineros son Calidad* (Piéniądze są szlachectwem); *Las mocedades de Bernardo del Carpio* (Młodość Bernarda del Carpio); *El casamiento en la muerte* (Małżeństwo w śmierci); *La corona merecida* (Korona zasłużona); *Los Tellos de Menesos* (Tello Meneses); *La inocente sangre* (Krew niewinna); *Fuente Ovejuna* (nazwa miasteczka), *El primer Fajardo* (Piérwszy Fachard); *El gran duque de Moscovia* (Wielki książę moskiewski); *La fuerza lastimosa* (Los opłakany); *Mudarra Gonzalez* i inne.

3) Komedye albo dramaty religijne, które powstały głównie w tym czasie, kiedy w ostatnich latach panowania Filipa II przedstawienia sztuk światowych zabronione zostały. Tu należą: *El nacimiento de Cristo* (Narodzenie Chrystusa); *La creacion del mundo y el pecado del primer hombre* (Stworzenie świata); *La Ester; San Isidoro; Los Trabajos de Jacob* (Prace Jakóba); *Salida de Egipto* (Wyjście z Egiptu) i inne.

4) Między-akty, króciutkie jednoaktowe sztuczki jak: *El robo de Helena* (Porwanie Heleny); *El poeta*; *El remediador* (Pocieszyciel) *La hechieera* (Czarownica) i inne (1).

Wszystkie sztuki Lope de Vegi pisane są (z wyjątkiem Dorotei) wierszem już to białym, już rymowanym a zawsze prawie trochaicznym czterostopowym, układającym się w czterowierszowe zwrotki z rymem skrajnym (redndilla) lub pięciowierszowe z rozmaitą kombinacyą rymów (quintilla). Nie brak téż w żadnéj sztuce i sonetów.

---

(1) Ad. Fr. Schack w dziele swojém p. t. Spanisches Theater (Frankfurt am Main 1845) w części drugiéj daje nam piękne tłómaczenie czterech międzyaktów Lope de Vegi.

Dla dokładniejszéj charakterystyki Lope de Vegi uważamy za konieczne przedstawienie analizy kilku jego utworów, z których wyjątki podamy we własnym przekładzie, trzymając się formy oryginału...

Weźmy tedy pierwszą lepszą z komedyj np: „Sino vieran las mujeres“.

W ustronnym a samotnym zamku, śród lasów, mieszka wygnany książe Oktavio z córką swoją Izabelą. Ulubieniec cesarza Ottona, Fryderyk, poznawszy przypadkiem uroczą lasów mieszkankę, pokochał ją i... był kochany. Zdawałoby się, że miłość tę zakłócićby mogli zazdrością swoją chyba śpiewakowie leśni lub wonne dzieci ogrodów... a przecież i tam się wkradła ręka losu, sprowadzając na pogodny horyzont dwojga kochanków brzemienną wypadkami burzę. Młody, piękny i rozumny cesarz Otton postanawia zrobić wycieczkę myśliwską do lasu, który otaczał zamek wygnanego książęcia. Trwoga Fryderka nie miała granic. A jeżeli Otton ją dostrzeże—myślał— jéj piękność musi ją zgubić!.. Dla zabezpieczenia się od nieszczęścia Fryderyk, nie mający widocznie pojęcia o charakterze kobiét, wyznaje lubéj swoję obawę i jéj źródło, prosząc błagalnie, żeby Izabela przez cały czas polowania na krok jeden nie wydalała się z domu. Niezręczny kochanek tak postąpił jak ów naiwny pedagog, który dając młodéj pannie książkę, ostrzega, aby założonych ustępów nie czytała, z powodu wątpliwéj ich moralności. Bardzo naturalnie, że panna przedewszystkiém te ostatnie z natężoną ciekawością pochłonie. Tak się téż stało i z naszą bohatérką, która po odejściu Fryderyka tak ze służącą spiskuje:

**Akt I.** Scena III (1).

*Florela.* Zamyślasz się?..
*Izabela.* Wzbudził we mnie,
Czegom nigdy nie zaznała.
*Florela.* Czy pragnienie?...
*Izabela.* Tak.
*Florela.* A jakie?
*Izabela.* O czém teraz pomyslałaś?...
*Florela.* Żeby ujrzéć wnet cesarza.
Zdaje mi się, że to chyba.

---

(1) Don Eug. de Ochoa Tesoro del Teatro espanol. Paris, 1838. II—286. Przy téj sposobności zaznaczamy, że najbogatszą kollekcyą komedyopisarzów hiszpańskich wydał Rivadeneyra.

*Izabela.* Któżby nie chciał, moja Floro,
Największego widzieć pana,
Jakim kiedy świat się szczycił.
*Florela.* Śmieszne rady dawał tobie
Pan Fryderyk....
*Izabela.* Jego wina!...
Jednak z trwogą myślę o tém,
Jak wbrew jego prośbom spełnić
Te zamiary....
*Florela.* Czyż się godzi,
Gdy o rzecz uczciwą chodzi
Żądzę odpychać tak silną.
Wszak wypadek to nie nowy,
W spadku nam się on dostanie,
Boć występek adamowy
Wywołało... przykazanie!...
Czyż kochanka—a nie męża
Skrzywdzi ta drobnostka mała,
Żeś w przelocie, raz spojrzała
By sławnego poznać króla.
*Izabela.* Słuszność w mowie twojéj widzę.
On mię krzywdzi tym zakazem
Czyż zamężna jest kobiéta,
Coby patrzéć się wyrzekła?...
Ja Cezara widzieć muszę,
Lecz przebrana....
*Florela.* Bardzo słusznie!..
*Izabela.* Widzieć – lub nie być kobiétą!...

— Jakto—mówi daléj coraz żywszą ciekawością pałająca Izabela, mamże, pędząc samotne życie z ojcem wygnanym, śród pól, łąk i lasów, nie skorzystać ze sposobności, aby raz w życiu rzucić okiem na cesarskiego orła?... Jestże w tém rozumowaniu co nagannego?.. I oto zjawia się na scenie oczekiwany z drżeniem serca bohatér, otoczony wspaniałą świtą. Skwar słoneczny zmusił do odpoczynku cesarza, który, siedząc w gronie panów dworu, prowadzi z nimi poufałą rozmowę. Między innemi odgadują: jaka jest namiętność w człowieku najsilniejsza. Gdy ten gniew, inny ambicyą przytacza, cesarz głosuje za miłością, na co Fryderyk stawia *veto.* Więc ty nie kochasz?.. spytał Otton? Fryderyk, żeby odwrócić podejrzenia, dał odpowiedź przeczącą.

*Cesarz.* Cóżeś robił, Fryderyku (Akt I Scena V) (1)
W dobie młodzieńczego życia?.
Ty mężczyzna... szlachcic z rodu....
Ty waleczny... i rozumny....
W jakiéjż Scytyi czy Sarmatyi
Świat ujrzałeś? Czyż Tesalii
Zimna skała twoją matką?...
Jakiż tygrys dał ci pierś swą?...
Możeż człowiek—bez miłości
Żyć na ziemi, gdzie jaskółka
Łzami oblewa rozstanie,
Łabędź z zazdrości umiéra?...
Nie wiesz że ty, Fryderyku,
Że od pierwszych dni człowieka
Miłość jest królową ludzi?....

*Fryderyk.* Miłość cnoty i ksiąg, panie,
Serca mego jest królową.

Przejęty rycerską szarmanteryą dla płci nadobnéj, cesarz tłómaczy daléj Fryderykowi, że wszystko, czegokolwiek doświadczamy na świecie, wszystkie rozkosze i bogactwa są niczém, w obec serca kobiéty, a wreszcie tak kończy:

Więc pamiętaj, Fryderyku,
Że już odtąd masz wytrwale
Szukać marzeń swoich pani,
Gdyż na Boga, przy mym tronie
Żaden mąż się nie ostoi,
Jeśli obca mu jest miłość!...
Kto nie kochał—o, jam pewien,
Że ni prawym być nie może,
Ani mężnym i przezornym!...
Lecz nie miłość pokalana
Ma ożywiać twoje serce;
Jeno taka, którą zawsze
Najuczciwszy zdobi koniec!....

I możnaż się tu dziwić Fryderykowi, że w obec takiego charakteru cesarza drżał o serce swéj kochanki!... Izabela, w stroju wieśniaczym, udaje się do lasu w towarzystwie Flory i starego sługi, gdzie też spotyka ją oddalony od swego orszaku cesarz. Uderzony

---

(1) Ochoa loc. cit. 288.

pięknością dziewicy Otton, uchodząc za jednego z panów swego dworu, prawi jéj komplementy, któremi zmusza Izabelę do ucieczki. Ale skoro stary sługa oznajmił, że spłoszona dzieweczka jest córką disgracyonowanego księcia, cesarz postanawia przepędzić noc u niego. Zazdrość i rozpacz Fryderyka nie mają granic tém więcéj, że nieposłuszeństwu Izabeli zawdzięczał całą katastrofę.

*Fryderyk.* O niewierna!...
*Izabela.* Jestżem winna?...
*Fryderyk.* Spytaj dębów tych, dziewczyno,
Pod któremi czatowałaś
Na Cezara!......

Na téj kłótni kochanków kończy się akt I.

W II akcie jesteśmy w Neapolu, gdzie książę Oktawio, powrócony do łaski i bogactw, bawi na dworze cesarza w charakterze najbliższego doradcy, co naturalnie przypisywali wszyscy miłości Ottona do Izabeli, którą oprócz tego i hrabia Aleksander pokochal aż do szaleństwa. Kiedy Fryderyk wypowiada w sonecie boleść swoję i niepokój, przybywa sługa jego Tristan, który, wróciwszy z nowego mieszkania Izabeli, przedstawia poetyczny obraz tego przepychu, jaki otacza obecnie kochankę Fryderyka, w zamian dawnego niedostatku i mierności. Potęga urody — woła Fryderyk — jest wielka; szkoda tyko, że trwa zbyt krótko. Wierny sługa opowiada swemu panu jakiego doznał przyjęcia od Izabeli, wyrzucającéj kochankowi obojętność i radzi prosić cesarza o jéj rękę. Ale Fryderyk, lękając się, żeby zazdrosny cesarz nie oddalił go ze dworu, daleki jest od pójścia za tą radą. Tymczasem Otton zapytuje pewnego razu Fryderyka, dla czego zaniedbał służbę dworską — na co zagadnięty odpowiada, że znalazłszy nareszcie panią swojego serca, zapomniał o obowiązkach. Brawo, rzekł cesarz, musimy ją zobaczyć. Poczém polecił Fryderykowi, aby zaniósł Izabeli, w imieniu króla, tytuł hrabiny. Nowa ta łaska monarchy była dla Fryderyka świeżém źródłem zazdrości, tém więcéj, że przyznawszy się do miłości, nie wiedział jak wybrnie z kłopotu, gdy go cesarz o nazwisko wybranéj zapyta. Na nieszczęście wieść o zrobieniu wyboru przez Fryderyka doszła do Izabeli i to wtedy właśnie, kiedy ojciec jéj wyjawił cesarzowi życzenie połączenia córki z Fryderykiem. Obrażona dziewica mniemaną niewiernością kochanka odmawia mu swéj ręki i tu następuje scena, która zdaje się rozdzielać młodą parę na zawsze.

*Fryderyk.* Jak ja mogę mówić z tobą!... (Akt II scena XII)(1).
*Izabela.* Jak ja widok znieść twój mogę!...

---

(1) Ochoa loc. cit. 303.

*Fryderyk.* A więc i łzy twoje nawet
Jeśli były — to fałszywe!...
Ha! pamiętasz, co mówiłem,
Że jeżeli patrzéć będziesz,
To występna twa ciekawość
W kokieteryą się zamieni!...

*Izabela.* Gdzież zalotność widzisz we mnie?...

*Fryderyk.* Czyż to mało?... swoję rękę
Dać mężczyźnie, choćby nawet
I cesarzem był Germanii;
I gdym ja dobijał portu,
Łódkę mych nadziei zdradnie
W taką otchłań zaprzepaścić,
Gdzie już tylko śmierć ratunkiem!...

*Izabela.* Tobież mówić, Fryderyku,
O zazdrości do cesarza?...
Idź — i powtórz te wyrazy
Powtórz pani swego serca!...
Którą przed nim ubóstwiałeś!...

*Fryderyk.* Wraz z Ottonem jesteś w błędzie
Kłamiesz i twój Cezar kłamie!...
Nie!... Jam innéj nie wybierał!...
A com mówił — to dla tego
By odwrócić podejrzenia!...
Pogardziłaś mną — więc słuchaj:
Gdybym odtąd — klnę się niebem...
Imię twe usłyszał kiedy,
Koło domu przeszedł twego,
Sługę zoczył przypadkowo,
List twój, albo wizerunek;
Zawsze przekleństwem znieważę
Miłość moję a jeśliby
Serce stało w twéj obronie,
To je razem z życiem wydrę!...

*Izabela.* Zwolna, Fryderyku, strzeż się...
Bo kobiéta obrażona
Chociaż kocha — mścić się umié.
Ja nie pragnę — ni Cezara
Ani bogactw, bom już tobie
Serce dała!... Tyś je zdradził
A więc znikła moja miłość.
Ottonowi jéj nie sprzedam,

Bo kobiécie — gdy uczciwa,
Ponad perły, dyamenty,
Ponad wszystkie świata skarby
Droższy honor........
Weź pierścionek ten, Tristanie,

*Tristan.* Poco?...

*Izabela.* Możesz go spieniężyć
Złoto sobie weź...

*Tristan.* Senoro!...

*Izabela.* Ani słowa!... Ty zaś, Floro,
Masz zamykać odtąd zawsze
Moje okna i żaluzye,
Aby słońce tu nie weszło,
Które będąc gwiazd monarchą
Jest podobne Cezarowi!...

*Flora.* Czemu dręczysz tak, senoro,
Fryderyka.

*Izabela.* Milcz, papugo.

*Flora.* Jednę chwilkę......

*Izabela.* Ani słowa.

*Fryderyk.* — Któżby ufał ci, niewierna.

*Izabela.* — Sam przekonasz się niebawem!...

*Fryderyk.* — Jeśli umrę — mniejsza oto!...

*Izabela.* — Gdybym mogła być trucizną!...

*Fryderyk.* — Czyż mię gniew twój nie zabije?...

*Izabela.* — Chciałabym się zmienić w żmiję!...

*Fryderyk.* — I mnie pali to pragnienie.

*Izabela.* — Chcesz mnie zabić?...

*Fryderyk.* — Tak, żelazem
Zgasić oczu twych płomienie
By już nigdy nie patrzały!...

*Izabela.* — Jeśli pamięć mię nie mami,
Dawniéj zwałeś je gwiazdami!...

*Fryderyk.* — Miano piekła im za blade,
Odkąd patrząc — sieją zdradę!...

*Izabela.* — Racz pan zwrócić mi papiéry.

*Fryderyk.* — Pełne fałszu!......

*Izabela.* — Prawdy szczeréj!...

*Fryderyk.* — Tak jak wszystkie twe wyrazy!...

*Izabela.* — Zdrajco!...

*Fryderyk.* — Niewdzięczna!...

*Izabela.* — Szalony.

*Fryderyk.* — Wiarołomna!...
*Izabela.* — Tyran.
*Fryderyk.* — Płocha...
*Izabela.* — O ja pomszczę się na tobie!...
*Fryderyk.* — Któż się zemsty lęka w grobie!...

Ta straszna pozornie burza kończy Akt II.

Tymczasem cesarz, powodowany ciekawością, odwiedził umyślnie pannę, którą wskazał Fryderyk jako swą przyszłą małżonkę. Ten ostatni lękając się obudzenia zazdrości Izabeli, wskazał Ottonowi osobę nadzwyczajnéj brzydoty. Wróciwszy z téj wizyty, cesarz pokłada się od śmiechu, szydząc ze swego faworyta, pozbawionego zupełnie poczucia piękna. Pod wpływem najlepszego humoru idzie Otton wraz z Fryderykiem pod balkon Izabeli i opowiada złośliwie o wdziękach swieżo poznanéj osoby, która ma być równie ograniczona jak brzydka. Izabela żartuje również z kochanka:

*Izabela.* Nie dziwię się (Akt III scena VIII.)
Fryderyku, że pragnąłeś
Brzydkiéj żony, gdyż zwyczajnie
Wdzięk i rozum szpetność zdobią.
Ale głupia... wierzyć trudno,
Żebyś duszę swą skazywał
Na tak wielkie udręczenia!...
Na cóż ci się teraz przyda
Twe obejście i uroda,
Elegancya, powab... wdzięki
Wykształcenie... pióro... język...

A gdy Fryderyk odpowiada, że brzydota powinna się łączyć z pięknością, Izabela mówi doń zalotnie, że przez litość chciałaby mu:

Dać osobę, któréjby się
Nie powstydził przed Cezarem!...

Nie chcę piękności!... woła Fryderyk, która bez powszechnéj admiracyi żyć nie może; miłość i szczerość uczynią mi brzydką żonę zachwycającą!... Bądź co bądź Izabela udaje tylko zagniewaną, gdyż o miłości Fryderyka dla siebie nie wątpi już ani na chwilę; teraz więc postępowaniem swojém pragnie go zmusić, żeby wyznał prawdę cesarzowi. W tym celu pisze list do Fryderyka, z oznajmieniem, że gdy zrozpaczonéj jego zdradą pozostało tylko umrzéć, albo uledz Ottonowi — wybrała to ostatnie. Fryderyk pod wpływem rozpaczy zdradzać zaczyna pewną anomalią umysłową, któréj skutków lękając się Izabela wyznaje wreszcie cesarzowi, że to ona jest przyczyną owéj cho-

roby Fryderyka, który wówczas, upadłszy do nóg Ottonowi, opowiedział mu wszystko i... otrzymał rękę ukochanéj.

Niezależnie od saméj fabuły komedyi, pomyślanéj zręcznie i przeprowadzonéj kunsztownie z wzrastającym do końca interesem, sztuka ta posiada również znakomicie nakreślone charaktery. Cesarz przedstawia się tutaj z całą galanteryą młodości, posiada właściwą wielkiemu monarsze podniosłość ducha i szlachetność. Jest on rozumny, mężny i podległy naturalnym w jego wieku namiętnościom; nigdy jednak miłostki cesarza nie przekraczają granic uczciwością nakreślonych, a stosunek jego z Izabelą nosi na sobie wybitnie platoniczny charakter. Nie mniéj dodatnio wychodzą w téj sztuce kochankowie, którzy szlachetnością uczuć i stałością walcząc o lepsze, sympatyą widzów w zupełności zdobywają.

*Julian Adolf Święcicki.*

*(C. d. n.)*

# PRZED GRUNWALDEM.

(*Dokończenie*).

Na Żmudzi pożar nie ustawał i owszem szerzył się nieustannie, coraz to większe i groźniejsze przybierając rozmiary. Właśnie w tym czasie, kiedy poselstwo polskie bawiło w Elblągu, połączyli bojarzy Witolda, jako Rambold, Wasybut, Klawsigaiłł, Getot i Galeminne swe siły i zajęli kraj żmudzki na rzecz wielkiego księcia Litwy. Najprzedniejszych synów bojarskich, jak synów Nigaiłła, Laukswida i Argałła, zabrano jako zakładników wierności i posłuszeństwa i odesłano do Litwy. Do zamków krzyżackich wysłano na zwiady, aby się dowiedzieć o siłach krzyżackich (1). Bojar Rambold został obecnie kasztelanem żmudzkim a nietajno było krzyżakom, że wyniósł go na tę godność książę Witold.

W parę dni potém zasiekami i rozkopaniem dróg ściśnięto i odcięto zamki krzyżackie, w których zapanowała niesłychana trwoga. Przyczyniali się do tego właśni szpiegowie krzyżaccy. I tak, kiedy odcięto Fredeburg, nocą na czworakach przekradł się do niemieckich panów Żmudzi ich dawny strażnik graniczny i wierny sługa Romotte. „Słuchajcie panowie! książę litewski podniósł rękę na znak przysięgi i zaręczył święcie jako nigdy z wami nie będzie żyć w pokoju, że pociągnie z bronią palną na zdobycie waszych zamków.“ Komturowie drżąc od strachu pisali do przełożonych zakonnych, „że miecz i śmierć gotuje na nich książę“ (2). Wiedziano powszechnie jako Żmudzini mieli wysłać poselstwo do księcia celem porozumienia

---

(1) List burgrabiego Fredeburga do marszałka zakonu z datą am orytage czu otende nach Viti. Szuflada XVI. a Arch. N. Z.

(2) List komt. zamku Ragnety am suntage noch Viti et Modesti. Arch. N. Z. Szuflada XVI. a.

się o zabór twierdz krzyżackich. Z któréj to przyczyny tak Dubissa jak Fredeburg i Königsburg a nawet Ragneta drżały, a z dnia na dzień spodziéwano się oblężenia (1).

Powracający z Litwy kupcy opowiadali starszyznie zakonnéj, że Witold miał w Kownie publicznie wyrzec do zgromadzonych Litwinów „iż już od dawna nakłaniali go do tego królowie Polski i Moskwy, aby nie dotrzymywał z Niemcami pokoju, na co on się atoli przedtém nigdy nie mógł zgodzić. Jednakowoż obecnie, gdy ma namacalne dowody jak oni z jednéj strony uciskają Litwę a z drugiéj napiérają na Polskę, odbiérając jéj dawne jéj ziemie i zamki; tu opowiedział książę sprawę o Drezdenko, skoro oni więcéj nawet chcą mieć aniżeliby im się należało, a na mnie się wcale nie oglądają, z tych tedy przyczyn wypowiem im wojnę.“

— Panie, miał mu na to odrzec bojar Czapurna, przychylny poniekąd Krzyżakom, wszakżeż ty znasz Niemców dobrze i wiesz, które kraje oni mocą prawa posiadają. Te kraje uprawiają i osiedlają oni w sposób wcale nietajony, iż z nich użytkować zamyślają.

— Prawdę mówisz Czapurno; miał na to odrzec książę, gdyby oni tylko na tém poprzestać chcieli. Ale są nienasyceni, wszystkiego im za mało i wciąż wyciągają zaborcze ręce po więcéj. Bojarzy przyznali słuszność swemu księciu; byli atoli pomiędzy nimi tacy, którzy trzymali stronę krzyżaków i wynurzali obawę, że skoro przyjdzie do roztrzygnięcia sprawy mieczem, oni będą musieli odpokutować za samowolne działanie księcia przeciwko sprawiedliwym prawom niemieckim (2). Jednakowoż wola księcia nie znała co to opór znaczy.

Przed połową Czerwca osadził kasztelan żmudzki Rambold podkomorzych swoich po wszech okręgach ziemi żmudzkiéj; Żmudzini wysłali poselstwo do księcia Litwy.

A w Litwie po wszystkich ziemiach trąbiono pobudkę. Konie wasze i zbroję macie mieć w pogotowiu, a skoro jeszcze raz rozkaz przyjdzie, macie się zebrać na wojnę. Tak samo ogłosił Rambold na Żmudzi. Do Litwy nie przepuszczano żadnego sługi ani poddanego krzyżackiego, obawiając się zdrady.

Komturowie zakonni zapytywali zaprzyjaźnionych z nimi kasztelanów księcia, coby miały oznaczać wojenne pogłoski z Litwy

(1) Ibidem.

(2) Z listu sołtysa żmudzkiego do marszałka datowanego. Thobys am sontage noch Viti et Modesti. Arch. N. Z. Szuflada XVI. a.

„Prawda," odpowiadali ciekawym kasztelanowie Witolda, „książę nasz zebrał swe wojska, gdyż ma zamiar uderzyć na Ruś, ale cóż kiedy obawia się zakonu. Dla tego zechciejcie nas uwiadomić czy zakon chce dotrzymywać i na dal pokój czy nie." Komturowie zapewniali, iż zakon o niczém inném nie myśli jeno o pokoju względem Litwy; w duszy zaś wiedzieli dobrze, że książę wcale nie na Rusinów miecz wyostrzył, że o pokoju nie ma i myśli (1).

Przybyli wreszcie na Litwę bojarowie żmudzcy do księcia Witolda. Byli to najprzedniejsi z okręgu Rosieńskiego a przywozili z sobą w porękę wierności swe dzieci i żony, a na znak hołdu, cztéry konie zabrane krzyżackim panom. Było to w Kownie, gdy w obec zgromadzonych mieszczan po największéj części Niemców złożyli księciu hołd, a oddając konie, oświadczyli, iż wypowiedziawszy wojnę Niemcom przychodzą szukać opieki księcia, o którą wraz z całym krajem proszą. Książę widząc, iż za dużo Niemców jest świadkiem téj okoliczności, złajał Żmudzinów ostremi słowami, iż wypowiedzieli posłuszeństwo zakonowi. Dał atoli tajne zlecenie swym urzędnikom, aby nocą powiedli bojarów do Wilna. Wkrótce przybył tamże książę, przyjął od nich hołd, zapewnił o pomocy ze swéj strony przeciwko krzyżakom (2). Co większa, krzyżacy wiedzieli, iż książę zawarł formalną ugodę ze Żmudzinami, iż w razie napadu ze strony zakonu na Żmudź, pośpieszy on na odsiecz z całą swą siłą zbrojną, co téż Żmudzini nawzajem przyobiecali uczynić, skoroby krzyżacy na kraje księcia napaść chcieli. Bojarzy żmudcy wyrażali przed księciem obawę z powodu wielkich sił krzyżaków i spodziewanéj zemsty, która może do reszty zniszczyć ich kraj. Książę uspokajał bojarów.

— Panie, mówili oni do księcia, a dla czegóż kazałeś nam budować zamki dla krzyżaków, skoro nie zamyślałeś z nimi dotrzymywać pokoju, a my dniem i nocą obawialiśmy się zemsty niemieckiéj, gdyby nasi byli zburzyli który z zamków?

— Uspokójcie się, rzecze książę, skoro ludek zbierze żytko z pola, to ja zamki napowrót odbiorę niemieckim panom. Obawa wasza płonna a zamki krzyżackie nie będą więcéj waszym postrachem (3).

---

(1) Z listu komtura Ragnety do W. mistrza dat czu Labiow am montage infra octavas visit. Marie. [1409] Arch. królewieckie N. Z. Szuflada XVI. a.

(2) Z listu komtura zamku Ragnety am tage Viti et Modesti. Szuflada XVII. Arch. N. Z. w Królewcu.

(3) Z listu marszałka zakonu do W. Mistrza, dat. Königsberg: am fritag von Johannis baptiste, [1409]. Arch. N. Z. Szufl. XVII. N. 145. a.

Do Rosień i Ejragoły śpieszyli gońce Witoldowi. Ostrożni Żmudzini, nad którymi wisiał miecz zemsty panów zakonnych, zapytywali gońców: Gdyby nas mistrz zakonu lub jego marszałek zapytał, z jakiéj to przyczyny wypowiedzieliśmy zakonowi posłuszeństwo, cóż na to odpowiemy? A cóż, nie wiecie, odpowiadali gońce, iż sołtys jednych z was wieszał, drugich ścinać lub ćwiartować kazał, dzieci i żony wasze niewolnikami chciał poczynić; powiedzcie więc, iż tego dopuścić nie chcieliście i nie chcecie.

— Prawda, dobra odpowiedź—potakiwali Żmudzini. Inni atoli, zawsze w srogiéj obawie, dopytywali co mają zrobić skoro zakon z całą siłą nadciągnie, aby się pomścić za odstępstwo. Wtedy macie się mężnie bronić, a nie wątpcie, że książę Witold z całą swą potęgą was wesprze. Ma on obecnie dziewięć krajów pod swém berłem, które czekają na skinienie jego ręki, aby wieść wojnę przeciwko Niemcom. On sam chce ciągnąć do Królewca z wojskiem, aby spustoszyć i zniszczyć Niemców, aby nagnać niecnoty do morza, gdzieby się potopili (1).

Jeden ze sług zakonnych, znajomy księciu, przybył doń z prośbą o zbroję, którą był u niego zostawił, zabawił on przez parę dni w Kownie zanim się doczekał księcia. Tu dowiedział się, iż Witold obiecał Ramboldowi w razie, gdyby zakon napaść chciał na Żmudź przysłać 1.000 ludzi w pomocy. Że król Polski jest w zmowie z Witoldem, że się zgodzili kiedy i gdzie mają się zjechać celem wzajemnego porozumienia, że zresztą książę wszystkiemi sposobami stara się o to, aby król Polski rozpoczął wojnę. Ten sam rycerz zakonny miał być świadkiem następującéj rozmowy żmudzkich posłów z Witoldem. Żmudzini wynurzyli obawę co do możliwéj zemsty ze strony zakonu jaka ich czeka. Książę ich uspakaja i mówi: Ja nie rozpocznę wojny, jeżeli jednak rozpoczną ją panowie zakonni, to wiedzcie, iż przenigdy dopóki żyję, nie będę ich przyjacielem. Do rycerza zaś krzyżackiego miał się książę odezwać temi słowy. Nie będę ja polować na granicach od zakonu a mianowicie na Goniądzu, a to aby ludzie moi przypadkowo nie weszli w granice waszych lasów, ale wiédz, iż skoroby ludzie twoich panów na mojéj stronie polowali, ja odtąd kwituję z przyjaźni z zakonem. Wreszcie donosił Otto o ogromnych siłach Tatarów, którzy bawią w Litwie, ale Bóg wié po co i na co, i co książę zamyśla z nimi uczynić (2).

---

(1) List komt. zamku Ragnety z datą: am tage Viti et Modesti. Arch. N. Z. w Królewcu. Szuflada XVII.

(2) Z listu marszała z 21 Czerwca j. w.

Takie i tym podobne wieści ze Żmudzi i Litwy szły za pośrednictwem komturów żmudzkich do Malborga. Odstępstwo Żmudzinów było tedy faktem dokonanym, wiedziano nawet najszczegółowiéj kto stoi za plecyma Żmudzinów i z kim będzie miał zakon do czynienia skoro przedsięweźmie zemstę wykonywać.

Zakonowi nie chodziło więc o nic innego jak tylko o to, aby Polska i król Jagiełło nie wmięszali się do sprawy, aby nie wspierali Żmudzinów i Witolda w razie, gdyby krzyżacy podnieśli oręż zemsty. Postanowiono tedy zapewnić się ze strony Polski i wysłać w tym celu poselstwo do króla. Powierzono sprawę poselską komturom toruńskiemu i starogrodzkiemu, którzy we czwartek przed św. Janem chrzcicielem spotkali króla w Obornikach i natychmiast prosili o posłuchanie. Król zebrał radę i zapytał posłów z czémby przychodzili (1).

„Najpotężniejszy i łaskawy królu,“ rzekli wysłańcy zakonu. „Gdy niedawno szlachetni wasi posłowie byli u naszego mistrza w Elblągu, opowiedział on im o zdradzie jakiéj się dopuścili Żmudzini przeciw zakonowi, a zakon pod ten czas nie wiedział jeszcze o tém, jakoby powstanie to za wolą księcia Witolda stać się miało, gdyż wymieniał z nim przyjazne listy i pozostawał do dziś dnia w dobréj przyjaźni. Skoro atoli posłowie W. Kr. Mości odeszli, dowiaduje się zakon, iż książę Witold osadził w naszéj Żmudzi swego kasztelana. Ponieważ więc tak się rzeczy mają w istocie, widzi przeto nasz mistrz, iż książę ma zamiar odebrać nam Żmudź; że więc zdrada stała się za wolą i za doradą księcia. Dla tego, łaskawy panie, prosi was mistrz zakonu a zaklina na Boga, abyś bacząc na honor chrześciaństwa i zakonu nie chciał pomagać zdradzie, jak to zresztą wam jako chrześciańskiemu księciu zupełnie zawierza, iż tego nie uczynicie.“

Król kazał komturom odpowiedziéć, że tak ważna rzecz wymaga głębokiéj narady, że więc odpowiedź musi odłożyć na późniéj. Komturowie proszą tedy króla, aby zezwolił im przemówić do jego królewskiéj rady, przyczém wyrazili, że obecność króla wcale im nie stoi na zawadzie. Król zezwolił i pozostał w namiocie. Występują tedy komturowie przed radą i rzeką: Panowie szlachta, rycerze i pachołkowie orężni! prosimy was, jako tych, którzy Boga, honor i chrześciaństwo macie w sercu, abyście chcieli ubłagać naszego łaskawego króla, iżby on nie wspierał zdrady Żmudzinów, którą oni uczynili przeciw zakonowi i chrześciaństwu, i to bez wypowiedzenia wojny, bez winy ze strony zakonu; abyście mu doradzili, iżby nie

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

dopomagał zdrajcom, a w razie gdyby go kto inaczéj o rzeczy chciał poinformować, to powstrzymajcie go swą doradą od zamiarów, jako to my wam wszystkim zawierzamy. A wreszcie odmówcie mu pomocy, którąby zmierzała ku zgubie całego chrześciaństwa.

Z pośród panów rady królewskiéj powstał Zbigniew z Brzezia, marszałek królewstwa, i zapytuje komtura, czyby na przemowę swą chciał słyszéć odpowiedź. Odpowié komtur: Chętnie. Oto w imieniu rady królewskiéj odpowiadamy wam, iż będziemy doradzać naszemu panu i królowi to, co jemu na pożytek wychodzić będzie. Na to komtur: Daj Boże, abyście mu tak doradzali, aby rady wasze królowi pożytek i korzyść przyniosły (1).

Zresztą pożegnał król komturów zapewnieniem, iż na św. Aleksego da pod tym względem zakonowi stanowczą odpowiedź. Po takiéj odprawie, wśród złowrogich wieści z Litwy a wcale wątpliwego stanowiska zakonu, pozycya panów zakonnych stawała się coraz przykrzejszą. Kto wié czy nie poczęliby byli oni targować się z Polską i ustępstwami zabranych ziem, tudzież zadośćuczynieniem pretensyom króla, nie okupiliby sobie bezpieczeństwo ze strony Polski; ale sprawy za nadto się powikłały, a obustronna nienawiść za nadto była spotęgowana, aby taki targ mógł nastąpić. Zresztą na czele zakonu stał wojowniczy mistrz, Ulrych Jungingen.

Ze Żmudzi każda prawie godzina przynosiła nowe, lecz coraz to smutniejsze dla zakonu wieści. Krzyżacy, okopawszy się w zamkach, podwoili straże i oczekiwali dnia i godziny oblężenia. Trwoga malowała się na ich obliczach, niepokój i bojaźń rozwalniały karby karności zakonnéj, tu i ówdzie okazywały się niezwykłe zresztą w zakonie przykłady zbiegowstwa. Tymczasem Witold zaprowadzał przez Rambolda i innych bojarów litewskie porządki na Żmudzi. Zapobiegając krwi rozlewowi, jaki z pewną rozkoszą zemsty Żmudzini na niemieckich kupcach i kolonistach spełniali, zakazał książę pod karą miecza mścić się na bezbronnych Niemcach. „Gdziekolwiek spotkacie kilku Niemców, nie czyńcie im szkody,—włos z ich głowy niechaj nie spadnie bezkarnie; gdyż książę nie chce i nie życzy sobie, aby go uważano za takiego, któryby pierwszy krok do wojny uczynił z Niemcami.“ Tak obwoływano na Żmudzi, która jak jeden mąż stała pod bronią.

W Kownie zebrało się kilka tysięcy Litwinów pospolitem ruszeniem, i co chwila oczekiwano nadejścia wojsk zakonnych. Wojny je-

---

(1) Instrukcya dla posłów na kartce papieru w Archiwum N. Z. w Królewcu, Pamiętnik zakonu z r. 1409 i Długosz.

dnakowoż nie było. Natomiast dowiadywano się o najmniejszym kroku, o każdém prawie rozporządzeniu księcia. Tu i owdzie tajnemi drogami puszcz litewskich spieszył krzyżacki goniec, przebrany w szaty Żmudzina do granic Pruskich. Niósł on przeróżne wieści o twierdzach zakonnych, które wśród groźnego niebezpieczeństwa nie mają należytych środków do obrony. Donosił on jako książę wysyła na zwiady, aby obmyśléć środki jakby bez wojny i wojska, bez krwi rozlewu a za pomocą zdrady dostać zamki w swe posiadanie; jak do Kowna przybył z Nowogrodu tamtejszy jego książę hołdownik Lingwen i jak natychmiast rozstawnemi końmi napowrót popędził do swego księstwa. Nawet o Świdrygielle szły wieści do Malborga, jako na niego wcale nie ma co zakon rachować, gdyż nie ma go na Litwie, lecz bawi on u Tatarów. Rozjątrzenie panów zakonnych widoczne było, lubo w tak krytycznėm pozostawali położeniu. To téż podczas częstych podjazdów celem zasiągnienia języka, dawali oni folgę swéj wrodzonéj nienawiści przeciwko Litwinom, Polakom i Rusi. Tu i ówdzie padał trup Litwina wysłanego na zwiady; gdzieindziéj znowu przywiązywali oni pojmanemu Polakowi, który przyszedł służyć pod znaki Witolda, według zwyczaju, kamień u szyi i topili w bagnie lub rzece (1).

W Malborgu przerażająca panowała cisza, wysłano tylko cichaczem po żołdowników, zbrojono się w kraju; najbardziéj jednak niepokojono się ażali sprawa zaaresztowanego zboża w Ragnecie, która już wychodziła na wierzch, nie stanie się Polakom pobudką do połączenia się z Witoldem orężną ręką. W obec téj okoliczności, w obec wieści, iż Witold ręka w rękę działa z książętami Mazowsza, (2) że Żmudzini lada chwilę rozpoczną zdobywać krzyżackie twierdze, uradzono nalegać na króla, aby przed terminem zechciał dać mistrzowi odpowiedź: czyli zamierza wspiérać Żmudzinów. Pisarze zakonni spisują groźne wieści ze Żmudzi; wymieniają urzędników, dowódców, których ze swego ramienia osadził książę w ich ziemi, a takie szczegółowe listy posyła mistrz do króla, zaklinając i prosząc go, aby pomny na Raciąską ugodę, zechciał oświadczyć czyli on i państwo jego zamierzają popiérać księcia Witolda, tego, który kraj na wieki im zapisany nieprawnie odebrał. Zakon pragnie o tém wiedzieć, dodawał mistrz, aby mógł wcześnie pomyśléć o so-

---

(1) Z listu komtura Ragnety do W. mistrza. D. czu Labiow am montage infra octav. visit. Marie. Arch. Król. N. Z. Szuflada XVI. a

(2) List rządcy w Johannisburgu, donnerstag vor Margarethe r. 1409. Szuflada XVII N. 139. Arch. N. Z. w Królewcu.

bie, aby mógł oskarżyć Witolda przed panami chrześciańskimi, czego atoli nie uczyni, aż usłyszy odpowiedź od króla.

Król się wymawiał ważnością sprawy i zwlekał odpowiedź do świętego Aleksego.

Tymczasem Żmudzini posunęli się w olbrzymich siłach pod Fredenburg. Twierdza krzyżacka poddała się na łaskę zwycięzców. Żmudzini ruszyli na inne zamki niemieckich panów. W Malborgu panował popłoch.

Dwoma pośpiesznemi gońcami doniósł o tym fakcie mistrz królowi Jagielle. Dwa listy, jeden po drugim, otrzymał zakłopotany król· Królu, błagał go mistrz zakonu, zamki moje zdobywa Litwa na rozkaz Witolda. Wszakżeż muszę dopomódz oblężonym; odpisz przeto panie, czyli zamyślasz wspiérać księcia.

„Na świętego Aleksego"—była odpowiedź króla. Do Jagielly trzeci przebywa goniec mistrza; trzeci list odczytują królewscy pisarze: Królu, powołuję się na prawa, poddaję się pod sąd o jaki się ugodzimy w sprawach o granice i o krzywdy, jakie według waszego zdania wyrządziłem Polsce; zechciéj tylko wysłać twoję radę, ja wyszlę zakonną skończymy sporne sprawy: lecz proszę, lecz zaklinam nie zechciéj pomagać księciu Witoldowi.

„Na św. Alexego odpowiém wam"—kazał odpisać król natarczywemu mistrzowi.

Lecz dla czegoż tak zawrzało gniewem po całéj Polsce, Litwie i Rusi? Jakaż to przyczyna tych wojowniczych okrzyków zemsty? Oto w zgłodniałéj Litwie i Rusi dowiedziano się obecnie, iż nienasycony niczém Niemiec zabrał księciu Witoldowi zboże, przysłane mu w darze od Polski i jéj króla, zaaresztowawszy je od kilku tygodni w Ragnecie. A na ten podarek składający się z dwudziestu dużych statków, pracował król od lat kilku i przysposabiał i składał królewszczyznę z całych Kujaw, a kanclerz Zaklika z Międzygórza i kasztelan szremski Iwan z Obichowa całą swą skrzętność i zapobiegliwość poświęcili, aby w razie spodziewanéj potrzeby podratować wygłodniałą Litwę. Z Polski do Litwy i nawzajem pędzili gońce a roznosząc wieści o ostatnim wypadku podwajali żądzę zemsty.

I od Witolda, który w ostatnich tygodniach mniéj chętnie korespondował z zakonem, śpieszył obecnie poseł do Malborga. Niejako w odpowiedź za zaaresztowanie zboża niósł on obecnie bardzo groźny list książęcy, list, w którym książę wynurzał cały swój żal, jaki czuł ku zakonowi.

— Od dawna, pisał książe do Mistrza, spostrzegałem co się u was święci. Wyście mnie w niczém niedowierzali i nie zważaliście wcale

na mój wyrok, jaki uczyniłem w sprawach o granice Polski, Mazowsza i zakonu. Podejrzywając mię o złe zamiary, zakazaliście do moich krajów dowozu zboża, koni, trzody, broni i towarów. A cóż pomogły moje napomnienia, abyście zboże, przysłane mi od mego brata, króla Polski, wydali. Upominałem was i upominam o to, a cóż wy na to w odpowiedzi? A wszakżeż aż za nadto dobrze wiecie i wiedzieliście, iż my zboża potrzebujemy, iż kraje moje głód cierpią. Sądziłem przecież o was inaczéj. Spodziewałem się, iż nie tylko własnym poddanym zezwolicie sprzedawać dla moich zboże, ale nawet że sami naładujecie kilka statków i obdarujecie nas w naszéj potrzebie, czego my wam nigdybyśmy nie odmówili, a chociażby kraj nasz przez to nie wiedziéć jak miał ucierpiéć. A wy zaaresztowaliście nasze własne zboże! wy, którzy przedtém przyrzekliście nam je dostawić do Kowna, jak na to piśmienne mam dowody. Ja byłbym sądził, że wy nam własnego udzielicie a nie że nam nasze zabierzecie.

— A cóż mam pisać o zbiegach z moich krajów, których nam wydać nie chcecie; o pobranych w niewolę kupcach z Litwy i Rusi? Wszakżeż wielekroć obiecywaliście nam pismami, iż nam zbiegów wydacie, kupców uwolnicie; lecz gdy przyszło do rzeczy cóż uczyniliście. Zakazaliście moim poddanym ciągnąć do Żmudzi, a jakież do tego były wasze powody? Oto, że trawę żmudzką wam wypasały litewskie konie, że Litwini wam trochę drew urąbali w waszych lasach a przybywszy do swoich ponapełniali torby podróżne zbożem od dobrych przyjaciół w podarunku daném. A jak często przedstawiacie mi te swoje powody, tyle razy niepodobna nam się powstrzymać od śmiechu nad błahością i płonnością tychże. A chociażby, jak mówicie, i szepnął nasz chłop litewski do żmudzkiego jakieś podburzające słowo, to i czyż macie je sobie tak brać do serca?

A daléj podobało się wam dwie drogi handlowe utworzyć na Żmudzi; wprawdziéć ja na to zezwoliłem, lecz widząc jak przez to moja Litwa ubożeje, pisałem, abyście skasowali nową, gdyż tak Litwini jak i Rusini nie mogą przez to wasze ustanowienie przyjść do handlu. A wy cóż na to? A cóż to za przyjaźń jaką mię zaszczycacie, skoro zakazujecie Żmudzinom sprzedawać do Litwy towary, zboże, trzodę i wiktuały? Może to takie spory nie warte były tego, abyśmy się o nie byli ugodzili;—a wyście nam na to nawet odpowiedzi nie dali, a natomiast występujecie z niczém nieusprawiedliwionemi żądaniami (1).

---

(1) Kopia a może i oryginał zupełnie zniszczonego listu Witolda do W. mistrza w Arch. N. Z. Szuflada XVII. a. Papiér poplamiony od wilgoci, początku i końca braku-

Daléj wyłuszczał książę już po kilkakrotny raz zniewagę jaką mu wyrządził komtur Sulzbach i w groźnych wyrzutach dawał folgę swojemu żalowi. Otóż wiedzcie kończył on, za te to krzywdy i za ponowną zniewagę jaką mi wyrządziliście, zatrzymując mi moje zboże w Ragnecie, ja mszcząc się zniewagi, osadziłem w kraju żmudzkim moich kasztelanów, urzędników i podkomorzych, a sprawa Żmudzinów jest odtąd moją sprawą (1).

Harda dusza Ulryka zawrzała do dna gniewem; miarkował ją tylko pewien polor polityki zakonnéj, któréj wyuczył się, piastując przez lat kilkaście stopniowo rozmaite godności zakonne. Był on aż nadto rozważnym, aby miał zerwać z Polską, nie wyprobowawszy czy nie da się ona oderwać od związku z Litwą; dla tego rad nierad oczekiwał dnia św. Aleksego. Tymczasem jednak zaciągnął on z zachodu żołdowników, posłał do Inflant o pomoc, cichaczem w kraju olbrzymie czynił do wojny przygotowania a nawet sprowadził zkądciś celnych łuczników, o czém wszystkiém nietajno było Witoldowi (2). Witold ze swéj strony wysilał się jak mógł: przygotowania do wojny przybrały na Litwie niezwykły charakter, z Połocka, Smoleńska, Nowogrodu, z Brańska i Starodubu, z Kijowa, Łucka i Włodzimierza i od hołdowniczych tatarskich hanów szły, przychodziły i stawały u granic krzyżackich różnojęzycznych ludów zbrojne hufce. Zamknięto całkowicie granice od Prus; nawet wiadomości od szpiegów krzyżackich stały się obecnie niemożliwością. W kancelaryi Witolda wypracowywano manifest do książąt chrześciańśtwa, usprawiedliwiający zajęcie Żmudzi i podający powody dla czego tak zmuszony był uczynić.

Inaczéj cokolwiek działo się w Polsce. I tu wrzało wszędy chęcią zemsty i tu przypominano sobie krzywdy stare i nowe, a sprawa zaaresztowanego zboża rozjątrzała do reszty pochopnych do krwawego odwetu obywateli rycerskiego stanu. Ba, nawet późniejsze głosy zakonu chciały wiedzieć, że cała zdrada na Żmudzi, jaka późniéj zadała srogi i nieodwetowany cios krzyżactwu, że ona była sprawką, pewnéj frakcyi w Polsce, frakcyi, która współubiegając się prawie z polityką krzyżacką używała najwyrafinowańszych środków, aby przywieść raz narody obcych języków do starcia z panami zakon-

---

je. Co do daty któréj brak, porów Voigt. G. Pr, VIII. 52; uzupełnić ją można z następującego ustępu, który cytujemy z pamiętnika zakonu z roku 1409; działo się więc to po pierwszych dniach Lipca r. 1409.

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

(2) List rządcy w Johannisburgu do komtura Balgi. D. donnerstag vor Margarethe. 1409.

nymi. Inne głosy posądzały o to króla Jagiełłę. Pomimo to nie brak było na głosach ostrzegających; rozważano sprawę i wszystkie możliwe skutki brano pod gruntowną rozwagę. Nie przeceniając wcale sił, które po większéj części składały się z barbarzyńców w obec najprzedniejszych rycerzy jakimi byli krzyżacy, postanowiono używać wszelkich środków, aby tléjącéj w zarzewiu wojny nie dopuścić do wybuchu.

Owóż sejm zwołany do Łęczycy obradował nad odpowiedzią W. mistrza w duchu pojednawczym. Nie chciano opuścić Witolda, lecz nie chciano też wojny z zakonem, którąby całe królestwo powołała do broni, a któréj wątpliwego wypadku nie można było przewidzieć. Sejm tedy naznacza najprzedniejszych panów, Mikołaja arcybiskupa gnieźnieńskiego, Mikołaja z Michałowa wojewodę sandomierskiego i Jana z Tuliszkowa kaliskiego kasztelana, aby przedłożyli żądaną odpowiedź W. mistrzowi. Dnia 1 Sierpnia zjechali posłowie do Malborga. Mistrz, donosi pamiętnik z owych czasów, spodziéwał się dobréj odpowiedzi, skoro Polacy tak długo ociągali się z odpowiedzią, sądzono tedy, że Jagiełło opuści zupełnie Witolda. Poselstwo atoli przedłożyło „jako nietajno jest wam, Mistrzu i Zakonie, jak mniema nasz król Władysław, nietajno wam jako Witold, W. książę, przeciwko któremu wynosicie skargę o zagarnięcie Żmudzi, nie tylko, że jest węzłem krwi połączony z naszym panem, lecz nadto podlega królowi i królewstwu Polskiemu a Litwę tytułem daru dożywociem posiada. Nie godziłoby się tedy naszemu królowi w téj wojnie, którą zamierzacie wydać księciu Witoldowi, opuszczać go w niebezpieczeństwie. Prosi tedy i proponuje wam król i rada koronna, abyście się wstrzymali od wojny, abyście powstałe spory z księciem przedłożyli przed państwem, albo do obustronnie wybranych sądziów polubownych, a król przyrzeka wam, iż postara się, aby uchylić i nagrodzić to wszystko, co z waszą krzywdą i niesprawiedliwie było zdziałane (1). Dopóki zaś ten spór nie zostanie załagodzonym i rozstrzygniętym, żąda i prosi król, abyście na Żmudź nie napadali. Jeżeli na to zakon się zgodzi, oświadczamy, iż mamy upoważnienie do napisania w imieniu króla do księcia, aby swych kasztelanów i urzędników odwołał ze Żmudzi i aby ich nadal nie brał w obronę.

— Dobrze, rzekł na to mistrz — w sprawach moich, które mam z królem lub księciem Witoldem, zawsze gotów jestem poddać się

---

(1) Dotąd Długosz XI. 196, zgodny w tém miejscu w zupełności z pamiętnikiem zakonu.

pod sąd rozjemczy; ale gdy Żmùdzini należą do zakonu i ani król, ani Witold do nich prawa nie mają, nie powinno ich to obchodzić czy zakon chce ukarać zdradę Żmudzinów czy nie. Ja dłużéj krzywdy nie ścierpię — miał dodać oburzony kunktatorstwem Polaków mistrz — lecz natychmiast z całą mą potęgą wyruszę na Żmudź i na tych, którzy ich zdradę wspiérają.

Posłowie byli nieprzygotowani na takie słowa mistrza a instrukcya ich poselska nie dawała im wskazówki na podobny wypadek. Lecz oburzony zuchwałą miną Ulryka Jungingena arcybiskup Kurowski, zabrał głos na swoję odpowiedzialność.

— Mistrzu, rzekł arcybiskup, przestań nas straszyć wojną żmudzko-litewską; pociągniesz ty na Żmudź zanim spór z księciem rozstrzygniętym będzie, tak jak przedłożyliśmy w projekcie, natenczas obawiam się o to, czyliby król nie chciał stanąć po stronie księcia Witolda, w którym to razie, byłbyś o twój własny kraj w niepewności i obawie.

— Dziękuję ci, najprzewielebniejszy ojcze, że nie zataiłeś przedemną zamiarów króla. Ostrzeżony obecnie, raczej na głowę niż na członki cios mój wymierzę, raczej osiadłą ziemię aniżeli pustą, raczéj miasta i włości aniżeli pustynie i lasy nawiedzę; wojnę zamierzoną, przeciwko Litwie na Polskę obrócę.

Posłowie milczeli. Mistrz mówił dalej: Zakon ustanowiony na obronę chrześciaństwa od niewiernych; w tym celu pobudował zamki i miasta na Żmudzi. Czy wasz król zaręczy nam i upewni, iż zakon nie obawiając się o Żmudzinów może wesprzéć i zaprowiantować zamki żmudzkie?

— Na takie pytanie nie mamy w instrukcyi naszéj odpowiedzi, odrzekli posłowie.

Mistrz kazał podać pismo kredencyalne, wystawione przez króla posłom. Według brzmienia tego pisma macie mi dać pewną i ostateczną odpowiedź.

— Nadto cośmy wam przedłożyli, niczego innego nam nie rozkazano mówić (1).

Posłowie odeszli — poselstwo się skończyło, wojna była nieuchronną.

Tak niebaczne słowa Mikołaja, mówi nasz Długosz, wywołały wojnę, ktorą można było odwlec na przyszłość. Polska była zupełnie do niéj nieprzygotowaną. Tenże sam historyk twierdzi, jako niektórzy posądzali samego króla, iż życząc sobie wojny, nakazał ar-

(1) Według pamiętnika zakonu z r. 1409.

cybiskupowi w tak ostry sposób ostrzedz w. mistrza. Z charakterem nieprzebłaganego wroga krzyżaków zgadza się to podejrzenie w zupełności.

Odtąd wypadki, przeplatane wielce tragicznemi momentami, zmierzają ku katastrofie. Kolej tych wypadków wcale rozmaita, obfituje w epizody szczęścia i pomyślności oręża krzyżackiego, zawieszenia broni; wyroku, nieprzyjęcia go ze strony Polski, a wreszcie wielce ciekawe chwile zbrojenia się narodów. Wielki dramat narodów miał się zakończyć na polach grunwaldzkich.

Poważmy się pokrótce rzucić okiem na ten szereg zdarzeń.

Nasuwa się nam nasamprzód pytanie: dla czego mistrz i zakon postanowili oręż swój, miasto na Żmudź i Litwę, skierować przeciwko Polsce. Była to rachuba wojenna i polityczna. Wojenna, gdyż wiedziano, iż Polska wcale nieprzygotowana do oporu, a Witold przeciwnie z niecierpliwością oczekiwał napadu na Żmudź (1) gdyż obecnie przypomniano sobie, iż on ma wpływ w Pskowie, że w Nowogrodzie kasztelan jego, książę Lingwen, oczekuje hasła wojny, że związał on się z wielkim kniaziem Moskiewskim przeciwko każdemu swemu wrogowi bez wyjątku (2). Z Litwy przybywały podówczas wieści, iż książę wysłał z Grodna 2.000 Litwinów w kierunku na Justerburg, iż po jednéj stronie Biebrzy stoi 3.000 Żmudzi, po drugiéj zaś Monwid rozłożył się obozem w 4.000 Litwinów (3). Donoszono mistrzowi w przededniu jego wyprawy na Dobrzyń, iż Witold wié z pewnością, że zakon nań napadnie, i że z całą swą potęgą oczekuje téj chwili w Kownie. Zresztą straszył Witold zakon, przez wysłanego doń komtura Ragnety i dziekana Bartłomieja z Frauenburga, iż w razie wojny z zakonem ma dobrze ze 30.000 Tatarów na swe rozkazy (4). Planem tedy zakonu było zmusić orężem Polskę do odstąpienia Witolda, do zerwania z Litwą i Rusią. I kto wié, czy nie stałoby się w podobny sposób, gdyby był Polsce nie przewodniczył Jagiełło, urodzony z Rusinki Litwin, nieprzejednany wróg zakonu i gdyby zakon z tak wyniosłą dumą nie nadużywał skutków wojennego powodzenia.

A zatém dnia 6 Sierpnia, posłał mistrz królowi wypowiedzenie wojny; dnia 8 ogłoszono ją publicznie (5), a parę dni późniéj stanął

---

(1) Słowa z listu komtura Ragnety do w. mistrza z datą am montage noch Laurencii. Arch. królewieckie. Szuflada XX. N. 124.

(2) Pamiętnik zakonu.

(3) List zastępcy marszałka do W. mistrza, d. Towynen ad vincula Petri [1409] r.

(4) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

(5) Annal. Thorun. w SS. rer. prussic. III. 301.

mistrz Ulryk z potężném wojskiem u granic Dobrzynia. Dnia 15 Sierpnia, król bawiący w Korczynie, otrzymał wypowiedzenie wojny a zarazem wiadomość, iż mistrz obległ Dobrzyń, przypuścił szturm i przy pomocy broni ogniowéj zdobył zamek i spalił. Dowódcę zamku kazał mistrz ściąć, a bez mordu, krwawéj zemsty srogich objawów, nie obchodziły się ówczesne wojny. To też mordowano niewiasty, dziewice, włościan w zamku i okolicy. Poczém pociągnął mistrz na Ratno (1) i Lipno i splondrował całkowicie miasteczka. Wyruszył daléj ku Bobrownikom i począł oblegać zamek. Na odgłos którychto czynów, wysyła zdeterminowany król do mistrza arcybiskupa i Macieja z Łabiszyna oraz innych panów korony, aby go namówili do zawieszenia broni. Odpowiedział mistrz krótko posłom: Przybyliśmy tu z wielkim kosztem, z wielkim nakładem zakonu; z próżnemi nie powrócimy rękami, musimy to sobie odwetować pozyskaniem zamków i krajów. A zatém, gdy mi oddacie zamki, Bobrowniki i Złotoryą, ustąpię z waszego kraju i przystanę na zawieszenie broni (2).

Ostrożniejszy aniżeli przedtém arcybiskup odpowiedział skromnie mistrzowi, iżby mu się zdawało, że tak król jak i jego rada przystaną na propozycyą Wielkiego mistrza. Proszę cię tylko mistrzu o jedno, abyś mi dozwolił pomówić z dowódcą Bobrownickiego zamku, jednakowoż tak, aby nikt z zakonnych panów nie był przy tém obecnym.

Mistrz zezwolił. Arcybiskup wraz z poselstwem udał się do zamku. Po chwili powrócił on i znowu prosił mistrza o 24-godziną zwłokę w dobywaniu zamku, aby mógł przez ten czas, radzie królewskiéj, która czekała nań za Wisłą, oznajmić treść przedłożonych warunków.

Mistrz i na tę prośbę zezwolił. Arcybiskup pośpieszył do zamku, jakieś tajemnice powierzył dowódcy Warcisławowi z Gotartowic i pożegnawszy mistrza, powrócił za Wisłę. W ślad za nim posłał mistrz dwóch komturów, aby w rzeczy dotyczącéj proponowanego zawieszenia broni przynieśli od rady królewskiéj odpowiedź. Rada panów koronnych odpowiedziała, iż do przystania na takie warunki nie ma żadnego pełnomocnictwa.

---

(1) Nomenklatury *Ratno* nie ma w ziemi Dobrzyńskiéj; najprędzéj mowa tu o Rypinie, o którym Długosz przy téj okoliczności wspomina, lubo to miasto nie leży wcale na drodze z Dobrzynia do Bobrownik. Między Lipnem a Bobrownikami jest wieś Radomice. (Przyp. red.)

(2) Pamiętnik zakonu.

Niecierpliwy mistrz chciał wnet przypuścić szturm do zamku bobrownickiego. Kazał się przeto zapytać dowódcy, czy chce poddać zamek dobrowolnie lub czy miałby go siłą oręża zdobywać. Sam dowódca Warcisław z dwoma rycerzami przybywa do mistrza i powtarza prośbę arcybiskupa o 24-godziną zwłokę. Załogę opanował strach i trwoga.

A gdy nazajutrz zeszło słońce, podjechał W. mistrz pod zamek i rzekł do ludzi, którzy na wałach straż trzymali: Już dzionek zaświtał, zaraz każę zatrąbić do szturmu, gotujcie się więc do obrony. Przestraszona tém doreszty załoga, postanowiła poddać zamek bez wszelkiéj próby oporu. Uczyniła to ona tém rychlej, ile że arcybiskup w tajemnéj rozmowie z dowódcą przyobiecał mu nocą przysłać 60 zbrojnych dla skuteczniejszego oporu przeciwko oblegającym krzyżakom. Przyobiecany posiłek nie nadszedł, a Bobrowniki zajął W. mistrz. Rozgniewany król odsądził Warcisława i innych rycerzy, którzy mogli bronić zamku a nie uczynili tego, od czci i sławy. Ze wstydu i sromôty dostał jeden z rycerzy, Bartosz Płomykowski, obłąkania umysłu, a i na jego potomstwo, dodaje Długosz, przyszła ta choroba (1).

Wielki mistrz pociągnął na zdobycie Złotoryi; przez ośm dni raz po raz przypuszczał on zacięty szturm w obec zwołanych na to groźne widowisko dziewic i niewiast z Torunia. Przerzedona załoga musiała się poddać. Dnia 2 Września zajęli krzyżacy Złotoryą.

Podczas tego, drugie wojsko krzyżackie, zostające pod dowództwem komturów Człuchowa i Tucheli rabowało na Krainie. Zajęli oni dwa zamki arcybiskupie, Kamień i Zempelburg. Spalono je do szczętu i posunięto się ku Bydgoszczy. Trzecie wojsko krzyżackie pod dowództwem komtorów Osterrody i Brandeburga pustoszyło graniczne okolice księcia Janusza mazowieckiego i uprowadzało wielką zdobycz w trzodach. Oddając wet za wet, posunął się syn Janusza z silnym oddziałem Litwy i Tatarów w ziemie zakonu i spalił Działdowo i 14 wsi okolicznych.

O królu polskim niczego nie można się było dowiedzieć, gdzieby przebywał i jakieby knuł zamiary (2).

Natomiast uwijał się arcybiskup gnieźnieński, aby odwieść zakon od dolegliwéj dla Polski wojny. Toż gdy mistrz zdobywał Bobrowniki, prosił go arcybiskup przez swego sekretarza, aby raczył doń wysłać Bartłomieja, dziekana warmińskiego; spodziéwa się bo-

---

(1) Dł. XI. 197.

(2) Annales Thor. i Posilge. SS. r. Pruss. III. 302, 303.

wiem, że przy pomocy tegoż potrafi zapobiedz wszystkiemu złemu. Mistrz skłonił się do prośby, ale nie oglądając się wcale na nią, zdobywał daléj zamki. Po kilku dniach przybywa napowrót dziekan Bartłomiej, zaklina mistrza na Boga i prosi, aby ustąpił z Polski, że arcybiskup spodziewa się, iż w tym razie potrafi wszystko załagodzić i ukończyć. Mistrz naznaczył arcybiskupowi termin w Radzyniu i przyobiecał, że tam mu odpowié. Tu tedy przybywa arcybiskup z dwoma kasztelanami. Mistrz przekłada znowu nadzwyczaj surowe warunki zawieszenia broni. Pokój wieczysty toruński miał być na nowo potwierdzony a państwo i pomocnicy obecni zakonu mają dokument urzędownie potwierdzić przyłożeniem pieczęci. Ani Polska, ani jéj król nie mają nieść pomocy Żmudzinom i Witoldowi, wrogom zakonu. O szkody poniesione, o które Polska oskarża zakon, mają rozsądzić sprawę polubowni sędziowie obu stron. Zdobyte obecnie twierdze ma zakon mieć w swém posiadaniu aż do rozsądzenia sprawy. Jeżeli król Polski będzie wieść wojnę z węgierskim, nie ma go wspiérać Witold, a gdyby król węgierski miał do czynienia z księciem Witoldem, nie ma mu nieść pomocy król Jagiełło (1).

Arcybiskup zauważył, iż nic nie miałby przeciwko warunkom pokoju; iż poselstwo chętnieby się na nie zgodziło, wyjąwszy artykuł ostatni, traktujący o królu węgierskim. Prosimy was tedy mistrzu, racz inaczéj sformułować te artykuły; my zaś te, któreście nam obecnie podyktowali, przedłożymy królowi i jego radzie. Kunktator znowu powrócił do Polski.

W parę dni przybywa do mistrza po raz drugi pisarz i sekretarz arcybiskupi i oznajmia mu, jako go prosi arcybiskup, aby raczył wysłać posłów do Torunia, dokąd on wyśle z odpowiedzią od króla i jego rady. Natychmiast posłał tamże mistrz komtura z Rogoźna i drugiego z Kowalewa. Długo oczekiwali oni poselstwa i odpowiedzi, ani arcybiskup, ani żaden z jego pełnomocników nie zjawiał się w Toruniu. Pamiętnik zakonu dodaje ironicznie, iż arcybiskup dobrze wiedział o przyczynie, która mu stanęła na przeszkodzie w daniu umówionéj odpowiedzi.

I w istocie, arcybiskup był kunktatorem. Podczas jego z umysłu udaremnianych rokowań, król Polski, o którym ani słychu nie było w ziemiach zakonu, krzątał się z całem zamiłowaniem i energią jaką w takim razie rozwijał, aby zadaną przez Ulryka hańbę odwetować na zakonie. Już po odebraniu wypowiedzenia wojny, nakazał on cichaczem powszechną wyprawę i kazał ją obwołać po

---

(1) Pamiętnik zakonu z r. 1409.

wszystkich swych ziemiach. Termin wyprawy był dzień 9 Września, a miejsce zboru Wolbórz. Na oznaczony termin zebrały się chorągwie z ziemi Krakowskiéj, Sędomierskiéj, Lubelskiéj, Ruskiéj i Podolskiéj, a król ruszył wnet w Łęczyckie. W szóstym dniu marszu stanęło wojsko u Bydgoszczy, odpiérając wszędy pierzchających krzyżaków, zostających pod dowództwem komtura Swieca. Ośm dni oblegało wojsko królewskie zamek, dwóch komturów padło już od pocisków z dział, załoga krzyżacka była w niebezpieczeństwie.

Podtenczas, a było to dnia 30 Września, właśnie gdy król zamek zdobył, a mistrz ze swym wojskiem na wieść o tym fakcie przeciw królowi spieszył, przybywają do króla posłowie króla rzymskiego i czeskiego Wacława, Konrad starszy książę Oleśnicki z synem, z kilku magnatami czeskimi i przedstawiają królowi, aby przystał na rozejm z zakonem aż do św. Jana Chrzciciela następnego roku; sprawy zaś sporne, żeby zdał na króla Wacława jako na pośrednika i sędziego, który 9 Lutego przyszłego roku orzeknie sąd pomiędzy nim a zakonem. Pięć dni krzątali się posłowie Wacława około uskutecznienia zawieszenia broni. Nareszcie zgodziły się obie strony na *status quo* zrządzony wojną, krzyżacy pozostali przy zdobytych zamkach; król przyrzekł, iż nie będzie wspiérać Żmudzinów ani tych, którzy Żmudzinom dopomagają; obie strony przyrzekały święcie pokój do św. Jana dotrzymać i, celem wysłuchania wyroku króla Wacława, wysłać pełnomocników na oznaczony termin.

Radców królewskich obrzucano obelgami i potwarzą z powodu „ohydnego wyroku,“ jak go nazywali zagrzani do boju rycerze polscy. Szczególniéj bodło ich, że król milcząco opuszczał Witolda. Długosz nazywa słusznie krok ten ze strony rady królewskiéj „ostrożnością i umiarkowaniem.“

A cóż się podówczas działo z synem Kiejstuta, z właściwym sprawcą obecnéj wojny? Oto skoro tylko krzyżacy wydali wojnę Polsce, rozesłał on przeliczne pisma do panów chrześciaństwa, usprawiedliwiając zajęcie Żmudzi i czekał chwili, kiedyby posłyszał o wkroczeniu Ulryka w granice Polski. Ciekawy ze wszech miar manifest Witolda, rozsyłany po całéj Europie, brzmiał jak następuje.

Królowie i panowie chrześciańscy! Lubo sprawy moje z zakonem wiecznym pokojem utwierdzone, pokój ten nie doznaje od krzyżaków żadnych względów sprawiedliwości. Niebezpieczny cios, który nam oni od dawna zadać zamierzali już utkwił w naszém sercu. A Bóg świadkiem, jakich oni odemnie doznawali względów przyjaźni, jakie dowody pomocy, świadectwa miłości zawsze im wyświadczałem. Częstokroć zasłaniałem ich od przemożnych Pskowian a celem podbicia niewiernych Żmudzinów użyczałem im zawsze pomocy.

A skoro tylko Żmudzini powstawali przeciwko zakonowi, ja podawałem środki jakby ich utrzymać w posłuszeństwie; a oni nas z tego powodu w podejrzeniu mieli i podczas trwającego z nami wiecznego pokoju, poczęli pod nami kopać wilcze doły, siać waśń i nieprzyjaźń pomiędzy mną a mym bratem królem Polski, któremu zamki jego, Drezdenko i Santok, zabrali. A gdy ich o to upominaliśmy, oni wysyłają do nas w poselstwie komtura, który — z bólem to wyznajemy — ośmielił się nas przezwać imieniem zdrajcy. Nawet gdy o zadośćuczynienie i zemstę wzywaliśmy zakon, nie uczynił on tego względem komtura, jakby mu prawnie uczynić należało. Płomienie nienawiści ogarnęły ich serca. Zakazali nam stosunków kupieckich z ich krajami a zbiegów i jeńców nie wydawali nam, łamiąc słowa przyrzeczonéj nam święcie wiary. A czyż może być większy powód do téj naszéj skargi, gdy oni z umysłu, wiedząc jaki głód panuje w naszym kraju, nie tylko że zakazali wywozu i sprzedaży zboża do naszych krajów, lecz nawet poważyli się zatrzymać własne nasze zboże, przysłane nam od króla Polski... Oni, którzy się wam, panowie chrześciańscy, uskarżają na nas i na króla Polski, jakobyśmy mało działali na korzyść katolickiéj wiary... Kłamliwemi usty i zdradzieckimi listami szérzą na nas skargi, a gdyby cnotę mieli w sercu a uczciwość i honor szanowali, zaprawdę wiedzieliby i uznali, jaka hańba spływa na nich samych z powodu owéj skargi. Skromność nasza nie pozwala nam szczegółowo wymieniać domy boże, któreśmy wystawili wszędy; po wszech ziemiach naszych dowodzą one wzrostu świętéj wiary. Odwołuję się do sumienia waszego, panowie chrześciańscy, którzy gdybyście usłyszeli z naszéj strony głos skargi na krzyżaków, dowiedzielibyście się ich mnóstwo o bezbożnych ich zamysłach i zbrodniczych czynach. Oni to za winę poczytują nam nowochrzceńcom, którzy dopiéro od 24 lat stoimy przy wierze chrystusowéj, iż nie udowodniliśmy jéj po wszech naszych ziemiach budowaniem kościołów; oni zaś, którzy od zgórą 200 lat dzierżą pruską ziemię, dla czegóż się nie usprawiedliwiają, dla czegóż nie odpowiadają, iż ich Prusacy do dziś dnia obrządków pogańskich nie złożyli? Niech opowiedzą, których to Żmudzinów ochrzcili, a przecie od pięciu lat posiadali tę ziemię. Dlaczegóż milczą, nie usprawiedliwiając swych błędów? źdźbło widzą w oczach naszych, w swoich nie chcą widzieć belki. Zaprawdę mówię wam, mowy ich pełne kłamstwa i przewrotności. Gdy bowiem dobrze o sobie mówią, czynią to jako sofiści, zmierzając pod pozorem dobréj zasady do złych czynów; a gdy źle o kim mówią, czynią to we własnéj obronie, własne zbrodnie na drugich składając. Cały ich żywot, wszystkie ich zamiary zdążają ku temu, aby o pokoju myśląc nienawiść rozsiewali, pod pozorem pra-

wdy oszukiwali bliźnich, przyjaźnėm oblicza świecąc blichtrem, zaprawiali swym przyjaciołom jad nienawiści; aby gołębicy przybiérając postać, zadawali bliźniemu ukąszenia jadowitéj żmii.

Cierpkim słowom Witolda, towarzyszyły równie cierpkie dla zakonu jego działania. Swe pismo do królów i panów Europy, kończył on słowami, iż zapobiegając klęskom jakichby doznać mógł od krzyżaków, na ich zasadzki odpowiadając równą bronią, chociaż nie z umysłu, wziął on w obronę Żmudzinów, aby pod ich pokrywką walczyć przeciwko zdradzieckiemu zakonowi. Dotychczas atoli nie wyciągnął miecza z pochew, oczekując kroku zaczepnego ze strony krzyżaków. Lecz skoro tylko dowiedział się, iż Ulryk Jungingen, wypowiedziawszy wojnę Jagielle, napadł na Dobrzyń, wnet wyruszył on ze swą armią ku granicom zakonnym. Zamki żmudzkie poddawały się zwycięzcy. Sołtys Kuchmejster, czy to ze strachu, czy też z powodu słabości jaka panowała na zamku Dubissie, spalił zamek i z załogą uciekał ku granicom zakonnym (1). Cała Żmudź poddała się księciu. Tysiące kolonistów, mnóstwo braci zakonnych uprowadzano w niewolę do Litwy, ztamtąd zaś, aby ucieczkę utrudnić, kazał Witold jeńców podzielić na oddziały i gnano jednych do Witebska i Smoleńska, drugich do Nowogrodu, innych do Kijowa, część zaś do Tatarów. Witold Niemnem ciągnął na północ, przybył pod Kłajpedę, lecz zamku nie zdobywał: czy to, że za silnie był obwarowany, czy też książę inne żywił zamysły—nie wiadomo.

Wtém nadeszła wiadomość o traktatach celem zawieszenia broni. Witold poczynił stosowne kroki wojenne na Żmudzi i granicy litewskiéj od spodziewanego napadu ze strony zakonu; Swidrygiełłę, którego przyprowadzili mu wyzwani na pomoc Tatarzy, kazał strzedz i pilnować jak oka w głowie. Tatarów zdobyczą i łupami hojnie wynagrodzonych rozpuścił do domu, sam zaś w kilka ludzi pogonił do króla polskiego (2). A gdy zawieszenie broni przyszło do skutku — wiedzieli krzyżacy, iż książę obwołał pospolite ruszenie na wypadek, gdyby zakon poważył się napaść na Żmudź lub Litwę. Pomimo to atoli nakazał książę zawieszenie broni i w swych krajach dotrzymywać. Ostrożni krzyżacy jeszcze nie pewni byli zamysłów książęcych; to też miasto niepewnych skutków wojny, potrafili oni przywabić do Swieca Swidrygiełłę i jeszcze raz zawarli z nim w piérwszych dniach Października układ, mocą którego przyrzekli wspiérać i odzyskać mu jego ojcowiznę. Nadto przyobiecali mu krzyżacy wolny

---

(1) SS. r. Prussic. III. 303.

(2) List marszałka zakonu do W. mistrza DD. Ilow am sontage nach exaltacionis crucis. Arch. N. Z. Szuflada XX. N. 3.

pobyt we wszystkich ziemiach i zamkach zakonu (1). Było to zabezpieczenie się księcia ze strony Witolda, w razie, gdyby położenie jego w domu książęcym było nieznośne. O tajemnym tym traktacie nikt nie wiedział. Przebiegły atoli Witold wnet domyślił się wszystkiego, i zanim Swidrygiełło miał czas się spostrzedz, pojmali go wysłani za nim w pogoń tajni słudzy Witolda. W parę dni po tym traktacie, siedział Swidrygiełło w ciężkich okowach, w ciemném więzieniu u księcia Witolda, przeciw któremu zdradzieckie knuł zamiary. Po czwarty już raz zamierzał mię zdradzić wasz brat, pisał Witold do króla Jagiełły, zapytując coby miał z nim uczynić.

— Wytocz przeciwko niemu śledztwo, a jeżeli przekonasz się o zdradzie, osądź go według prawa—miał na to zapytanie król zimno odpowiedzieć. Książę kazał wytoczyć śledztwo, przyczém skompromitowanych było kilku innych książąt i bojarów litewskich. Witold kazał pojmać przekonanych o zbrodnię i publicznie ściąć na rynku miasta. Na własne oczy, opowiada szpieg komtura Ragnety, widziałem jak książę ściąć kazał dwóch książąt przekonanych o winę w zdradzie Swidrygiełły, a powiadają tu powszechnie, że i Swidrygiełłę podobny los oczekuje (2).

Nienawistna fortuna zachowała atoli Swidrygiełłę od srogiéj zemsty Witoldowéj—odpokutowywał on swe grzechy w ciemnicy.

Krzyżacy osłupieli, widząc dowody olbrzymiéj energii księcia. Pod pozorami najrozmaitszych próśb i zadań starano się obecnie przez pojedyńczych komturów wywiedzieć o zamysłach śmiertelnego tego wroga zakonu. Komtur Ragnety prosił też podówczas, aby mu książę dozwolił zwieść drzewo, które miał na Szeżuppie. Dziwi mię twa prośba, kazał książę odpisać przemądremu komturowi. Wszakże pisał nam król z Polski, iż pomiędzy nim a zakonem, pomiędzy wszystkimi, którzy jego wspiérają i tymi, którzy stoją po stronie zakonu, panuje zawieszenie broni aż do ś. Jana przyszłego roku. Prosił nas tedy król i zaklinał, abyśmy wam do tego terminu nie wyrządzali szkody i nie wiedli z zakonem wojny. Nakazałem moim poddanym pod karą miecza, aby, was nie napastowali; spokojni tedy o nich, możecie sobie wasze drzewo zwieść do zamku (3). Tego tylko chciano wiedzieć w zakonie. Gdy atoli i o tém nie zamilczali komturowie

---

(1) Dokumenta datowane Schwetz feria V proxima post fest. Michaelis 1409 fol. C. p. 149, i drugi quarta die octobris 1409, ibidem f. 150.

(2) List komtura Ragnety z datą: Tilsit an der mitwoche vor Barbare. Reg. Missive fol. 290.

(3) Kopia listu Witolda z datą: Neugarthen am dinstage nach Elizabeth, tj. 27 (?) Listopada (r. 1409).

zakonni, że Witold całkowicie gotów do boju, że nakazał bojarom, aby, nie napastując zakonu, spokojnie przygotowywali broń i żeby ani na chwilę nie marzyli o pokoju i o tém, że zakon odłożył wojowniczą chęć napadnięcia na Witolda, że wysłał do króla Jagiełły 20.000 kop groszy celem najęcia żołdowników. Uczynił on to tém bardziéj, że Inflantczycy, odpokutowując napad na Litwę, musieli z Pskowianami i Nowogrodzianami (którzy obecnie w sojuszu z księciem będąc, zwycięzkim orężem odwetowali krzywdę księcia na północnych ziemiach Inflanckich), uczynić zawieszenie broni z cztérotygodniowém wypowiedzeniem wojny. Wielki książe moskiewski, sojusznik Witolda a wróg zakonu, przystąpił również na prośbę mistrza Inflanckiego do podobnego zawieszenia broni (1).

Ba, nawet postawa Witolda, o którym „nigdy zakon nie wiedział, co za plany przemyśliwał ten najniebezpieczniejszy wróg jego,“ wlała w wojenne serca rycerzy zakonnych pewien zgubny dla zakonu rodzaj goryczy—niedowierzania. Z którego to powodu pewna nieświadomość planów, pewne zakłopotanie malowało się na obliczach i w działaniach krzyżaków. Toż gdy oddawna już wysłany poseł zakonu Krzysztof Gersdorf powrócił od króla Zygmunta do mistrza i zapewniał o czynnéj pomocy Węgier przeciwko Polsce i Witoldowi, wysłali go krzyżacy do Witolda, aby wybadał myśli księcia. Krzysztof udał się do Witolda z zapytaniem, czy książę ma zamiar dotrzymać zawieszenia broni do św. Jana. Dotrzymam, miał odrzec Witold. Lecz żywiąc wielką niechęć ku królowi Zygmuntowi sprzyjającemu krzyżakom, usadowił Krzysztofa, w charakterze posła doń przybyłego, przy końcu stołu, buntowniczych zaś Żmudzinów tuż obok siebie i karcił ostremi słowy króla Zygmunta, iż nie dotrzymywał poczynionych mu zobowiązań. Krzysztof usprawiedliwiał swego pana, Witold obstawał przy zarzutach, a obdarowawszy Krzysztofa, kazał go odwieść do granic zakonu (2).

Teraz dopiéro odetchnął zakon wolniéj, gdyż postanowił, zupełnie zabezpieczony ze strony Witolda, dotrzymywać i z nim zawieszenia broni. A tak wolne mając ręce poczyna zbroić się z wytężeniem wszystkich sił i środków tak dyplomatycznych jak i pieniężnych ku przyszłéj wojnie. Po całych Niemczech, w hanzeatyckich miastach, u królów Anglii i Francyi, po całym zachodzie Europy zbiérano rycerzy i ludzi wojennego rzemiosła na wielką wyprawę.

---

(1) Cytowany list komtura Ragnety z 26 Listopada r. 1409.

(2) List komtura Ragnety do W. m. z datą fritag . noch sinte Urbans tage. Arch. Król. Szuflada XVII. a. N. 109. a.

Z największą energią pracowano nad zabezpieczeniem sobie sojuszników i przyjaciół.

A i po przeciwnéj stronie działania przedwstępne były nie mniéj olbrzymie. Od stóp gór Karpackich do Połągi i do Fińskiéj zatoki, po całéj Polsce, Litwie, Rusi, Tatarzech i Wołoszczyźnie nie mówiono o niczém jak tylko o wielkiéj wojnie, na którą kazał się przygotowywać Jagiełło i Witold. Wszystkie krzywdy, urazy, wszystkie swary i partykularne zachcianki, znikły przed olbrzymią ideą, jaką przedłożyli swym ludom bohatérowie téj wielkiéj epoki dziejowéj, Jagiełło i Witold.

Ciekawy ten obraz, niezwykłe przedstawiający zjawisko w całéj słowiańszczyźnie, należy już atoli bezpośrednio do bitwy pod Grunwaldem.

*A. Prochaska.*

# KASIA I MARYNKA.

Z PAPIÉRÓW POZOSTAŁYCH

po

**GABRYELLI.**

---

## II.

(*Dalszy ciąg*).

Kiedy ostatnie słowa tego długiego listu przeczytałam, musiałam czoło obiema rękoma podeprzéć i zamyśliłam się głęboko. Osobliwszy dzień dzisiaj! wieleż to już kwestyj na mózg mi spadło ciężarem nielada, trzeba zrachować: Jaka metoda w uczeniu się najlepsza od ogółu do szczegółów, czy od szczegółów do ogółu? to jedno. O przesileniu europejskiém — N. B. przypominam sobie, że kiedy jeszcze gładko sylabizować nie umiałam, już wtedy starsi koło mnie o jakiémś przesileniu Europy głośno czytywali, teraz, gdy sama od tak dawna czytuję, Europa jeszcze się przesila; to kwestya druga, o językach cudzoziemskich, to trzecia, o pogodzie, o agronomii, o praktycznéj estetyce, o tém, co zrobię za parę miesięcy, o tém, co będę jadła wieczorem, to już czwarta, szósta, ósma. I na domiar wszystkiego dziewiąta przybywa, jak się zdaje najnaglejsza, a taka zawikłana! Co to znaczy? muszę zajrzéć do kalendarza, nad datą się zastanowić — ba! gdybyć tylko o jeden dzień bieżący chodziło! lecz to rokiem całym, dziesiątkami lat się snuje. Pytania, pytania i ciągle same pytania!

Prócz widzialnego zodyaku musi być chyba jeszcze inny pas niewidzialnych konstelacyj, otaczający wiekową drogę słonecznego systematu i zachowujący wszystkie wpływy, które niegdyś za błogosławionych ślepéj wiary czasów, gwiazdy, planety, księżyce i komety, na los każdego człowieka wywiérały... Alboż wtedy człowiekiem nie warto było się urodzić! Światła empirejskie czekały na twoje przybycie synu Adamowy! złotemi literami pisały, co się zowie pisały z góry historyą twego żywota, biegły rozszalałe boleścią z po-

targanym warkoczem o śmierci twojéj zwiastować... Dzisiaj, choćbyś był panem według marzeń Cezarów i Karolów V-tych, na najbliższym sąsiedzie księżycu już nic o tobie nie wiedzą, własną biografią sam układać musisz; mus taki niewygodny a kiedy umrzesz ty, jaśnie wielmożny, machinami parowemi, ty, jaśnie oświecony, światłem elektrycznem, ty Światowidzie przez teleskop i mikroskopy; kiedy umrzesz, to pomimo najsutszego pogrzebu i najpatetyczniejszéj mowy oratora, nic się w porządku ziemskim ni nadziemskim nie zmieni, a dziady pod kościołem siedząc, na całe gardło śpiewać będą:

Z drogiéj purpury śmierć króla wyzuje
Złotą koronę piasek przysypuje,
Z głowy najwyższéj wszystko rzuca w błoto
Perły i złoto.
Śmierć w morzu, w ogniu, na powietrzu złowi,
Trudno przed śmiercią skryć się człowiekowi.
Wszędy cię porwie, do grobu zawlecze,
Nędzny człowiecze!

Więc lepiéj dawniéj bywało... pysznym i próżniakom szczególniéj. Zastawali życie niebieskiemi hieroglifami podyktowane, gotowiusieńkie do przeniesienia od wschodu do zachodu. Ja wprawdzie pyszną, nie mam z czego być, nawet gdybym chciała; lecz co do kategoryi próżniaków, to z pewnemi wyosobniającemi różnicami, urodziłam się w niéj niestety, a zatém i do bractwa żałujących należę po części. Utratę zaprzeczonych mi z gwiazdami stosunków, pragnę sobie innym wynagrodzić sposobem. Znalazłam hypotezę o niewidzialnym pasie konstelacyj; całą siłą chcę się trzymać téj słabéj pociechy. Im więcéj się nad nią zastanawiam, tém więcéj prawdopodobieństwa w niéj upatruję. Stary zodyak pewnie się już zużył, przez lat tysiące do szczętu wyekspensował swoję siłę wpływową, nic dziwnego przeto, że uczonym epoki teraźniejszéj bez wielkiego mozołu spostrzédz się to dało, i nic dziwnego, że spostrzegłszy, nam nieuczonym, stanowczo, jak, że dwa a dwa są cztéry, téj prawdy dowiedli. Zodyak niewidzialny wszelako mniéj na rozkład, mniéj na działanie chemiczne naszych oczu i naszych rozumów wystawiony, zachowuje się według praw przedastronomicznych, to jest zachowuje się astrologicznie. Pewnie to znaczy *astro* gwiazdowo-*logicznie*? no, rzecz prosta, znaczy *logicznie*, z sensem, logiką; więc można powiedziéć, że się zachowuje z logiką gwiazdową; gdy przeciwnie ten *widzialny* jest jakimś *nomicznym*, a nie logicznym. Uderza mię w téj chwili błyskawica prawdziwie kłopotliwego syllogizmu. Zodyak widzialny nie jest logicznym, ludzie widzialni także, z nader małym wyjątkiem, nie są logiczni; ergo: zodyak nie stracił wszelkiéj moralnéj

i umysłowéj z ludźmi łączności... Nie, nie, nie — *vade retro*, Szatanie syllogizmu!

Zakazuję sobie mieszać się w sprawy tak stanowczo dowiedzione jak to: że „dwa a dwa są cztéry;“ wracam do hypotezy i do smutków, z których się urodziła.

Na niewidzialnym, astrologicznym zodyaku, cała ziemia nasza z całém niebem swojém, niezawodnie teraz w znak *zapytania* wstąpiła. Przed stoma laty o tym czasie była w znaku *przeczenia*; na przyszły wiek może będzie w znaku *twierdzenia*, co się wykłada „prawdy,“ a jeśli nie prawdy, to przynajmniéj tryumfu jakiegoś; a jeśli nie tryumfu, to przynajmniéj spokoju, a jeśli nie spokoju, to przynajmniéj siły; a jeśli nie siły to przynajmniéj rezygnacyi; a jeśli nie rezygnacyi, to przynajmniéj doskonałego ogłupienia. Dzisiaj tego wszystkiego, zacząwszy od prawdy, a skończywszy na głupocie, tego wszystkiego ziemia po trochu ma jedynie; w dozach bardzo jeszcze skąpych, lub już nie wystarczających. Dzisiaj jest w znaku *zapytania*.

Prawa społeczne i najosobistsze skrupuły sumienia, fakta historyczne i nowiny brukowe, szczęście i boleść, wszystko jest zawieszone na tym haczyku symbolicznym, który się z okrągłą kropką u spodu drukuje. Bo też obecnie nasza okrągła planeta jest pod znakiem zapytania. Ludzkość cała jest zapytującą. Kłamcy jedynie twierdzą. Święci tylko nie pytają. Pewności zostało tyle ile jéj przeszłość uzbiérała w arytmetyce i geometryi lub co w naturę kilku rozumnych, kochających a dzielnych przesiąknęło i co ma na zawiązek przyszłości wystarczyć. Oprócz liczby, miary, wagi i garstki Nazarejczyków, cała resztująca masa rzeczy i osób, jakoby ul pszczelny dymem wszech zagadnień podsycona, wiruje nad otchłaniami, a pszczoły wcale nieharmonijnie brzęczą i wściekle żądłami kaleczą, gdy nie są wyrobem miodu zajęte.

Wcale ja nie krytykuję położenia, nie przeklinam wypadków. Spostrzegam jedynie, że są takie a takie. W obserwatoryach zapisują meteorologiczne spostrzeżenia bez pochwał i nagan przecież — dnia 10-go Maja 18** roku, powietrze ciężkie i duszne. Ach jakie duszne! jakie ciężkie! Gdzie tu sens jednak nad powietrzem utyskiwać? potępiać deszcz padający, apostrofować wiatr, co wieje? wymyślać na mgłę co nam wzrok przesłania? Naszą rzeczą zbadać przyczyny, owładnąć, jeśli można kierunek; jeśli nie można to spożytkować przypadłości; ale ganić, chwalić—szaleństwo! Że ludzie pytają, urągać lub przyklaskiwać? nie mam prawa, Boże odpuść... mnie saméj od tak dawna, tak szczerze szukającéj różnych odpowiedzi, chmary jeszcze zapytań po głowie wirują, takie chmary, że jednostkami wyliczyćbym nie mogła, zaledwie część jakąś w porządniejsze ściągnęłam rubryki

i tytułami odznaczyłam. Jest rubryka z tytułem psychologii ogólnéj, druga z tytułem dziwaczności historycznych, w trzeciéj są: tajemnice naukowe; w innych: fatalizmy indywidualne, a rubryk dla mojéj wyłącznéj osobistości jak wiele! Z losu, z uczucia z domysłów, z nieufności, z przeszłych doświadczeń, z niespożytych nadziei, z gorzkich zawodów, z siurpryz niespodziewanych... Oho! mogłabym przez długie lata wszystkie wyrocznie delfickie utrapiać i wszystkim powiernikom się sprzykrzyć, choćby cierpliwsi byli od tych, którzy w tragedyach Rasyna występują. Ja przecież nikogo nie zaczepiam; obywam się jak mogę. Gdyby mi dano pomoc, gdyby nasunięto odpowiedź; ręce i nogi bym ucałowała, na intencyą dobroczyńcy jarzącą świecę zapaliłabym w częstochowskim kościele, a przypuściwszy, że umiérając miałabym obok siebie kochającą mnie do pożegnania istotę, to owéj, jedynéj kochającéj, nie za moję duszę, lecz za szczęście odpowiadającego poleciłabym paciérze. Nikt jednak nie odpowiada; a ja pytam ciągle.

Pytam z psychologii ogólnéj: Czemu w złych ludziach do złego więcéj energii, niż w najlepszych ku dobremu? Czemu zbójca śmieléj zabija, niż świadek obroni? Czemu złodziéj przemyślniéj i weseléj ukradnie, niż cichy prostaczek zapracuje? Wszakże to kiedyś Ormuzd ma Arymana zwyciężyć, a Ormuzd ciągle takim mazgajem... Czemu wśród ludzi daleko trudniéj upowszechnić najprzystępniejszą prawdę, niż kłamstwo najniedorzeczniejsze. Że kometa w roku 1858 ziemię rozbije, to całe miasta i powiaty natychmiast uwierzyły, a że uczyć się trzeba i żyć poczciwie i nie pić, nie zbytkować, nie tracić czasu w próżniactwie, by tu i w niebie zbawienia dostąpić: to całe miasta i powiaty, to pan Ludwik i pan Józef, to Kasper, Melchior i Baltazar, to przeróżni panowie i niepanowie do obecnéj chwili, w któréj piszę, uwierzyć jeszcze nie mogą. Prawda jednak rzeczywistością jest, ciałem, bytem, światłem. Kłamstwo zaś to nicość, niebyłość, to ciemność owa i próżnia, któréj żadne przyrządy uczonych wytworzyć nie umieją.. Czemu potwarz nikczemna tak głośném i szybkiém echem rozchodzi się wszędy, a sprawiedliwe ocenienie zasługi tak wolnym wlecze krokiem, tak wolnym!... Ledwie czasem przy położeniu nadgrobnego kamienia się stawi. Że Kołłątaj był ambitnym samolubem, to kraj cały obiegło, że był człowiekiem wyższych zdolności, żelaznéj pracy, jaśniejszego wzroku, to ledwie teraz wykazywać się zaczyna. Zdaje się, że ten co chwali przyjemniejszego doznaje wrażenia, w milszém, rozkoszniejszém jest usposobieniu od tego, który się widzi do nagany zmuszonym, więc choć przez egoizm powinnibyśmy częściéj chwalić niż ganić, my daleko częściéj ganimy niż chwalimy. Gdyby istotnie z pod nagany nic zdrożnego

usunąć się nie zdołało, uszanowałabym jéj pożyteczność... ale cała prawie Francya dotychczas uwielbia Ludwika XIV, cała prawie Europa Maryą Stuart, połowa z nas przynajmniéj czołem bije przed Napoleonem I... Czemu byle sofizmat tłumy roznamiętnia, a najświętsze oczywistości trudno do serc wnikają? Czemu rzemieślnik paryski prędzéj upił się komunizmem niż Wandejczyk dobrodziejstwa wielkiéj rewolucyi zrozumiał. Czemu łatwiéj o wojnę religijną, niż o wprowadzenie chrześciańskiéj ustawy, o chrześciańską cnotę i obyczaj? Czemu tyle kobiét nad piszącemi ekierkami lub przy wirujących stolikach długie trawiło godziny, a żadna z nich porządnéj naukowéj książki o higienie nie przeczytała?

Co do dziwaczności historycznych, pytam? Czemu szlachetny Filopemen nie mógł Grecyi ocalić, gdy przedajny, chciwy, nikczemny Marlborough ocalił konstytucyjne Anglii odrodzenie? Czemu Kolumb nie mógł swego nazwiska do całéj Ameryki przyćwiekować, gdy Sardanapal, król bardzo w bitwie i w śmierci odważny, pomimo nawet pięknego dramatu Byrona, swego znów imienia z synonimem zniewieściałości rozczepić nie może? Czemu wiedzą kto spalił świątynię w Efezie, a nie wiedzą kto plan katedry kolońskiéj nakreślił? Czemu piérwéj wynaleziono proch i armaty, niż machiny parowe?

Z tajemnic naukowych pytam o wszystko, co widzę, pytam każdéj książki, którą w rękę biorę. Chciałabym, żeby jak najprędzéj spór o wymoczki samorodne był roztrzygnięty, żeby odkryto ogólne prawo tych prądów magnetycznych, co w różnych a jednak stałych kierunkach kulę ziemską przebiegają, nie zupełnie jestem o naturze gwiazd przelatujących objaśniona, o wnętrzu naszéj planety mam bardzo mętne wyobrażenie, z każdą wyprawą do bieguna północnego, roje przypuszczeń, domysłów i nadziei budzi się w sercu mojém; a cobym ja nie dała za to, gdyby geologia z matematyczną ścisłością mogła mi oznaczyć stosunek kataklizmów do powolnéj formacyi naszego lądu, wyrachować kolejność, lub zależność współdziałania gwałtownych wstrząśnień z ciągłą pracą nieskończenie drobniutkich przyczyn i czynników. Byłabym też równie wdzięczna temu, coby mi dowodnie wykazał, czy Papuasy należą do zatrzymanych w dzieciństwie, czy do niszczejących w zgrzybiałości plemion? czy się nie umieli rozbudzić do życia, czy już na śmierć zasypiają, upadkiem li, czy piérwotnością jest stan australijskich wyspiarzy, amerykańskich Karapuchów i Buszmanów w Afryce?

Zdaje mi się jednak, że z większą jeszcze niecierpliwością wyglądam coraz dalszych zastosowań tego genialnego odkrycia, które w nerwach wstępną i zstępną elektryczność rozróżniło; o ileby też podobném być mogło zbadanie pod tym względem nerwowego stanu

różnych temperamentów ludzi rozumnych i głupców, energicznych i leniwców; kochających i obojętnych, kapryśnych i spokojnych!

A mam też wiele innych, kumoszkowatych, że tak powiem ciekawostek: Czy Semiramida używała chustek do nosa? Czy matka Alcybiadesa blondynką była, czy brunetką? W jakich słowach piérwszy komplement Marek Antoniusz Kleopatrze powiedział? Jak była Katarzyna de Medicis ubrana w dzień rzezi św. Bartłomieja? Jakiém dzieckiem był Robespierre do siódmego roku swego życia? czy płakiwał, i o co płakiwał, czy się kłócił i o co? jak się kłócił z innemi dziećmi? czy pieścił się z matką? Gdybym też mogła Dzyngis-hana widzieć przed sobą w naturalnéj postaci, w powszednich sprawach codziennego życia! jeśli był smutnym kiedy? lub rozrzewionym; co też Filipowi II śnić się mogło, gdy zasnął po jakiéj *autoda-fe* uroczystości? i t. p. i t. p.

Z fatalizmów różnogatunkowych; pytam: Czemu Cezara zamordowano, Henryka IV zamordowano, a Oktawiusz po długiém życiu spokojnie umarł imperatorem? Czemu Hoche, Dessaix, Marceau, Sułkowski tak młodo poginęli, a Marmont przeżył Bonapartego i Sebastiani własną córkę swoję? Czemu św. Wincenty a Paulo musiał szpitale dla podrzutków zakładać, a Zygmunt August bezdzietnie zstąpił do grobu? Czemu? czemu? Czemu ci moi nie idą razem, a ci nie moi tak silnie za ręce się trzymają? Czemu ten niedołęga drze się do znaczenia, a ten zdolny i poczciwy nie ma dość rzutkości, by na przodzie stanąć? Czemu ten może, a nie umié? ten umié, a nie może? Czemu jest smutnym on kochający i kochany? czemu wesołym tamten, co łzy wycisnął? Czemu Grześ się urodził? Czemu Antoś ożenił? Czemu Pawełek umarł?...

Mnóstwo całe tym podobnych zadziwień moich na bok usuwam, lecz są inne, bliższe, właśniejsze; tych usunąć niepodobna; są ciągle zemną, we mnie, są mną.

Czemu to tam, nie tutaj? czemu wtedy, nie teraz; czemu teraz, nie wtedy? czemu za wcześnie? czemu za późno? czemu nigdy? Czemu uważam na téj szpileczki ukłócie? czemu się takim drogim klejnocikiém nie cieszę? Czemu zapragnęłam tego, czego mieć nie mogłam? Czemu nie dosyć wyzyskałam to, co mi było podarowane? Czemu popełniłam tyle złego, chociaż nigdy złe ani celem, ani powodem zamiarów moich nie było? Czemu nie wykonałam najdrobniejszéj cząstki nawet tego dobra, które szczerze jednak i odważnie przedsięwzięłam? Czemu jedni mi wymyślają od idealistek, drudzy mię o prosty realizm skarżą? Czemu konwalii nigdy sama osobiście w żadnym lecie nie znalazłam, a pokrzywami w starannie nawet uprawnych ogrodach tyle razy ręce sobie poparzyłam? Czego chce odemnie ta balsamina! czego ja chcę od tego słonecznika? Dla czego

Pani Heloiza przyszła właśnie wtenczas, kiedy tak swobodnie z moją Manuelitą rozmawiałam? Dla czego pan Michał nie zastał mię w domu? dla czego zastał pan Fryderyk? Za co mię pewna koterya nie lubi?.... a za co ty mię kochasz czysta, bogata duszyczko.

Ależ dosyć, dosyć o tém—myślałby kto, że mu się o rozwiązanie tych wszystkich supełków przymawiam; ja zaś „tak sobie“ na ćwiczenie w pokorze niektóre bliższe do pamięci zwołałam i na ulżenie sercu, bo już we dwoje się łamię pod takim ładunkiem. Nic dziwnego gdy potém od cudzych paczek uciekam. Bezmiar tych pytań, z któremi sama się noszę, wystarczyłby na trzy za długie życia, ludzie jednak przez pustotę, nieoględność, lekceważenie raz po raz nowych dorzucają. Zaciągną biedną duszę w rozmowę? buch! z rozmowy pytanie wypryskuje. Biedna dusza przylega do jakiéjś sympatyi swojéj, wnet o pytanie, niby mucha o szklaną szybę zamkniętego okna uderza. Biedna dusza ma przyjaciół; pytają, ma nieprzyjaciół; pytają. Uczniowie pytają mistrza, pytają faryzeusze; pytają—jéj, o nią, o siebie......

Ach! gdybym umiała odpowiadać! gdyby mi starczyło rozumu przeciw wątpliwościom, siły przeciw utrudzeniu, cierpliwości przeciw złéj wierze, poświęcenia przeciw grzechom, świętości przeciw bluźnierstwu na każde zawołanie, stawiłabym się z sakramentalném słowem, ale ja nie umiém, mnie na nic nie starczy! Zarażam się tylko coraz gorzéj epidemią niepewności. Syntezy mozolnie uklejone, prawdeczki w pocie czoła uzbiérane, kruszą się i rozsypują od potrącenia obcych zagadnień. Do mojéj własnéj, przybywa cały dowóz zewnętrznéj cudzéj ciekawości. Jeśli nie śpię potém, ciągle czegoś ciekawą być muszę.

Ciekawą na śniadanie, ciekawą na obiad, ciekawą na wieczerzę, ciekawą w cierpieniu i w radości; ciekawą w chorobie i w zdrowiu, ciekawą, gdy przechodzę przez ulicę, ciekawą gdy siedzę na moim zielonym fotelu. Ciekawą bez wypoczynku, ciekawą bez obietnicy rozpoznania; ciekawą aż na śmierć i do śmierci.

Oj! ta Marynka, jakiego mi ona kłopotu napędziła!... Z pokorą wyznać tu muszę, że wtedy jeszcze, choć już w bardzo dojrzałych latach, nie zupełnie się otrząsnęłam z dwóch młodocianych słabostek. Najpierwéj z wiary „w siłę przekonania“—a potém, z osobistego współudziału we wszystkiém, co spotykało, lub spotykać mogło bliższe mi pojęciami i przyjaznym stosunkiem osoby: byłam, co się zowie, ultra we wszelkich odcieniach solidarności. Niechże mię tylko nikt nie posądzi, żem się teraz wiary w prawdę wyrzekła, dla tego, żem o czynnéj sile przekonania zwątpiła: lub co gorzéj, że jestem obojętniejszą na przyrody moich ukochanych, dla tego, że się

wcale do ich spraw nie mieszam. To są nader różne rzeczy. Moja dawna wiara w siłę przekonania okazała się po prostu niepraktyczném zastosowaniem zbyt ogólnego aksyomatu, że ludzkie błędy i zdrożności, a tém samém ludzka dola i niedola z braku jedynie właściwego sądu o rzeczach wynikają. Złodziéj kradnie, łotr rozbija, pan X. kłamie, pani Y. chłopców bałamuci, państwo Z. ludzi krzywdzą i wszyscy inni, co źle postępują, to pewnie sobie złe przekonanie wyrobili. Gdyby im świeczkę dodatnią w mózgu zapalić, a światło jéj na trafny punkt skierować, gdyby krótko mówiąc, przekonać ich o czém, wnet zmienią swój sposób życia, poprawią się, udoskonalą i będą najlepszemi w świecie istotami. A ty, przekonywający, czy sam najlepszym jesteś?... Nie zwróciłam na tę arcy ciekawą, choć arcy konsekwentnie podsuwającą się kwestyą dostatecznéj uwagi. Wyobrażałam sobie ciągle, że nasze wady, przestępstwa, nieszczęścia są zawsze tylko, „niepoznaniem prawdy" i za to dzisiaj, wstydzę się należycie.

By młodszym odemnie, lub równie nieoględnym podobnego wstydu oszczędzić, pozwalam sobie nawiasową wtrącić tutaj uwagę.

Złe niekoniecznie bywa brakiem przekonania o prawdzie; najczęściéj jest ono prawdą jasno widzianą, jest czasem i uznaną prawdą, tylko za trudną, lub odepchniętą; prawdą, któréj nie umiemy wykonywać, któréj nam się nie chce, która w przywyknieniach i skłonnościach naszych odpowiednich sobie nie znajduje narzędzi, lub prawdą wyraźnie wstrętną, która znajduje w osobistości naszéj tak przeciwne sobie żywioły, że z wyboru, z całéj siły naszéj woli wzgardzoną i odepchniętą zostaje. Złe więc jest niedołęztwem lub szatańtwem. Mój Boże jakby to gładko szło życie, jak symetrycznie, równiuteczko snułby się wątek historyi powszechnéj, gdyby ludzie jedynie według zasad złych, lub dobrych działali, gdyby przekonania o ich cnocie, lub zbrodniach stanowiły. Toż każdy student, a cóż dopiéro profesor uniwersytetu, byłby wzorem obywatelstwa, każdy autor moralny wcieloną moralnością; każda, poezyą wzruszona kobiéta, gotowym do wzniosłego poematu materyałem. Przed kratkami sądów kryminalnych stawaliby sami ciasnéj głowy i nieokrzesanego umysłu zbrodniarze, a byle całą kulę ziemską dobremi elementarzami zasiać, wymownemi głosicielami prawdy obesłać, to i występek zniknie i era złotego wieku się otworzy!...

Niestety! najgorzéj z tém właśnie, że zasady i przekonania tak mało dotychczas wpływu na nas wywierają; najsmutniéj, że się tak z naszą naturą, z kompleksyą naszego organizmu krzyżują, najkłopotliwiéj dla badacza i prawodawcy, że tłumy przeważnie z takich

są złożone jednostek, co idą w brew przekonaniu, albo pomimo swego przekonania, albo nie dbając wcale o swoje przekonanie.

Co zaś do zbyt żywego współudziału w czynach moich przyjaciół, do téj niedyskretnéj troskliwości, która nie tylko martwi się i cieszy sympatycznie, ale która upomina, radzi, przestrzega, oburza się czasem, rozżala i zażala—ta nie mniéj była fatalną wynikłością trochę skrzywionego syllogizmu. Bodajby nigdy nie mieć do czynienia z uczuciową kobiécą logiką!.... Ponieważ każda pomyślność moich ukochanych, każdy piękniejszy objaw ich szlachetności tak mię radował, jak gdyby w mojéj własnéj biografii zaszłe zdarzenie, a za każdą ich niedorzeczność, za każdą sprowadzoną na samych siebie troskę, jak za grzech osobisty odcierpiéć i odpokutować musiałam, więc ztąd wyprowadziłam wniosek, że mam prawo, ba! obowiązek nawet, tak ich, jak siebie pilnować, tyle od nich przynajmniéj, ile od saméj siebie wymagać, rzeczywiście zaś wymagałam daleko więcéj, bo wszyscy prawie zamożniejsi byli, zdolnościami i sposobnością. Dziwny jakiś pedantyzm utilitarny kierował mną w najserdeczniejszych stosunkach moich. Żądałam zawsze, aby coś na coś się przydało. Nie dość mi było, że trochę życia, trochę pracy, trochę może prawéj intencyi przydało się na osiągnięcie wielkiego już szczęścia, kiedy na osiągnięcie, choćby tylko we własnéj duszy przyjaznego uczucia.... Są ludzie tak bez spoczynku drażnieni zazdrością, nienawiścią, wrażeniem krzywdy doznanéj, a ja miałam wrażenie słodkie, wdzięczne, radosne, ja miałam przyjaźń życzliwą i nie dość mi na tém było!.. chciałam jeszcze żeby przyjaźń procentowała. Na cóż przyjaźń zda się? mówiłam często wtedy, na cóż, jeśli nie wesprze i razem nie zapracuje na dobre powodzenie, na obfitsze doskonałości żniwo? Dopiéro późniéj ciężkie a nieudatne próby o błędności tego rozumowania mnie przekonały. Nazbierałam tyle gorzkich zawodów i zniechęceń, rozbiłam się o tyle bezskuteczności i tyle parodyi niby skuteczności, że gdybym się dość w porę jeszcze nie była upamiętała, to doprawdy nie wiem, na czémby się skończyło—na pustyni chyba. Znowu dla młodszych zatém przestrogę tutaj wpisuję. Serca i sumienia odpowiedzialność najbezpieczniéj jest kodeksowemi stosunkami ograniczyć. Niech rodzice pilnują dzieci, nauczyciele uczniów, przełożeni podwładnych, ale my przyjaciół naszych nie pilnujmy, kiedy ich kochamy, to już na ryzyko nasze musimy przyjąć wszelkie zyski i długi naszego wspólnika, choć nas palec zaboli, gdy on swoim nieoględnie żarzących węgli dotknie, zrównoważmy ból nasz w rachunkach jakąś przyjemnością, któréj doznaliśmy np. gdy czarne ambrozye wychylił, lub karatowy dyament ze swéj Minas Gereas wykopał—a choć nawet ambrozya nie bardzo mu smakuje,

lub dyamenty karatowe rzadkie w państwach jego, to jeszcze i za to bądźmy wdzięczni, że go kochać możemy, gdy moglibyśmy jedno zero więcéj na obfitość dopisać, albo, co daleko przykrzéj, jednostkę do wielu cyfr niecierpliwiących nas dodać. W ostatecznościach prócz tego zostaje nam nieograniczona wolność rozwodu.

Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że gdy mię list Marynki doszedł, nierozsądne moje usposobienie już się ku schyłkowi przechylać zaczynało. Coraz częściéj nagabywały mię różne wątpliwości, ale te wiodły nieraz ku nowym pokuszeniom tylko. Zdawało mi się, że jeśli moja zapobiegliwość tak niepotrzebną lub szkodliwą się okazywała, to pewnie dla tego, że się niezręcznie brałam do rzeczy, zawsze według znanego wyrażenia, po prostu z mostu, a przecież należało się i z boku zajść niekiedy i w bawełnę głogowe gałązki poobwijać i miodem łyżeczkę gorzkich kropli wysmarować i piołunem niezdrowy cukierek zaprawić; postanowiłam tedy być zręczną. Gdyby żółw w bajce Lafontena uwierzył i chciał z zającem się ścigać, to byśmy równie szczęśliwie przedsięwzięcia nasze wykonali. Miałam się o tém wkrótce bardzo dowodnie przeświadczyć...

Z dobrą wiarą, godną ważniejszéj sprawy, przyjęłam fantazyjno-liryczne zapytanie Marynki. W piérwszéj chwili zmartwiłam się, że Marynka potrzebowała pytać—pytać o takie rzeczy, które powinna była z natury własnego serca roztrzygnąć. Tuż na końcu pióra zawisła mi patetyczna odpowiedź, lecz w drugiéj chwili przyszły mi na myśl wszystkie uwzględniające jéj położenie okoliczności, a w trzeciéj już nad tém zastanawiałam się jedynie, jakim sposobem najtrafniéjby można ustrzedz od rozbicia tę piękną, choć mętną trochę osobistość. Dla mnie wówczas było to stanowczym pewnikiem, że Marynka tylko w małżeństwie z miłości zawartém uzupełni i rozwinie swoje zdolności, ujmie w pewną harmonią składowe cząstki swéj istoty i wytworzy z nich nakoniec rzadką a pożądaną całość. Dotychczas była zbiorem różnych przymiotów i skłonności, brakowało jéj najogólniejszego ich objęcia i tytułu—tego co to charakterem zowią. Zły, czy dobry charakter jest zawsze dość kosztowną osobliwością. Świadczy o stopniu wolnéj woli, rozgranicza jednostkę naszę od wspólnych gruntów człowieczeństwa, daje nam właściwość naszę w wyłączne posiadanie. W ludziach najczęściéj wady i zalety bez żadnego cementu zsypane, jak garstka żwiru w woreczku, ani ogniem niestopiona, ani wilgocią na jednę bryłkę nieukształtowana ztąd niewytrwałość, zawodność, bezcelność i zmienność. Marynka także miała dobre serce osobno, a dowcip osobno, a zdurzenia życia i zajęcia codzienne osobno. Wielkie tylko uczucie zdolném było ni-

by zwierciadło archimedesowe skupić rozbiegłe promyki jéj duszy, zamalgamować w gorącu swojém mnóstwo metalicznych ułamków, a na obowiązku osadzone, dać jéj miejsce i postaw do pracy. Byłabym życiem, mieniem i tabliczką Pitagoresa ręczyła za niemylność tych wniosków. Lecz cóż ztąd? jeślibym powiedziała bez ogródki: „Marynko, nie chódź za mąż, póki wyłącznie kogo nie ukochasz“ toby miało wartość jednego wotum w sądzie przysięgłych z trzynastu osób złożonym. Rada przeciw radzie niewiele znaczy. Trzeba, żeby Marynka sama znalazła słowo ostatecznego wyroku, ale jakim sposobem jéj to ułatwić? Słyszałam i czytałam, że z wielkiém powodzeniem używano w wielu razach metody, którąby reperkusyjną nazwać można. Broniono fałszu, by dowieść prawdy; zakazywano, by większą chęć wzbudzić; przeczono by potwierdzenie uzyskać. Nie mogłam się zupełnie na podobną przebiegłość rozgrzeszyć, czułam zresztą, że jéj nie podołam, lecz przynajmniéj umyśliłam sobie lekką od tego systematu zaciągnąć pożyczkę. Wiedziałam, że z Marynką w żadne czułości wdawać się nie warto, bo skutkiem różnych wpływów i kombinacyj losowych, przeciw wszelkim czułościom zawsze odpornie, sztywno, nieufnie się trzymała. Niechbym tylko zaczęła o ideałach prawić, biedne dziecko uśmiechnęłoby się i rzekło: „romanse“, lepiéj więc mógł skutkować twardszy do zgryzienia, chócby trochę gryzący i szczypiący antydot, dla tego odpisałam tak:

„Moja prześliczna Marynko! Czy jest grzechem bez miłości pójść za mąż.....? najpierwéj Katarzyna aleksandryjska ci odpowié, że jest wielkim, wielkim grzechem, bo w przysiędze sakramentalnéj przed ołtarzem, każda oblubienica wyraźnie musi powiedziéć te słowa: „Śubuję ci miłość“ jeśli więc ślubuje miłość, nie miłując, krzywoprzysięztwo popełnia.

A teraz nie—aleksandryjska Katarzyna, lecz twoja powszednia Kasia, równie szczerze ci wyzna, że na tym świecie wszystko jéj się bardzo względném ukazuje, szczególniéj téż prawo moralne w obec antropologii. Małżeństwo jest prawem moralném, lecz miłość jest kwestyą antropologiczną. O ile mniéj więcéj naukowo rozważać ją zechcemy, mniéj więcéj naukowo Marynko; bo zupełnie naukowo, to i twoję i moję i wielu innych bieglejszych nawet, miarę jeszcze przechodzi --ale tak, na mniéj więcéj biorąc, spostrzegamy od razu, że kobiéty wszystkie na trzy gromady, czy jak ci się podoba zatytułować, na trzy klasy—na trzy królestwa podzielić można, istnie jako w elementarzu się uczyłaś, że twory ziemskie dzielą się: na królestwo rzeczy kopalnych, roślin i zwierząt. Kobiéty, trochę odpowiednio, tylko w odwrotnym stosunku co do stopnia wyższości, przedstawiają: najniższe królestwo zwierzęce, prawem sąsiedztwa w łań-

cuchu natury do zwierząt bardziéj zbliżone; drugie królestwo roślinne, trzecie, ot dla uzupełnienia trilogii, a szczególniéj dla podobieństwa z dyamentami, które są rzadką i najczęściéj skrystalizowaną materyą, trzecie pozwoliłam sobie mineralném nazwać. Gdyby ci takie rozporządkowanie do smaku znów nie przypadło, to z innéj strony je wezmę, ze strony dziejowéj. Są rasy przedhistoryczne, są już historyczne pogańskie i są tworzące się obecnie chrześciańskie; albo téż: są dzikie, są barbarzyńskie, są cywilizujące się; albo etnograficznie: są czarne, żółte i białe; albo geograficznie: afrykańskie polinezyjskie, azyatyckie, europejskie; *ad libitum*, możesz dobiérać nazwisk i oznaczeń, zawsze od tego lub owego punktu wychodząc, ten sam główny troisty podział napotkasz. A jednak, pewna jestem, że, wyrósłszy z elementarza Marynko, czytałaś już gdziekolwiek o płonności wszelkich podziałów. Rzeczywiście nic nigdy stanowczo oddzieleném nie jest. Masy z masami się spływają, jedne na drugie zachodzą, jedne w drugie mnóstwem szczegółów wnikają. Korale tworzą głazy, gąbki rosną jak drzewka maleńkie, mimoza się rusza trochę, a dionea nawet muchy łapie. Tak i działy antropologiczne różno-gatunkowych kobiét, w ogółach tylko cechowe zachowują własności; w szczegółach łączą się i mieszają. Dla ogółu najniższego królestwa, to jest cechą niestartą, że w stosunku z mężczyzną, kobiéta przedhistoryczna, dzika, zwierzęca, bez wyłączności i bez wyboru zmienia przedmiot popędów swoich. Świadczą o tém wyspiarki Oceanii, Murzynki Gwinejskich brzegów i tém podobne okazy przechowanéj do dnia dzisiejszego piérwotności, resztki jakieś, zabytki, które o wiekach niezapamiętanych przez analogią wnioskować dozwalają. Gdybyś komu te słowa do przeczytania dała, możeby ci powiedział, że niegodzi się młodéj osobie, choćby w piérwszym roku jéj pełnoletności o takich kobiétach wspominać, lecz według mego przekonania, kiedy właśnie ta młoda osoba stanowczo i nieodwołalnie za mąż się wybiéra, to owszem bardzo się godzi, aby w swojéj kobiécéj naturze rozpatrzyła się z zastanowieniem, aby żadnym wpływom, żadnym skłonnościom bezświadomie na czyny swoje oddziaływać nie pozwoliła. Jest i o takich kobiétach wiadomość potrzebną; nie wyginęły one zupełnie w czasie wielkiego potopu, ani też nie ocalały na samych wyspach mniéj znanych lub pod zwrotnikową strefą. Jak wiele twarzy kałmuckich z wystającemi policzkami spotykać się daje wśród rodzin czysto kaukazkiego pochodzenia, jak wiele chińskich oczu wśród ludzi, których protoplaści o Chinach nie słyszeli nawet, jak wiele ciemnych plam piegowych na bardzo białéj skórze różnych blondynek, któreby się niemało zadziwiły, gdyby im powiedziano, że są ukropkowane tym samym farbnikiem, co skó-

rę Negrów czerni, jak wiele zresztą gąbek i koralów wśród zwierząt, a mimoz łapiących muchy wśród roślin; tak wiele, jeśli nie więcéj, kobiét z przedpotopową naturą do czasów naszych przetrwało i w warstwach naszéj społeczności żyje i chodzi po bruku europejskich stolic, a niektórzy mówią nawet, po kobiercach i gobelinach. Lecz przypuszczam, że ich nie znamy. Może tak trochę w już poprawnych kategoryach—bo są jeszcze kategorye Marynko, nie zapominaj o tém, są w gromadach rzędy, w rzędach gatunki, w odmianach jeszcze subtelniejsze odmiany; więc i od kobiéty czysto polinezyjskiéj organizacyi, od kobiéty zdolnéj się łączyć ze wszystkimi, dojść można do kobiét, które tylko zdolne nie koniecznie jednego ukochać, może dwóch na raz, może trzech, pięciu upodobać sobie koleją, a może nawet jednego tylko właśnie bez wyboru, kabalistycznie jak się czasem wyrażają, namiętnie, jak ja po staremu zwykłam mówić. Namiętność ślepa, bezrozumna, szalona jest koroną i najwyższém uszlachetnieniem, do jakiego wznieść się może zwierzęca natura. Między instynktem a namiętnością czepiają się po szczeblach przejściowych różne drobne skłonnostki, nieuświęcone moralną przyczyną, wywołane młodego życia rozwojem, jakąś okolicznością zewnętrzną, jakimś nerwów nastrojem. Jedna wzdycha za Arturem, co jéj rękę ścisnął w kontredansie, druga za Gustawem, którego częściéj od innych widuje, ta się rumieni na grzeczne słówko Edwina, tamtéj serce bije na widok posągowo o konsolę wspartego Edgara: wrażenie, rozmarzenie, zabawka i romans, to wszystkie piegi moja Marynko, to wszystko te same cząstki składowe, które krew polinezyanek przepełniają. A co z niemi zrobić jeśli są. Przedewszystkiém nazwać je sobie trzeba Marynko kochana; daléj moja ogólna rada już nie sięgnie, bo daléj wszystko od stopnia innych władz indywidualnych zależy. Bez mojéj pomocy łatwo się domyślisz, że inaczéj z niemi sobie poradzi lękliwa hipokrytka, a inaczéj zuchwała buntowniczka, inaczéj rozumna, inaczéj głupia kobiéta,—naczéj taka, co ma kogoś po za sobą do ukochania, inaczéj egoistka. W niektórych uczucie obowiązku lub potrzeba towarzyskiego i własnego szacunku górę weźmie nad zmysłowością, inne śmiało ją przyjmą na swoję odpowiedzialność i zostawią ludziom wspomnienie greckiéj Aspazyi, lub francuskiéj Ninony. Grzech i zasługa to wolnéj woli sprawa, tylko nieszczęście zawsze bez świadoméj woli jest skutkiem. Nie ręczę ci też moja droga, że kobiéty wnet lepsze będą, jak się tylko lepiéj same w sobie zrozumieją ręczę tylko, że wiele będzie szczęśliwszych... to jest przynajmniéj, bo mi bardzo chodzi o ścisłość wyrażenia, mniéj nieszczęśliwych będzie.

Drugie królestwo przedstawia nam kobiéty roślinne, kobiéty już przez wybór mężczyzny zmonopolizowane i zamknięte czy w gineceach greckich czy w haremach wschodu. Postrach i narkotyczne miękiego życia wygody zmuszają je do wierności, więc też od pokolenia do polenia zdolność wierności rozwija się w naturze. Kobiéta roślinna, kobiéta pogańska, kobiéta barbarzyńska, a geograficznie mówiąc azyatycka kobiéta, ma taką naturę, że już umié na jednym związku poprzestać, jednemu oddać się tylko, jednego ukochać nawet. Przeczytaj wszystkie Seherezady, powieści dostarczą ci daleko ciekawszych psychologicznych w téj mierze studyów, niż opisy wielu podróżników, lub prawnicze uwagi i spostrzeżenia książkowych badaczy. Tam bez uwag, bez sądów rozwija się przed tobą dusza wschodu i czytasz ją wyraźnie w jéj własnym języku, to jest: w jéj własnéj moralności, w jéj własnych skłonnościach i pojęciach. Długo bardzo miałam to przekonanie, że typ wschodniéj kobiéty jest typem niewolnicy, że to jest ta, któréj kochać wzbroniono, któréj pieścić kazano, która zazdrosną być tylko może o względy, o podarki, o wpływy, ale nigdy o uczucie wyłączne. Myliłam się wtedy moja Marynko, jest ona trochę taką, ale jest i trochę inną prócz tego. Ma już zdolność wierności rozwiniętą i do pewnego stopnia wyidealizowaną, ma zdolność ukochania jednego, tylko owym *jednym każdy* być może; Seraskier czy derwisz, żebrak czy padyszach—prędzéj wprawdzie młody niż stary, piękny niż brzydki, ale zresztą każdy kto ją weźmie, lub kogo pierwéj ujrzéć się jéj zdarzy. Kupienie i spotkanie przypadkowe, to zawiązek, to treść wszystkich z tysiąca nocy i jedna powieści. Jako więc polinezyanka dla wszystkich, tak według gromadnéj cechy Turczynka dla każdego; złączyć się z piérwszym lepszym jest dla jéj organizmu rzeczą podobną, nie zmienić się późniéj jest także podobną, lecz główną odróżniającą cechę stanowi przedewszystkiém wyłączność bez wyboru. Tutaj sama łatwo dopatrzysz mnóstwa Turczynek, Gruzyanek, Persanek koło siebie, mnóstwo niezamykanych, nieopłacanych kałymem, ale czystéj azyatyckiéj rasy kobiét. Wszystkie swatane, wszystkie z rozkazu za mąż idące, wszystkie stanem panieńskim zastraszone, wszystkie gotowe jak w proroku biblijnym napisano wołać: „własną pracą żywić się i własném odzieniem przyodziewać się będziemy, tylko niech będzie mianowane imię mężowskie nad nami" wszystko to azyatyckie, przedchrześciańskie temperameta Marynko. Są i między niemi pewne już, które symptomata wyborczości okazują, ale na bardzo rozległą skalę. Jedne np. przyjmą tylko synów obywatelskich, inne tylko właścicieli od pewnéj sumy wzwyż a jeszcze inne tylko mówiących gładko obcemi językami, jeżdżących zręcznie na koniach. Nie mniéj przeto

cały jeden departament towarzyski z samych „każdych“ dla nich się składa.

Nakoniec w trzeciém dyamentowém królestwie kobiéta natury cywilizowanéj, chrześciańskiéj potrzebuje *wyłączności* i *wyboru* zarazem. Nie wszyscy, nie wielu, nie każdy lub piérwszy lepszy, tylko ten, a nie inny dla niéj. Religia, kodeks cywilny, prawo zwyczajowe, wszystko się do tego punktu stosuje, chociaż on tak rzadko jeszcze osiągniętym bywa. Czy słusznémn, czy niesłusznémn jest takie położenie rzeczy, to zupełnie inna sprawa. Dość, że jest, nie zmienimy go Marynko, w czémby na dziś zmienić potrzeba, a gdyby zmienił kto inny, toby może okazało się nie wystarczającém dla tego, co kiedyś być powinno. Sprzeczność ustawy z rasowością jest wielu nieszczęść przyczyną, ale też zaprzeczyć niepodobna, że ulepszenia rasowości wielkie rękojmie daje. Gdyby Grecya, Rzym, Azya, Egipt, Marokko, piérwotnéj organizacyi kobiét nie zamknęły na klucz i pod nieograniczony zarząd ojców i mężów nie oddały, tobyśmy nie mieli kobiét roślinnych, ślicznych powojów oplatających się koło monarchicznych dębów i buków, ani jemioły cnotliwéj wieńczącéj skronie bardów, ani sosny matrony głęboko w grunt obowiązków swoich zakorzenionéj, ani Lii, ani Rebeki, ani Chelonidy, ani Kornelii, ani twojéj prababuni, ani wielu naszych bardzo zacnych i czcigodnych znajomych. Gdyby tedy nie było dzisiaj surowéj odpowiedzialności w losie i w opinii za złe małżeńskie pożycie, za każdy nieszczęśliwy i zmieniany wybór, za każdy *niewybór* po części, toby nigdy może uczucie idealnéj, z wyłączności i uznania złożonéj miłości odpowiednich sobie a do istnienia koniecznych nie znalazło warunków. Dotychczas wprawdzie skutki złego wyboru, powiedziałabym prawie, że powinność wyboru przeważnie na kobiétach ciąży, od nich się domagają cnót domowych i szczęścia domowego, prędzéj sarkazmem cisną kobiécie, która idzie za głupca, niż mężczyźnie, który się z gąską żeni, a jednak możliwość wyboru ogranicza się dla nas możliwością odrzucenia, ztąd nawet wiele cierpień, niepokojów, nieporozumień, ale bądź co bądź wątpię, by choć w najdalszéj przyszłości wolnością przywołania się stało. Los królowéj z księciem małżonkiem nie do pozadroszczenia, wszak prawda Marynko? Przypuszczam jednak, że gdy się upowszechnią natury cywilizowane, to się upowszechni wzajemność; więcéj będzie Juliet, więcéj Romeów.

Jednostki cierpią tymczasem, niechże więc same o siebie się kłopoczą, niech sobie doraźnie na swój użytek tworzą okoliczności, bo innéj rady dla nich nie ma. Jeśli bierna roślinność w ich usposobieniu przeważa, to samo zabezpieczeniem stać się powinno. Kobiéta, dla któréj obojętną jest rzeczą iść za tego lub owego, tém rozsą-

dniéj może się zastanowić, by raczéj za lepszego, niż za gorszego poszła i gdy jéj saméj na osobistym charakterze przyszłego męża nic osobiście nie zależy, by właśnie tém surowiéj charakter przyszłego ojca swych dzieci oceniła.

Zresztą nic więcéj nawet tobie Marynko powiedzićć nie mogę. Mogę tylko po przyjaźni główne zadanie ułatwić ci trochę i razem z tobą rozejrzéć się w gatunku twéj osobistości.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Rzecz wiadoma, że mam skłonność do podstawiania wysokich piedestałów ukochanym moim, więc i ciebie na kolumnie bodaj czy nie Zygmuntowskiéj umieściłam Marynko. Wiedziałam, że choć młoda, piękna i nieraz hołdami mężczyzn otoczona, żadnego z nich nie wyróżniłaś. Dotychczas byłam pewna, że jesteś, że należysz.... Dotychczas nie wątpiłam....

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nie gniewaj się na mnie, nie gniewaj na przeznaczenie twoje, ale mi się zdaje, że do rzędu kobiét roślinnych należysz. Nie ma w tém nic upokarzającego. Jak nie zadysponowałaś rysów twéj twarzy i koloru oczu twoich, tak nie jesteś za ustrój twego organizmu odpowiedzialną. Roślinny ideał niezależnéj kobiety po mężku stawia sobie cel inny, małżeństwo, jako zewnętrzną okoliczność uważa.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

III.

Nim ostatecznie przekonanie twoje podzielę, nie Katarzyno i nie Aleksandryjsko, pozwól jeszcze kilka drobnych wątpliwości usunąć. Bardzo już dawno nie czytałam żadnego traktatu o moralności dla kobiét, ani o wychowaniu kobiét, ani o żadnéj filozofii dla kobiét, mam jednak pewne niewyraźne przypomnienie, że tam zupełnie co innego niż w twoim liście stoi. Wszakże nigdy ślepéj wiary nie wymagałaś odemnie, pewnie więc i teraz nie obrazisz się, że chcę porównać, rozważyć a nawet być do tego stopnia ucywilizowaną, że wybrać to, co mi się lepiéj spodoba; z całą też ufnością proszę cię moja łaskawa i kochana, wystaraj mi się kilka dzieł poważnie kwestyą miłości i małżeństwa kobiét traktujących. Czy to z dawnych wspomnień, czy z rad kiedyś zasłyszanych, czy nareszcie z mego własnego natchnienia po przeczytaniu twego listu — przepraszam, to nie był list, to nie było serdeczne, rozjaśniające i rozcieplające słowo dla twojéj Marynki, to była notatka tylko, wyciąg z medytacyi, sumaryusz naukowéj rozprawy. Po przeczytaniu zatém sumaryusza twego, ciągle mię ta myśl nagabuje, że jeśli „wybór“ jest świadectwem ukształcenia i wyższéj cywilizacyi, to prócz wyboru z miłości, z po-

pędu, z rozfantazyowanéj gorączkowéj choroby, przesilenie młodego organizmu koniecznie być musi,—wybór z szacunku, górujący nad zmiennością wrażeń, nad ułudami namiętności, wybór jedynie godny kobiécego serca, jedynie dowodzący kobiécéj cnoty i zabezpieczający kobiécie szczęście. Ot widzisz, moja znów Katarzyno i znów Aleksandryjska, jak to dobrze rozmówić się, choćby nie zgodzić z tobą. Dotychczas brakowało mi stałego ideału, przed ideałem zawsze z pokorą głowy uchylam, do ideału zmierzać każdego świętą powinnością być mniemam; ale cóż było robić? szczególniéj pod tym względem małżeństwa nie miałam stałego ideału. Dzięki twéj notatce, zdaje mi się, że go sobie wyrabiać zaczynam: wybór i małżeństwo z szacunku! Kto wié, czy pan Filip dobrze na tém nie wyjdzie. Zastanawiałam się nad panem Filipem wczoraj od ósméj do w pół do dziewiątéj z rana przez cały czas, kiedy mię Marysia czesała. Nie mogłam znaléść żadnego powodu, któryby mię do nieszanowania pana Filipa upoważnił. Idzie już tylko oto, bym znalazła powód, któryby mię do szanowania skłonił. Nie lękaj się jednak, nie nastąpi to zbyt prędko, mam czasu dość przed sobą i nie zaczęłam się spieszyć. Ale choć ja się nie spieszę, ty, moja droga, przesyłki żądanych książek nie opóźniaj, bardzo cię proszę wybierz co „najważniejsze“ w opinii ludzkiéj... i choćby w czytaniu.

Jakkolwiek znasz moje nieszczęśliwe usposobienie, że mię centnarowa ważność trochę przestrasza, nie miéj na to żadnego względu, od pani Necker de Saussure do filozofa niemieckiego wszystko jestem gotowa osobiście, nie przez prokuracyą przeczytać. Wbrew przyjętemu zwyczajowi nie złożę tego na twoje barki; na sprawozdaniu, ekstrakcie i sensie moralnym, z pracy twéj własnéj i sumienia twego własnego nie poprzestanę, tak jak wtedy naprzykład, gdy cię poprosiłam, żebyś za mnie przeczytała o „Prawodawstwie Słowiańskiém“ i w kilka wybitniejszych szczegółów, równie jak w parę rozumowych poglądów zaopatrzyła mię na wieczór do państwa L., gdzie przewidywałam długą uczoną mniéj więcéj na ten temat rozmowę, bo właśnie z uniwersytetu powrócił syn domu, świeży prawnik, z którym pani L. rada była przed wszystkimi się chwalić. Czy pamiętasz Kasiu, łajałaś mię, że się nad jéj miłością macierzyńską nie rozczulam, trudno było, kiedy mi raz wyliczać zaczęła ile to książek, a jakie grube książki jéj syn czytuje, nie tylko Nowelle same, bodaj czy nie wyobrażała sobie, że Nowelle są jakieś powieści prawnicze, ale *Digestye* nawet przeszedł; ledwo utrzymałam moję powagę. Rostropnie téż postąpiłam, że się na ów wieczór zapomogłam u ciebie Ruską prawdą i Sredzkiemi rokami. Zdaje mi się, że ci nawet wdzięczności mojéj nie wyraziłam dotychczas za

ówczesną pomoc, a miałam tryumf nielada. Przy zdarzonéj sposobności wsunęłam coś ostrożnie o prawie miejscowém w obec rzymskiego prawa, i tak ogólnie z niechcenia niby prawdę ruską i roki Sredzkie wspomniałam. Pani L. osłupiała, młody pan L. jak z kolegą obszedł się ze mną... ofiarował mi pożyczenie daleko ważniejszego i grubszego dzieła niż to nawet, które w mojém zastępstwie przeczytałaś, ulitowałam się nad tobą i wraz z wielu drobniejszemi, wielu lżejszemi przydatkami odmówiłam. Lecz mniejsza o to—dajmy pokój wspomnieniom, niechaj śpią w popiele. Na ten raz obiecuję ci i przyrzekam, że nadesłane traktaty sama i w całości przeczytam „od deski do deski“ jako mówił ten nieszczęśliwy Olcio, gdy mu się raz zdarzyło Thiersa o rewolucyi *in octavo majori* przeczytać. Już co wtedy, to nie ja wyrażenie Olcia podchwyciłam to jéj własna szanowna Uroczystość zrobiła spostrzeżenie, że biédny chłopiec nie musi bardzo wiele takich długich historyj od deski do deski czytywać. Ja wszelako przeczytam, ufaj mi, wybiéraj i przysyłaj co prędzéj.

Bądź zdrowa, życzę ci naszego doskonałego wiejskiego zdrowia. Od czasu jak most pragski przejechałam, nie widzę już dzięki Bogu chorych koło siebie. Mama prześlicznie wygląda, wujaszek jeszcze trochę więcéj przytył, ale dużo chodzi, dużo się poci od czasu, jak swoje fabryki rozpoczął i wcale prawie nie skarży się już na reumatyzmy. Gdybyś mogła wyszukać jakiego artykułu o tartakach francuzkich lub młynach angielskich i mnie troszeczkę z tym przedmiotem obznajmiła wielkąbyś zrobiła przysługę memu wujowi, bo widzę, że lubiłby o tém rozprawiać, a nie ma z kim. Poświęciłam się na parę wycieczek kontemplacyjnych, lecz to ufności jego nie wzbudziło—powiada—że wśród gospodarstwa, jak londyński turysta wśród krajobrazów Szwajcaryi wyglądam; nie łaje mię za to wprawdzie i owszem znajduje, że bardzo mi z tém do twarzy, lecz gdybym mu kiedy zaimponowała jakiém architektoniczno-mechaniczném spostrzeżeniem nie posiadałby się z radości i bez ceremonii oprowadzałby mnie wśród monumentów swego panowania. Co do mnie, to się domyślasz, że upokarzająco zdrową jestem, nawet dla zaspokojenia ciekawości poznać nie mogę co to jest zemdlenie, rozdrażnienie nerwów, bicie serca. Ach! bicie serca!... Katarzyno Alekandryjska? więcéjbym ci o tém zadała pytań niż ty z całą antropologią swoją domyślasz się; a zpewnością więcéj, niżbyś odpowiedziéć umiała; lecz to nie ma żadnego związku z przedmiotem teraźniejszych moich rozmyślań. Na porządku dziennym jest małżeństwo przez wybór z rozsądku. Ciekawam jaki przeciw temu argument na zimno stawićbyś mogła, wiém, że są argumenta na gorąco. W chwili unie-

sienia, zachwytu i lekkiego pomieszania zmysłów rozbija się baszty rozsądku, wysadza w powietrze fortece cudzych, choćby i własnych doświadczeń, lecz kiedy przyjdzie spokojnie zagaić parlamentowe posiedzenie ciekawam...

O argument się dopominam, a swoją drogą książek potrzebuję. Czy mię kochasz Aleksandryo!

## IV.

Kocham cię jeszcze Marynko i książki posyłam i nawet argument posyłam, choć miałabym prawo uchylić się od tego obowiązku, bo wiém, że ci się na nic nie przyda. Kiedy kobiéta zaczyna pytać się o niektóre rzeczy, to już sama sobie odpowiédź daje, kiedy zaczyna wątpić, to już przeczy. Ale zaciągnęłam się z tobą w rachunek maleńki, jak widzę, istotnie zbyt sumarycznie musiałam się wyrażać, kiedy mię w ten sposób zrozumiałaś, że wybór miłości może nie być wyborem szacunku. Zdarza się często, że wybór szacunku nie jest wcale wyborem miłości, ale na odwrót tego zdania przekręcać się nie godzi. Mówiłam zresztą o naturze, o konieczności pewnym usposobieniom właściwéj, o ustroju całéj indywidualnéj jednostki nad dzikość i barbarzyństwo, nad popęd i niewolę wzniesionéj; zauważyłam, że takiéj (na moję odpowiedzialność „ucywilizowaną“ zwanéj) jednostce tylko w warunkach miłości i ideału związek małżeński możliwym bywa, co znaczy, że taka jednostka niezdolna byłaby oddać się na życie całe bez wyłącznéj skłonności, bez wyraźnego pociągu, bez przymusu niejako nowych jedynych kierowniczych jak magnes, nieustępnych jak prawo rzutu uczuć, ale też w owéj cywilizowanéj jednostce uczucia nie zbudziłyby się, jeśliby odpowiedniego swéj wartości nie napotkały przedmiotu, jeśliby droga ich biegu nie szła ku najlepszości przez pomoc czy przez poprawę, przez podsycenie piękna i cnoty, czy przez ubezwładnienie wad niektórych, przez podzwignięcie z niektórych upadków. Dla tego to nie dziwię się wcale, gdy cywilizowana jednostka zakocha się w mniéj lub zupełnie jeszcze nieucywilizowanéj jednostce, jakkolwiek przypuszczam, że to są nader rzadkie zdarzenia więcéj dla swéj osobliwości niż dla przestrogi przez powieściopisarzy na jaw wyciągnięte razem z heroicznemi cnotami w sercu zbrodniarzy, z miłością macierzyńską Lukrecyi Borgii i t. p. fenomenami. Zdarzają się jednak, nie przeczę, ale też i one w niczém prawdzie zasady mojéj nie przeczą. Wyższość może się z niższością łączyć, ale skutkiem łączności musi być podniesioną; gdyby zniżenie nastąpiło, toby musiało pomyłki wymiarów dowodzić, wyższość okazałaby się daleko niższą, sfałszowaną świadomie, czy świadomie nadsztukowaną różnemi obcemi dodatkami wychowania, oto-

czenia, przyjaznych okoliczności, wyższością rzeczywistą, gatunkową nie byłaby jednak. Tyle też pociechy jeszcze, co gatunkowéj wyższości na świecie. Gdyby nie to przekonanie, że każde gatunkowe dobro w indywiduach i społeczeństwach, każda zdolność i każda szlachetna skłonność w organizm zakorzeniona, w krew przesiąknięta już nie tylko w upodobanie, ale w potrzebę, w warunek szczęścia i bytu zamieniona nie cofa się nigdy, to doprawdy przy powodzi zepsucia, przy uraganach druzgocących sosny i dęby, rozmiatających perły najczystsze i dyamentowe ziarnka najkosztowniejsze, doprawdy Marynko, chyba uciec ze świata.

Dzięki Bogu! nie samą tęsknotą wytworzyłam sobie głębokie przekonanie o niewsteczności natury ludzkiéj, nie dla złagodzenia różnych bólów i zawodów wiarą uwierzyłam, że raz w piersi człowieka zbudzona nieśmiertelność już nigdy, nigdy umrzéć nie może, raz wcielony ideał już nigdy, nigdy w grób się nie układnie. Nie śpiewałam sobie téj piosnki na sen smaczniejszy po bezsennych paroksyzmach, na utulenie w niecierpliwościach mojéj doczesnéj wędrówki. Przeciwnie jest to wielka prawda, od któréj oczu odwrócić nie mogłam, którą musiałam wiedziéć chociaż mię i niecierpliwość dręczyła, i choroba logiki pojęć plątała i wszystkie bóle, wszystkie zawody gorzkim piołunem, zatrutemi jadami napawały... Wyższość się nie zniża, Marynko, wyższość tylko zatrzymuje się niekiedy we wzroście swoim ku niebu i co niższe ku sobie dźwiga.

Może więc kobiéta cywilizowanéj natury połączyć się z człowiekiem nieró wnéj wartości, ale wtedy musi być pewna, przeczuciem i zamiarem pewna, że mu téjże wartości dopożyczy; w śliską jednakże, niebezpieczną a bez miłości zupełnie zawodną puszcza się drogę. Prawdopodobniéj też i według częstszego przykładu miłość jéj zwraca się ku człowiekowi godnemu miłości, ku bratniéj duszy, która z nią do współki na zbawienie pracować będzie, ku mistrzowi, który jéj niedokładności sprostuje, jéj władze rozwinie, jéj skarby zbogaci, aby się spełniły słowa mówiącego, że tym, co mają, daném będzie. Z wielkiém szacunkiem jestem dla uczucia szacunku w małżeństwie, nie sądzę go przecież za wszystko starczącym. Jest to bez wątpienia najszlachetniejsza kategorya, do któréj kobiéty oryentalne zaliczyć się mogą, ale zawsze kategorya oryentalnych kobiet, zawsze świadectwo natury nie wyłącznéj i od wyboru stanowczego odsądzonéj. Przypuśćmy, że zamiast szeregu młodzieńców i dziewic, jako niegdyś podobno w Assyryi bywało, szereg samych godnych szacunku mężczyzn i kobiét ustawiwszy, każą im losy ciągnąć, która któremu się ma dostać; czyż będzie więcéj przeto wolność niewiasty zawarowana i szczęście małżeńskiego pożycia zapewnione? Nie, moja dro-

ga Marynko; gdyby można same doskonałości zgromadzić, to kto wié zresztą, nie sprzeczałabym się, o doskonałościach trudno wyrokować, bo żaden z żyjących zupełnéj doskonałości nie widział. Najszanowniejsi ludzie mają swoje wady drobniuteńkie, ogółowi nieszkodliwe, ale zawsze wady, czasem śmiesznostki ledwo; tymczasem i wada i śmiesznostka zdolną jest ciszę domowego spokoju zamącić. Że pan Rafał nie jest wzorem porządku, lub że pan Adolf strasznie rozwlekłe układa peryody, że galicyjski twój konkurent w liczbie mnogiéj wyraża się najczęściéj, to nie zbrodnie wcale; wszyscy oni być mogą i wierzę mocno, że są poczciwemi, zasługującemi na szacunek osobami; tobie Marynko z łatwością przychodzi oddać im należną sprawiedliwość, wiém prócz tego, że dla p. Rafała masz wiele przyjaznego usposobienia, lecz gdyby ci przyszło dzień po dzień aż do śmierci szukać jakich zgubionych papiérów i okularów pana Rafała, słuchać dowodzeń i informacyj pana Adolfa, należéć jako nierozłączna składowa cząstka do liczby mnogiéj pana Filipa, czy nigdybyś tém się nie znudziła? czy nie poczułabyś się kiedykolwiek upokorzoną i niechętną? Otóż gdybyś kochała, to nigdy. Miłość jest w najczystszym piérwiastku swoim uwielbieniem dobra, cnoty, rozumu, zasługi; lecz w praktyczném zastósowaniu, w dniach powszednich, w drobnostkach minutowych, które godziny i lata przeznaczonego nam do wyżycia wieku składają, miłość jest także osłoną błędów, pięknością najniekształtniejszych rysów, wdziękiem najprozaiczniejszych uchybień. Szacunek może zmusić do wyrozumiałości, rozsądek do cierpliwego znoszenia; ale miłość jedynie przyozdobi, przyswoi, potrzebnemi do radości naszéj zrobi te, co innemu zawadzaćby mogły szczegóły. Gdybyś też poszła za pana Jowialskiego Marynko? Zacny człowiek pan Jowialski; jestem pewna wszelako, żebyś się z nim nader szczęśliwą w dozgonnym związku nie czuła, i ja także i mnóstwo znajomych. A patrz jednak, ta poczciwa pani Jowialska, jak jéj dobrze, jak jéj wesoło, jak jéj się podobają wszystkie jego bajeczki, jak się cieszy każdém przysłowiem, jak po sto razy tego samego konceptu słuchać gotowa i za każdą razą równie serdecznie się śmieje słuchając. Może ci się zdaje, że to z głupoty, mylisz się, moja droga. Wyswataj panu Jowialskiemu pannę (tak przez ciebie nazwaną) Filomelę; nie rozumniejsza przecież, ale powiesz, że kapryśna; to spytaj się Balbiny, czyby go chciała. Zobaczysz i Balbina nie zechce, i Balbina łagodnie skazując sylaby przypominałaby mu, że to już sto razy słyszała.

P. S. Chciałam razem z tym listem książki wyprawić, ale że mi dwóch i to najważniejszych brakuje, więc na późniéj odkładam. Na przedstawiciela niemieckich opinij wybrałam ci Trentowskiego,

i żebyś nie utrudziła się zbytecznie „od deski do deski“ czytając, zaznaczyłam kartki wyłączniéj o kobiétach pisane. Jako powagę europejską znajdziesz panią Necker de Saussure, a jako naszę powagę dziełko pani Hoffman, o moralności; jeśli mi go pewna moja znajoma pożyczy, o czém zresztą nie wątpię; bo choćby we wszystkich księgarniach wyczerpnęły się a we wszystkich prywatnych bibliotekach wydarły dzieła pani Hoffman; jeszczebym się u téj mojéj znajoméj spotkać z niemi mogła. Gdy jéj powiem prócz tego, że mi są potrzebne dla młodéj osoby, którą za mąż wydaję i która chce sobie w tak ważnéj chwili jaśniejsze pojęcia o obowiązkach kobiéty wyrobić, jestem pewna, że nie téj jednéj książki, ale wszystkich, co pani Hoffman drukowała, pożyczy mi z największą przyjemnością. Staram się téż, abyś prócz poważności różnych mogła parę rozdziałów pani Sand z la Comtesse de Rudolstadt przeczytać; księgarz mi za kilka tygodni sprowadzić ją obiecuje. Pani Sand, jak wiesz, romanse pisze tylko, że jednak wielka o jéj dziełach toczy się polemika, że jéj taki wpływ ogromny na współczesne kobiéty przyznają, więc trzeba się z nią rachować.

(*C. d. n.)*

# OBYCZAJE EKONOMICZNE

## WE FRANCYI.

W ciągu pobytu w rozmaitych krajach Europy, nabraliśmy przekonania, że dobrobyt i potęga materyalna w jednych, nędza i niemoc w drugich krajach są przedewszystkiém owocem odmiennych zasad, tradycyj, nawyknień—jednéin słowem, odmiennych *obyczajów* ekonomicznych. Nie odmawiamy bynajmniéj wpływu klimatycznym, geograficznym i geologicznym warunkom, przykład atoli Hiszpanii może nam posłużyć za dowód jak dalece najwięcéj sprzyjające tego rodzaju warunki nie są dostateczną rękojmią pomyślności. Nie chcemy wcale stawić za wzór obyczajów ekonomicznych francuskich, nie dopatrujemy w nich doskonałości bezwzględnéj. Pragniemy owszem pokazać je czytelnikom takiemi jakiemi są, a to nas zmusi do odsłonięcia takich nawet stron, które bynajmniéj nie kwalifikują się do naśladowania. Jeżeli mimo to obraliśmy Francyą, a nie inny kraj, za przedmiot tych studyów, to dla tego, że najpiérw nie sądzimy, aby bezwarunkowa doskonałość osiągnięta była w jakimkolwiek kraju; że w żadnym innym następnie udział, dający się przypisać tak nazwanym przez nas obyczajom ekonomicznym w tworzeniu, przechowywaniu i mnożeniu krajowego bogactwa, nie zdał nam się równie znakomitym; że nakoniec w każdym razie kraj ten wyprzedził nas na drodze rozwoju stosunków ekonomicznych, o lat kilkadziesiąt co najmniéj, a więc znajomość tego rozwoju, nawet w fałszywych jego kierunkach, korzystna dla nas, bo jeśli nie wzorem to przestrogą być może. Mieliśmy téż na uwadze to, że nigdzie w Europie temperament nasz narodowy, najgłówniejszy czynnik w kształtowaniu się obyczajów, nie znajduje tyle blizkich, co nad Sekwaną i Loarą powino-

wactw. W skutek tych powinowactw jedna strona francuskiéj formy obyczajowéj odcisnęła się już na naszych obyczajach, ale strona zewnętrzna, towarzyska, w pewnéj mierze obojętna, w pewnej mierze wcale niepożądana. Ze strony wewnętrznéj, mniéj znanéj a do przejęcia trudniejszéj, przejęliśmy bardzo mało—nic prawie z téj części, któréj badanie rozpoczynamy obecnie.

Dzielimy studya nasze na trzy części, odpowiadające jedynemu podziałowi jaki wydał się nam właściwym dla naszego przedmiotu. W pierwszéj części badać będziemy obyczaje ekonomiczne klas *roboczych*, w drugiéj klas *średnich*, w trzeciéj klas arystokratycznych.

Podział ten nie obejmuje, wyznajemy to, wszystkich kategoryj społecznych, zostawiając mianowicie na boku indywidua, zajmujące najniższe szczeble w porządku społecznym i zbliżone tym sposobem do klas roboczych, a nie dające się jednak w nich pomieścić, jako nie znajdujące utrzymania w pracy rąk. Mamy tu na myśli żebraków i wszelkiego rodzaju włóczęgów. Cel atoli jaki zakreśliliśmy naszym badaniom usprawiedliwia pominięcie w nich tych stron obyczajowych, których znajomość nie przedstawiałaby żadnéj praktycznéj doniosłości.

Nadmieniamy, że wszystkie nasze wskazówki opiéramy częścią na własnych spostrzeżeniach w rozmaitych stronach Francyi dokonanych, częścią na świadectwie dzieł specyalnych, na czele których, odnośnie do piérwszéj części naszych studyów obecnie czytelnikom przedstawionéj, wymienimy pomnikowy atlas statystyczny pana Le Play p. t. „*Les ouvriers Européen*“ i zbiorowe dzieło, wydane staraniem Towarzystwa Ekonomii Społecznéj p. t. „*Les ouvriers des deux mondes*“.

## I.

## Klasy Robocze.

Według tego co nadmieniliśmy wyżéj, klasy robocze obejmują w podziale naszym wszystkie kategorye społeczne, dla których praca rąk jest głównym środkiem utrzymania.

Nieograniczona, że tak powiemy, rozmaitość tych kategoryj zniewala nas do szukania w nich pewnéj *ograniczonéj* liczby typów, w którychby wszystkie dostatecznie przedstawione być mogły. Typów takich, od dołu do góry dającéj się odznaczyć tutaj jak i wszędzie hierarchii społecznéj, znajdujemy cztery. U dołu mianowicie widzimy *sługę*, a raczéj według właściwszego daleko francuskiego orzeczenia: *domownika* (*domestique* i ouvrier *domestique*) zatrudnionego

bądź około osoby, bądź na roli lub na warsztacie *pana*, u góry właściciela pracującego na własnéj roli lub na własnym warsztacie. Między zaś temi dwoma ostatecznemi szczeblami, dostrzegamy z jednéj strony właściwych *robotników*, pracujących bądź za wynagrodzeniem dziennem (*journaliers*), bądź na wydział (*tacherons*); z drugiéj strony robotników mających nadto, niezależnie od charakteru robotnika, charakter majstrów (*chefs de métier*), właścicieli lub dzierżawców.

Te znowu cztery typy podporządkować się dadzą pod cztery główne formy organizacyi ekonomicznéj. Piérwszą z tych form jest *wspólność* (communauté): w formie téj, strony interesowane, łącząc swoje narzędzia robocze dla wspólnéj exploatacyi bądź nieruchomości, bądź przemysłu, bądź klienteli jakiéjś. Forma ta, niegdyś bardzo upowszechniona we Francyi, dziś na obszerną skalę przechowywuje się jedynie w urządzeniu gminnych własności ziemskich; na bardzo zaś ograniczoną skalę i wyjątkowo—w przemyśle górskich serników, wyrabiających sér zwany *gruyère* (1). Drugą formę organizacyi stanowią tak zwane *korporacye*. Nie mamy tu na myśli dawnych *korporacyi* odpowiadających naszym dawniejszym *cechom*; nazwa korporacyi, oznaczająca niegdyś tę dawną formę zniesioną bezpo-

(1) Sér ten wyrabiają we francuzkiéj części gór Jurajskich małe zakłady do których mleka potrzebnego dostarcza kilku sąsiednich rolników w tym celu stowarzyszonych, utrzymujących zakład i pracującego w nim osadnika, wspólnym kosztem i zyski między siebie rozdzielających. Wynikająca z kombinacyi drobnych własności i przemysłu wymagającego codziennie wielkiéj ilości mleka, organizacya ta nie rozciąga się po za granice téj okolicy, a i w téj okolicy zamyka się w zakrésie tego przemysłu. To za nim drobni właściciele zachowują zazdrośnie powszechne we Francyi upodobanie do indywidualizmu, a i w stowarzyszeniach wyżéj określonych pozostają tak długo tylko, jak długo niedostateczny rozwój własnego gospodarstwa zniewala ich do tego. Właściwie więc trafiająca się tutaj forma wspólności, miasto być zabytkiem przeszłości, zbliża się raczéj do wykształcającéj się dopiéro w północnéj Francyi, pod naciskiem potrzeb z nowego podziału własności wynikających, nowoczesnéj formy nie wspólności, ale *stowarzyszenia*, o któréj wspomnimy w swojém miejscu.

Ostatni ślad dawnéj formy wspólności *prywatnej* zniknął na ziemi francuzkiéj z rozwiązaniem w roku 1846 spółki (communauté) imieniem generycznem *Jault* oznaczanéj w miejscowości St. *Benin-des-Bois*, w prowincyi *Bas-Nivernais*. Wspólka ta składała się w roku 1840-ym z siedmiu rodzin, których głowy ze wspólnego szczepu pochodzące jedno też i to samo imię nosiły. Grunta, zabudowania i inwentarze należały niepodzielnie do członków wspólki, eksploatujących takowe wspólną pracą i nakładem oraz dochodami się dzielących. Organizacya ta, podobna do spotykanéj w głębi Rosyi i zbliżona nawet do niéj obyczajem oznaczenia każdego z członków wspólki imieniem chrzestnem ojca do własnego chrzestnego imienia dodaném, przetrwała kilka wieków. Rozwiązaną została w oznaczonéj wyżéj epoce w skutek, opartego na prawie żądania podziału, zaniesionego do sądu przez jednego z członków zdala od rodziny wychowanego.

wrotnie przez reformy rewolucyjne, stosuje się dziś do nowoczesnych zupełnie stowarzyszeń, mających na celu zabezpieczenie robotników od klęsk, wynikających z choroby, braku roboty, głodu, ognia lub nadmiernéj konkurencyi.

Dla określenia trzeciéj formy brak odpowiedniego słowa w naszym języku, aczkolwiek forma sama nie jest nam obcą. W języku francuzkim formę tę, podlegającą jak i poprzednie, rozmaitym odmianom, określa ogólna nazwa: *patronage*. Formą tą organizacyi cieszący się robotnicy, zachowując w zasadzie całkowitą niezależność, pozostają w rzeczywistości przywiązani nieograniczenie do jednego i tego samego zatrudnienia i do jednego i tego samego majstra, lub pana, który znowu oznaczony bywa ogólną nazwą *patrona*. *Patron* ze swojéj strony, nie będąc obciążonym żadném zobowiązaniem formalném, poczuwa się wszakże do obowiązku zapewnienia środków bytu rodzinom roboczym, w ten sposób do jego osoby przywiązanym. Mimo nowych praw cywilnych i nowoczesnego ruchu przemysłowego, współzawodniczącego, jak to w swojém miejscu obszerniéj wykażemy, z nowemi prawami w dziele obalenia téj tradycyjnéj formy, któréj konieczną podstawą jest pewna trwałość stosunków społecznych, znajdujemy ją przecież dość znakomicie przedstawioną w dzisiejszéj Francyi.

W czwartéj nakoniec i ostatniéj formie robotnicy zachowywują w całości osobistą niezależność.

I form organizacyi i typów powyżéj określonych nie myślimy opisywać abstrakcyjnie; praktyczne stanowisko nasze zniewala nas raczéj do szukania, tak dla jednych jak i dla drugich, indywidualnych przedstawicieli w różnych stronach kraju i w różnych rodzajach zatrudnień. I tak pracownik winnic dawnego hrabstwa *Armagnac* z jednéj strony przedstawi nam dokładny obraz warunków ekonomicznych bytu, wspólnych w téj stronie Francyi wszystkim w winnicach lub w ogóle na roli zatrudnionym pracownikom; z drugiéj strony pozwoli nam wniknąć w ekonomiczne stosunki całéj typowéj kategoryi robotników za wynagrodzeniem dziennném pracujących (*journaliers agriculteurs*), i w szczegóły trzeciéj z rzędu wyżéj wymienionéj organizacyi klas roboczych.

Nakoniec, aczkolwiek cała dotąd wyszczególniona klasyfikacya stosuje się zarówno do wiejskich jak do miejskich pracowników, nie mniéj te same typy i te same organizacye przybiérają tu i tam odrębny do pewnego stopnia charakter, dla tego więc musimy rozpatrywać w studyach naszych stosunki wiejskie oddzielnie od miejskich.

Jak rozmaite są kategorye, na które rozpadają się klasy robocze, tak rozmaite są czynniki składające ich domowe gospodarstwa. Budżet kapitalisty lub właściciela nieruchomości składa się z przychodów i rozchodów, przedstawionych lub łatwo przedstawić się dających w pewnych cyfrach, budżet robotnika nierównie więcéj jest skomplikowanym. A najpiérw, w dziale przychodów wchodzą doń częstokroć aż cztery całkiem odrębne czynniki, jako to przychody z własności ruchoméj lub nieruchoméj, przychody z pracy ręcznéj, przychody z udziału we wspomnianych wyżéj stowarzyszeniach, nakoniec przychody z różnorodnych *subwencyj*, np. pastwisk i wszelkiego rodzaju używalności bezpłatnie udzielanych. Nie dość na tém, czynniki powyższe mieszają się jeszcze zwykle w sposób nader trudny do rozwikłania. I tak, pospolicie robotnik, będący właścicielem jakiegokolwiek ruchomego lub nieruchomego majątku, albo dobywa zeń płody własnoręczną pracą, albo czyni go przedmiotem jakiegoś przemysłu, a nadto częstokroć posługuje się jeszcze, w téj eksploatacyi swéj własności, bezpłatną pomocą subsydów. Za przykład posłużyć nam może własność najpospolitsza u klas roboczych wiejskich, krowa, którą robotnik sam pielęgnuje, z któréj nabiał służy mu nierzadko do wyrabiania serów na sprzedaż, a która to krowa nierzadko także znajduje główną część pożywienia na bezpłatnie udzieloném pastwisku. Suma produktów z eksploatowanéj w ten sposób własności przedstawia jednocześnie: 1) *rentę*, jaką własność ta powinna dawać od kapitału przybliżonéj wartości swojéj; 2) wynagrodzenie przypadające za pracę robotnika; 3) zwrot wszystkich innych nakładów eksploatacyi; 4) zysk jaki robotnik powinien osiągnąć ze związanego z tą eksploatacyą przemysłu; 5) nakoniec, wartość korzyści osiąganych ze *subwencyj*. Łatwo zrozumiéć, że wyróżnienie w sumie produktów, części przypadającéj na każdą z powyższych rubryk, przedstawia niemałe trudności; praktyczny zaś cel przez nas poszukiwany czyni takowe wyróżnienie niezbędném. Dla dokonania go, wypada uciekać się do rachunku przybliżonego, opartego na porównaniach. I tak, renta należna robotnikowi od kapitału jego własności da się oznaczyć na podstawie średniéj cyfry dochodów, jaka w téj saméj miejscowości osiąganą bywa z własności równomiernych, w dzierżawie będących. W podobny sposób ocenia się udział pracy robotnika, obliczając w przybliżeniu dni robocze (od 10 do 12 godzin), poświęcone eksploatacyi własności, z zastosowaniem średniéj cyfry wynagrodzenia za dzień roboczy, w téj saméj miejscowości przyjętéj. Odciągnąwszy następnie od sumy produktów, sumy z tych dwóch obrachunków otrzymane i niewymagającą tak mozolnego obrachunku sumę nakładów, reszta pozostaje do podzie-

lenia na dwie rubryki: zysków z przemysłu i korzyści z subwencyj. Udział piérwszéj może być obliczony znowu przez porównanie z zyskami wyciąganemi z podobnych przemysłów przez przemysłowców nie robotników; udział drugiéj przez obrachowanie oszczędności jaką pomoc subwencyi pozwala zaprowadzić w nakładach.

Nie potrzebujemy zastosowywać powyższéj metody obrachunku do wartości pracy, dokonywanéj przez robotników na cudzy rachunek za stałém wynagrodzeniem.

Co się tyczy korzyści, osiąganych przez robotników z udziału w stowarzyszeniach zwanych korporacyami, korzyści te równie niestałéj natury, jak wypadki choroby, ognia itp. z któremi są związane, dają się jednak przedstawić w budżecie rocznym przez średnią przybliżoną cyfrę.

Musimy wspomniéć jeszcze o innym nader ważnym czynniku w gospodarstwie domowém klas roboczych. Mówiliśmy dotąd o robotniku jak gdyby był on sam; zazwyczaj jednak ma on rodzinę, która tak w dziale przychodów jak w dziale rozchodów niepoślednie zajmuje miejsce. Stosuje się to zwłaszcza do żony robotnika, i badania nasze wykażą nawet, że nigdzie rola ekonomiczna téj towarzyszki trudów i trosk, z których się składa całe prawie życie na tym szczeblu społecznym, nie jest tak znakomita jak we Francyi. Z jednéj bowiem strony, na niéj spoczywa cały ciężar zarządu i utrzymania domu, pielęgnowania a w części i odziewania dzieci, z drugiéj strony prawie zawsze przyczynia się ona jeszcze do pomnożenia środków utrzymania rodziny pracą wewnątrz lub zewnątrz domu na cudzy rachunek przedsiębraną. Dzieci też, począwszy od lat czterech lub pięciu, mają zazwyczaj swój udział trudów zastosowanych do ich fizycznego i umysłowego rozwoju. O jak najściślejsze oznaczenie tych rozmaitych udziałów we wspólnym budżecie staraliśmy się usilnie, aczkolwiek najważniejszy z nich, mianowicie praca kobiéty wewnątrz domu jako gospodyni i matki nie może być nigdy w sposób zadawalniający cyframi przedstawioną. Co najwięcéj za pomocą cierpliwéj obserwacyi da się oznaczyć w przybliżeniu liczba dni roboczych, téj pracy poświęconych. Dodajmy, że ważna pod względem materyalnym rola kobiéty w domowéj ekonomii, ważniejszą jest jeszcze pod względem moralnym. Mniéj podległa namiętnościom i złym nałogom, a z natury swojéj, delikatniejszéj, więcéj przystępna szlachetnym uczuciom, towarzyszka robotnika strzeże go pospolicie przed dwoma ostatecznemi szkopułami: przed marnotrawstwem i brudną chciwością lub skąpstwem. Ztąd to pewne wielkie towarzystwo przemysłowe w prowincyi *Soissonais*, które od wieków rozciąga dobroczynny *patronat* nad przywiązaną doń ludnością robo-

czą, przyjęło przed kilkudziesięciu laty obyczaj wypłacania żonom tygodniowego ich mężów zarobku, a próba ta najpomyślniejsze wydała owoce.

## A. *Klasy robocze wiejskie.*

Podstawą wprowadzonego przez nas do tych studyów rozróżnienia między wiejskiemi i miejskiemi stosunkami nie jest ani geografia, ani nawet rodzaj zatrudnień, ale to, co nie tylko pod względem ekonomicznym, ale pod wszystkiemi innemi względami stanowi rys charakterystyczny, oddzielający żywioł wiejski od miejskiego żywiołu, mianowicie zespolenie w mniejszym lub większym stopniu z rolą, albo też zupełna od roli niezależność. Tym sposobem robotnicy zatrudnieni w kopalniach lub fabrykach, zdaleka nawet od miasta położonych, nie znajdą pomieszczenia w niniejszym dziale; pomieszczony w nim będzie owszem rzemieślnik, dajmy na to, kowal w kuźni swojéj głównie zatrudniony, ale dla rolników pracujący, żyjący ich życiem i sam zazwyczaj będący w pewnéj mierze rolnikiem.

Otwieramy dział ten sprawozdaniem z badań naszych nad piérwszym, z wymienionéj wyżéj seryi, *typów.* Wspomnieliśmy już, że przyjętą u nas dla téj kategoryi społecznéj nazwę uważamy za mniéj właściwą. W saméj rzeczy zdaje się ona oznaczać różnicę między kategoryą pracowników *stale* przywiązanych do pewnéj osoby, czy do pewnéj eksploatacyi, a kategoryą pracowników *niestale* najmowanych, różnicę, któréj nie ma w rzeczywistości; rzeczywista bowiem różnica między niemi tkwi właśnie *w przywiązaniu do domu*, jak to francuzka nazwa wyraża, nie zaś w odmiennym rodzaju zatrudnień, jak z polskiéj nazwy wnosićby można. Dla tego, w zastosowaniu zwłaszcza do francuzkich stosunków, właściwiéj nam się zdało przejąć z języka francuskiego, polską zresztą także, aczkolwiek w inném znaczeniu pospoliciéj używaną nazwę *domowników.*

### *Domownicy.*

Piérwsza odmiana tego typu, domownik, osobistą służbę pana pełniący, jako wiejska tyle samo co miejska, ma prawo do pomieszczenia w tym dziale; gdy jednak z jednéj strony ani zatrudnienia téj odmiany, ani inne warunki jéj ekonomicznego bytu nie mają we Francyi przynajmniéj nic wspólnego z rolą, z drugiéj zaś strony, ani jedne, ani drugie nie przybierają na wsi odrębnego charakteru, odkładamy to, co nam wypada powiedzieć o téj odmianie, do działu drugiego, aby tu zająć się wyłącznie domownikami zatrudnionemi na roli.

Zacząć jednak musimy od zaznaczenia, że udział téj klasy pracowników, tak ważny dotąd w naszéj ekonomii rolnéj, jest w stosunkach francuzkich zupełnie podrzędnym; główna rola stopniowo od początku bieżącego stulecia przechodziła i przeszła do klasy *najemników* rolnych. Przemiana ta dokonała się pod wpływem innych, ważniejszych przemian społecznych, które i u nas z czasem podobny rezultat wydać muszą. Nowy mianowicie podział własności, z jednéj strony, wytworzył nader liczną klasę drobnych właścicieli ziemskich, nie znajdujących na swéj własności ani dostatecznego zajęcia, ani dostatecznych środków do życia, a przeto zniewolonych do *najmowania* swych rąk gdzie indziéj; z drugiéj strony, ten sam podział uszczuplił liczbę własności, zdolnych do utrzymania kilkunastu lub choćby nawet tylko kilku rodzin (1), a pomnożył owszem liczbę takich własności, które potrzebują rocznie kilkunastu tylko lub kilkudziesięciu dni roboczych najemnych. Nie dość na tém, wykształcająca się pod naciskiem powyższych przyczn klasa *najemników* pochłonąć musiała klasę domowników tam nawet, gdzie ta ostatnia klasa zachowywała jeszcze racyą bytu. Dążenie do tego rezultatu było obustronne i ze strony właścicieli i dzierżawców skłonnych do zastąpienia pracy *domownika*, nierównie mniéj kosztowną i mniéj kłopotliwą pracą *najemnika*, skoro brak téj ostatniéj pracy nie mógł już wzniecać obaw;—ze strony domowników skłonnych do poświęcenia lepszego niezaprzeczenie materyalnego bytu dla moralnych uciech *niezależności*. Tym sposobem klasa domowników ograniczona została do roli, że tak powiemy, dodatkowéj i do posług przeważnie właśnie *domowych*, podczas gdy uprawa roli powierzona bywa *najemnikom*. Nie dość na tém, jest jeszcze okoliczność, która, stanowiąc charakterystyczny rys odróżniający klasę domowników we Francyi od téj saméj klasy u nas, osłabia zarazem w znacznéj mierze interes, jakiby dla nas znajomość obyczajów ekonomicznych téj klasy przedstawiać mogła. Tą okolicznością jest zupełny prawie brak samodzielności w ekonomicznym bycie francuzkich domowników. Wbrew naszym *parobkom*, *fornalom* itp., pospolicie żonatym i tworzącym wraz z żonami odrębne ogniska i odrębne gospodarstwa z pomocą *ordynarii*, zagonów pod kartofle i innych *subwencyj*, francuzcy *ouvriers domestiques* należą pospolicie do stanu bezżennego i żyją *na stole*. Jest to jeszcze naturalném następstwem owego powszechnego w klasie domowników dążenia do niezależności, o którém wspomnieliśmy,

---

(1) Większe własności rzadko kiedy przez samych właścicieli są eksploatowane a nadto zazwyczaj podzielone na drobne fermy.

bo tylko indywidua niezdolne do wytworzenia sobie niezależnego bytu, a takiemi są robotnicy bezżenni, pozostają w téj klasie.

Dla wszystkich powyższych przyczyn, poprzestając odnośnie do piérwszego typu naszéj seryi na pobieżnych wskazówkach, zamierzamy zatrzymać się daleko dłużéj nad drugim typem, który jest już dziś we Francyi, a będzie jutro u nas prawdziwym przedstawicielem pracy na roli.

W dzisiejszym stanie rzeczy we Francyi klasa domowników rekrutuje się przeważnie między młodém potomstwem najemników lub nawet uboższych dzierżawców i właścicieli. Chłopcy w lat 12, dziewczęta w lat trzynaście mniéj więcéj, to jest po dopełnieniu, nawet w najmniéj religijnych rodzinach roboczych, uroczyście obchodzonego obrzędu 1-éj komunii, oddawane bywają przez rodziców „w służbę,“ po naszemu mówiąc, do sąsiedniego właściciela lub dzierżawcy. Dzieje się to pospolicie w sposób patryarchalny na mocy ustnéj umowy, bez wszelkiéj urzędowéj formalistyki, u nas coraz powszechniéj owszem w zwyczaj wchodzącéj. Niezbędna może, przy wielkiéj liczbie domowników po dziś dzień nad Wisłą do jednéj exploatacyi rolnéj przywiązywanych, możliwa, w obec istniejącego tam po dziś dzień stosunku między *panem* a *sługą*, formalistyka taka byłaby zgoła zbyteczną i niewłaściwą w zastosowaniu do drobnych własności i *ferm* francuskich, na których właściciel lub dzierżawca częstokroć jedném żyje życiem ze swemi domownikami. W lat 12 lub 13 przyjęci w służbę w sposób wskazany chłopcy lub dziewczęta, albo nie otrzymują żadnego wynagrodzenia oprócz odzienia, pomieszkania i stołu, albo wynagrodzenie to nie przenosi 30 fr. dla dziewcząt, 50 fr.—dla chłopców. Od lat 16 do 20 pobiérane powszechnie już wynagrodzenie piéniężne podnosi się stopniowo od 30 do 90 fr. dla żeńskich, od 50 do 150 dla męzkich domowników. Od lat 20 nakoniec do chwili opuszczenia służby stopniowa podwyżka dochodzi 200 i 250 fr. dla piérwszych, 400 i 500 fr. (1) dla drugich, z tym samym zawsze dodatkiem mieszkania, pożywienia i niektórych przynajmniej, główniejszych artykułów odzienia, jako to płótna i *sabotów* (chodaków drewnianych). Wynagrodzenie powyższe w piérwszych latach przechodzi w całości do rąk rodziców; w następnych latach niemal w całości także bywa oszczędzane. Jedna bowiem myśl, od chwili, w której biedni ci pracownicy myśléć są zdolni, kieruje wszystkiemi ich krokami, myśl mianowicie uzbierania skromnego kapitaliku, któryby

---

(1) Cyfry te w zestawieniu z cyframi przed 20 laty praktykowanemi przedstawiają proporcyą 1 do 3 i 4 nawet.

im pozwolił pomyśléć o małżeństwie i o założeniu *niezależnego* gospodarstwa.

Oprócz oszczędzanego, z niesłychaném częstokroć zaparciem się wszystkich pokus młodości, wynagrodzenia, składają się na ten kapitalik przychody z różnorodnych drobnych przemysłów, którym we wszystkich wolnych chwilach oddaje się niemal namiętnie skrzętna młodzież, a do których *pan domu* dostarcza zazwyczaj materyałów. I tak, w niższej Bretanii dziewczęta otrzymują bezpłatnie len i konopie, z których przędą i tkają płótno potrzebne do swej wyprawy. Tamże, ale tam tylko, spotykamy, w prawo już niejako przysługujące męzkim domownikom zamieniony obyczaj, wprowadzania do obory i na pastwisko *pana* dwóch jałówek. Każda z tych jałówek, nabyta za cenę od 30 do 40 franków, może być w 18 miesięcy później sprzedana dwa razy drożéj; na zakup tedy takowych obraca *domownik* piérwsze swe oszczędności. W 25-tym roku życia młodzieńcy, w 23-im dziewczęta osiągają pospolicie cel swoich usiłowań. Przy pracy na tém samém lub na sąsiednich polach kojarzy się małżeństwo. Dziewczyna przynosi przysposobioną we wskazany wyżej sposób wyprawę; młodzieniec swoje jałówki; obydwie strony cokolwiek grosza; najmuje się dom i kawałek gruntu, kupuje się prosiak i kur kilka czasem; tak osiedlone i zagospodarowane stadło z klasy domowników przechodzi do klasy najemników, któremi się teraz zajmiemy.

## **Najemnicy** (journaliers i tâcherons).

Jak wspomnieliśmy już, nie znajdujemy się tu na gruncie, któryby nam był wspólnym z Francyą; mamy owszem do czynienia z klasą roboczą, któréj przeciwstawić nie możemy odpowiedniéj klasy nad Wisłą. Powołany od niezbyt dawna do życia na obszerniejszą skalę reformami, które zniosły pańszczyzniane gospodarstwo, najemnik nasz jest jeszcze zawsze prawie najemnikiem tylko *przydatkowym*, prawie zawsze bowiem ma on nadto tytuł właściciela i praca na własnej roli jest jego głównym, a przynajmniej na piérwszym planie położoném zatrudnieniem. Najemnik z profesyi, najemnik żyjący wyłącznie z najmu, a przecież żyjący niezależnie, może być dotąd w naszych stosunkach rolnych uważany za wyjątek (1). Przeznacze-

---

(1) Nie obce nam są ukraińskie stosunki, wśród których typ ten ukazuje się zupełnie już wykształcony i do nadzwyczajnych nawet rozmiarów rozrosły: ukraiński najemnik nierzadko utrzymuje do czterech koni i tyléż wołów, z któremi wychodzi na najem. Stosunki te, wynikające z właściwego téj okolicy podziału własności ziemskiéj i rozkładu

niem jednak tego wyjątku jest, jak nadmieniliśmy już także, zostać regułą, podobnie jak we Francyi, za sprawą podobnych przyczyn. Jeśli jednak wykształcenie się klasy o której mówimy, mienimy być rzeczą fatalną i z pewnego układu stosunków społecznych wyniknąć mającą, tedy kierunek, jaki weźmie to konieczne kształtowanie się, leży do pewnego stopnia w naszych rękach. Dla tego też zapoznanie się bliższe z francuskimi najemnikami podwójnie zda się nam pożyteczném.

W saméj zresztą Francyi idąc od południa ku północy, klasa najemników przedstawia się nam w trzech odmiennych kształtach, które powstały pod wpływem ducha prowincyonalnego, oddziaływającego na przeobrażenie dawnych stosunków rolnych. Mieć więc będziemy materyał do pouczających porównań.

Na południu przeważa kształt *patryarchalny*. Reformy agrarne i społeczne dotknęły tu raczéj formę niż treść stosunków między żyjącemi na roli klasami. W rzeczywistości właściciel lub dzierżawca używa, względem pracujących na jego roli najemników, tych samych praw i spełnia względem nich te same obowiązki, jakie mu przysługiwały i jakie go obciążały względem ludności roboczéj w dawnym układzie społecznym. Za wzór tego kształtu społecznego posłużyć nam może ludność rolnicza dawnego hrabstwa Armagnac a dzisiejszego departamentu Gers. Ludność ta składa się wyłącznie z właścicieli, dzierżawców i najemników, przywiązanych do właścicieli i dzierżawców w sposób, który niżéj wskazany będzie. Zaznaczyć najpiérw wypada, iż własność, podstawa stosunków rolnych, tak jak wszelkich stosunków społecznych, cieszy się tu wyjątkową dziś już we Francyi trwałością. Dzięki w saméj rzeczy przechowanemu jeszcze w tych stronach duchowi familijnemu, dzięki trwającemu dotąd uszanowaniu dla tradycyi, dzięki nakoniec różnorodnym wybiegom, o których gdzieindziéj wspomnimy obszerniéj, a któremi duch familijny posługuje się przeciwko artykułom kodeksu, ziemia, wbrew przepisom podziałowym nowego prawodawstwa, przechodzi tu zazwyczaj niepodzielnie z ojca na syna. Otóż charakter ten trwałości, patryarchalności i tradycyjności odbijać się musi na wszystkich stronach społecznego układu. Najpiérw więc, najemnik tutejszy pracuje wyłącznie za wynagrodzeniem dziennném, jak to oznacza jego nazwa: (journalier-agriculteur, inaczéj: brassaer) obyczaj miejscowy, niechętny wszelkiéj nowości, broni się upornie przed wprowadzeniem pracy wydziałowéj. Następnie, aczkolwiek za wynagro-

---

ludności rolnéj, które nadają pracy taką wartość, iż ta przedmiotem *przedsiębierstwa* stawać się może, mogą być uważane także jako wyjątkowe.

dzeniem dzienném pracujący, zawiéra on jednak z właścicielem lub dzierżawcą umowę roczną, a *de facto* pozostaje nawet przywiązany przez całe życie do jednego i tego samego właściciela lub dzierżawcy.

Forma wynagrodzenia *dziennego*, ma jedynie na celu zapobieżenie sprzeczkom w przedmiocie ilości pracy, jaką najemnik dostarczyć jest obowiązany. Właściciel więc, czy dzierżawca zobowiązuje się płacić przez rok cały, pewne oznaczone wynagrodzenie za każden dzień roboczy w jego usłudze przez najemnika strawiony, najemnik ze swéj strony zobowiązuje się nie pracować przez cały czas umową oznaczony dla nikogo innego, bez wyraźnego zezwolenia tego właściciela czy dzierżawcy, z którym się w ten sposób związał. Odróżnia się więc najemnik ten od *domownika*, nie będąc jak ten ostatni *obowiązanym* do pracy, lecz zachowując owszem prawo powstrzymania się od takowéj, byle nie najmował jéj nikomu innemu. Dodajmy, że nie ma przykładu prawie, aby chciał on z tego prawa korzystać. Korzysta natomiast skwapliwie ze swobody, którą mu zwyczaj przyznaje, rozporządzania dziesięcioma dniami roboczemi na korzyść sąsiednich właścicieli i dzierżawców w gorącéj chwili zbiorów. Wynagrodzenie dzienne umową, jak wyżéj powiedzieliśmy, oznaczone, bywa dość niskie; nie przenosi ono pospolicie 1,5o (1) fr. dziennie. Ani jednak to wynagrodzenie, ani dodatkowy zarobek w sąsiedztwie, który znowu ogranicza się pospolicie na obfitszych od zwyczajnego pożywienia i weselszych zwłaszcza ucztach, nie stanowią jedynego środka utrzymania dla najemnika i jego rodziny. Cieszy się on nadto dobrodziejstwem całego systematu różnorodnych *subwencyj*, którym głównie, jak zobaczymy, dobrobyt swój zawdzięcza. I tak, otrzymuje on bezpłatnie od tego, dla którego głównie pracuje i którego nazywa słusznie patronem, dom mieszkalny i oborę, ogród warzywny, około dziesięciu, i pole, około pięciu *arów* (2) wynoszące; otrzymuje podobnie drzewo opałowe, (około 9,6oo kilog.=52 fun. niektóre artykuły żywności, jako to wino w ilości do 8oo litrów rocznie, niektóre artykuły odzienia, mianowicie suknie dla dzieci, daléj miejsce w szkole dla tychże dzieci, daléj pomoc lekarską w potrzebie i nakoniec pomoc w wypadkach nieurodzaju, zarazy na bydło itp. Innéj jeszcze subwencyi przedmiotem są cztery gęsi i dwa wieprze, chowane na rachunek wspólny z patronem w sposób następujący. W miesiącu Sierpniu najemnik otrzymuje od patrona wieprza wartującego

---

(1) W porównaniu z cyframi przed 2o laty praktykowanemi cyfra ta i wszystkie następne przedstawiają podwyżkę 1 do 2.

(2) Francuska miara *are* równa się mniéj więcéj czterem prętom kw.

wtedy około 3o fr., przez 15 następnych miesięcy, patron dostarcza dlań pastwiska, trawy i żołędzi, najemnik dostarcza pracy około tego zwierzęcia potrzebnéj. Na św. Marcin następnego roku wieprz poddany zostaje oszacowaniu, które pospolicie przyznaje mu wartość 125 fr., wtedy najemnik płaci 6o fr. patronowi, a raczéj odrabia darmo odpowiednią liczbą dni, i zachowuje wieprza jako już wyłączną swoję własność, dla tuczenia go własnym już teraz nakładem. Podobnie dzieje się z gęśmi, które na jesieni podzielone bywają między patrona a najemnika. W zamian za te wszystkie dobrodziejstwa patronatu, najemnik dostarcza patronowi swemu do 28o dni roboczych, za dość nizkie, jak nadmieniliśmy już, wynagrodzenie 1, 5o fr. dziennie. Do téj cyfry 28o dni, dodawszy 1o dni, które najemnik w usłudze sąsiadów spędza w czasie i w sposób wyżéj wskazany, 6 dni których potrzebuje do zbioru drzewa opałowego z lasu patrona, 3 dni szarwarku gminnego i 4 dni zajęte około pola, ogrodu i domu, otrzymujemy cyfrę 3o3 dni poświęconych przez najemnika pracy. Na odpoczynek przypada, jak widzimy, bardzo skromna cyfra 6o dni świątecznych, lub na jarmarkach spędzonych. Tych ostatnich można liczyć do sześciu w roku. Dodajmy, że najemnik ma żonę, która niezależnie od zajęć domowych odrabia na rachunek patrona do 11o dni rocznie za cenę 1,2o fr., i nadto do 4 dni w chwili zbiorów na rachunek sąsiednich właścicieli lub dzierżawców; dodajmy, że dzieci, dopóki nie są oddane w służbę, przynoszą także swój udział pracy, bądź pasąc domowe zwierzęta, bądź pomagając matce w jéj gospodarskich zatrudnieniach, a nabędziemy przekonania, że dobrobyt, o którym wspomnieliśmy na wstępie, nie przychodzi najemnikowi i jego rodzinie darmo. Powiedziéć nam zresztą wypada, że dobrobyt ten polega głównie na zaspokojeniu jednego z najmniej szlachetnych, ale przeważającego w klasach roboczych téj strony Francyi, upodobania w dobrém jadle. Temu upodobaniu folgując, najemnik nasz nie robi oszczędności, ani się stara o polepszenie swojego bytu pod innemi względami, n. p. przez zmianę pomieszkania, w którém brak miejsca, światła i powietrza dość dotkliwie czuć się daje. Wniknijmy za to w szczegóły domowéj kuchni. Śniadanie ranne (o godzinie 7) składa się z chleba (w lecie) lub kukurydzy (w zimie), owoców, cebuli lub czosnku i wina, najemnik pije wino przy każdém jedzeniu. Na obiad (o 12-téj), jeżeli go najemnik może jeść w domu, jada on zupę, a w każdym razie mięso, jarzyny i, jak wszystkie klasy robocze we Francyi, bardzo dużo chleba. O 4-téj lekki podwieczorek, z chleba, jarzyn i owoców złożony, pozwala robotnikowi czekać do 8½, o któréj to godzinie wracając z roboty znajduje w domu zupę z mięsem lub tłustością i znowu jarzyny i owoce, oprócz

chléba. W niedzielę prawie zawsze ma rodzina robocza, podług życzenia Henryka IV, „kurę w garnku“ lub na rożnie. W dni postne, bardzo surowo przestrzegane, bywa zupa przyrządzana na oleju, albo z dyni, cebuli, czosnku i jarzyn, i dodają się do niéj jaja, sałaty i owoce. Chléb piecze żona najemnika z tak zwanego „*meteil*,“ mięszaniny z różnych części pszenicy i żyta. Po za tą codzienną, bardzo dostatnią, jak widzimy strawą, robotnik wzdycha przez rok cały do owych 10 dni nadetatowéj pracy u sąsiadów, które stanowią główną i najprzyjemniejszą dlań rozrywkę, a w których w nadgrodę za trud, wyjątkową w téj porze wartość mający, zasiada on do uczt wystawnych prawie, bo z mięsiwa pieczonego, z pasztetów i wina „à discrétion“ złożonych. Rzecz dziwna! to upodobanie robotnika w jadle i napoju nie prowadzi go jednak nigdy prawie na drogę rujnujących nadużyć. Ustrzega go, jak się zdaje, od tego szkopułu naturalny wpływ i nadzór *patrona;* ustrzega go także w inny sposób się objawiający wpływ i nadzór na tradycyi opartéj *opinii* publicznéj. Robotnik, któryby odstąpił od pewnéj obyczajem uregulowanéj normy i skali życia, stałby się przedmiotem nie tylko zgorszenia, ale pośmiewiska wszystkich. Dodajmy, że obyczaj nie dozwala robotnikowi, przynajmniéj robotnikowi rolnemu, wstępu do *karczmy;* wiadomo nam zaś jak wielki wpływ ma *karczma* na ekonomiczny i moralny kierunek téj klasy społeczeństwa. Udając się na targ lub jarmark, robotnik zwykł jadło i napój zabiérać z sobą i przypadkowo tylko się w tych wycieczkach posila w kawiarni lub traktyerni, tak, że rocznie wydatek ten jarmarczny nie przenosi 2 franków.

A teraz, idąc za wzorem autora wspomnianego wyżéj atlasu p. t. „Les Ouvriers Européens,“ dopełnić chcemy obrazu ekonomicznych warunków bytu ludności rolniczéj w téj okolicy, przedstawieniem obrachowanéj w przybliżeniu tablicy budżetowéj przychodów i rozchodów rodziny roboczéj w tych warunkach się znajdującéj. Przyjęliśmy w dochodzeniu i zestawianiu cyfr metodę pana Le Play, a w pewéj mierze i cyfry przez niego podane, modyfikując wszakże takowe podług zebranych przez nas samych wskazówek, gwoli zmianom zaszłym w ekonomicznych warunkach w ciągu lat kilkunastu od daty wydania rzeczonego atlasu.

Nadmieniamy, iż cyfry wszystkich pozycyj w ułamkowym często przedstawiające się kształcie, są cyframi wypadkowemi szczegółowych obrachunków, których dla oszczędności miejsca zamieścić tu zaniechaliśmy, odsyłając czytelników pragnących sprawdzić szczegóły, do atlasu pana Le Play.

Dla uproszczenia również naszych tablic budżetowych, uznaliśmy za stosowne podawać w dziale przychodów *netto* zyski z roz-

maitych gałęzi przemysłu wpływające, z pominięciem *nakładów*, które też w dziale rozchodów nie znajdą miejsca.

## PRZYCHODY.

| | W naturze. | W pieniądz. |
|---|---|---|
| *Z własności:* | | |
| Z drobiu (procent 6% od wartości) . . . . . | 5 16 | |
| Z trzody chlewnéj (procent idem) . . . . . | 5 04 | |
| Z narzędzi rolniczych (procent 5% od wartości) . | 4 10 | |
| | 14 30 | |
| *Ze subwencyi:* | | |
| Z domu mieszkalnego (procent 5% od wartości) | 64 00 | |
| Z obory (procent idem) . . . . . . . . . . . | 8 00 | |
| Z ogrodu (procent idem) . . . . . . . . . . | 8 00 | |
| Z pola (procent idem) . . . . . . . . . . | 4 00 | |
| 9.600 kil. drzewa opałowego . . . . . . . . | 52 10 | |
| 800 litrów wina (przecięciowo po 0,125 za litr) . | 100 00 | |
| Suknie dla dzieci . . . . . . . . . . . . . | 48 00 | |
| Wydatki szkolne płacone przez patrona . . . | 10 00 | |
| Koszta doktora i apteki i t. p. (przecięciowo) . . | 2 00 | |
| Pomoc w przypadkach ognia, zarazy, i t. p. (przec.) | 30 00 | |
| | 326 10 | |
| *Z pracy:* | | |
| Z pracy głównéj najemnika (280 dni po 1,50 na rachunek patrona) . . . . . . . . . | | 420 |
| Z prac dodatkowych tegoż: 10 dni po 2,00 na rachunek sąsiednich właścicieli i dzierżawców . . . | 20 00 | |
| zbiór drzewa (6 dni po 2,00) . . . . | 12 00 | |
| 3 dni szarwarku po 1,50 . . . . . | 4 50 | |
| 4 dni zajęć przy domu po 1,50 . . . | 6 00 | |
| wycieczki na targi i jarmarki (6 dni przez które najemnik mógłby pobierać 1,50 fr.) . . . . . . . . | 9 00 | |
| Z pracy głównéj żony najemnika (wynagrodzenie za pracę tę, polegającą na domowych zatrudnieniach jako to przyrządzanie pożywienia, doglądanie dzieci, utrzymanie czystości i t.p., nie da się oznaczyć) . . . | — — | |

| | | W naturze. | W pieniądz. |
|---|---|---|---|
| Z prac dodatkowych tejże: | 110 dni po 1, 20 na rachunek patrona . | | 132 00 |
| | 4 dni na rachunek sąsiadów wynagradzane w naturze (w wełnie do przędzenia) . . . . . . . . . . . | 7 20 | |
| | praca w domu i przy domu z pomocą dzieci (uprawa pola i ogrodu, zbiór drzewa, doglądanie zwierząt domowych, przyrządzanie sukien) 221 dni po 0, 80 . . . . . . . . . . . | 176 80 | |
| | | 235 50 | 552 |
| Z przemysłu: | | | |
| Eksploatacya pola i ogrodu, chów zwierząt, przędza i t. p. . . . . . . . . . . . . . | | 266 72 | |
| Łącznie . . . . . . . . . . . . . . | | 842 | 552 |
| | | 1394 | 62 |

ROZCHODY.

| Na potrzeby materyalne: | W naturze. | W pieniądz. |
|---|---|---|
| Pożywienie . . . . . . . . . . . . . . . . | 599 92 | 250 60 |
| Mieszkanie (procent od wartości domu i praca około utrzymania) . . . . . . . . . . . | 67 00 | |
| Sprzęty (zakup i utrzymanie) . . . . . . . . | 7 56 | 8 00 |
| Opał . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 63 20 | 2 00 |
| Światło (świéce łojowe i łuczywo) . . . . . . | — — | 11 40 |
| Odzienie i opranie (zakup i praca) . . . . . | 85 84 | 72 00 |
| Koszta doktora i apteki . . . . . . . . . . | 2 00 | |
| Zapomogi udzielane przez patrona . . . . . | 30 00 | |
| Trzy dni szarwarku . . . . . . . . . . . . | 4 50 | |
| Procent 15% od wartości handlowéj artykułów żywności kupowanych na kredyt; procent pobiérany przez kupców w formie podwyżki na cenie . . . . . . . . . | | 5 60 |
| | 862 02 | 510 60 |
| Na potrzeby moralne: | | |
| Opłata roczna za miejsce w ławce kościelnéj . . | | 1 05 |
| Koszta szkolne . . . . . . . . . . . . . . | 10 00 | |
| Rozrywki (wycieczki na jarmarki i targi, wartość dni roboczych w tych wycieczkach strawionych 9, 00; wartość wydatków na pożywienie 2, 00) . . . . . . . . . . . | 9 00 | 2 00 |
| | 19 00 | 3 00 |
| Łącznie . . . . . . . . . . . . . . . . | 881 02 | 513 60 |
| | 1394 | 62 |

Przenieśmy się teraz do środkowéj Francyi. Znajdujemy tu całkiem odmienny już stan rzeczy. W radykalniejszym daleko przewrocie układu społecznego, nie tylko forma, ale i treść stosunków uległa głębokiéj zmianie; coś z przeszłości jednak pozostało dotąd i zobaczymy jaką rolę *to coś* odgrywa w ekonomicznym bycie pracownika. Punkt obserwacyjny obiéramy w gminie wiejskiéj dawnéj prowincyi „du Morvan,“ dzisiejszego departamentu „de la Nievre;“ i zaczynamy od spisu ludności téj gminy:

| | Domów. | Osób. |
|---|---|---|
| Główny właściciel, mieszkający w gminie . | 1 | 16 |
| Proboszcz, siostry nauczycielki św. Józefa . . | 2 | 5 |
| Drobni właściciele, uprawiający swoje własności | 72 | 432 |
| Dzierżawcy, posiadający czasem trochę własnéj roli . . . . . . . . . . . . . | 41 | 314 |
| Kupcy i rzemieślnicy: młynarze 6 domów, krawcy 3 domy; wyrabiający saboty 3 domy; kowale, ślusarze 3 domy; malarze 2 domy; karczmarz 1 dom; weterynarz empiryk 1 dom . . . . . . . . . . | 22 | 135 |
| Najemnicy będący właścicielami domu i ogrodu | 39 | 191 |
| Najemnicy nie posiadający własności . . . | 57 | 263 |

Gmina zawiéra nadto kilka większych własności ziemskich, których posiadacze nie mieszkają w gminie. Wartość stosunkowa wszystkich własności da się oznaczyć za pomocą podatku gruntowego, który rozkłada się jak następuje:

| | | |
|---|---|---|
| 1 główny właściciel mieszkający w gminie płaci | 0,50 | 1 |
| Więksi właściciele nie mieszkający w gminie płacą | 0,28 | |
| Drobni właściciele . . . . . . . . . . . . . | 0,22 | |

Jak widzieliśmy, w klasie najemników przeważa liczba tych, którzy nie posiadają żadnéj własności; tę więc ostatnią kategoryą będziemy głównie mieć na uwadze, nadmieniając jednak, iż różnica w warunkach ekonomicznych dwóch kategoryj nie jest zbyt wielka, skoro najem domu z ogrodem, lub bez ogrodu nie przenosi kilkudziesięciu fr. rocznie.

Co się tyczy innych wymienionych przez nas kategoryj, zestawiliśmy je dla tego w tablicy porównawczéj, iż żadna z nich, jak zobaczymy, nie pozostaje bez wpływu na warunki ekonomiczne, w których żyje nasz pracownik. Dawny systemat długotrwałych zobowiązań między pracownikiem a potrzebującym pracy nie ustąpił tu jeszcze w zupełności przed nowoczesnym systematem pracy dziennéj lub wydziałowéj. Najemnik pospolicie przywiązuje się tutaj umową, tak jak i na południu do jednego właściciela lub dzierżawcy,

z tą jednak różnicą, iż umowa obejmuje tylko czas bardzo ograniczony, czas mianowicie żniwa, albo młócki, w którym to czasie właściciel lub dzierżawca większéj liczby rąk potrzebuje. Przez resztę roku najemnik najmuje pracę swoję na dni lub na wydział, jak i gdzie się trafi. Praca jednakże wydziałowa, aczkolwiek nie wykluczona zupełnie, jak to ma miejsce na południu, zwolna tylko i oporem wchodzi w obyczaj ludności rolnéj. Składa się na to kilka rozmaitych przyczyn. Najpiérw, tak jak na południu, konserwatyzm, daleko powszechniejszy we Francyi niż to przypuszczać jesteśmy skłonni; następnie drobna skala miejscowych eksploatacyj rolnych; drobni bowiem właściciele i dzierżawcy, pracujący pospolicie razem z najmowanymi przez siebie pracownikami, są przez to samo w stanie najskuteczniéj wyzyskiwać ich czas i siły i nie mają interesu w zaprowadzaniu pracy wydziałowéj, która zawsze drożéj wypada. Najemnicy ze swéj strony zbyt mało mają energii, na co systemat alimentarny, z którym się zapoznamy, nie jest zapewne bez wpływu, aby pożądać podobnéj zmiany. W ustanowieniu téż przychodu z pracy w budżecie najemnika niwerneńskiego trzymać się będziemy rachunku *na dni;* tu atoli podamy kilka wskazówek względem warunków przysługujących pracy wydziałowéj w téj okolicy. Najczęstsze zastosowanie znajduje ona przy robotach ziemnych, jako to przy kopaniu rowów, zbiéraniu kamieni i t. p., od metra rowu średniego czyli mierzącego 0,60 metra głębokości a 1 metr szerokości u wierzchu płaci się od 0,20 do 0,25 fr. Zebranie i ustawienie 1-go metra kubicznego kamieni, płaci się 1 fr. Wyjątkowo wysokie wynagrodzenie w chwili zbiorów dochodzi do 16 fr. od ścięcia i ułożenia w garście jednego hektara, z dodatkiem pożywienia, do którego raz na dzień przynajmniéj wchodzi mięso (głównie wieprzowina). Dla wyjaśnienia stosunkowéj wysokości tego wynagrodzenia nadmienić należy, że dobry kosiarz położyć może do $^1/_2$ hektara zboża (pszenicy), ale nie więcéj, ze względu na jéj zwartość, i że hektar pszenicy wydaje w dobrych latach od 15 do 20 hektolitrów, hektolitr zaś w bieżącym np. roku przedawał się po średniéj cenie 25 fr. Dodawanie pożywienia do wynagrodzenia, zwłaszcza w czasie zbiorów, należy do powszechnego we Francyi obyczaju rolniczego.

Przechodząc do pracy dziennéj, średnia wysokość wynagrodzenia za dzień roboczy da się oznaczyć przez cyfrę 2 franków. Jeżeli, co jest dość częstym wypadkiem, najemnik stale, aczkolwiek nie bez przerwy, pracuje dla jednego i tego samego właściciela lub dzierżawcy, tedy cyfra wynagrodzenia, raz ustanowiona, pozostaje także stałą, nawet na czas zbiorów. Ceniąc klientelę, która, w pewnych przynajmniéj epokach, zapewnionego dostarcza mu zatrudnienia,

zwykł najemnik poświęcać jéj, nawet w tym drogim czasie, widoki większych, ale przypadkowych korzyści. Jednakże pospolicie naczelnicy eksploatacyi rolnych skłonni są do ofiarowania mu z własnéj inicyatywy, na ten czas wyjątkowy, jakiegoś dodatku do zwyczajnéj płacy. Wzdrygają się oni atoli przed, chociażby anormalném tylko i okolicznościowém podwyższeniem takowéj, i wolą ofiarowywać rzeczony dodatek w formie gratyfikacyi, w cyfrze np. 20 franków za cały, kilkanaście dni wymagający sprząt zboża.

Stosunek ten odsłania nam najsmutniejszą stronę ekonomicznego bytu klasy najemniczéj w środkowéj Francyi, a mianowicie zagrażający jéj ciągle, spotykający ją często brak zajęcia. Przyczyny, których bliższe określenie odkładamy na późniéj, sprowadzają coraz to większe przepełnienie w téj klasie pracowników; przepełnienia zaś tego konieczném następstwem jest wyżéj wzmiankowany smutny stan rzeczy.

Większa część najemników niwerneńskich skazana jest peryodycznie na bezczynność przez parę lub więcéj tygodni w roku. To téż ograniczony w ten sposób i niepewny przychód z najmu nie byłby wystarczającym do uchronienia od nędzy biednego pracownika rolnego, gdyby nie interwencya głównego właściciela gminy, zawdzięczana przechowanym resztkom tradycyi. Od tego ostatniego otrzymuje robotnik bezpłatnie: najprzód prawo pastwiska i prawo zbiérania suchego drzewa; daléj wychowanie dzieci i pomoc lekarską, gdyż właściciel opłaca koszta szkoły dla dziewcząt i apteki, utrzymywanych zwyczajnie przez siostry św. Józefa; przedewszystkiém zaś znajduje u niego w braku innego zajęcia gotową prawie zawsze robotę około sypania grobli, kopania rowów i t. p., którą właściciel ze stratą dla siebie podejmuje i opłaca, w celu właśnie zatrudnienia rąk bezczynnych. Wielką jest także z innéj strony pomocą dla robotnika niezrównana pracowitość i energia jego żony. Pracuje ona wprawdzie bardzo mało po za domem; ale w domu za to rozwija działalność, o któréj żony polskich naszych pracowników niewątpliwie wyobrażenia nie mają. Jest ona nie tylko gospodynią, żoną i matką, nie tylko gotuje jedzenie, zbiéra drzewo na opał, uprawia ogród i pole kartoflane, dogląda zwierząt domowych, wyrabia z konopi i wełny większą część odzienia wszystkich członków rodziny; częstokroć jeszcze najmuje się ona za mamkę, przyjmując do swéj piersi, za skromném wynagrodzeniem niemowlęta, które zwyczajnie najbliższy dom schronienia jéj powierza. Co się tyczy dzieci, te do lat 12 pomagają matce i chodzą do szkoły, utrzymywanéj dla chłopców przez gminę, dla dziewcząt, jakeśmy rzekli, przez siostry św. Józefa; w lat zaś 12 oddawane bywają w służbę w sposób wyżéj przez nas skreślo-

ny. Od gminy i od właściciela lub dzierżawcy, dla którego najemnik pracuje w czasie żniwa lub młócki, a którym bardzo często nie jest *główny właściciel*, doświadcza on także niejakiego dobrodziejstwa. Piérwsza daje bezpłatne miejsce w szkole jego synom, drugi pozwala jego żonie zbiérać kłosy na swojém polu. Mimo tych wszystkich posiłków, byt tego pracownika, w porównaniu z bytem jego południowego brata, pozostaje godnym politowania. Mieszka on w ciasnéj chałupce, dwie tylko izby zawierającéj, z których jedna jest kuchnią i jadalnią, druga—sypialnią z trzema tylko wspólnemi i stykającemi się prawie łóżkami, dla rodziców, synów i córek. W małéj, do chałupki przyczepionéj komórce, mieści się wieprz, koza i zapas drzewa. Sprzęty i odzienie, aczkolwiek zazwyczaj starannie utrzymane, noszą prawie charakter nędzy. Porównajmy teraz pożywienie na stole niwerneńskiéj rodziny roboczéj się trafiające z tém, z którém zapoznaliśmy się na południu. Śniadanie (o godzinie 7-éj) stanowi zupa, złożona z chleba, jarzyn i soli z troszką słoniny, oleju lub mléka. Podstawą objadu (o godzinie 12-éj) są kartofle gotowane, czasem z okrasą słoniny, czasem z solą tylko i chlebem. Częstokroć kartofle zastępuje sałata; częstokroć znowu obiad składa się wyłącznie z rodzaju blinów (crêpes) z mąki gryczanéj, smażonych na słoninie lub oleju. Kolacya (o godzinie 7-éj) jest powtórzeniem śniadania. W czasie żniw najemnik jada te same pokarmy cztéry razy dziennie: o 6-éj, 11-éj, 4-éj i 9-éj. Mięso i wino raz tylko w roku znajduje miejsce na jego stole, w dzień mianowicie święta patrona miejscowości. Przy końcu żniw bierze najemnik udział w drugiéj uczcie, wyprawianéj kosztem *fermiera*, dla którego pracował, a składającéj się ze wzmiankowanych już blinów i z wina, jeżeli wyprawiający ucztę jest w dostatku. Od sprzętu kuchennego, używanego do smażenia blinów, uczta ta, odpowiadająca naszemu okrężnemu, zwie się: „*la poëlée*.“ W ciągu roku, mniéj przywiązany do pracy niż na południu, peryodycznie owszem jakeśmy rzekli, skazany na bezczynność, najemnik częściéj niż tam ulega jarmarcznym pokusom. Brak zaś owego nadzoru tak dobroczynnie przez *patrona* sprawowanego na południu, czyni te pokusy nierównie dlań niebezpieczniejszemi. Gra w kręgle i strzelanie do celu, które stanowią dwie ulubione rozrywki téj klasy, nastręczają okazyą wstąpienia do znajdującéj się zwykle w sąsiedztwie karczmy. Pospolicie téż karczmarze umieją wabić konsumentów, organizując np. turnieje kręglowe lub strzelnice, w których zwycięzca z ich ręki otrzymuje nadgrodę. Kobiéty mają w ogóle mało skłonności do mocnych trunków; nie są jednak w stanie zwalczania skutecznie téj skłonności u mężów. Ulubioną rozrywką kobiét są tak zwane „*veillées*“ zimowe, odpowiadające naszym wieczornicom. Dwanaście do piętna-

stu sąsiadek składaj ą się dla najęcia i oświecenia lokalu, najczęściéj piwnicy, która przez podziemne położenie swoje zabezpieczona jest od zimna, i tam po kolacyi zbiérają się codziennie i przesiadują od 8 do 11, przędąc i opowiadając o upiorach i innych strachach. W dni chłodniejsze, każda z prządek ogrzewa się za pomocą odrobiny węgla, tlejącego w glinianém naczyniu. Oprócz starszych prządek schodzą się na wieczornice i dziewczęta a za niemi i chłopcy; ztąd oprócz przędziwa, owocem wieczornic bywają skojarzone małżeństwa. Wesele jest jedyną, a więc kilka razy do roku zaledwie trafiającą się okazyą do tańca; ztąd też karczma nie może tu tak wielkiéj odgrywać roli jak u nas.

Wspomnieć natomiast musimy o zwyczaju, którego następstwa równie niemal opłakane są dla rodziny najemnika francuzkiego, jak dla rodziny naszego polskiego pracownika, karczemne nałogi tego ostatniego. Zwyczajem tym jest przyjmowanie części wynagrodzenia za dni robocze w naturze, to jest w strawie; z którego zwyczaju wynika, że najemnik ubiega się za strawą jak najlepszą i przynosi do domu piéniądz, przedstawiający czasem jednę trzecią tylko rzeczywistego zarobku, a nie wystarczający do zaspokojenia najpiérwszych potrzeb żony i dzieci. Te więc ostatnie cierpią głód częstokroć, podczas gdy mąż i ojciec obfitém cieszy się jadłem. I tak przez czas zbiorów, to jest przez 30 dni mniéj więcéj, najemnik, zasiadając zwyczajnie, wespół ze wszystkimi domownikami do stołu fermiera lub właściciela, dla którego pracuje, jada trzy razy w tydzień zupę z około $1/2$ kilogr. słoniny i wypija do 4 litrów jabłecznika (cidre) dziennie. Natomiast w piéniądzach pobiéra dziennie tylko 1 fr. Nadmienić tu wypada, że zwyczaj przyjmowania do stołu najemników i domowników zaczyna być mniéj powszechnym między fermierami i drobnymi właścicielami. Powiedziawszy tyle o ciemnych stronach badanych przez nas obyczajów, musimy wspomniéć także o stronach jasnych. Jedną z tych jest przywiązanie do rodziców, których starość podtrzymują zwykle dzieci z wielkiém poświęceniem, nie pozwalając im nigdy, jak to się u nas praktykuje, iść na włóczęgę. Bywają także starcy, pielęgnowani przez fermierów, lub właścicieli dla których pracowali. Ale jasną stroną obyczajów najwybitniejszą w téj części Francyi jest czystość, dostrzedz się dająca w odzieniu, sprzętach i nawyknieniach najbiédniejszych rodzin. I tak np. dzień w dzień stół, szafa, krzesła i drewniane części łóżka poddane są z nadzwyczajną troskliwością i drobiazgowością wykonywanéj operacyi *woskowania*, aż do połysku.

Przypatrzmy się teraz budżetowi familii:

## PRZYCHODY.

| | W naturze. | W pieniądz. |
|---|---|---|
| **Z własności:** | | |
| Z drobiu, kozy i wieprza (procent 6% od wartości) | 1 2o | 3 48 |
| Z narzędzi rolniczych (procent 5% od wartości) | 1 4o | 3 |
| . | 2 6o | 6 48 |
| **Ze subwencyi:** | | |
| Ze żbioru kłosów na polu jednego właściciela lub dzierżawcy (15 kilogr. w przybliżeniu) . | 2 96 | |
| Z prawa pasania kozy na pastwisku głów. właść. . | 4o oo | |
| Z prawa zbiérania drzewa w lesie tegoż (2.ooo kilogr. w przybliżeniu) . . . . . . . . | 2o oo | |
| Strata jaką ponosi główny właściciel, dostarczając zajęcia najem. (o, 5o dziennie w przybliż.) | | 1o oo |
| Koszta szkolne dla chłopców ponoszone przez gminę, departament i rząd . . . . . | 1o oo | |
| Koszta szkolne dla dziewcząt, ponoszone przez głównego właściciela . . . . . . . . | 6 oo | |
| Pomoc lekarska opłacona przez tegoż (w przybliżeniu rocznie) . . . . . . . . . . . | 5 oo | |
| | 83 96 | 1o oo |
| **Z pracy:** | | |
| Na rachunek jednego właś. lub dzierż.: 35 dni przy sprzęcie zboża i siana; 75 dni przy młóceniu . . . .; 1o dni przy pieleniu, zbiorze drzewa i t. p. . . . . . . . . (po 2,4o d.) | 2o3 74 | 86 oo |
| Na rachunek rozmaitych: 9o dni robót ziemnych (po 1, 966 fr. w przybliżeniu) . . . . . | | 176 86 |
| 2o dni robót ziemnych tytułem subwencyi przez głównego właściciela opłaconych (część zapłaty odpowiadająca rzeczywistéj wartości robót) . . . . . . . . . . . . . | | 19 3o |
| Uprawa ogrodu na własny rachunek (6 dni po 1,oo) | 6 oo | |
| Uprawa pola pod kartofle (5 dni po 1, 5o) . . | 7 5o | |
| Zbiór drzewa (1o dni po 1, oo) . . . . . . . . | 1o oo | |
| 3 dni szarwarku gminnego (po 1, 5o) . . . . . | 4 5o | |
| dni głównéj pracy żony najemnika (ob. poprzedni budżet) . . . . . . . . . . . . . | — — | |
| dni pracy dodatkowéj téjże (uprawa ogrodu, przędzenie, sprzęt siana na rachunek dzierżawcy lub właściciela) . . . . . . | 67 7o | 2o oo |
| Wynagrodzenie starszego syna będącego w służbie | 176 oo | 3o oo |
| | 475 44 | 332 16 |

| | | |
|---|---|---|
| Z przemysłu: | | |
| Z eksploatacyi pola i ogrodu, chowu zwierząt, przędzy, wynagrodzenie za karmienie dziecka . . . . . . . . . . . . . . | 71 38 | 171 08 |
| Łącznie . . . . . . . . . . . . . . . . . | 633 18 | 509 72 |
| | 1142, | 50 |

R O Z C H O D Y.

| Na potrzeby materyalne: | W naturze. | W pieniądz. |
|---|---|---|
| Pożywienie . . . . . . . . . . . . . . . . . | 524 38 | 257 38 |
| Mieszkanie (najem domu, utrzymanie) . . . . | | 64 00 |
| Sprzęty (zakup, utrzymanie) . . . . . . . . | 3 74 | 8 64 |
| Opał . . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 20 00 | |
| Światło (olej, tak zwane „veillées" odbywają się przy świetle łuczywa) . . . . . . . . | | 1 96 |
| Odzienie, opranie (zakup i praca) . . . . . . . | 53 16 | 132 16 |
| Koszta leczenia . . . . . . . . . . . . . . | 5 | |
| Trzy dni szarwarku . . . . . . . . . . . . | 4 50 | |
| Podatek osobisty (personnel et mobilier) . . . | | 6 00 |
| Starszemu synowi na wydatki drobne . . . . | | 4 00 |
| Procent 15% od wartości przedmiotów kupowanych na kredyt . . . . . . . . . . | | 4 50 |
| | 610 78 | 478 64 |
| Na potrzeby moralne: | | |
| Ofiary i składki dobroczynne . . . . . . . . | 6 00 | 6 00 |
| Koszta szkolne . . . . . . . . . . . . . . . | 16 00 | 2 00 |
| Rozrywki (wino, piwo, kawa i t. p. spożywane w wycieczkach jarmarcznych . . . . | | 22 08 |
| | 22 00 | 31 08 |
| Łącznie . . . . . . . . . . . . . . . . . | 632 78 | 509 72 |
| | 1142 | 50 |

Nie zapisaliśmy w powyższym budżecie żadnéj oszczędności; w saméj rzeczy bardzo szczegółowe badania dowiodły nam, że na sto indywiduów do téj kategoryi należących, dziesięciu zaledwie odkłada cośkolwiek na bok i dochodzi tym sposobem do lepszéj doli. Te same badania przekonały nas, że do wydobycia się z tak upośledzonego położenia właściwym środkiem od nader trudnéj w takich warunkach oszczędności, byłaby dla tych pracowników pożyczka. Dwóch do trzech przynajmniéj na dziesięciu posiada intelektualne i moralne przymioty, potrzebne do korzystnego wyzyskania takiego dobrodziejstwa; suma zaś 300 fr. okazała się w praktyce dostateczną do naprowadze-

nia całéj rodziny na drogę wiodącą do pewnego dostatku. Dodajmy, że tego rodzaju pożyczki z wszelką akuratnością bywają zwracane.

Częściéj niż rodzice, dzieci najemników, oddane w służbę, jak to wskazaliśmy wyżéj, dobijają się pomyślniejszego losu; albowiem rezygnując z uciech małżeństwa zbiérają bez wielkiéj trudności fundusz potrzebny do porzucenia służby i osiągnięcia drobnéj dzierżawy, a z czasem i własności; albo, szczęśliwsi, wchodzą przez małżeństwo do rodziny dzierżawcy lub drobnego właściciela, po którym obejmują spadek; albo nakoniec i ten wypadek jest najpospolitszym, właściciel, u którego przyjęli służbę, zadowolniony z ich usług, stawia ich po kilku latach na czele jednéj z ferm swoich, które to stanowisko jest znowu bliskim już szczeblem do własności. Natomiast pewna, nierównie liczniejsza liczba dzieci domowników, fermierów, lub nawet właścicieli, wyrzucona przez brak zajęcia, przez nieudolność swoję, lub przez podział własności z kondycyi ojcowskiéj, powiększa codziennie kategoryą najemników. Przyczynia się jeszcze w téj miejscowości do takiego rezultatu rozpadanie się, pod wpływem nowych pojęć i dążności, *dawnéj organizacyi rodzinnéj*. W téj dawnéj organizacyi dzierżawca lub nawet właściciel, potrzebujący większéj liczby rąk, zatrzymywał przy sobie dzieci swoje z ich żonami, mężami i dziećmi, prowadząc tym sposobem eksploatacyą własności lub fermy bez pomocy rąk obcych. Obecnie, dzieci właściciela takiego lub dzierżawcy, przyszedłszy do wieku, w którym mogą myśléć o małżeństwie, dążą nieprzeparcie do założenia niezależnego ogniska, z poświęceniem nawet wyższego stanowiska społecznego i lepszego ekonomicznego bytu. Wynika ztąd wzmożenie się liczebne kategoryi przez nas obecnie badanéj ponad wszelką potrzebę, a w dalszém następstwie brak zajęcia na który, jak to wskazaliśmy, cierpi perydycznie najemnik. Jedynym środkiem zaradczym w takiém położeniu, byłoby uzdolnienie młodego pokolenia do szukania zarobku na innéni mniéj przepełnionéni polu, podczas gdy w obecnym stanie rzeczy, odbiérając tylko bardzo początkowe wykształcenie, czy to w szkole gminnéj, czy to w szkole przez zakonice utrzymywanéj, chłopcy i dziewczęta nie nabywają znajomości żadnego rzemiosła i muszą poprzestawać tak jak rodzice na zajęciach wymagających tylko surowéj siły fizycznéj. Tymczasem z nagłych postępów społeczeństwa na drodze przemysłowéj i ze zwiększającéj się szybko wartości czasu, wyradza się dla całéj ludności rolnéj, dla téj nawet, dla któréj praca na roli pozostać ma główném zajęciem, konieczność jakiegokolwiek rzemiosłowego wykształcenia, tak dla zastosowywania coraz to nowych kombinacyj przemysłu z rolnictwém, jak dla korzystnego zapełnienia trafiających się zawsze w gospodarstwie

rolném, chwil, wolnych, chwil, które coraz droższemi się stają, a które piérwotnemi, wykształcenia nie wymagającemi przemysłami domowemi zapełnić się już nie dają. I tak nowoczesne parowe przędzalnie i tkalnie, dążą do zupełnego wydziedziczenia żon pracowników rolnych z tradycyjnéj kądzieli, zastępując produkta téjże nierównie lepszemi a tańszemi tkaninami.

Inną, zagrażającą klasie najemników, w téj części Francyi klęską, jest stopniowe a fatalne znikanie tradycyjnych subwencyj. Fatalne, bo z przemiany stosunków społecznych i z natury ludzkiéj logicznie wynikające. W dawnym układzie społecznym subwencyom tym, hojnie z jednéj strony udzielanym, odpowiadały z drugiéj strony pewne bądź służebne, bądź honorowe prestacye, stanowiące słuszne ich wynagrodzenie. Dziś, gdy ta kompensata przestała istnieć, subwencye utrzymują się tylko mocą czcigodnych nawyknień i szlachetnéj wspaniałomyślności. Ale przyzwyczajenia zużywają się, a wyczerpać się musi wspaniałomyślność, padająca na niewdzięczną, zawsze chwasty i ciernie rodzącą ziemię.

Nie mogły zresztą burze rewolucyjne nie potargać tradycyjnych węzłów między dwiema połowami ludności rolnéj. Zerwała je do reszty w wielu miejscach zmiana posiadaczy większych własności, zmiana wynikająca jeżeli nie bezpośrednio z rewolucyjnych reform, to pośrednio z natchnionych rewolucyjnym duchem praw podziałowych. Zmiana ta zastąpiła dawnych dziedziców bądź rzeszą drobnych właścicieli, chciwszych materyalnego zysku niż moralnych uciech, jakiemi dawny stosunek wynagradzał dziedziców, bądź finansistami nie upatrującymi w własności rolnéj nic, prócz mniéj lub więcéj korzystnéj lokaty kapitałów. Nakoniec z przykrego stosunku, w jakim i reformy i wyobrażenia rewolucyjne postawiły, chwilowo przynajmniéj, klasę posiadających rolę w obec klasy pracujących na niéj, z charakterem także nowych nabywców większych własności, wyrodził się *absenteizm*, który, wchodząc coraz bardziéj w obyczaj większych właścicieli, coraz bardziéj zostawia roboczą ludność rolną saméj sobie. Z innéj strony przerzedzenie się lasów i fiskalny kierunek, przeważający do ostatnich czasów w administracyi szczupłych resztek téj gałęzi narodowego bogactwa, pozbawiły w znacznéj mierze ubogą ludność rolną jednéj z najpotrzebniejszych dlań pomocy. Być może, iż świéżo uchwalone przeniesienie dyrekcyi leśnéj z ministerium finansów do ministerium rolnictwa sprowadzi dobroczynne zmiany w tym względzie.

Opisany tu stan rzeczy wspólny jest całéj środkowéj Francyi, z drobnemi tylko różnicami. I tak w znanéj nam bliżéj dawnéj prowincyi „du Maine,“ tworzącéj dziś dwa departamenty: „*de la Mayenne*“

i „*de la Sarthe*,“ w któréj drobna własność i drobne dzierżawy więcéj zajmują miejsca niż w prowincyi „*du Morvan*,“ większa część klasy roboczéj rolnéj wykluczona jest od wszelkiego patronatu, któréj to organizacyi dobrodziejstwami cieszy się wyłącznie szczupła stosunkowo liczba pracowników grupujących się w koło kilku większych właścicieli. Żyjący wszakże po za tą organizacyą najemnik nie jest przez to samo pozbawiony wszelkiéj obcéj pomocy, tylko pomoc ta zwyczajnie jest mniéj szczodrą i mniéj zapewnioną. I tak wszystkiéj niemal ubogiéj roboczéj ludności w prowincyi du Maine przysługuje na tolerancyi jednak tylko sąsiednich właścicieli i dzierżawców oparte prawo pasania gęsi na polach tychże właścicieli i dzierżawców. Jest to jedna z form bardzo rozpowszechnionego we Francyi obyczaju rolnego, znanego pod nazwiskiem „*droit de vaine-pâture*,“ nad którym to obyczajem zastanowimy się obszerniéj, kiedy będziemy badać stosunki zachodzące na ziemi francuskiéj między właścicielami ziemskimi. W stosunku klasy czysto roboczéj do klasy posiadającéj, prawo to „*de vaine pâture*“ ma, jakeśmy rzekli, charakter prostéj, dobrowolnéj tolerancyi, tolerancyi zresztą, która ścieśnia się ciągle i to w podwójny sposób: z jednéj strony względem całéj masy ludności ubogiéj, a to w skutek ustawicznego rozdrabniania się własności i zazdrosnego zamykania się tak rozdrobnionéj w nie dających dostępu ogrodzeniach, z drugiéj strony względem pojedyńczych rodzin, w skutku również ustawicznego wzmagania się ludności i wynikającéj ztąd konieczności stopniowego ograniczania liczby zwierząt dawniéj przez jednę rodzinę pasanych. Zbiéranie suchego drzewa w lasach rządowych jest drugiém, również na tolerancyi raczéj jak na właściwém prawie używalności opartém i również dla przyczyn wyżéj wskazanych ścieśniającém się dobrodziejstwem, przysługującém ubogiéj klasie roboczéj w prowincyi „*du Maine*.“ Ten sam nakoniec charakter ma w téjże prowincyi i w téjże klasie bardzo powszechny obyczaj zbiérania nawozu na drogach publicznych. Nawóz w ten sposób zebrany, staraniem głównie młodszéj dziatwy, nie tylko służy do zasilania pola i ogrodu, ale nadto, sprzedawany sąsiednim właścicielom i dzierżawcom, jest jednėm ze źródeł czystego dochodu.

Jeżeli w normalnym stanie wszystkie powyższe środki pomocnicze zastępują w pewnéj mierze dobrodziejstwa patronatu, nic nie zastępuje ich dotąd dla biednego pracownika, nawiedzonego jakąkolwiek klęską, np. ogniem lub chorobą. Żyjąc zawsze z dnia na dzień, a owszem naprzód często całkowity zarobek swój wydając, rzucony on jest przez tego rodzaju wypadki na łaskę przypadkowéj dobroczynności, którą nie zawsze znaléść można we właściwém miejscu i we właściwéj porze. Wprawdzie w departamencie sąsiadującym

z prowincyą „du Maine,“ mianowicie w departamencie „*de la Loire Inférieure,*“ znajdujemy założoną jeszcze w r. 1840, staraniem miejscowego proboszcza, 15 gmin obejmującą, a na samoistnych zupełnie podstawach uorganizowaną instytucyą, która ubogiéj ludności rolnéj dostarcza bezpłatną pomoc lekarską. Instytucya ta atoli, polegająca z jednéj strony na dobrowolnych składkach pewnéj liczby stowarzyszonych w tym celu osób, z drugiéj strony — na dobréj woli także lekarzy i aptekarzy kontentujących się jedną trzecią pobiéranych zwyczajnie honorariów i opłat, instytucya ta, mówimy, z indywidualnéj, szczęśliwéj, inicyatywy wychodząca, miejscową tylko, nie społeczną ma doniosłość. Wspomnijmy jednakże, że w cztérech piérwszych latach swego istnienia, instytucya ta rozciągnęła swoje dobrodziejstwo do 92 chorych a to z wydatkiem 185 fr. tylko, i pospolicie cyfra przeciętna wydatków nie przenosi na jednego chorego 5 fr.

Z dokonanego przez nas zestawienia między dwiema organizacyami klasy najemniczéj rolnéj, właściwemi południowéj i środkowéj Francyi, lękamy się, aby czytelnik nie wyprowadził wniosku, iż tylko w przechowaniu jak najwierniejszém dawnéj organizacyi patronatu, lub w powrocie do téjże, upatrujemy zbawienie dla téj kategoryi pracowników. Wniosek ten byłby niesłusznym. Wypada nam teraz właśnie przypatrzéć się z kolei trzeciéj formie nowoczesnéj organizacyi, w któréj ostatnie ślady patronatu zniknęły bezpowrotnie, a w któréj jednak pod względem ekonomicznym najemnik rolny na daleko wyższym niż w dwóch poprzednich stanął szczeblu. Organizacye społeczne mają, tak jak koryta rzek, swój bieg naturalny i konieczny; chciéć wstrzymać ten bieg, lub zawrócić go do źródła byłoby niedorzecznėm przedsięwzięciem. Inna jest rzecz kierować niém. Owóż zapoznać czytelnika z rezultatami rozmaitych kierunków jest jedynym naszym celem. Resztę zostawiamy czytelnikowi samemu.

Trzecią tę formę organizacyi znajdujemy w niższéj Bretanii (w dzisiejszym departamencie *du Finistère*). Ludność rolnicza składa się tu wyłącznie prawie z drobnych właścicieli i dzierżawców uprawiających ziemię własnemi rękami, z pomocą domowników i najemników. Tak samo jak w środkowéj Francyi i dla tych samych przyczyn umowa dzienna stanowi zasadę najmu. W praktyce atoli jeżeli, co jest dość częstym wypadkiem, najemnik, noszący tutaj z bretońskiego narzecza pochodzącą nazwą *pen-ty*, był przedtém domownikiem, wtedy pospolicie, przechodząc do wyższéj kategoryi *pen-ty-ch*, pozostaje przywiązany do téj saméj eksploatacyi, dla któréj pracował jako domownik, i umowa dzienna staje się tylko formą. Zdarza się nawet dość często, iż dzieci takiego najemnika pracują dla dzieci tych właścicieli lub dzierżawców, dla których pracował ich ojciec.

Nie mniéj jednak wypadki tego rodzaju mogą być uważane za wyjątkowe, a i w tych wypadkach stosunek między najemnikiem a najmującym odróżnia się stanowczo od stosunku, jaki widzieliśmy w południowéj Francyi. Szybsze, radykalniejsze rozdrobnienie eksploatacyi rolnéj zerwało tu szybciéj, radykalniéj, tradycyonalne węzły społeczne. Najemnik poczuwa się tylko do obowiązku dostarczenia umówionéj pracy; najmujący tylko do obowiązku dostarczenia umówionego wynagrodzenia. O obowiązkach jakie *patronat* nakłada na jednę i drugą stronę, nie ma tu mowy.

Byt ekonomiczny bretońskiego *pen-ty* nie opiéra się jednak na samém tylko piéniężném wynagrodzeniu za dostarczaną ilość dni roboczych; posiłkuje się on nadto dwoma nader ważnemi czynnikami, mianowicie z jednéj strony przychodem z obfitszych w téj stronie Francyi niż w którejkolwiek innéj gminnych własności ziemskich, z drugiéj strony rozmaitemi drobnemi dodatkami w naturze do wynagrodzenia przez właścicieli i dzierżawców dołączanemi.

Wypada nam tu zamieścić słów kilka o znaczeniu i organizacyi gminnéj własności ziemskiéj we Francyi. Ziemskie posiadłości gminne, bronione upornie wciągu wieków przeciwko pretensyom panów, zakonów i skarbu, zajmowały w chwili wielkiéj rewolucyi znakomitą część francuzkiego territorium. Zasady, które w roku 1791 sprowadziły zniesienie miejskich korporacyj „dárts et metiers,“ powinny były sprowadzić także podział pospólnych posiadłości ziemskich. Zgromadzenie narodowe atoli cofnęło się przed energicznie objawioném przywiązaniem ludności wiejskiéj do odwiecznych praw swoich. Dopiéro *zgromadzenie prawodawcze* w roku 1792 nakazało podział. Zanim podział został dokonany, w następnym już roku *konwencya*, ustanawiając dług publiczny, zadekretowała przelanie na rzecz skarbu długów gminnych, a w zamian tego sprzedaż na rzecz skarbu gminnych własności. Sprzedaże jednak tam tylko zostały w myśl dekretu uskutecznione, gdzie władza była w stanie osłonić nabywców, co nie wszędzie mogło mieć miejsce; to téż po dwóch latach rząd uznał za rzecz stosowną zawiesić sprzedaż i znieść prawo z roku 1793. W roku 1813-ym nadzwyczajne, klęskami sprowadzone potrzeby spowodowały nowy dekret sprzedaży posiadłości gminnych, które tym razem znacznie uszczuplone zostały; znowu jednak prawo z roku 1816 powróciło gminom posiadanie wszystkich dóbr do owéj pory niesprzedanych. Nigdy zresztą gminy nie pozwoliły wydrzéć sobie posiadłości takich jak lasy i pastwiska, w których mieszkańcy używali bezpośrednio prawa węgla lub wygonu, a które po wszystkie czasy stanowiły główną część majątku gminnego. Dobra, kładające dziś ten majątek, obejmują około 2.800.000 hektarów

odłogów i torfowisk poświęconych na pastwisko, 1.700.000 hektarów lasu i 200.000 hektarów gruntu ornego, łąk i rozmaitych własności, których wartość ogólna, oszacowana przed 20-tu laty prawdopodobnie niżéj rzeczywistéj wartości, wynosiła jeszcze do 1.700 milionów fr.

Rady municypalne orzekają o sposobach administrowania tych dóbr, a mianowicie czy mają być wydzierżawione, czy téż bezpośrednio użytkowane przez mieszkańców. Ten ostatni systemat bywa pospolicie zastosowany do pastwisk lasów i torfowisk przez rady municypalne, które oznaczają jednocześnie sposób użytkowania i rozkład tegoż między mieszkańców, z zastosowaniem odnośnie do lasów wszystkich przepisów, do téj części bogactwa krajowego się odnoszących. Inne dobra bywają zazwyczaj wydzierżawiane a dochód z dzierżawy przeznaczany na wydatki gminne. W jednéj tylko gminie czynsz dzierżawny rozdzielają między sobą mieszkańcy. Oznaczenie warunków dzierżawy należy także do rad municypalnych, których postanowienia wszakże w téj materyi i we wszystkich powyższych wykonalnemi są dopiéro w trzydzieści dni po przedstawieniu podprefektowi, mogą następnie być zawieszone na drugie 30 dni przez prefekta i nakoniec skasowane przez tegoż. Nadto kontrakta dzierżawne na termin dłuższy od lat 18 podlegają aprobacie prefekta.

— Udział w dobrodziéjstwach z gminnego majątku wynikających przysługuje w zasadzie *ipso jure* wszystkim osiedlonym lub osiedlającym się w gminie, majątek takowy posiadającéj, nie wyłączając nawet cudzoziemców. W praktyce atoli, prawo do tego udziału, a właściwiéj prawo osiedlenia się w gminach, zwłaszcza północnéj i wschodniéj Francyi hojniéj od innych uposażonych, sprzedaje się krajowcom nawet, i kosztuje do 400 fr. Nie tylko zresztą tą wysoką opłatą tak zwaną: *1-go osiedlenia*,— ale energiczniéj jeszcze siłą obyczaju i strzegącéj go opinii publicznéj bronią się bogate gminy przeciwko inwazyi rodzin biednych. I tak, wybudowanie nowego domu mieszkalnego uważane bywa za publiczną klęskę, a obyczaj nie dozwala małżeństwa tym, którzy nie są w stanie nająć jednego z istniejących już domów. Ztąd bogactwo gmin nie sprzyja bynajmniéj wzrostowi ludności, przeciwnie utrzymuje jéj liczbę w zupełnéj prawie nieruchomości.

Wróćmy teraz do naszego *pen-ty*. Posiadłości gminne do których używalności jest on przypuszczony składają się tu wyłącznie ze stepów (landes), porosłych trawą i krzakami janowca (ajones); te dostarczają mu pastwiska i ściółki dla dwóch krów, oraz materyału opałowego. Jeżeli, wyjątkowo w téj stronie Francyi, jest on mie-

szkańcem gminy wydziedziczonéj z wszelkiego majątku, tedy właściciel, dla którego najwięcéj pracuje w ciągu roku, udziela mu pospolicie tytułem dodatku do wynagrodzenia, takich samych praw używalności na własnym stepie. Tytułem dodatku również otrzymuje pen-ty, od rozmaitych właścicieli i dzierżawców z którymi znajduje się w stosunku, pewne artykuły żywności, jako to jarzyny i owoce. Nakoniec właściciel domu, w którym pen-ty mieszka, zwykł odstępować mu siano dla krów potrzebne za cenę niższą cokolwiek od ceny targowéj. Wartość stosunkową tych wszystkich subwencyj wyjaśni czytelnikowi tablica budżetowa, któréj i tym razem przedstawić nie omieszkamy. Pamiętajmy atoli, że dawna organizacya patronatu obcą jest zupełnie tym stosunkom bretońskiego najemnika z drobnymi właścicielami lub dzierżawcami, obcymi także wszelkiéj tradycyi. Otrzymywane od nich subwencye zawdzięcza on li tylko własnéj pracy i umiejętności z jaką pracować potrafi. Rezultat jest mniéj więcéj ten sam, ale zasada jest odmienną. Nie jest zaś to li tylko kwestyą formy. Nowy ten bowiem stosunek czyni pracownika rolnego nierównie niezależniejszym; ta zaś niezależność pociąga za sobą nader ważne następstwa. Z jednéj mianowicie strony przynosi mu ona szkodę ogromną, pozbawiając go wszelkiéj nie tylko materyalnéj, ale i moralnéj opieki i rzucając go na pastwę wszelkim klęskom, wszelkim namiętnościom i złym nałogom; ale z drugiéj strony ona to niewątpliwie wykształciła w bretońskim pen-ty cnoty, których napróżno szukaliśmy u jego braci w południowéj i środkowéj Francyi, a między temi cnotami przedewszystkiém *oszczędność*. Na dziesięciu najemników, trzech przynajmniéj dochodzi tutaj do własności. Jakeśmy już wspomnieli, zawód swój pracowity zaczyna najczęściéj *pen-ty* od domownictwa. W téj kondycyi już, pod wpływem przykładu rodzicielskiego i ogólnego obyczaju, zaprawia się on do oszczędności, myśląc o założeniu niezależnego ogniska. Dopiąwszy tego celu mniéj więcéj w 25-ym roku życia, może on, jako *pen-ty*, odkładać do 200 fr. rocznie i w 35-ym roku pokusić się o dzierżawę. W tém nowém stanowisku oszczędność, która podnieść się teraz może do 500 fr., prowadzi go z łatwością po upływie drugiego peryodu 10—15 lat do posiadania kapitału 12—16.000 fr. Z pomocą tego kapitału ex-pen-ty nabywa 4 hektary gruntu, 2 hektary stepu i cieszy się na resztę życia rzeczywistym dobrobytem. Oszczędności swoje umieszcza pospolicie *pen-ty*, za pośrednictwem notaryusza, na piątym tylko procencie, ale z prawem podniesienia kapitału w terminie trzech-miesięcznym od daty ostrzeżenia; a to, ażeby mógł skorzystać z nadarzyć się mogącéj sposobności do nabycia jakiegoś kawałka gruntu. Za lichwą nie ubiega się nigdy; czasem tylko hazarduje się na następującą spe-

kulacyą. Porozumiawszy się z drugim najemnikiem, nie posiadającym bydła, kupuje on jednę lub dwie krowy, które wypożycza temu najemnikowi z obowiązkiem dla tego ostatniego płacenia 12 franków rocznie od krowy. Wspomnieć także należy o pewnym, do niższéj Bretanii wyłącznie należącym rodzaju własności, który służy także niekiedy najemnikowi do korzystnego umieszczenia oszczędzonego zarobku.

Jest to tak zwany: *domaine congéable*, polegający na następującéj kombinacyi. Jeden z kontraktujących otrzymuje od drugiego, z obowiązkiem płacenia oznaczonego czynszu, pewien kawał nieuprawnego i niezabudowanego gruntu, na którym podejmuje swoim kosztem wszystkie potrzebne budowy i roboty. Po upływie kontraktu właściciel wraca czynszownikowi, zwanemu *guiraour* przewyżkę wartości gruntu, podług oszacowania biegłych. Rozmaite te kombinacye wskazują czytelnikowi, że oznaczony przez nas, dość wysoki procent tych najemników bretońskich, którzy dochodzą do własności, nie obejmuje jeszcze tych wszystkich, którzy praktykują oszczędność. Reszta, w małéj liczbie, żyje nieopatrznie z dnia na dzień, wydając na kształt południowéj swéj braci cały zarobek na zaspokojenie materyalnych pożądań; z tą różnicą, że pożądania te, zamiast do jadła jak na południu, kierują się tu raczéj do tańca, do stroju zbytkownego, a nadewszystko do gorących trunków.

Przypatrzmy się teraz bliżéj domowemu gospodarstwu najemnika oszczędnego i dążącego do własności. Mieszkanie jest najciemniejszą stroną ekonomicznego bytu téj klasy. Składa się ono pospolicie z jednéj tylko izby, w któréj rodzina mieści się z całym dobytkiem. Że urządzenie takowe gwałci przepisy higieny, a przedewszystkiém czystości, nadmieniać nie potrzebujemy. Wszakże, kiedy, co nie zawsze ma miejsce, wieprz chowany bywa w osobnéj komórce, a nawóz starannie wynoszony, bliskie sąsiedztwo samych tylko krów może pogodzić się z higieną i owszem korzystnie wpływać na zdrowie mieszkańców. Zkądinąd, w ostatnich latach rozwinęła się w ludności rolniczéj skłonność do upiększania domostw za pomocą starannego bielenia, ozdób z drzewa wyrzynanych itp. Jadać zwykli najemnicy cztery razy na dzień w lecie, trzy razy tylko w zimie. Głównemi pokarmami są: zupa z chleba jęczmiennego, rodzaj papki (bouillie) albo rodzaj blinów (crépes) z mąki tatarczanéj, nakoniec chléb pożywany z kartoflami, mlékiem lub masłem. Mięso, jarzyny i napoje, jak jabłecznik lub wódka, wchodzą do pożywienia tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, parę razy do roku się trafiających. Jedną z tych okoliczności jest, tu jak i wszędzie, uroczystość miejscowego patrona. Innéj okazyi do wychodzących z po-

wszedniego trybu uciech gastronomicznych dostarczają tak zwane z bretońska „*dévès—bras*,“ po francusku zaś „*grandes journées du voisinage*.“ Są to liczne zgromadzenia najemników, wywołane przez jednego z okolicznych właścicieli pragnącego wykonać szybko jakąś wielkiéj liczby rąk wymagającą robotę, np. wykarczowanie kawałka stepu. Przez czas tych robót najemnicy otrzymują dostatnie jadło, napoje gorące hojnie bywają im szafowane; nakoniec każdy dzień roboczy zakończony bywa tańcami, na które schodzą się zaproszone przez właściciela żony i córki robotników, oraz ucztą, na którą, oprócz hojności właściciela, składają się z koszyków tancerek dobywane prowianty; te jednak ograniczają się pospolicie na skromnych porcyach chléba, mleka i masła. Skoro mówimy o rozrywkach, wspomniéć musimy, że palenie tytuniu rozpowszechniło się tu między ludnością rolniczą więcéj niż w któréjkolwiek stronie Francyi. Kobiéty zażywają także dość często tabakę. Jak palenie atoli tak i zażywanie nie przechodzi bardzo umiarkowanych, oszczędnością także nakazanych granic. Klimat morski nie jest zapewne bez wpływu na rozwinięcie się tego obyczaju. Przy pracy i umiarkowaném życiu, najemnik bretoński cieszy się dobrém zdrowiem, w rzadko trafiających się chorobach nie zwykł uciekać się do nauki lekarskiéj a woli wystarczać sobie tradycyjnemi receptami. Czytać ani pisać pospolicie nie umié i mało ceni dobrodziejstwa wykształcenia, nie lubi téż posyłać dzieci do szkoły, lękając się, aby nie nabyły tam złych nałogów a nie utraciły cnót domowych, a zwłaszcza uszanowania dla rodziców. Gmina wszelako utrzymuje szkołę, do któréj bezpłatnie dzieci mieszkańców uczęszczać mogą. Budżet rodziny w powyższych warunkach się znajdującéj, do którego obecnie przychodzimy, dopełni wyżéj udzielonych wskazówek.

## PRZYCHODY.

| | W naturze. | W pieniąd. |
|---|---|---|
| Z własności: | | |
| Z funduszu oddanego na procent (1.200 fr. 5%) | | 60 00 |
| Z dwóch krów utrzymywanych przez cały rok (procent 6% od wartości) . . . . . . . | 7 44 | |
| Z wieprza utrzymywanego przez część roku (procent 6% od wartości) . . . . . . . . | | 00 24 |
| Z narzędzi rolniczych (procent 5% od wartości) | 6 60 | |
| | 8 04 | 60 24 |

Ze subwencyi:

| | | |
|---|---|---|
| Z prawa pastwiska na stepie należącym bądź do gminy bądź do jednego z właścicieli dla których najemnik pracuje . . . . . . | 24 00 | |
| Z prawa zbiérania gałęzi na tymże stepie . . . | 14 00 | |
| Z prawa zbiérania ściółki na „ „ . . . | 6 00 | |
| Jarzyny i owoce przy zbiorach przez właścicieli do płacy dodawane . . . . . . . . . . | 4 00 | |
| Obniżka na wartości targowéj siana sprzedawanego najemnikowi przez właściciela domu w którym mieszka . . . . . . . . . . . . | 8 00 | |
| Koszta szkolne opłacane przez gminę . . . . | 8 00 | |
| | 64 00 | |

Z pracy:

| | | |
|---|---|---|
| Z pracy głównéj najemnika (uprawy, zbiory, roboty ziemne dla rozmaitych właśc. i dzierżawców podejmowane 310 dni po 1,60) . | | 496 00 |
| Z prac dodatkowych tegoż: uprawa czterech hektarów wydzierżawionych (4 dni po 1,00 . . . . | 4 00 | |
| Utrzymanie sprzętów i statków (2 dni po 1,00) . . . . . . . . . . | 2 00 | |
| Praca w tak zwanych grandes journées 8 dni po 2,00) . . . . . . . . | | 16 00 |
| Z pracy głównéj żony najemnika (ob. poprzednie budżety) . . . . . . . . . . . . . . | — — | |
| Z prac dodatkowych téjże: uprawy i zbiory dla rozmaitych właścicieli i dzierżawców podejmowane (100 dni po 1,36 fr. z których 0,56 w pożywieniu) . . . . . | 56 00 | 80 00 |
| Rozmaite prace (uprawa pola wydzierżawionego, doglądanie zwierząt domowych, zbiór materyału opałowego, zbiór ściółki, przyrządzanie i przędzenie konopi 58 dni po 1,00) | 58 00 | |
| | 136 00 | 576 00 |

Z przemysłu:

| | | |
|---|---|---|
| Chów zwierząt, przędzenie etc. . . . . . . . | 59 96 | 17 76 |
| Łącznie . . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 268 00 | 654 00 |
| | 922 | 00 |

## ROZCHODY.

| | W naturze. | W pieniąd. |
|---|---|---|
| Na potrzeby materyalne: | | |
| Jedzenie (napoje gorące nie wchodzą do tego wydatku, rodzina bowiem używa ich tylko w tak zwanych „grandes journées) . . | 197 20 | 265 82 |
| Najem domu . . . . . . . . . . . . . . | | 100 00 |
| Utrzymanie domu i sprzętów . . . . . . . . | 6 00 | 4 50 |
| Opał (gałęzie janowca na stepie zbiérane) . . . | 16 00 | |
| Światło (świéce łojowe 10 kilogr. po 0,40) . . . | | 4 00 |
| Odzież najemnika . . . . . . . . . . . . | 7 00 | 22 20 |
| „ żony . . . . . . . . . . . . . . . | 7 00 | 21 50 |
| „ dzieci . . . . . . . . . . . . . . | 4 80 | 16 70 |
| Pranie . . . . . . . . . . . . . . . . . . | 6 00 | 4 80 |
| „Grandes journées“ 8 dni pracy wynagrodzonéj przez obfite pożywienie (1) . . . . . | 16 00 | |
| | 260 00 | 439 52 |
| Na potrzeby moralne: | | |
| Wydatki kościelne (sakramenta, kwesty etc.) . . | | 3 00 |
| Koszta szkolne przez gminę opłacane . . . . | 8 00 | |
| Jałmużny (oprócz chléba rozdawanego żebrakom) | | 1 00 |
| Tytuń i tabaka do zażywania . . . . . . . . | | 18 40 |
| | 8 00 | 22 40 |
| Oszczędność roczna: | | |
| Summa oddana na procent . . . . . . . . . | | 192 08 |
| Łącznie . . . . . . . . . . . . . . . . . | 268 00 | 654 00 |
| | 922 | 00 |

Tyle o bretońskim *pen-ty*; wskazawszy zaś na tym przykładzie drogę, którą klasa najemnicza dochodzi do własności, przystępujemy do trzeciego z kolei typu robotników. Typ ten wiąże się z poprzednim tak ścisłemi węzłami, że badania nasze nad nim pozwolą nam wniknąć w niektóre, zaniechane dotąd przez nas odmiany w klasie najemników się trafiające.

(1) Podatków nie płaci rodzina żadnych bezpośrednio, leczenie nie daje powodu do żadnego wydatku oznaczyć się pozwalającego.

(Dok. nast.).

*Dr. K. Waliszewski.*

# Z ZAGRANICY.

Literatura niemiecka: życie Dawida Straussa. — Kwestya wynalazku druku na nowo poruszona. — Studyum Rhodego o romansie greckim. — Najnowsze dzieło Edwarda Hartmanna. — Literatura francuzka: Caro o pessymizmie. — Ruch religijny we Francyi. — Victor Hugo: *La pitié suprême.* — Literatura włoska: Poemat dramatyczny Piotra Cossy: *Cleopatra.* — *L'uomo delinquente* przez Lambroso. — Cokolwiek o Ameryce. — Świéża praca o Longfellowie.

Chciéć zawrzéć cały ruch umysłowy za granicą w szczupłych ramach sprawozdania byłoby przedsięwzięciem zarówno lekkomyślném jak ułudném. Ruch ten jest tak olbrzymi a w szczegółach swoich tak różnostronny, że samo wyliczenie jego objawów musiałoby przybrać rozmiary książki, któréj jeden człowiek w żaden sposób ułożyćby nie potrafił. A przecież taka książka przedstawiałaby dopiéro zsumowanie liczebne, bez określenia wartości zawartego w niéj materyału. Tu rozpocząćby się mogła praca specyalistów, którzyby każdą gałąź naukową i literacką dokładnie zbadali i sąd swój o niéj podać mogli, oniby potrafili oznaczyć, jaki jest stan pewnéj nauki lub sztuki w świecie ucywilizowanym, ile wart każdy pracownik na tém lub owém polu, jakie są rezultaty, do których doszli najznakomitsi badacze. Na podstawie takich szczegółowych poszukiwań, historyk cywilizacyi zdołałby może powiedziéć, jakie są cechy ogólnego ruchu umysłowego. Kto bez takich pomocy chciałby o tym ruchu wyrokować, ten łudziłby sam siebie, że wié, o czém mówi, i łudziłby innych, że mówi im prawdę.

Zostawiając artykułom specyalnym ocenę gruntowną i szczegółową tego, co się w Europie dzieje i robi, zostawiając im nadto kwestye polityczne, społeczne i przyrodnicze, będziemy się starali zawiadamiać czytelników z ważniejszemi dziełami literatury ogólnéj o tyle przynajmniéj, ażeby poznać ich zawartość lub rezultaty, ażeby wiedziéć, do jakich wyników dochodzą badacze w różnych przedmio-

tach, interesujących szerszy ogół i jakie utwory beletrystyczne zwracają na siebie uwagę. Nie mając najmniejszéj pretensyi do oryginalności sądów, chcemy jedynie zadowolnić słuszną ciekawość tych, co się interesują losami literatury powszechnéj. Psychologia, antropologia, dzieje polityki, religii, literatury, cywilizacyi, estetyka, poezya, beletrystyka w ogóle: oto przedmioty główne, którym poświęcone być mają krótsze lub dłuższe sprawozdania.

Nie poprzedzamy tego przeglądu żadnym rysem ogólnym, gdyż ten z konieczności musiałby być suchym, albo pretensyonalnym; wchodzimy odrazu *in medias res*, jako powiadali starzy.

Mało co przedtém, jak Renan doczekał się zaszczytu zasiadania wpośród 40 nieśmiertelnych Akademii francuskiéj, wyszła książka, opowiadająca o długoletnich cierpieniach i prześladowaniach męża, który za swoje „Życie Jezusa" nie mógł nawet posady profesora w wolnomyślnych Niemczech otrzymać, chociaż, jak wykazuje *Hausrath*, nie wypowiedział on nic takiego, czegoby spółcześni mu teologowie po cichu w duszy nie wyznawali. Ten Hausrath, doktor teologii, wydał w Heidelbergu dwutomowe dzieło o Straussie (*David Friedrich Strauss und die Theologie seiner Zeit*). W szeroko zarysowanym a o głębokich studyach świadczącym obrazie przedstawia autor szczegóły życia i pracy teologa, który odepchnięty od spółfachowców swoich, oczerniany i denuncyowany w obec rządów, do końca życia wytrwał w swych przekonaniach i żadnego nie zrobił ustępstwa na rzecz pomyślności materyalnéj. Niepodobna tu podawać najkrótszéj nawet treści tego dzieła, pełnego zarówno erudycyi jak bystrości krytycznéj; sprawozdanie bowiem musiałoby się nadmiernie rozszerzyć. Dotknę tu tylko bliżéj wspomnianego powyżéj faktu, który dla wielu nieprawdopodobnym wydać się może. Istotnie Hausrath kreśląc przegląd dziejowy owych prądów, jakie nurtowały na znakomitych wydziałach teologicznych w Niemczech, dowodzi przekonywająco, że „Życie Jezusa" nie był to jakiś olbrzymi erratyczny kamień wśród formacyj zupełnie innego rodzaju, ale raczéj było to prawdomówne, bezwzględne wyrażenie stanowiska ówczesnych badań teologicznych. Wykazuje on np., że sławny i wielce poważany teolog i filozof, *Schleiermacher*, prawie tyleż z życia Jezusa jako rzecz nieautentyczną odrzucił, co i Strauss, że racyonalizm teologiczny przynajmniej równie mało prawowierny jak i Strauss. „Jak supranaturalista nie brał na seryo wiary, powiada Hausrath, tak racyonalista nie brał na seryo myślenia. Niechęć do rozumienia rzeczywistéj myśli świętych autorów, systematyczne przeinaczanie rzeczywistego egzegetycznego stanu rzeczy, nazywanie rozumném tego, co w głębi duszy za nierozumne poczytywano, wyszukiwanie przypuszczalnych ogniw, które miały wy-

tłómaczyć to, co się w żaden sposób tłómaczyć nie dawało: wszystko to musiało owszem zniweczyć wszelkie umiejętne a poważne traktowanie przedmiotu, a nawet prawdomówność teologów względem samych siebie. Wśród takich okoliczności potrzeba było nieodbicie poddać dokładnemu a metodycznemu badaniu tę kwestyą: co téż mówią o tém źródła? Czy treść tego, co się w nich znajduje, jest rzeczą możliwą, a jeżeli tak, to czy są one ze sobą o tyle zgodne, że może być mowa o jakiéjś wiedzy historycznéj? Prócz tego należało także w obec niedorzecznych wybiegów racyonalistów ustalić egzegetycznie istotne znaczenie opowiadania, w obec supranaturalistów, dowieść filozoficznie niepodobieństwa cudów, a w obec prawowiernéj harmonistyki dowieść krytycznie, że sprzeczne ze sobą wiadomości pogodzić się nie dadzą." Strauss w gruncie rzeczy spełnił właśnie wyliczone tu zadania, a jakkolwiek dziełu jego zrobić można nie jeden zarzut mianowicie ze względu na zupełną krytyczną neutralność względem źródeł i na brak odtworzenia Chrystusa historycznego, to wszakże niepodobna mu odmówić zasługi, że odważnie uprzątając fałsze utorował drogę dla ściśléj krytyki biblijnéj, która się właśnie wśród tego plemienia, z którego Strauss pochodził, tj. wśród „Szwabów," rozwinęła (Baur, Zeller, Schwegler, Koestlin). Strauss pozostał sobie wiernym nawet w nowém opracowaniu swego Życia Jezusa. Przyjął on wprawdzie wyniki badań Baura i jego uczniów, mianowicie Keima; wysoko cenił prace Renana, ale o odtworzenie historycznéj postaci Jezusa nie starał się wcale. Z piérwotnego wykształcenia pozostał on heglistą o tyle, że osobistość mniéj dla niego znaczyła, niż idea; więcéj mu szło o wykazanie tworzenia się mitu, niż o wyszukiwanie, dowodzenie i analizowanie składowych części historycznych. Pod koniec życia nie mogąc już oczekiwać nowych rezultatów na polu teologii rzucił się w objęcia nowożytnego przyrodoznawstwa (w dziele: *Der alte und der neue Glaube)*.

Ostateczny sąd o umysłowości Straussa formułuje Hausrath w sposób następny: „Mimo całéj genialności pojęcia i przedstawiania rzeczy, był to w gruncie talent formalny zarówno w analizie krytycznéj jak i w kształtowaniu artystycznem; ale nie był to duch twórczy, samodzielny. Treść zasadniczą swych myśli czerpał on po kolei to z nowożytnéj mistyki, to z filozofii heglowskiéj, to z poszukiwań szkoły tybingeńskiéj. Darwin, Vogt, Haeckel popchnęli go w końcu do studyowania nauk przyrodniczych; otóż wnet budzi się w nim znowu popęd do kształtowania, który tkwił głęboko w krwi jego jako wynik pognębionego w nim poety. I tu również nie mógł się oprzéć chęci doprowadzenia do ogólnego na świat poglądu tych doktryn, jakie na polu przyrodoznawstwa w obiegu były. Wraz z kon-

strukcyą nowego wyznania wiary połączyło się oczywiście opuszczenie starego. Tym sposobem dostało się staréj wierze zanadto burzliwe pożegnanie, a nowéj, zanadto wczesny symbol.“

Wiadomo, że niezbyt dawno chciano zaprzeczyć Gutenbergowi sławy odkrycia jednego z najdzielniejszych czynników nowożytnéj oświaty. Hollendrzy mianowicie usiłowali dowieść, że ich spółziomek *Coster* piérwszeństwem w wynalazku druku zaszczycony być winien. Patryotyzm ich pod tym względem był tak fanatycznie usposobiony, że gdy ich spółkrajowiec *von der Linde* przedstawił dowodnie legendę o Costerze jako prosty fabrykat samochwalstwa narodowego, dopóty mu dopiekali, aż wolał porzucić ojczyznę, niż się wyrzéc pracowicie zdobytego przekonania. W roku zeszłym tenże *von der Linde* opracował i wydał po niemiecku dzieło gruntowne o Gutenbergu, które Niemcy poczytują za utwór naukowy piérwszego rzędu (Dr. A. v. d. Linde: *Gutenberg-Geschichte und Erdichtung aus den Quellen nachgewiesen.* Stuttgart. 1878). Wyniki jego badań streścić się dają w następujących punktach:

1) Gutenberg nie wynalazł sztuki drukarskiéj; jest ona o wiele starsza od niego. Mówiąc tylko o Europie, znajdujemy druk na materyach już wieku XII, pod koniec zaś stulecia XIV są już prenterzy (angielski *printers*), drukarze książek i drukarze kart; a najdawnieszy znany nam drzeworyt, przedstawiający św. Krzysztofa, nosi datę roku 1423.

2) Gutenberg nie wynalazł również czcionek ruchomych. Zna je już Cyceron; Kwintylian i Hieronim opowiadają o literach z kości słoniowéj, bukszpanu, drzewa cedrowego, służących do nauki alfabetu. Na długo przed Gutenbergiem używano już do druku kilku wierszy, co prawda, zwykle nadpisów i podpisów, czcionek rzniętych z drzewa, ruchomych. A to dowodzi, że ruchome i samoistne czcionki już się znajdowały.

3) Tak więc w środku XV stulecia wszystkie niezbędne składniki drukarstwa już były gotowe: znano malowidła olejne, papiér był w użyciu, piérwotne prasy nie były czémś niesłychaném, grawerstwo i odlewanie kruszców świetnie się rozwijały; zapał do literatury pobudzał do wynalezienia szybszego sposobu rozpowszechniania książek niż przepisywanie; odlew czcionek został wynaleziony i lotem ptaka posuwał się po Europie. Dawniejsze stulecie tak samoby nie wiedziało co począć z takim wynalazkiem, jak wiek X-ty nie wiedział co począć z ówczesném odkryciem Ameryki przez ludy północne. Otóż wynalazek ten odlewania czcionek jest istotną Gutenber-

ga zasługą. Pomysł czcionek ruchomych dowodziłby tylko jasnéj głowy, ale wynalezienie odlewanych typów jest dziełem geniuszu mechanicznego. Rzecz na tém polegała, żeby czcionki jednego odlewu ani o włos większe, ani o włos mniejsze nie były jedne od drugich, to jest mówiąc technicznie, żeby miały jednakowy *kegiel*. Gdyby czcionki pewnego oznaczonego gatunku np. litery *a* choćby troszeczkę były większe lub mniejsze od innych tegoż odlewu, to przy składaniu na wszystkich typach okażą się skutki téj wady. Nieregularność linii, z początku zaledwie dostrzedz się dająca, już w drugim wierszu pokazuje się wyraźnie; a z każdym nowym wierszem nieustannie się zwiększa, aż w końcu litery tak zaczynają tańcować, że zecer nie może sobie dać z niemi rady.

Tańcowi temu zaradził Gutenberg w sposób zarówno prosty jak genialny przez wynalezienie przyrządu do odlewania czcionek. Sztycharz podług narysowanego wzoru wyrzyna na stali literę odwróconą; ten stalowy stempel nazywa się *patrycą*. Patryca odbija się na sztabce miedzianéj, która tym sposobem przedstawia literę wprost i wgłębioną. Tak powstaje *matryca*, stanowiąca formę litery mającéj być odlaną. W tym celu wkłada się matrycę na spód giserskiego narzędzia. Odtąd można już odlewać czcionki ile tylko potrzeba. Odlana czcionka drukarska z pewnéj mieszaniny metalowéj przedstawia odbicie patrycy. Przez wyrównanie (justirung) robi się zdatną do składania. Niektóre ulepszenia zrobiono wprawdzie z biegiem stuleci; ale w gruncie Gutenbergowa metoda odlewania czcionek istnieje do dziś dnia jako nieporównana i jako najlepsza.

Oprócz ustalenia rzeczywistéj zasługi Gutenberga wielką zaletą książki Lindego jest oczyszczenie dotychczasowych dziejów wiekopomnego wynalazku od wszelkich błędów, baśni i rozmyślnych fałszów; a nadto zestawienie autentycznych wiadomości o życiu genialnego wynalazcy. Jakkolwiek i tu zebrane fakta są jeszcze nader szczupłe, możemy jednak nabrać z nich przekonania, że Gutenberg należał do owego grona niezmordowanych bojowników, co w życiu więcéj zaznali klęsk aniżeli powodzeń, a mimo to z coraz to nowym zapałem do celu wytkniętego dążą, gdyż im nurtująca w nich idea spokoju nie daje. Zręczny i trochę wietrzny Moguncyanin umié sobie wszędzie zyskać zaufanie i przyjaciół, umié nawet zainteresować kapitalistów do swoich planów; ale brak mu zawsze trzeźwego, praktycznego wyrachowania. Ztąd też musi się w końcu i tém zadowolnić, jeśli jakiś przedsiębiorca zdecyduje się mu pomagać, zapewniając sobie lwią cząstkę w eksploatacyi jego wynalazku. Niewiele a może i wcale niepoważany przez spółczesnych, nie zostawiłby nam zewnętrznych nawet śladów życia, gdyby nie kilka zakurzonych aktów

procesowych lub odnalezionych z trudem obligów, które nas przynajmniéj o kłopotliwém jego położeniu zawiadamiają...

Wbrew przewidywaniom niektórych krytyków zainteresowanie się powieściami nie tylko wśród przeciętnego ogółu, ale w sferze ludzi oddających się badaniom teoretycznym nie osłabło jeszcze dotychczas. Coś się zmieniło w tém zainteresowaniu, to prawda, lecz sam fakt istnieje. Dziś już zapewne mało kto marzy o zostaniu tym lub owym bohatérem, tą lub ową bohatérką, jak to nieraz bywało za młodszych lat pani George Sand i panowania romantyzmu w ogóle, każdy wszakże chętnie odczytuje powieść, zapomina niebawem o jéj treści i... czyta nowy utwór z niemniejszém zajęciem. Może nawet i nie ma w tém pośpieszném czytaniu prawdziwego estetycznego zadowolenia, ale jest potrzeba przebywania choćby przez krótki czasu przeciąg w świecie mniéj więcéj idealnym.

A badacze ze swéj strony lubiący dochodzić początku wszystkiego nie przestają śledzić historyi rozwoju tych utworów, które mają tyle pożądaną własność zaciekawiania. Niepodobnaby wyliczyć wszystkich dzieł, jakie w tym przedmiocie napisano; nie potrzeba jednak odwoływać się do zbyt dawnéj bibliografii, kiedy i najnowsza nawet zapisuje nam utwór niepospolitéj wartości. *Erwin Rhode* z całą sumiennością Niemca, tylko bez jego pedanteryi, dał niedawno nadzwyczaj ciekawe wyniki swoich poszukiwań co do piérwocin literatury powieściowéj na gruncie europejskim. Każdy zgadnie bez trudności, że Rhode musiał mówić o téj szczególnie uprzywilejowanéj literaturze, która, rozwijając się, wszystkie niemal rodzaje wytworzyła i przekazała potomnym już to do naśladowania, już téż do udoskonalenia. Rzeczywiście autor w dziele swojém: *Der griechische Roman und seine Vorläufer*, dowodzi zwycięzko (jak się zdaje), że romans grecki w ścisłém znaczeniu wyrazu t. j. jako zmyślona opowieść przygód miłosnych nie pochodzi ze wschodu, lecz powstał i wykształcił się na ziemi greckiéj w skutek własnego rozwoju jéj literatury. Nie zamierzał on pisać dziejów tego romansu co już przed nim zrobiono, nie podaje téż analizy utworów Ksenofonta z Efezu, Longusa, Charytona, Iamblicha, Heliodora, najznakomitszych przedstawicieli téj gałęzi literackiéj; ale podjął się o wiele trudniejszego zadania: postanowił zbadać, jakie elementa weszły w skład romansu greckiego, jak one powoli się jednoczyły, dopóki nie utworzyły odrębnéj literackiéj całości. Piérwszym zasadniczym piérwiastkiem było przedstawianie miłości. Dawni klasyczni poeci a mianowicie tragicy albo nie wprowadzali wcale tego uczucia do dzieł swoich, albo zaledwie śmieli o nim napomykać. Dopiéro Eurypides zaczął grać na téj stru-

nie; a gdy potém stracono zupełnie wiarę w poważniejsze tradycye o bogach i bohatérach, zwrócono się do podań lokalnych, obniżono ich poziom i tak już niezbyt podniosły, zastosowano je bardziéj do życia codziennego i wprowadzono do poezyi. Czasy alexandryjskie obfitują już w znaczną ilość malowideł miłości, mianowicie w elegii. Tymczasem zmienia się i stanowisko kobiét; zyskują one większe znaczenie i wpływ. Żony Ptolomeuszów nie przepędzają czasu w gineceach; mają one swój własny dwór obok dworu mężów. Otaczają się uczonymi, artystami, poetami, którzy starają się im podobać, odtwarzają ich rysy na płótnie lub w marmurze, opiewają je i pochlebiają im. Rzeczą jest prawdopodobną, że gdyby księżne te i księżniczki nie posiadały wpływu i znaczenia, nie znalazłyby pochlebców, a sam nadmiar pochlebstw dowodzi siły ich władzy. Klasy niższe naśladowały naturalnie wzory, których dostarczano z góry. Nie należy sobie oczywiście wystawiać tego w sposób przesadny; owszem w życiu zwyczajném trzymano się ściśle dawnych nałogów. Obie płcie były i teraz oddalone od siebie. Kobiéty nie mogą spotykać się z mężczyznami ani w teatrze, ani na uczcie; bez towarzystwa starszéj opiekunki, żona Greka nie może chodzić po ulicach, iść do świątyń i na uroczystości religijne, będące jedyném zebraniem, do którego ją dopuszczają. Młode zaś dziewczęta trzymano w zamknięciu w pokojach wewnętrznych. Miłość w życiu rzeczywistém mogła powstać przypadkowo tylko; poeci uczynili ją prawidłem powszechném. Ale publiczność mało dbała o istotną prawdę malowideł; chętnie owszem przenosiła się w świat urojony i łatwo się przyzwyczajała do przebywania w nim, nie doznając żadnéj przykrości, kiedy widziała, że rzeczy nie tak się w nim dzieją, jak w świecie rzeczywistym. Malowidła odkryte w Pompejach dowodzą, jak się lubowano w tych wyrafinowanych miłostkach Erosa i Psychy, Apollina i Dafny, Akteona i Dyany, Atalanty i Meleagra, Andromedy i Perseusza, a przedewszystkiém Aryadny i Tezeusza lub Bachusa, Galatei uciekającéj przed Polifemem. Poeci opiewali to samo, co przedstawiały te malowidła; a powieściopisarze poszli w ich ślady, czego najlepszym dowodem jest jednakowe u jednych i u drugich przedstawianie miłości, mianowicie jéj piérwocin. Kochankowie spotykają się po raz piérwszy na jakiéjś uroczystości religijnéj, która dla dziewcząt zazwyczaj zamkniętych przedstawiała i wiele powabu i wiele niebezpieczeństwa. Nagłe przejście z zamknięcia na światło dzienne, piękność widowiska, wzruszenia tłumu, wystawność ofiar, tańce i śpiewy mogły zakłócić spokój dusz naiwnych i niedoświadczonych. Przypuszczano zawsze, że aż do téj pory ani młodzieniec, ani dziewica nie zaznali miłości; mówili o niéj lekkomyślnie i sądzili, że są od jéj strzałów dale-

cy; lubili złorzeczyć jéj i wyzywać. Tymczasem Eros puszcza strzały i już po nich. Oboje są naturalnie przecudnéj piękności; nie opisują jéj jednak powieściopisarze greccy tak szczegółowo jak powieściopisarze nowożytni; charakteryzują ją jednym rysem lub epitetem. Dziewica ma ciało białe „jak promienie księżyca;“ patrząc na jéj twarz „widzi się liść róży, pływający po powierzchni mleka.“ Inni wyrażają się jeszcze prościéj; przyrównywają młodzieńca do któregoś z bohatérów homerowskich, a dziewicę do Afrodyty lub Artemidy. Jak tylko miłość zapanuje nad niemi, rozwija się z gwałtownością nadzwyczajną: jest to ogień, co trawi, trucizna, co wyniszcza, strumień, co pociąga ku sobie i pochłania. Nieszczęśliwi tracą sen i apetyt, troska odrywa ich od zwyczajnych zajęć; w dzień nie pracują, w nocy nie śpią, nie mają upodobania w żadnéj zabawie; chudną i bledną: bladość — to kolor zakochanych. Nie mówią do nikogo, unikają towarzyszów, błąkają się po puszczach, wyrzynają imiona na korze dębów. Chcą być „fletem, który przyciskają usta ukochanego pastérza, albo pszczołą, któréj skrzydełka muska twarz ukochanéj.“ Pomimo starań i wysiłków zarówno własnych jak i najbliższych swoich nie przestają cierpiéć i narzekać, gdyż „miłość jest jedynym z bólów, na ktory nie ma lekarstwa.“

Gdyby powieściopisarze greccy umieli obserwować serce ludzkie, dosyćby było tego elementu na stworzenie powieści. Ale oni ślizgali się tylko po powierzchni duszy, za mało badali namiętności ludzkie; a prócz tego publiczność domagała się czegoś innego. Już oddawna przestały ją bawić rapsodye epickie, proste a długie; trzeba jéj było opowiadania przygód na lądzie i morzu, niezwykłych a nawet nieprawdopodobnych. Zarówno filozofowie jak politycy starali się zadość uczynić tym nowym wymaganiom; tworzyli więc opisy detaliczne krajów i ludzi, których żaden podróżnik nigdy nie widział; a opisy te, jak świadczy Lucyan, niezmiernie chciwie były czytane. Piérwszym, który treść miłosną połączył z opowiadaniem nadzwyczajnych awantur był Antonios Dyogenes, autor dziełka: „Sprawy cudowne z po za Tule.“ Nie doszło ono do nas, ale znamy jego osnowę ze streszczenia Focyusza. Tule jest to wyspa leżąca na krańcach świata. Jeden z bohatérów dostaje się na nią morzem Czarnem, inny przez piekło. Osoby zebrane tam ze wszystkich końców świata opowiadają sobie swoje przygody. Są to historyjki dziwaczne, częstokroć śmieszne; mówi się tu o filozofii i o magii, które się naówczas łączyć ze sobą zaczynały. Mamy tu jakiegoś kapłana egipskiego, umiejącego pogrążać ludzi w letargu, z którego on sam tylko zbudzić ich może; mamy Pitagorejczyka, który zmusza całe armie do ucieczki, grając na flecie, i który posiada ten dziwny przymiot, iż oczy jego

zwiększają się i zmniejszają wraz z księżycem, dosyć więc spojrzéć nań, ażeby wiedziéć zmiany trabanta ziemi; mamy tu ludy ślepe w dzień a widzące w nocy i t. d. i t. d. Ale obok tych awantur widzimy tu jakąś Fenicyjankę, piękną Dercyllidę, prześladowaną przez czarnoksiężnika a kochaną od rozmaitych osób, mianowicie od Dyniarza, bohatéra głównego. Opowiada więc autor, jak oni opuścili Tule, jak się odnaleźli w Tyrze i jak w końcu się pobrali.

Opowiadanie jednak Dyogenesa nie ma jeszcze ostatniéj cechy romansu greckiego to jest pięknego i błyskotliwego stylu. Tę cechę przysposobili sofiści z czasów cesarstwa rzymskiego. Nazwa ta nie oznaczała naówczas ludzi z pewnemi określonemi poglądami na kwestye filozoficzne, ale retorów, których całém zajęciem było podawanie w wykwintnéj formie rzeczy dawno znanych i obgadanych. Jeździli oni po całém państwie rzymskiém i miewali odczyty o najrozmaitszych przedmiotach, nie odnoszących się wprost do interesów bieżących. Wówczas to powstały między innemi zbiory listów pisanych niby przez znakomite osoby starożytności, listów przedewszystkiém miłosnych, wymienianych niby między poetami a filozofami z jednéj a kobiétami światowemi i heterami z drugiéj strony. Było to naśladowaniem w prozie poetycznych *heroid*, które za czasów alexandryjskich powstały. Wpływ alexandryjski widać jeszcze wyraźniéj na zbiorach podań mitologicznych, układanych przez retorów dla wprawy stylowéj *(progymnasmata)*, a opowiadających przygody Pentezylei i Achilesa, Atolanty i Hippomena, Pirama i Tyrby; były to również przeróbki w prozie tego, co poeci alexandryjscy wierszem opowiadali. Otóż dosyć było dać pokój osobistościom podaniowym, które zaczynały uczyć czytelników, a zachowując tło intrygi i tenże sam sposób malowania miłości wynaléść nową osnowę, któraby całkowicie w wyobraźni pisarza miała swe źródło. Stało się to w trzecim wieku po Chrystusie, i wtedy romas grecki powstał. Znajdujemy w nim podostatkiem tych opisów pompatycznych, tych rozpraw subtelnych, tych monologów namiętnych, tych listów delikatnych, téj prozy poetyckiéj, tych ozdób i sztuczek, w których lubowali się sofiści; znajdujemy w nim również tę głęboką pogardę dla życia rzeczywistego, jaką okazywali we wszystkich swych dziełach. Autorowie i publiczność chcieli się choć w książce oderwać od tego życia codziennego, by używać rozkoszy imaginacyi w całéj pełni i bez żadnéj przeszkody. Zasadą główną powieściopisarza było: nie kopiowanie dokładne życia realnego, ale tworzenie za pośrednictwem jego składowych pierwiastków życia innego, któreby posiadało przedewszystkiém tę zasługę, że nie miało z tamtém codziennem podobieństwa.

Takie były początki romansu na gruncie europejskim, taka zasada kierowała myślą i piórem powieściopisarzów. Ileż to wieków upłynęło, ileż pokoleń przeszło, ilu zmianom wyobraźnia i rozsądek czytelników i autorów podlegała, zanim w czasach najnowszych zaczęto tworzyć romanse podług zasady wprost przeciwnéj, nakazującéj przenosić do powieści życie takiém, jakie jest ze wszystkiemi jego słabościami a nawet brutalnością. Że taka zasada rzeczywiście zdobywa sobie uznanie, dość będzie przypomnieć, że w uprzywilejowanym kraju romansu we Francyi, pomimo ogromnéj liczby powieściopisarzy, żaden nie używa takiéj popularności i wzięcia jak *Emil Zola*, wódz szkoły naturalistycznéj.

---

Rozsławiony po świecie całym pessymista Edward von Hartmann wydał w roku bieżącym, drugie, jak sam nazywa, *zasadnicze* swe dzieło p. n. Fenomenologia sumienia (Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins. Prolegomena zu jeder künftigen Ethik), które stanowi dopiéro wstęp do dwu dalszych dzieł; jedno z nich ma mieć napis: *Etyka społeczna*, a drugie: *Etyka indywidualna*. Wstęp ten, na którego grubość (blisko 900 stronic) i filozoficzny żargon uskarżają się nawet niemieccy krytycy, zawiéra ani mniéj ani więcéj tylko krytykę systemów etyki dawniejszych i ugruntowanie zasady etyki pesymistycznéj. O niezmiernéin upowszechnieniu pessymizmu Hartmann tak głęboko jest przekonany, że raz wykrzykuje zwycięzko: „Świéże dyskusye literackie o pessymizmie przyniosły ten niewątpliwy pożytek, że optymizm trywialny wraz z artystycznym i naukowym może być przez każdego myślącego Niemca uważany za stanowisko opuszczone; że doświadczalne uprawnienie pessymizmu może uchodzić za zbijaną prawdę tylko u głów uprzedzonych i ograniczonych i że odtąd obrona eudemonologicznego optymizmu powinna się ograniczyć po prostu na obronie optymizmu etycznego i religijnego, z najzupełniejszém uznaniem pessymizmu empirycznego.“

W obec tak sumarycznego podciągnięcia przeciwników pessymizmu pod kategoryą głów uprzedzonych i ograniczonych trudno nam iść w ślad za autorem przez cały ciąg dziewięciuset stronic, a témbardziéj trudno poddawać krytyce to, co nam wyznawca nieświadomości tu prawi; jeżeli zwłaszcza czujemy się niezdolni do pozbycia się takich przesądów jak uznawanie *bytu* za coś mającego większą wartość niż *niebyt*. „Byt,“ powiada E. v. Hartmann, „jest najsilniejszym ze wszystkich przesądów (das Lein ist das stärkste aller Vorurtheile) dla myśli i niełatwo to osiągnąć taki stopień myślenia, na którymby byt i niebyt rozważało się jako zupełnie równo-uprawnione.“ Zostawiając tedy rozsądkowi czytelnika, czy ma się przychylić

na tę lub na owę stronę, dodam jedynie, że świat według Hartmanna powstał z niemiłego uczucia, jakiego doznawał Absolut nie mogąc zadowolnić swéj woli. Kiedy Absolut doznał tego uczucia, pomyślał naturalnie o usunięciu niezadowolnienia i o powrocie do stanu spokoju i ciszy, wolnéj od wszelkich nieprzyjemności. Cóż tedy zrobił? Oto rzucił się w niewysłowione cierpienia procesu światowego. Nędzę życia na tym tu świecie można więc uważać za pewnego rodzaju wrzedziączkę na Absolucie, w skutek któréj bezwiedna jego siła lecznicza oswobadza się od wewnętrznego stanu patologicznego; albo téż można ją poczytywać za bolesny plaster, który przykłada sobie sama jedna i Najwyższa istota, ażeby ból wewnętrzny najprzód wyrzucić na zewnątrz a następnie go oddalić... Taki związek pomiędzy celem absolutnym, powiada daléj Hartmann, a procesem wszechświatowym jako środkiem do osiągnięcia tego celu można pomyśléć i pojąć przynajmniéj w zasadzie, chociaż przy dzisiejszym stanie naszych wiadomości niejasne są dla nas szczegóły, a mianowicie rodzaj ostatnich ogniw łączących ów cel ze środkiem mgłą jeszcze pokryty...

Ten związek podaje zarazem Hartmannowi najwyższą zasadę etyczną. „Czémże jest,“ powiada on, „największy nawet ból jednostki w obec niezliczonéj sumy bólów, jaką cierpi ogół stworzeń; a czémże znowu jest ten agregat w obec jego zawarcia i skupienia w Podmiocie absolutnym; czémże jest wreszcie ten immanentny ból Absolutu w obec bólu transcendentnego, do zniesienia którego służyć on ma jako środek! A istotą, która całe to niezmierzone cierpienie znosi i za pośrednictwem teleologicznego procesu świata dąży do zniesienia tych niewypowiedzianych nieszczęść, nie kto inny jest jeno moja własna istota... Czyż więc nie powinienem wszystkich sił użyć, ażeby, o ile to odemnie zależy, pomódz procesowi świata, pochód jego przyspieszyć przez ustalenie i udoskonalenie moralnego porządku świata i skrócić tym sposobem cierniową drogę Absolutu!“

Oddanie więc woli własnéj w służbę absolutnego procesu, przyjęcie celów Absolutu za cele świadomości indywidualnéj i to nie dla samego siebie, nie z kaprysu, ani nawet z rozumu, ale dla téj istoty, która w owym absolutnym procesie się rozwija: oto zasada etyki Hartmanna. Mógłby ktoś powiedzieć, że w téj etyce wszystko poświęca się dla jakiejś zasady bezwiednéj, a nic się nie robi dla jednostki, mającéj zdobywać się na te poświęcenia. Ale na to Hartmann odpowiada, że każda jednostka jest „empiryczném czyli fenomenalném ograniczeniem Podmiotu absolutnego“ (*eine empirische oder phänomenale Einschränkung des absoluten Subjects*), że zatém co robi dla tego Podmiotu, robi to również i dla siebie.

Proces zaś wszechświatowy dopóty trwać będzie, dopóki „logicznemu“ wyobrażeniu nie powiedzie się strącić „nielogicznéj“ woli z posad rzeczywistości, na których się wznosi napowrót w bezdnie możliwości tj. w nicość. Czy potém nicości téj nie przyjdzie ochota odbyć znowu drogi cierniowéj procesu wszechświatowego i pociągnąć w ten sposób wszystkie „empiryczne ograniczenia absolutnego Podmiotu“ w otchłań cierpień „niewysłowionych;“ o tém Hartmann nie mówi, ale poczekajmy może coś napomknie w Etyce socyalnéj lub indywidualnéj.

---

Kiedy E. Caro pisał piękną swą książkę o „pessymizmie w wieku XIX“ (Le pessimisme au XIX siècle. Leopardi. Schopenhauer. Hartann, 1878), nie znał jeszcze najnowszéj pracy Hartmanna; miał zatém do oceny dawniejsze jedynie dzieła jego. Studyum swoje rozpoczyna od Leopardego zapewne z téj zasady, że poglądy filozoficzne rozpowszechniają się nie w skutek umiejętnéj architektoniki systematu, ile w skutek głębokości poezyi, jaką w sobie zawiérają. Rzeczywiście Leopardi jest nie tylko mizantropem, nie tylko duszą niespokojną i znużoną, ale jest pessymistą naprawdę. Nie powiedział on po prostu: złe jest na świecie, albo téż: świat daleko więcéj zawiera zła niż dobra, lecz przyswoił sobie to zdanie Sakia-Munī, które do dziś dnia doskonale charakteryzuje cały system: złe to byt. „Instyktowo i bez głębokiego zatapiania się,“ jak powiada Caro, „odgadł on całą filozofią rozpaczy; bez żadnego naukowego przyboru, bolesném jasnowidzeniem znalazł on wszystkie niemal jéj argumenta. Jest on prorokiem i poetą téj filozofii. A nadto żył, cierpiał i umarł całkiem zgodnie z tą smutną doktryną, stanowiąc tym sposobem kontrast rażący z zupełnie teoretyczną rozpaczą tych filozofów, którzy tak dobrze umieli życiem swojém kierować i administrować odrazu i doczesną i duchową stronę szczęścia ludzkiego: dochody i sławę.“

Co do filozofów pessymistycznych, którzy teoryą ukształtowali, to wedle E. Caro, wszystkie dowodzenia, jeżeli się je od zbytecznych gmatwanin uwolni, dadzą się sprowadzić do trzech, z których piérwsze stanowi teorya psychologiczna woli, drugie: pojęcie jakiéjś wrogiéj siły otaczającéj każdą istotę żyjącą a mianowicie człowieka złudzeniami przeciwnemi jéj szczęściu; trzecie nakoniec: bilans życiowy, przedstawiający niezmierny deficyt przyjemności i prawdziwe bankructwo przyrody. Dwa piérwsze dowody należą się słusznie Schopenhauerowi, trzeci rozwinął Hartmann. Wynikiem wszystkich rozumowań jest ten aksyomat, że celem rozwoju, końcem postępu —

nicość. Schopenhauer wywnioskował, że w praktyce dążyć wypada do samobójstwa moralnego za pośrednictwem zniszczenia woli do życia. Hartmann wynalazł coś lepszego, bo samobójstwo kosmiczne. Trzy są potrzebne do tego warunki: 1) przyjdzie dzień, kiedy ludzkość skoncentruje w swém łonie taką masę rozumu i woli kosmicznéj, że suma rozumu i woli rozłożona na resztę świata wyda się nic nieznaczącą; 2) świadomość ludzka przeniknie się kiedyś głęboko tą prawdą, że wola jest szaleństwem, zapragnie zatém absolutnego spokoju, tak, że, pragnienie nicości stanie się jedyną pobudką postępowania, gdyż wszystkie inne pobudki okażą się niedorzecznością; 3) komunikacya pomiędzy ludźmi będzie tak ułatwiona, że wszystkie ludy na ziemi będą mogły w jednéj chwili powziąć jedno wspólne postanowienie. Warunki te spełni w końcu postęp a wyzwolenie z ucisku dokona się przez znicestwienie powszechne. Wtedy pessymizm dowiedzie swego założenia. To tylko bieda, że wówczas nie będzie już ani jednego człowieka, któregoby mógł przekonać.

---

W czasach, kiedy takie teorye znajdują rozpowszechnienie, nic dziwnego, że ruch religijny nabiéra życia: umysły potrzebują pociechy jakiéjkolwiek. We Francyi daje się on widomie dostrzegać. Pomijając zabiegi ultramontanów, którzy starają się odzyskać to, co utracili, zaobserwowano zarówno w literaturze jak i w praktyce różnego rodzaju dążności; jedni chcą stworzyć kościół narodowy, jak ojciec Jacek, drudzy przechylają się do protestantyzmu jak Eugeniusz Reveilland, autor nader czytanéj książki: „la Question réligieuse“ wydanéj w roku 1878, w któréj występował jeszcze jako wolnomyślny; inni jak Renouvier, Pillon, Leon Pilatte pragną reformy religijnéj i moralnéj na zasadach filozoficznych. Niezwykle obfita ilość książek poświęconych rozbiorowi kwestyj religijnych w duchu reformatorskim zaświadcza również wymownie, że nie mamy tu do czynienia z jakimś objawem odosobnionym. Nie braknie nawet na wizyonerach i apostołach, którzy opuszczają długoletnie swoje zajęcia, żyją ascetycznie i z narażeniem się na wszelkiego rodzaju nieprzyjemności opowiadają i piszą o potrzebie radykalnéj zmiany w religii. Z pomiędzy tych ostatnich najwięcéj jest znany Paweł Bouchard, przyjaciel Gambetty, właściciel wielkich winnic w sąsiedztwie Beaune w Burgundyi, człowiek w podeszłym wieku, autor popularnych traktatów: *La Servitude Volontaire*, *Simples lettres d'un Bourguignon* i *Dieu et la Patrie.* Porzucił katolicyzm dla złych wpływów, jakie księża wywierali w rodzinach, zawiadomił o tém biskupa dyecezyi swojéj i przyjął protestantyzm; udał się następnie do Genewy, gdzie

miał konferencyą (w Czerwcu 1878) o potrzebie religii; następnie chodził od miasta do miasta we Francyi i miewał mowy w zgromadzeniach robotniczych. W roku bieżącym osiadł w Paryżu, mieszka na poddaszu, żyje jak może najoszczędniéj i zamierza zebrać dostateczny fundusz do założenia dziennika, mającego być organem tego ruchu religijnego, który stara się ożywić. Ostatnią znaną nam odezwą jego jest list z Lutego r. b., adresowany do Leona Gambetty, wyrzucający temu, „uosobieniu demokracyi francuskiéj“, jak go Bouchard nazywa, że w dzienniku mającym wyrażać jego idee (Le XIX siècle) drukują się zdania, będące zaprzeczeniem wszelkiej religii.

---

Wiktor Hugo, który 26 Lutego r. b. rozpoczął 78 rok życia, dowodzi ustawicznie zadziwiającéj świeżości ducha. Nie ma jeszcze dwu lat jak wydał milutki poemat „L'art d'être grand'père“ i dalszy ciąg swojéj „Legendy wieków.“ W roku zeszłym z pod pióra jego wypłynął „Papież“ i dwa tomy pamiętników „Histoire d'un crime.“ Obecnie ofiaruje przyjaciołom swoim tomik poezyj „La pitié suprême“ i zapowiada dalsze, w krótkim czasie ukazać się mające. Zapewne, wiele z tych poezyj powstało już dawniéj, ale w mnóstwie zdań i napomknień nie trudno dostrzedz, że poeta pracował nad niemi aż do ostatniéj chwili, poprawiając i zmieniając.

Tak się rzecz ma bez wątpienia i z najnowszym cyklem poezyj, które pozornie zdaleka od polityki się trzymają, a jednak mają bardzo „aktualne“ znaczenie dla Francyi. *La pitié suprême* stanowi zaokrągloną w sobie całość, złożoną z piętnastu większych utworów. Dążność ich wypowiadają najjaśniéj 2 końcowe wiersze V-go poematu:

> J'ai pesé les forfaits, j'ai dédoré les noms,
> Et frémissant, j'arrive à ceci: *pardonnons!*

Czy to wezwanie do przebaczania odnosi się do skazanych i deportowanych przedstawicieli komuny? Bynajmniéj! Ten poeta, który tak często piętnował w dziełach swoich okropne czyny samolubnych despotów, zabiéra teraz głos w ich obronie. Dzieje ludzkości przesuwają się przed oczyma jego ducha, który się wzdryga na widok łańcucha okrucieństw. Obrazy tyranów wschodnich, cezarów rzymskich, królów francuskich, takich jak Ludwik XI, Karol IX, Ludwik XV, unoszą się przed jego wzrokiem. Słyszy przekleństwo, którém wybuchali męczeni i tratowani, przejmuje się na wskróś boleścią wszechludzką, ale zamiast potępienia, któregoby po nim oczekiwać się mogło, znajduje on słowa usprawiedliwienia; to téż wzruszającemi słowy błaga o względność dla najkrwawszych nawet despotów, dla

największych zbrodniarzy świata. „Oh, plaindre c'est déjà comprendre!" woła on, przypominając mimowoli znane zdanie: „wszystko zrozumiéć znaczy to wszystko przebaczyć." „Un monstre," powiada gdzieindziéj, „est un infirme, et l'infirme a ses droits"; i szeregiem przykładów dowodzi, że owi dumni przestępcy byli chorzy; że pochlebcy zatruwali ich duszę od młodości; że złe wychowanie a nadto słabość zbyt uległego ludu i inne nieszczęsne okoliczności stanowią główną winę występków tyrańskich.

Poeta prowadzi nas na balkon zamku Wersalskiego. Ludwik XV, chłopiec pięcioletni z niewinnemi oczyma i spokojnym umysłem dziecięcym, spogląda z balkonu na falisty tłum ludu cisnący się na plac, by monarsze hołd złożyć. Dworak przedajny przystępuje do dziecka i mówi mu: „Ten lud jest twoim, twoim duszą i ciałem! Twojém jest, co on posiada, krew, pieniądz, rola! Skiniesz, a on umrze za ciebie! Ty jeden możesz stać prosto, ty jeden nie błądzisz. Ty posiadasz ziemię, jak Bóg posiada niebo!" Wówczas noc otacza głowę dziecka; Ludwik zamiast się podnosić, upada wraz z mnożącemi się latami. Mówi sobie:

> Apprendre, étudier, travailler, à quoi bon
> Puisqu'on est roi de France, impeccable, Bourbon?

A dworak upaja go „du formidable vin de la toute—puissance." A o ileż gorzéj bywa, jeśli zamiast bezdusznego pochlebcy przy boku panującego znajdują się mężowie wielkiéj siły duchowéj, którzy go na złe drogi prowadzą... jeżeli obok Aleksandra stoi Arystoteles, obok Ludwika XIV—Bossuet.

Powracając ciągle do myśli zasadniczéj, powiada Hugo, że ci ludzie, co tak nadużyli swéj władzy i przez historyą zostali potępieni daleko więcéj wycierpieli niż ich ofiary. Najpospolitszych zbójców i galerników otaczamy litością, wiedząc, że okoliczności wielce się do ich zbrodni przyczyniły; dla czegóż większych przestępców nie mamy mierzyć podobną miarą..

> . . . . l'ignorance les couvre:
> Pourquoi la plaindre au bagne et la maudire au Louvre?

Utwór ten jest wyraźną propagandą rzeczypospolitéj. Błagając o względność dla tyranów, poeta mówi jednocześnie o monarchii z największą pogardą; doradza przebaczenie, gdyż przeciwnik już mu nie straszny.

„La pitié suprême" przypomina szczególniéj „Rok straszny," zarówno w ogólnym tonie jak i w pojedyńczych wyrażeniach. Takiż sam duch tu panuje, to wznosząc się na wyżyny natchnienia, to spadając na poziom nędznéj prozy; taż sama tu siła poetycka obok niedorzecznéj paplaniny. Obrazowanie poety jest niesłychanie bogate, ale obok pięknéj przenośni znajduje się nieraz nadzwyczaj napuszone

porównanie. Obraz „śmiejącéj się nicości,“ którego użył w *Roku strasznym* podobał mu się widać, gdyż w *Pitié suprême* czytamy znowu: *le néant souffre!...* Jest tu także mowa du „grand cerveau de l'abîme, ou flamboie le lever effrayant des constellations... i o tym podobnych łamigłówkach.

Mimo to Wiktor Hugo i dziś jeszcze przewyższa wszystkich żyjących liryków swéj ojczyzny, którzy nie wychodzą zazwyczaj po za drobnostkowe malowanie szczegółów.

---

Poeta włoski Piotr *Cossa*, którego „Nerona“ drukowało *Ateneum* w przekładzie p. Kaszewskiego, wydał nową sztukę, a jéj wątek wziął z piérwszych początków cezaryzmu rzymskiego. Już dawniejsze jego utwory to jest „Neron“ i „Messalina“ wykazały predylekcyą autora do ślizkich od krwi, trucizny i drogich wonności posadzek pałaców cesarskich, a powodzenie tych utworów dowiodło, że zajęcie publiki teatralnéj dziwacznemi charakterami i nadzwyczajnemi wypadkami owego okresu przewrotów w świecie starożytnym nie osłabło bynajmniéj. W roku poprzednim traktował Cossa w swoich „*Borgiach*“ przedmiot wewnętrznie pokrewny, choć chronologicznie oddalony, w roku obecnym w najnowszém swém dziele wrócił znowu na widownię najlepiéj usposobieniu jego odpowiadającą. Obrazy wyuzdania fantastycznego, niczém niekrępowanéj samowoli w użyciu rozkoszy zmysłowéj, bajecznego blasku są tu też same co w „Neronie i w „Messalinie.“ Zamiast w Rzymie znajdujemy się w Alexandryi a osobą główną jest królowa egipska „Kleopatra.“

Utwór swój sześcio-aktowy nazywa Cossa nie dramatem, ale „poematem dramatycznym“ (*poema dramatico*) i słusznie, nie ma tu bowiem właściwego dramatu, lecz tylko szereg scen, które po części są zupełnie luźne, węzła dramatycznego a zatém i katastrofy dramatycznéj brak im całkiem, nie posiadałyby nawet wspólnego przedmiotu, gdyby postać Kleopatry nie dominowała nad całością. Ale bo téż tę postać narysował poeta wspaniale. Mieszanina złożona z rozpusty zmysłowéj i okrucieństwa, z bezwarunkowego poddania się i podstępnéj przebiegłości, z kobiécéj zmienności, lękliwości i pogardy śmierci, z egipskiego zahartowania i uporu i greckiéj zręczności przedstawiona została przez Cossę z takiém zamiłowaniem i z takim mistrzostwem, z jakiém zwykł takie charaktery opracowywać. Kleopatra zasłania sobą wszystkie inne postaci, które też po większéj części jak cienie wyglądają. Jeden tylko admirał *Rotei* został podniesiony do godności prawdziwego charakteru. Prawość wojownika i męstwo nieustraszone walczą w jego duszy z fatalną miłością dla téj czarodziejki, która powabami swemi potrafiła przykuć do siebie

naprzód Cezara a potém Antoniusza, chociaż sama gotowa była każdéj chwili szalejących z miłości porzucić, by pójść w objęcia innego. Reszta otoczenia Kleopatry składa się ze statystów (w scenicznéni znaczeniu słowa), które obok niéj zaledwie zauważyć się dają. Czarownik wężów, kapłan, lekarz, królowie Tracyi i Kappadacyi ukazują się jak figury latarni czarnoksięskiéj szybko się przed oczyma przemykające. Stary wyzwoleniec Filip wypływa parę razy jakby z przepaści jakiéj, ażeby powiedziéć, że Pompejusza pogrzebał. Cały niemal drugi akt zapełniają obrazki rodzajowe: jest tu kwiaciarka przy świątyni Izydy, jest balsamujący mumie, który po to tylko występuje, ażeby oznajmić, że jest staro i prawowierny, jest daléj ów czarownik wężów, kuglarz, tancerka i harfiarka. Rzymianami wszyscy są bez krwi i kości, są to typy, które deklamują o jakichś zasadach, nie biorąc się wcale do serca. Sam Antoniusz nawet jest po prostu przedmiotem a po części pomocnikiem czynności Kleopatry. Osobistość jego nie wywiéra żadnego stanowczego wpływu na przebieg akcyi; dla tego téż nie może i zainteresować.

Zakończenie nie zbyt zadawalnia nasze poczucie estetyczne. „Poemat dramatyczny“ nie kończy się wcale śmiercią Kleopatry. Kiedy Antoniusz umarł w ostatnim uścisku, królowa chce się wprawdzie przebić mieczem, ale Proculejus, jeden z dowódców armii Oktawiana, staje jéj w tém na przeszkodzie. Tymczasem zakrada się do Kleopatry czarownik wężów i szepce jéj, że posiada jeszcze ostatni środek ratunku. Królowa wié, co czarownik chce przez to powiedziéć i oświadcza żołnierzom, że pójdzie z nimi do Oktawiana, ale w téjże chwili mówi do siebie: „albo będę miała dosyć siły do pokonania go, albo téż dzisiaj wraz ze mną zajdzie słońce Alexandryi.“ Sprawa zatém, pod względem poetycznym, pozostaje w zawieszeniu, katastrofa wtedy dopiéro nastąpi, gdy ujarzmienie Oktawiana wdziękami nie powiedzie się. Poeta chciał zapewne do ostatniéj chwili utrzymać ten odcień charakteru Kleopatry, który pozwala się jéj zawsze sprzedawać więcéj dającemu. Jeszcze jéj usta nie ostygły po gorącym pocałunku Antoniusza, a ona marzy już o podbiciu trzeciego z rzędu imperatora!

Mimo te wady „Kleopatra“ należéć będzie do rzędu dzieł niepospolitych. Większa część scen, rozważanych tylko jako sceny, odznacza się siłą dramatyczną i żywotnością; niektóre są porywające, inne obfitują w pojedyńcze piękności poetyczne. Styl, jak zwykle u Cossy, wszędzie szlachetny, wiersz silny, płynny, brzmiący, a język klasyczny. Niektóre ustępy jak np. hymn o wieczno trwałości potężnéj Romy (w akcie 5-ym) obrachowane są na patryotyczne uczucia spółziomków.

W kwestyi tak żywo zajmującéj społeczeństwa nowożytne tj. w kwestyi przestępstw rozpatrywanéj ze stanowiska fizyologiczno-psychologicznego wyszła niedawno nadzwyczaj bogata w szczegóły książka w języku włoskim p. n. *L'uomo delinquente* (Zbrodniarz). Autor jéj C. *Lombroso*, lekarz, antropolog, ekspert medyczno-sądowy, pilny wizytator więzień i domów dla obłąkanych, posiadacz muzeum, w którém wszystkie właściwości życia zbrodniarzów, począwszy od ich czaszek i fotografij aż do próbek ich pisma, są reprezentowane, dokładny znawca literatury dotyczącéj tego przedmiotu, zarówno niemieckiéj i angielskiéj, jak francuskiéj i włoskiéj, słowem człowiek, który zbliska przypatrywał się złemu i który wié, że społeczeństwo od tego złego bronić się musi, posiadał wszystkie warunki do zadawalniającego rozwiązania téj strasznéj kwestyi, jaką przedstawia odpowiedzialność przestępcy i słuszność kary.

Pomijając cały bogaty zapas przykładów, w których uwydatnił pracowity autor cechy fizyczne i moralne kryminalistów, przedstawimy je w skupieniu, zastrzegając (co zresztą czytelnik sam już zapewne zrobił), że Lombroso mówi tu naturalnie o zbrodniarzach z profesyi a nie o takich, którzy w skutek chwilowéj namiętności jakiś czyn występny popełnili.

Zbrodniarza poznać można po cechach 1-o fizycznych i fizyognomicznych, 2-o psychologicznych, 3-o socyologicznych.

1-o Zbrodniarz częściéj niż człowiek „przeciętny“ jest mało i krótko—głowy. Czaszka jego przedstawia różnego rodzaju niesymetryczności, zbyt wczesne zrośnięcia kości, nienormalną prostotę szwów a uszkodzenia traumatyczne względnie liczne. Wrzody zapychają częstokroć jego arterye skroniowe. Nierzadko téż napotykają się u niego oczy skośne, źrenice nierówne, drgania mięśni ocznych, uszy niewłaściwie umieszczone, prognatyzm, broda rzadka, czoło w tył cofnięte, włosy ciemne a bujne (zwłaszcza u zabójcy i rozpustnika), skóra żółtawa, wygląd kobiécy. Każdy jednakże rodzaj zbrodniarzy ma właściwą sobie fizyognomią. I tak. Zabójcy mają wzrok szklany, zimny, nieruchomy, niekiedy krwią nabiegły, nos często orli, zakrzywiony, zawsze duży, szczęki silne, uszy długie, policzki szerokie, włosy kędzierzawe, bujne i ciemne, bardzo często brodę rzadką, kły nader rozwinięte, wargi cienkie, twarz drgającą skurczami jednobocznemi, odkrywającemi kły... Złodzieje odznaczają się niezwykłą ruchliwością twarzy i rąk, okiem małém, błędném, nader ruchomém, często skośném, rzęsami gęstemi, nosem płaskim, brodą rzadką, czołem szczupłém i w tył cofniętém, włosami mniéj bujnemi. Wielu fałszerzy ma wzrok wbity w ziemię, nos długi, głowę łysą; a cechy te napotykają się także dość często u trucicieli.

2-o Lekarze więzienni, stróże zauważyli niewrażliwość kryminalistów. Czy temu brakowi wrażliwości osobistéj przypisać należy obojętność ich na cierpienia obce! Litość bez wątpienia zatarła się w nich; nie wiedzą téż co to są wyrzuty sumienia. Apatya ich jest niesłychana; praca jest im wstrętna. Zdolności do ciągłego wysiłku, do pracy cierpliwéj brak im zupełnie. Ciągłą w nich zmianę powoduje niestałość myśli, niezdolnéj zarówno do przewidywania jak do utrwalenia się. To téż, pomijając kilka odosobnionych przykładów, w których występują zbrodniarze genialni, umysłowość ich w ogóle jest słaba; ich przebiegłość nie jest bynajmniéj istotną przenikliwością; oddając się pewnemu rodzajowi występku, w którém zresztą ćwiczeni są przez podobnych sobie, nabywają w nim wreszcie doskonałości a to w skutek jedynie zręczności, jaką daje instynkt i rutyna. Literatura ich należy do najbiédniejszych a w licznych pieśniach, jakie zebrać zdołano, myśl na tym samym zostaje poziomie co i uczucie. Ta ciasnota myśli dobrze pasuje do niezmiernéj dumy, do obraźliwości dzikiéj i mściwéj. Stróże więzienni wiedzą, że każdy zbrodzień ma w ciągu dnia swą złą godzinę, podczas któréj najlepiéj jest dać mu pokój. Chciéć poprawiać tę naturę, jest to nie znać ich całkiem: kształcąc te intelligencye głuche i ograniczone, robi się je tylko potężniejszemi w złém. Recydywy nie są tu wyjątkiem, ale regułą. Fakta dały pod tym względem dowody stanowcze.

3-o Skłonność do zbrodniczości jest wynikiem wpływów urodzenia, wzmocnionych naturalnie wpływami otoczenia. Zbrodniarz rodzi się najczęściéj w otoczeniu przyjazném rozwojowi jego strasznych skłonności; a wychowywanie popycha go w tym samym kierunku co i dziedziczność. Sam zresztą poszedłby tam, gdzie może znaléść pojęcia moralne podobne do swoich, zasiłek dla swoich przedsięwzięć i te pijackie rozkosze, te hałaśliwe orgie, które są zwyczajnym życia jego celem. Jest pewne pokrewieństwo pomiędzy ludźmi oddanemi zbrodni; przyciągają się oni niejako i odnajdują się najprzód w więzieniach, które Lombroso nazywa prawdziwemi seminaryami występku, a potém w pewnych okolicach miast wielkich, a to za pośrednictwem specyalnego języka, gwary służącéj im za znak zjednoczenia. Tworzą oni stowarzyszenie, zostające w ustawicznéj walce przeciw reszcie społeczeństwa. Niekiedy stowarzyszenie takie przybiéra formy ściślejsze, jak *Camorra* neapolitańska lub *Maffia* palermitańska, jak te bandy młodych bryganów, co się rodzą co chwila z włóczęgostwa i próżniactwa. Jakiś znak widomy, jakiś niezmazany tatuaż odpowiada w tym razie potrzebie usymbolizowania związku społecznego. W stowarzyszeniach tych są prawa, będące zarazem warunkami ich istnienia tj. tajemnica, obrona wspólna,

równy podział łupu; ale sama siła tylko i ciągła groźba niebezpieczeństwa zabezpieczają wykonanie umowy. Jeden herszt reprezentuje jedność bandy; władza jego jest nieograniczona; zazwyczaj banda dopóty istnieje, dopóki on żyje. Zbrodniarze kochają przecież to stowarzyszenie, które tak często zdradzają w skutek niestałości swojéj, nie są oni w ogóle niezdolni do uczuć, chociaż są to pospolicie uczucia cielesne, urozmaicane brutalnemi kłótniami.

Cechy te wystarczają, by w większości wypadków odróżnić zbrodniarza od obłąkanego. Niekiedy oba stany istnieją w téj saméj jednostce. Bądź co bądź przedstawiają one uderzające analogie, tylko że cechy somatyczne i psychologiczne u obłąkanego są silniéj uwydatnione aniżeli u kryminalisty. Najlepszym dowodem ich pokrewieństwa jest to, że w tych fatalnych rodzinach, w których zdrowie fizyczne i moralne stanowi wyjątek, pokolenia po sobie następujące już to cierpią wszelkiego rodzaju bóle nerwowe, już też odznaczają się wszelkiego rodzaju niemoralnością. W większéj części wypadków atoli lekarz alcemika potrafi powiedziéć napewno, czy ma przed sobą obłąkanego czy téż występnego. Alkoholizm, zatruwanie się przez nadużycie tytuniu, opium, belladony, epilepsya, paraliż ogólny, monomania przedstawiają się wprawnym oczom za pośrednictwem znaków niewątpliwych. Zjawiska fizyczne zapowiadają te stany chorobliwe. Obłąkani wynajdują pewne wyrazy, pewne zdania charakterystyczne, które powtarzają do syta. Inteligencya ich bywa częstokroć wyższa od stopnia ukształcenia, chociaż równocześnie wstrząsają ją hallucynacye i ćwieki myślowe. Uczucia ich nie ulegają zmianie w tym samym porządku, co uczucia zbrodniarzy, nienawiść budzi się w nich najprzód ku najbliższym, a jeżeli ją czują względem nieznajomych, to z jakichś śmiesznych powodów. Wreszcie ich cechy socyologiczne są całkiem odmienne od cech przestępców. Pytano raz więźnia, jakim sposobem będąc w osobnéj celi mógł się porozumieć ze swymi towarzyszami. „Abyśmy się nie mogli porozumiéć,“ odpowiedział, „to potrzebaby jednego umieścić we Francyi, a drugiego w piekle.“ Istotnie zbrodzień tyle ma jeszcze porządku w myślach i uczuciach, że może tworzyć towarzystwa. Obłąkany jest radykalnie niezdolny do organizacyi społecznéj. To téż nie posiada gwary, nie ma spółwinnych, nie tatuuje się. Wiek także podaje pewne wskazówki; zbrodniarz bowiem bywa już doskonale usposobionym i zapisanym do stowarzyszenia wtedy, gdy obłąkanie nie ukazuje się jeszcze.

Z cech swoich fizycznych i moralnych zbrodniarz najwięcéj ma podobieństwa do dzikiego, widać w nim cofnięcie się typu ludzkiego ucywilizowanego do typu ludzkiego piérwotnego, być może do typu

zwierzęcego. Tak często bowiem napotykane połączenie namiętności erotycznych z najbardziéj krwiożerczą dzikością da się chyba jedynie wytłómaczyć atawizmem, nasuwającym wspomnienia walk i rabunków wściekłych, scen brutalnych pomieszanych ze scenami miłosnemi, jakie najdawniejsi nasi przodkowie, podobnie jak dzicy najniższego gatunku i zwierzęta, wyprawiali zapewne przy obrzędzie zaślubin.

Lambroso sądzi, że przyczyną ostateczną rozpasania się na zbrodnie jest niedoskonała budowa ośrodków nerwowych. Chociaż czaszka zewnętrznie wydaje się normalną, to przecież budowa mózgu może być bardzo zepsutą, nie szkodząc zresztą niższym funkcyom życiowym. Autopsya dopiéro wykrywa chroniczne zapalenia błony mózgowéj u wielu zabójców (Benoist, Lemaire, Freeman, Momble, Léger). Podobnież po śmierci dopiéro różnych złoczyńców odnalezione w ustroju ich mózgu różne nieprawidłowości, które nie wpływały na zdrowie fizyczne a pozornie i umysłowe, chociaż zapewne były śladem skłonności do kradzieży lub zabójstwa.

Czy stąd wynika, że zbrodniarze nie są odpowiedzialni? Tak utrzymywać, mówi Lombroso, byłoby rzeczą równie śmieszną jak sądzić, że powinniśmy się dać rabować i zabijać dzikim dla tego, iż oni nie mogą mieć tych samych pojęć, co my, o dobrém i złém. Społeczeństwo ma prawo kary, mając prawo istnienia. Ma ono najwyższy interes bronienia siebie a zarazem bronienia cywilizacyi, pokoju, pracy, oszczędności, uczuć najszlachetniejszych, którym grożą ustawicznie te bunty barbarzyńców.

Jak usunąć zbrodnie? Przyczyn dziedzicznych zniszczyć niemal niepodobna; potrzeba więc działać na przyczyny późniejsze, z których włóczęgostwo, brak opieki, zetknięcie się zbrodniarzy w domach poprawy wydają się autorowi najważniejszemi... Uwagi dotyczące systemu kar dowodzą, że Lombroso specyalnie kwestyą tą się zajmował. Co do kary śmierci, odpycha ją słabo i bez entuzyazmu. Jego stanowisko spokojne w obec téj kwestyi, która zapalała tyle ogniów retoryki, dowodzi wybornie nowego punktu widzenia. Usunąć należy karę śmierci, powiada, gdyż nie jest rzeczą pewną, że nie powiększa liczby zabójców (w skutek skłonności do naśladowania); ale ograniczona jak obecnie do małéj liczby występków i rzadko stosowana nie zasługuje na to wcale, ażeby z jéj powodu marnowano zapał i czas, które obrócić można na rozbiór zagadnień o wiele ważniejszych.

Taka jest treść dzieła, które ożywia mnóstwo pieśni zbrodniarzy, wiele rysunków przedstawiających tatuowanie, litografij czaszek i fizyonomij i kilka tablic statystycznych.

Niewiele podobno możnaby się dowiedzieć u nas o rozwoju literatury amerykańskiéj, która chociażby ze względu na swoję oryginalność zasługuje przecież na bliższe poznanie. Kilka imion powieściopisarzy i poetów, jedno nazwisko historyka i jedno filozofa, parę tłómaczeń, oto wszystko, co może zaświadczyć o naszém zainteresowaniu się piśmiennictwem zaatlantyckiéj północy. Profesor uniwersytetu w Michigan p. *Tyler* wydał właśnie piérwsze dwa tomy historyi literatury amerykańskiéj, sięgające w opowiadaniu aż do sławnéj wojny o niepodległość. Zanim będziemy mogli szczegółowiéj przedstawić dzisiejsze piśmiennictwo Stanów Zjednoczonych nie od rzeczy będzie zaznajomić naszych czytelników z ogólnym jego rozwojem.

Do połowy wieku XVIII literatura tego kraju odznacza się wybitnym charakterem teologicznym a wśród mnóstwa miernych pisarzy jaśnieje niepowszednim blaskiem imię wielkiego Jonatana Edwardsa. Około tego czasu rozpoczął swój dziwny zawód Benjamin Franklin. Rozpoczynając żywot jako przemysłowiec a kończąc jako dyplomata i statysta, w saméj jego średnicy był przedewszystkiém pisarzem a z losami swemi w tym fachu zaznajomił wszystkich czytelników w swojéj autobiografii. Swoją działalnością literacką zajął on wśród współczesnych znakomite a wyjątkowe stanowisko, bo jak poprzednie stulecie było teologicznie zabarwione, tak następne, mianowicie od r. 1750—1825, było złotym wiekiem prawników. Prawnictwem zajmowali się wszyscy zdolniejsi ludzie a to z tém większym zapałem, ile że znakomity jurysta nierzadko stawał się znakomitym politykiem i statystą. Z pomiędzy pisarzy tego okresu wielu przyznać należy talent literacki, jak np. Hamiltonowi, Janowi Adamowi, Jeffersonowi i Morrisowi; ale ich zajęciem było prawo i polityka a nie nauki nadobne. Pole belletrystyki zaczęto uprawiać dopiéro po roku 1825; aż do roku wszakże 1861 niewiele napisano powieści i nowell; głównemi zaś ich twórcami byli *Fenimore Cooper*, *Allan*, *Poe*, *Hawthorn* i *Holmes*. Niejedno dobre dzieło historyczne powstało w tym czasie; a *Prescott*, *Motley*, *Washington Irving* i *Ticknor* (Historya literatury hiszpańskiéj) długo jeszcze mieć będą czytelników. *Longfellow* i *Lowell*, *Poe* i *Bryant* stworzyli niejeden piękny poemat, a Lowel i Holmes pokazali światu, że i Ameryce nie zbywa na humorystach piérwszego rzędu. Mówiąc atoli ogólnie, literatura tego okresu była w gruncie albo prowincyonalna, albo kosmopolityczna, służyła celom społecznym lub stronniczym; albo téż zależała od ducha panującego w Londynie i Edynburgu.

Wojna domowa spowodowała przewrót nie tylko w dziedzinie polityki, ale i w sferze literatury. Wywołane przez nią namiętności,

spowodowane klęski, wykazana nieudolność wielu popularnych idei poprowadziły niebawem do usunięcia na bok niedorzecznéj i nieuzasadnionéj egzaltacyi narodowéj (tak zwanego „spread-eagleism“) i do poznania prawdziwéj godności kraju. Od tego czasu widać niepowstrzymany postęp na polu literatury. W roku 1865 założono „Nations,“ piérwszy w Ameryce przegląd polityczno-literacki, godny téj ziemi. Typowe to pismo cieszy się dotychczas najlepszą sławą; pod względem ogólnego planu podobne ono jest do „Saturday Review,“ ale je przewyższa pięknością stylu. Redaktorem i właścicielem jego był i jest jeszcze E. L. Godheim, Irlandczyk protestant. W krytycznym jego kierunku nieśli mu pomoc tacy profesorowie jak *Harward*, *Gale* i inni. Korespondencya zagraniczna odznaczała się zawsze świetnością; paryską np. prowadzi znany publicysta i filozof August *Laugel*, sekretarz księcia Aumale.

Przed wojną domową uczeni mieszkali w różnych miastach Ameryki i zazwyczaj zajmowali się nauczycielstwem w wyższych zakładach naukowych; towarzystwo atoli literackie istniało tylko w 2 miastach: w Nowym Jorku i Bostonie, a pomiędzy niemi rozpanoszyła się zawzięta rywalizacya, którą łatwo zrozumiéć, mając na uwadze odmienne usposobienie literatów obu tych miejscowości. Uczeni nowojorscy byli to w ogóle dziennikarze, a do tego nie mieli ojczyzny, pochodzili z całego świata. W Bostonie byli to ludzie dojrzali, którzy rozporządzali znacznemi środkami piénięžnemi, puszczali się na dalekie podróże i chętnie widywali u siebie cudzoziemców. Wielce zajmujące obrazy z życia bostońskiego za dni owych podali niedawno w pamiętnikach swoich: Jerzy *Ticknor* i Senator *Summer*.

Po wojnie zmieniło się położenie rzeczy w obu miastach. Przedsięwzięcia literackie w Nowym Jorku doznały ważnéj zmiany na lepsze, a tymczasem „dobre towarzystwo“ bostońskie niezbyt przychylnie patrzy na literaturę, która żyć musi we własnych kółkach. Z dawniejszych mężów towarzystwa bostońskiego *Prescott* i *Ticknor*, *Hawthorn* i *Hillard* pomarli, a *Longfellow* i *Emmerson* niedługo zapewne pójdą za nimi. A i sławny *Holmes* i szlachetny *Whipple* są już tak starzy, iż z towarzyszami swymi niebawem połączyć się mogą. Z młodszego pokolenia jeden tylko zwraca na siebie uwagę jako pisarz piérwszego rzędu: jest to poeta i nowelista W. D. *Howells*, który jest zarazem nakładcą jednego z najznakomitszych czasopism literackich p. n. *Atlantic Monthly*“ (1). Podobnego rodzaju pisarzem,

---

(1) Najnowsza powieść Howellsa ma napis: „The lady of the Aroostook“ i wyszła w Bostonie r. 1879.

tylko o mniejszym zakresie działalności jest T. B. *Aldrich*. Henryk *James* młodszy, którego poczytują za najznakomitszego autora literatury „lekkiéj,“ urodził się wprawdzie i wychował w Bostonie, ale od wielu już lat żyje zagranicą a i teraz bawi znowu w Anglii. Marek *Twain*, humorysta niezmiernie oryginalny (1), który w roku zeszłym podróżował po Niemczech, uchodzi także jeżeli nie za Bostończyka, to w każdym razie za pisarza Nowéj Anglii, mieszka bowiem w milutkiém mieście prowincyonalném Hartford, gdzie przebywa również Karol *Warner*.

Dobrym znakiem pomyślnego rozwoju umysłowości amerykańskiéj jest fakt, że w najrozmaitszych okolicach powstają osobne ogniska literackie. St. Louis i Chicago zrobiły w tym względzie dobry początek. Biblioteka narodowa w Waszyngtonie i tameczne Stowarzyszenie Dyplomatyczne przyciągają do tego miasta coraz więcéj znakomitych sił literackich. A i w San Francisco rospoczęło się było ruchliwe życie w skutek ukazywania się czasopisma „the Oberland Monthly,“ którego redaktor I. Bret *Harte* nowelami swemi zyskał już sławę nie tylko w Ameryce, ale i w Europie. Czasopismo to dziś już nie istnieje, a *Harte* mieszka w Nowym Yorku, które to miasto pomimo wszystkie zalety innych miejscowości jest obecnie stolicą literacką Ameryki północnéj i pozostanie nią zapewne i nadal, gdyż tu się znajdują wszyscy wielcy nakładcy, tu się ukazują najznakomitsze czasopisma i tu są kluby.

---

O jednym ze wspomnianych powyżéj a najlepiéj u nas znanych poetów wyszła świeża rozprawa niemiecka, która zasługuje ze wszech miar na poznanie. Mówię tu o dziełku Knortza: *Longfellow, literarhistorische Studie* (Hamburg, 1879). Autor obok dokładnéj znajomości literatury w ogóle a pism poety w szczególności, obok wyrobionego sądu i bezstronności, ma jeszcze i tę zaletę, że własnemi oczyma przypatrywał się życiu Ameryki północnej i na miejscu mógł zbadać stosunek narodu do swego ulubionego wieszcza. Muza Longfellowa jest miła i pociągająca, poczucie form estetycznych w wyborze rytmu, w języku i stylu, jest znakomita. A jednak czytanie jego utworów łatwo sprowadza znużenie; czuje się, że mu brak tych istotnych przymiotów, któreby mogły podziałać na głębsze i trwalsze usposobienia. Poezye jego obracają się w zbyt ograniczoném kole, są w wysokim stopniu sentymentalne, a za mało posiadają jędrności. Sposób jego

---

(1) Najświeższy jego utwór wyszedł w Lipsku p. t. The Innocents abroad or the new Pilgrim‘s progress.

myślenia i czucia ma coś w sobie kobiécego, nieoznaczonego a nawet i zagmatwanego; uczuciowość zanadto w nim przemaga nad epicznem rozpatrywaniem rzeczy; ztąd téż liryki jego stoją najwyżéj, one jedynie sławę zapewnić mu mogą. Rysunek charakterów nie posiada wyrazistości: postaci kobiéce przedstawia wprawdzie z większém zamiłowaniem, ale w nich widzimy zwykle pewną jednostronność i chorobliwą przesadę. Nie bardzo on dba o obrazowe przedstawienie sytuacyi; chociaż z drugiéj strony lubi drobnostkowe malowidła nawet wówczas, gdy przez nie przerywa bieg opowiadania. W pojęciu dziejów mianowicie swego narodu nigdy się wprawdzie nie zapiéra swego spółczucia dla uciśnionych; wybiéra owszem treść do swych powieści poetycznych, przedewszystkiém z czasów smutnego prześladowania; ale wszędzie zachowuje właściwą sobie łagodność; do gniewnego oburzenia nie posuwa się nigdy, ztąd w znacznéj części ogólna jego popularność, gdyż nie zadarł się stanowczo z żadném stronnictwem. Nie można mu też przyznać wielkiego daru inwencyi. Ze szczególném zamiłowaniem opracowuje on wspomnienia ze swych obszernych studyów historycznych i literackich tudzież ze swych podróży po Europie. Chętnie przerzuca się w dziedzinę romantyki średniowiecznéj, legendy i misteryów: jest to dobry protestant z silnemi sympatyami do tradycyj i majestatu Kościoła Katolickiego w wiekach średnich.

Longfellow więcéj się podoba charakterom słabszym, w których uczuciowość silniejsza jest od sądu i energii woli, a zatém więcéj kobiétom niż mężczyznom; ale i ci chętnie go wezmą do ręki, aby odpocząć i odetchnąć wśród marzeń i opowieści. Że taki właśnie poeta, który niewiele ma w sobie ducha nowożytnego, stał się ulubieńcem Amerykanów, to wyjaśnić sobie można najprzód wielką potęgą uczucia, która zawsze i wszystkich porywa, tudzież wielką doskonałością formy, powtóre tém, że im przeszłość ich poetycznie odtwarza a niekiedy rzuca także jakąś myśl szczęśliwą odnoszącą się do czasów obecnych; wreszcie i tém, o czém już wspomniano, to jest kobiécą ostrożnością i umiarkowaniem kiedy idzie o zaznaczenie swego stanowiska; tendencye polityczne jak wszędzie, tak i w poezyi przysparzają wprawdzie wielbicieli, ale nie zabezpieczają od mnożenia się niechętnych.

---

# ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Jagiellonki polskie w XVI wieku. Uzupełnienia, rozprawy, materyały, główne z cesarskiego tajnego archiwum czerpane przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego, przeznaczone na dodatkowy tom V.—Z pozostałości autora wydał i dopełnił Dr. Józef Szujski. — Kraków, 1878. 8[0] str. XXII. CCLXV i 400.

Na tom niniejszy, czekaliśmy dosyć długo. Śmierć hr. Przezdzieckiego, która go zastała w połowie pracy, była przyczyną tego opóźnienia; nie straciliśmy jednak na tém, ale raczéj zyskali i tom niniejszy tak objętością, jako i bogactwem treści znacznie poprzednie przewyższa.

Przez hr. Przezdzieckiego do tego uzupełniającego tomu zebraną została część znajdujących się w nim dokumentów i napisane cztéry szkice, będące uzupełnieniem pomieszczonych w poprzednich tomach, mianowicie zaś: „Do czasów Zygmunta I.“ „Jeszcze o królowéj Elżbiecie,“ „Zygmunt August i królowa Barbara Radziwiłłówna“ i „Beata z Kościeleckich księżna Ostrogska“. P. Szujski materyały przez Przezdzieckiego zebrane uzupełnił, wiele nowych przydał i, stosownie do planu nieboszczyka, napisał do tego tomu dwa szkice: „Zygmunt August i królowa Katarzyna“ oraz „Ostatnie lata Zygmunta Augusta i Anna Jagiellonka;“ z pod pióra również p. S. wyszło: „Wstępne słowo,“ w którém zaznacza swój stosunek do pracy autora, i serdecznemi słowami kréśli jego naukową działalność i zasługi.

Nad szkicami Przezdzieckiego nie będę się długo zatrzymywał: są one tylko omówieniem podanych za niemi dokumentów a z znacznéj nawet części jedynie polskiém ich tłómaczeniem, dostrzega się to osobliwie w piérwszym i trzecim szkicu. Dla kobiét polskich, któ-

rym autor dzieło to dedykował, są i będą przyjemną i zajmującą lekturą; historyk zaś znajdzie tu wielkiéj wartości dokumenty, przeważną zresztą część „Jagiellonek" składające, które Przezdziecki z wielką pracą, zachodem i kosztem z rozmaitych, dla innych niedostępnych i odległych często archiwów i bibliotek zbiérał.

Prace p. S. są także szkicami, gdyż nie zupełnie wyczerpują przedmiot. Jeden zaznajamia nas z epizodem z życia Katarzyny, drugi głównie z rolą Anny Jagiellonki w czasie trzech bezkrólewiów. Porównanie szkiców p. S. ze szkicami Przezdzieckiego byłoby mniéj stosownem, różnica między niemi taka, jaka zawsze spostrzegać się daje między pracą miłośnika tylko dziejów, takim bowiem w szkicach o Jagiellonkach jest Przezdziecki, a pracą specyalisty. P. S. jako historyk odznacza się głębokością poglądu i myśli, któréj w dziejach dopatrzéć i dojść się stara, posiada zdolność odtwarzania przeszłości, tłómaczenia wypadków w ich zależności wzajemnéj, celuje obrazowością przedstawienia, do czego włada potężnym środkiem, pięknym stylem i językiem. Takim jest i w niniejszych dwóch szkicach, które tém bardziéj jeszcze są zajmujące, że na podstawie nowych źródeł przedstawiają nam wyprowadzone na scenę postaci z nieznanéj dotychczas strony, w nowém oświetleniu. Na niekorzyść jednak p. S. zdaje mi się wychodzi, że jednocześnie, będąc historykiem, jest także i pisarzem politycznym. Nie jestem zdania, ażeby te dwa kierunki działalności wyłączały się wzajemnie, mniemam tylko, że w p. Szujskim pisarz polityczny udziela swoich sympatyj historykowi. Sympatyami bowiem tylko, których źródła w dzisiejszych chyba stosunkach szukać należy, objaśniać można, że p. S., pisząc o Katarzynie Austryjaczce, nie wyświeca należycie ujemnych jéj stron, taki wpływ objawiających na jéj stosunek do Zygmunta Augusta i własne jéj życie, co z bezstronnością historyka nie zawsze licuje.

Szkic „Zygmunt August i królowa Katarzyna" ma za przedmiot właściwie tylko jeden ustęp z historyi ich stosunku: sprawę o rozwód w całym jéj przebiegu; reszta w szkicu jest wstępem lub zakończeniem, albo jak sprawa węgierska i rola w niéj Zygmunta Augusta i Ferdynanda I obszernym epizodem, który z większą korzyścią mógł być oddzielnie a tém samém obszerniéj wypracowany. Otóż w tym ustępie z życia Katarzyny wszystkie w królowéj tkwiące powody, które stosunek jéj z mężem oziębiły a następnie sprawę rozwodu wyprowadziły na stół, nie są ani należycie uwzględnione, ani z odpowiednią krytyką i spożytkowaniem źródeł zbadane. Zdawałoby się, że one są dla autora jakby kamieniem obrazy, że nie rad o nich mówi, że tylko obowiązki i skrupuły historyka zamilczyć mu o nich nie pozwalają. Rozpatrzmy się dokładniéj w tych powodach.

Najpierwszym z powodów dysharmonii między małżonkami było stanowisko, do którego od piérwszego razu Katarzyna zdążała. Chciało się w Polsce rządów i wpływu na politykę zagraniczną polską, ale w tym jedynie celu, ażeby, że się tak wyrażę, wodę téj polityki skierować na habsburskie koło młyńskie, ażeby ją zwrócić do popierania rakuskich interesów. Gdy się to Katarzynie nie udało, bo przy Zygmuncie Auguście, który więcéj przebiegłą matkę wpływu w tym kierunku pozbawić umiał, udać nie mogło, dążności swoich nie porzuciła i ona królowa *polska*! wzięła na siebie rolę, po prostu powiedziawszy,—austryackiego ajenta, po za plecami króla, na swoję rękę przysługując się ojcu i bratu. Ten ujemny rys Katarzyny nie dość wyraźnie uwydatniony, przez autora. Historyk polski nie dość silnie, całą niestosowność takiego postępowania królowéj uznaje i poczuwa, nie w niém, ale w podejrzliwości jedynie jako właściwości charakteru Zygmunta, w jego niesprzyjaniu Austryi (str. LXXXIII), we wszechwładzczéj (!!!) nad królem przewadze Radziwiłła (str. LXXIX), dopatrując się powodów oziębłości jego dla żony, chęci odosobnienia jéj, powstrzymania jéj zbyt ścisłych stosunków z austryackimi posłami i pozbawienia relacyj, które miały służyć do paraliżowania jego zamiarów i polityki. Czyliżby p. S. mógł potępiać za to Zygmunta Augusta?

Drugim powodem, oddalającym króla od żony była choroba jéj. Na co rzeczywiście cierpiała Katarzyna, czy słabość ta mogła odrażać od niéj męża? kwestyj tych p. S. wcale nie wyjaśnił, ale nawet, można powiedzieć, że je zagmatwał. Najprzód p. S. pisał, że król zbrzydził sobie żonę „podobno dla wielkiéj choroby“ (1), że „choroba jakaś nieprzyjemna odrażała go od niéj“ (2), w parę lat późniéj znowu, że królowa „zapadła w chroniczną słabość, która wedle późniejszych narzekań króla miała być epilepsyą. Relacye Finka, ordynaryusza królowéj, mówią o częstych omdleniach, wątpiąc zarazem w radykalne wyleczenie“ (3) a teraz zaś „Rupert Fink, opisując ją (tj. chorobę Katarzyny) w częstych do Ferdynanda listach, zwie ją febrą tercyanną“ (4). Tak zmienne przedstawianie jednego faktu na podstawie zawsze tychże samych źródeł, faktu, będącego bądź co bądź ważnym czynnikiem w stosunkach królewskiéj pary, tém bardziéj zadziwia, że w dodatkach nie znajdujemy żadnego listu owego

(1) Dzieje Polski II. 269.

(2) Tamże II. 311.

(3) Stosunki dyplomatyczne Zygm. Aug. z dworem austryackim w „Roztrząsania i opowiadania historyczne“ 227.

(4) Jagiellonki polskie V, CIV.

Finka, na podstawie relacyj którego p. S. podaje tak chwiejną dyagnozę. Wątpliwości nie ulega, że Katarzyna cierpiala na wielką chorobę; mówią za tém następujące fakty: 1. wielka choroba była w rodzie rakuskim dziedziczną (1), jakoż i piérwsza żona Zygmunta Augusta na tę chorobę umarła (2), co do Katarzyny, świadczy o tém wyraźnie prymas Urbański (3) i sam nawet Zygmunt August, świadek najkompetentniejszy, jak się zdaje, i najbardziéj zasługujący na wiarę (4) 3. nie co innego wyrozumiéć można z listu Ottona von Neydegg, lekarza królowéj (5), 4. przyznaje to wreszcie sam cesarz Maksymilian w instrukcyi danéj Dudyczowi w Lipcu r. 1566 (6).

---

(1) Jagiellonki polskie II. 24.

(2) „Hodie renunciatum est nobis in pristinam gravioremque valetudinem recidivasse (sic) et intra decem horas quindecies agitatam, variis remediis necquiquam juvantibus, quarto post die, qui fuit divo Vito sacer (15 Czerwca), vita functam esse.“ Tak pisał Zygmunt August 22 Czerwca r. 1545 do Ferdynanda, odwołując się zresztą do relacyj lekarzy. Jagiellonki polskie V. 51.

(3) „Królowa cierpi na wielką niemoc.“ Listy Commendoni'ego II. 35.

(4) „Gdyby zapomniał o ciężkiéj niemocy królowéj“ mówi Commendoni, pośrednio przytaczając słowa Zygmunta Augusta, na poufnéj audyencyi wypowiedziane. Tamże, II. 39.

(5) „Jer Khunigl Wirdt etc. in nacht vnd tag bey den funftzehen mall, das Inwendig vergicht gehabt haben. Also auch abgearbeit hat, dass wenigklich Ir Khunigl. Wirdt etc. das leben abgesagt haben, vnd merertails für sein schon geacht.“ Czy to febra?! Jagiellonki polskie V. 92.

(6) „Quantum ad alteram praecipuam huius fastidii abalienationis causam a Serenissimo Rege Poloniae allegatam attinet, morbum videlicet epilepticum (Stanisław Wolski i Czarnkowski, którzy w r. 1564 byli posłani do Wiednia dla wytłómaczenia przyczyn złego pożycia króla z żoną, jako drugą przyczynę podali właśnie epileptyczną chorobę królowéj), naturae Serenitatis eius etiam adversum et contrarium, quo adhuc asseritur Serenissimam Reginam Poloniae, sororem nostram charissimam, obnoxiam esse, dicant oratores nostri ipsam Serenissimam sororem nostram adhuc constantissime pernegare, quod eo morbi genere laboret (naturalnie, że jéj zależało na ukryciu faktu a przynajmniéj osłabieniu jego doniosłości). Id vero tantum fateri, quod in illa magna aegritudine, qua superioribus annis Cracoviae Serenitas eius afflicta fuit, semel atque iterum delignium animi passa sit (jak na Maksymiliana dosyć wyraźne przyznanie i wiele mówiące), id quod aegrotantibus, nostra quidem sententia, nec novum, nec mirum videri, nec cuiquam (!) molestum esse debeat, cum omnes mortales secundum humanae naturae imbecillitatem eiusmodi infirmitatibus et casibus humanis ex voluntate Dei Optimi Maximi subiecti simus.“ W dalszym ciągu tego pobożnego wywodu powołuje się Maksymilian na świadectwa doktorów (oddanych Katarzynie Niemców!), damy z jéj otoczenia (najbliższą jéj osoby była także oddana jéj niemka!), sióstr królewskich (które prawie nie miały stosunków z Katarzyną i z których jedna była w Warszawie, druga w Brunświku a trzecia w Szwecyi!), na sumienie wreszcie samego króla! jakby w rzeczywistości świadectwa te prawdę zaświadczac miały a Zygmunt August kłamał! Instrukcya ta znajduje się w Archiwum cesarskiém w Wiedniu i szkoda, że p. S. nie ogłosił jéj.

Ażali ta choroba mogła zniechęcić Zygmunta do pożycia z Katarzyną, niech osądzi każdy, kto jéj objawy i przejście obserwował.

Trzecim powodem, sprowadzającym „rozchodzenie się dróg", króla i królowéj była jéj niepłodność, zawodząca najdroższe nadzieje Zygmunta Augusta, że pozostawi po sobie potomka, wykonawcę planów i reform, których on sam już wprowadzić nie zdążył lub nie mógł. Raz tylko w r. 1554 rozeszła się wieść, że królowa jest brzemienną, wieść, która wkrótce odwołaną została. P. Szujski „dziwny ten a jednak najlepszemi świadectwami stwierdzony przebieg rzeczy" zdaje się uważać za prawdę i wierzyć piérwszéj wieści, ale czy ona istotnie prawdą była a nie... komedyą, odegraną przez Katarzynę dla omamienia króla, tego nie stara się rozstrzygać, poprzestając jedynie na zanotowaniu wiadomości, iż „król w późniejszych czasach utrzymywał, że Katarzyna udawała tylko brzemienność." Rozstrzygnąć téj kwestyi stanowczo zapewne nie można, ale to co nam źródła dają silnie przemawia za tém, że królowa rzeczywiście komedyą tylko grała, albowiem: 1. świadectwo w tym względzie Zygmuta Augusta (1) wielkiéj jest wagi; 2. Katarzyna trzymając przy swoim dworze tylko przysłanych sobie doktorów z Wiednia i sprowadzając ztamtąd najbliższą swéj osoby piérwszą damę dworu, podkomorzynę C. Trautmansdorf, oddawna będącą przy dworze jéj matki (2), czyniła to zapewne w celu, ażeby i chorobę ukrywać i komedyą łatwiéj odegrać, przy pomocy oddanych sobie osób; 3. same wreszcie jéj listy pisane do Bony z wiadomościami raz o brzemienności, drugi raz z odwołaniem tego, sam fakt uwiadamiania, sposób datowania listów, podejrzenie nasze zupełnie usprawiedliwiają (3).

To były główne powody. Do podrzędniejszych zaliczyć trzeba skrupuły, które się obudziły w królu przeciw pożyciu z żoną, jako krewną swoją w drugim i trzecim stopniu, a w piérwszym—powino-

---

(1) Commendoni, opisując rozmowę z królem w liście do Borromeusza 12 lutego r. 1565, mówi: „Wspomniawszy o potrzebie potomstwa, natrącił (Zygmunt August), iż wątpi o dzieciach, któreby, szanując sławę królowéj, poczytywano za prawe. Te ostatnie wyrazy tak splątał, że nic innego wyrozumiéć z nich nie mogę, tylko, że król podejrzywał małżonkę o zamiar udawania ciąży i podłożenia obcego dziecięcia." II 58.

(2) Jagiellonki polskie V. LXXXIII.

(3) Listy te ogłoszone są w tomie V „Jagiellonek," o którym mowa, na str. 82, z autografów, znajdujących się w archiwum państwa w Sztokholmie; piérwszy ma datę tylko roku 1554 i dnia 28-go, miesiąc niewskazany(!), drugi pisany 3 Października, ale w nim znowu rok niepodany! Czyż to koniecznie były przypadkowe omyłki, czy opuszczenia? Któż zaręczy, czy Katarzyna nie miała intencyi wprowadzenia w błąd nie tylko współczesnych jéj, ale i potomnych biografów? a dodać trzeba, że oba listy *całe* pisała *własną* ręką.

watą (1), postępowanie jéj i układ, którego zaraz w piérwszéj chwili do niéj zraziły (2), nieżyczliwość jéj dla Polski i Polaków (3), otaczanie się Niemcami i niemczyzną i „wiele innych ułomności, o których zamilczéć wolę (4). Wszystko to razem sprawiło, że Zygmunt zbrzydził ją sobie do tego stopnia, i zaiste słusznie, że po 12 latach, nie powiém pożycia, ale znoszenia jéj oświadczył, że „łatwiéj mu będzie wyrzec się tronu i życia niż dłużéj dźwigać to małżeńskie jarzmo (5). Środek do zrzucenia go, a przez to do zadosyćuczynienia najważniéjszym interesom, interesom kraju i dynastyi, był jeden tylko—rozwód. On téż, jako następstwo powyżéj wskazanych powodów, poruszonym być musiał i był poruszany przez lat parę, ale do skutku—niestety! niedoprowadzony. Sprawa rozwodowa skończyła się tylko na separacyi przez wyjazd Katarzyny na stały pobyt do Austryi, na oddaniu się Zygmunta życiu, które, zaiste, godności jego nie odpowiadało, które szkodliwy wpływ wywiérało na jego zdrowie i nasze sprawy wewnętrzne, ale za które nie na niego samego cała spada wina, a na tych zarówno, co sprzeciwiając się rozwodowi, płaszczem prawa kanonicznego zasłaniali interesa austryackie na szkodę interesom Polski (6).

Przedstawiając przebieg sprawy rozwodowéj, p. S. stoi jedynie na punkcie prawa kanonicznego i mniema, że rozwód był nie tylko niemożebny, ale nawet niebezpieczny, gdyż groził upadkiem katoli-

(1) Listy Commendoniego II 87.

(2) Tamże II 85.

(3) Fakt ów, o którym się mówi, niektórzy współcześni także przyjmowali za prawdę i objaśniali go w ten sposób, że „królowa z nienawiści do Polski postarała się o poronienie i że król nigdy z nią potomstwa mieć nie będzie.“ Mówił to Uchański do Commendoniego, tamże II 35.

(4) Tamże II 39. Własne króla słowa.

(5) Tamże II 39. Są to własne słowa Zygmunta Augusta.

(6) Rozwód, umożliwiający nowe małżeństwo i nadzieję pozostawienia przez króla potomstwa, interesom habsburskim wcale nie odpowiadał: Maksymilian II już w roku 1565 zaczął się starać o koronę polską, szło mu więc najbardziéj o to, żeby rozwodowi i nowemu małżeństwu Zygm. Aug. przeszkodzić. Kardynał Commendoni... Commendoni w pośród zabiegów o przeszkodzenie rozwodowi, ciągle znosił się z posłami cesarskimi w Polsce, popiérał ich nie tylko w téj sprawie (por. jego listy II 98. 112. 116. 128. 138. 180) i wypowiadał nawet: „pomnieć należy, że ta korona jest obieralną, król bezpotomny a cesarz ma tylu synów,“ tamże II 182. On ciągle znosił się z królową, on za życia jeszcze Zygmunta Augusta prowadził z Litewskimi panami konszachty o wybranie Ernesta, on gotów był jego wybór przeprowadzić, on, dopóki nie poczuł się obrażonym, kandydaturze austryackiéj na początku piérwszego bezkrólewia gorliwie służył. Azali czynił to bezinteresownie? Chcemy wierzyć. W dokumentach jednak archiwum Wiedeńskiego napomyka się coś o 50.000 dukatów, któreby zapewne dostał, jeżeliby kandydatura przeszła,

cyzmu w Polsce. Ja sądzę, że takby nie było. Rozwód i sprawa religijna są rzeczy zupełnie różne, łączyli je razem tylko i wiązali ze sobą ci, którzy z jedną i drugą walczyli, gdyż dla nich było to dogodną taktyką. Mniemam, że rozwód można było przeprowadzić bez takiego przewrotu, jaki się stał w Anglii, bez naruszenia sprawy katolicyzmu, rękojmią zaś tego jest mi sam Zygmunt August, jego przekonania prawdziwe i zasady. Nie mogę w danéj chwili wyczerpująco téj kwestyi przedstawiać, gdyż to obecnie nie jest właściwie mojém zadaniem. Uczynię to innym razem. Obecnie zwrócę jeszcze uwagę na zdanie p. S. o Uchańskim, o którego dążnościach i roli w sprawie rozwodowéj p. S. nie dość dokładne daje pojęcie.

Że Uchański piérwszy rzucił myśl rozwodu, a raczéj, że piérwszy głośno myśl tę wypowiedział w obec króla, jest zapewne prawdą, gdyż nie ma powodu podejrzywać w tym względzie świadectwa Commendoniego. Rozumiéć je jednak należy w ten sposób, że Uchański sam z siebie nie powziął téj myśli, ale tylko, że przez króla, pragnącego rozwodu, został w rozmowie zręcznie na tę myśl i na wypowiedzenie jéj naprowadzony, wygodniejszém bowiem dla Zygmunta było, ażeby niby nie od niego, ale od tak poważnéj osoby jak prymas projekt ten wyszedł. Oczywiście Uchański nie miał za to miru u Commendoniego, ani go téż znajduje u p. Szujskiego, jak to widać z następującéj jego charakterystyki: „Uchański,“ mówi p. S. na str. CX: „pragnął narodowego soboru; oddawna z Rzymem w niezbyt dobrych stosunkach, z ruchem różnowierczéj szlachty wielokrotnie związany, na popularność chorujący, w teologii niezbyt biegły, przytém próżny i ambitny, uśmiechał się on do zwierzchniczéj w kościele narodowym polskim roli, pochlebiał sobie, że różnowierstwo i katolicyzm da się pogodzić jakąś na synodzie ułożoną: *confessio fidei*, nie odłączającą się od powszechnego kościoła a przecież zadość czyniącą niektórym nowatorów żądaniom, z któremi już 1555 Stanisław Maciejowski, kasztelan radomski, do Rzymu jeździł.“

Charakterystyka to po części bezpodstawna, po części nie bardzo prawdziwa, a po części zawiérająca sprzeczności, boć przecie „zwierzchnicza władza *w kościele narodowym polskim*“ wyklucza „jakąś *confessio fidei*, *nie odłączającą się od powszechnego kościoła.*“

Co do stosunków Uchańskiego (1) z Rzymem powiedziałbym przeciwnie niż p. S., a mianowicie, że od niedawna były dobre. Były

---

(1) Co do Uchańskiego nie cytuję wprawdzie źródeł na poparcie mojego zdania, ale opiéram się na pewnych podstawach: materyałach do monografii o nim, zebranych w kilkunastu archiwach, a jak *dotąd* składających się z nieznanych jeszcze 230 blizko li-

one złemi za czasów Pawła IV, gdy szło o biskupstwo kujawskie, gdy oskarżano Uchańskiego wprost o herezyą i wyklinać nieledwie chciano. Ale jak skoro Pius IV został papiéżem, stosunki się naprawiły, dzięki nuncyuszowi Bonjoanni, czego dowodem potwierdzenie Uchańskiego na wspomnianém biskupstwie, odmawiane mu uparcie aż do śmierci przez Pawła IV, a następnie szybkie potwierdzenie w arcybiskupiéj godności. Commendoni dopiéro, intrygami swojemi, stosunki jego z Rzymem psuć zaczął. Na jakich danych opiéra p. S. zdanie, że Uchański jako *prymas z ruchem* różnowierczéj szlachty *wielostronnie* był związany, że chorował na popularność, że w teologii był niezbyt biegły, o tém sam byłbym ciekawy się dowiedziéć w interesie historyi tegoż Uchańskiego; i żałuję, że p. S. w cytowaniu źródeł, jest zbyt może oszczędnym. Ażeby Uchański był nad miarę próżny i ambitny, wcalebym nie powiedział; p. S., twierdząc to, zdaje się, że nie bardzo pamiętał o wrodzonych cechach naszych magnatów, mężów stanu i t. d., któremi się odznaczali, bez względu na to, czy chodzili w kontuszu, czy téż w fioletach. Zupełnie zaś nie mogę zgodzić się, ażeby ta pycha i ambicya, zbyt wygórowane, były pobudką jego dążności do „narodowego kościoła." Jakie było stonowisko, przywileje, zakrés władzy i t. p. prymasa w Polsce, o tém wszyscy wiedzą. Czyż zwierzchnik „kościoła narodowego," jeżeliby reforma na taką skalę była przeprowadzona, jak sobie wyobraża p. S., miałby większe prawa lub władzę od prymasa? Nigdy zapewne, bo jeżeliby *taka* reforma nastąpiła, władza duchowna utraciłaby część ze swoich praw, musiałaby z niektórych z nich abdykować na korzyść władzy świeckiéj, rzeczywistym zwierzchnikiem kościoła nie zostałby prymas, ale król.

Nie takie były Uchańskiego dążności i nie takie osobiste pobudki nim kierowały.

Polska, osobliwie od czasu wstąpienia na tron Zygmunta Augusta, na oścież otwarła swoje granice zagranicznym reformatorom. Prześladowani gdzieindziej, w niéj znajdywali ochronę i bezpieczeństwo; przysługiwała im tu nie tylko swoboda myśli i słowa, ale także swoboda działalności: pozyskiwania dla swojéj nauki wyznawców i zwolenników. Przypływem téż z zagranicy nowych apostołów zarówno jak i przysługującą szlachcie swobodą religijnych przekonań, objaśniać należy najprzód, w części silniéjszy wzrost reformacyi w owych kilku latach, a powtóre, i rozmaitość kierunków, różno-

---

stów do lub przez Uchańskiego pisanych, aktów instalacyj, uniwersałów, wyjątków i ułamków dyaryuszów, wypisów z aktów kapitulnych, osobliwie gnieznieńskich, i t. d. Uwzględniam także i to, co dotąd z materyałów historycznych tu i owdzie już wydano.

rodność kierunków, różnorodność treści i formy, jakie w religijnym względzie reformacya u nas przybrała. Oprócz pikardów alias braci czeskich, którzy w r. 1548 przybyli do nas, przedtém jeszcze zwolennicy Lutra zaczęli nową naukę rozszerzać, potém wyznawcy Kalwina, u nas zwani sakramentaryuszami, jeszcze większém cieszyli się powodzeniem, zyskawszy poparcie w możnych stronnikach nauki reformatora genewskiego. Obok tych trzech głównych zaczęły się następnie pojawiać i rozszerzać nowe sekty i odmienne od poprzednich mniemania rozpowszechniać przez Stankara, Vergeria, Łaskiego i Socyna szczególniéj. Naturalném następstwem téj rozmaitości musiała być koniecznie wzajemna emulacya i walka o stronników i o zasady; powstała też ona wkrótce i gorąco przez naczelników sekt była prowadzona. Ale oprócz téj choć nie orężnéj walki, jaką toczyli między sobą zwolennicy rozmaitych sekt, miała miejsce jeszcze i walka ich z katolicyzmem nie tylko na polu religijném, ale także i polityczném o prawo jurysdykcyi, o podciągnięcie duchowieństwa katolickiego pod te same obowiązki i ciężary względem państwa, jakie ponosiła szlachta, o dziesięciny i t.d. Na tém ścieraniu się i walce najwięcéj cierpiały interesa kraju: panowało w nim ciągłe wrzenie, umysły jątrzyły się i rozpalały dysputami teologicznemi i religijną namiętnością, zaświadczaną od czasu do czasu ekscesami, mogącemi doprowadzić do domowéj wojny religijnéj. I działo się to wtedy, kiedy najbardziéj potrzebną była zgoda i wzajemne wyrozumienie, bo wewnątrz ważne sprawy były do załatwienia: przeprowadzała się egzekucya, miała się dokonać ostateczna unia a skarb i wojsko potrzebowały reformy; kiedy trzeba było myśléć i o przyszłości kraju, bo król był bezpotomny a nie było nadziei, żeby się potomstwa doczekał; kiedy i sprawy zewnętrzne, jak węgierska, inflancka, obrona od Tatarów także wymagały czujności. Na pochwałę narodowéj samowiedzy przyznać należy, że powszechnie prawie pojmowano niebezpieczeństwo podobnego stanu i konieczność zaradzenia mu przez załatwienie kwestyi religijnéj. Na każdym sejmie od roku 1552 objawiano ku temu chęci i podawano zarazem sposób i drogę, którąby ten cel osięgnąć można, drogę, jedynie wówczas możebną a odpowiadającą politycznemu rozwojowi narodu, drogę, że się tak wyrażę, parlamentarną: dobrego porozumienia i wzajemnych ustępstw, na soborze narodowym. Projekt ten powstał wśród dysydentów i przez nich ciągle był podnoszony; oni też na podobnych zjazdach częściowe między sobą pojednania i łączność do skutku przyprowadzali; ale żeby powszechne zjednoczenie mogło nastąpić i powszechny sobór narodowy mógł mieć miejsce, trzeba było, ażeby, wyciągając rękę do zgody, dało mu inicyatywę stronnictwo kato-

lickie. Jakoż piérwszy duchowny przedstawiciel jego, prymas Uchański, podjął i chciał ten projekt przeprowadzić, czyniąc przez to zadość obowiązkowi obywatela i piérwszego dostojnika rzeczypospolitéj, salwując zarazem swoję prawowierność jako arcybiskup powszechnego kościoła. Zamierzając zgodę taką na soborze urzeczywistnić, czynił to bez chęci naruszania dogmatycznéj strony katolicyzmu i dla przyznania dysydentom tego tylko, co się dogmatom nie sprzeciwiało, a czego się oni jeszcze piérwéj domagali t. j. wprowadzenia do kościoła języka narodowego, komunii pod obiema postaciami, małżeństwa księży i zrzeczenia się zapewne przez duchowieństwo sądownictwa nad świeckimi. Pozyskani témi ustępstwami dysydenci odstąpiliby od różnic od dogmatycznéj nauki kościoła katolickiego i połączyliby się z nim napowrót a może nawet płacić się zobowiązali dziesięciny, o które wyższemu duchowieństwu dosyć chodziło a coby je do zgody przystępniejszém uczyniło. Na tych warunkach zgoda była możebną, bo korzystna była i dla kraju i dla stron, któreby ją zawarły; mogli przystać na nią na powyższych warunkach dysydenci, dowodem tego choćby późniejsze się ich połączenie w Sandomierzu, mógł ją zatwierdzić i Rzym, jak skoro n. p. przystał na układ w Bazylei, a późniéj na unią Brzeską, gdy równocześnie prawie z tém na żądanie cesarza Ferdynanda I, już po zamknięciu soboru trydenckiego, pozwalał na komunią pod obiema postaciami a silniéj naciskany przystałby może i na małżeństwo księży, czego się również Ferdynand domagał.

Taką, w najtreściwszych słowach przedstawioną, miała być reforma, popiérana przez Uchańskiego, celem jéj, było nie otworzenie samodzielnego kościoła polskiego, niezawisłego od Rzymu, ale tylko połączenie dysydentów z kościołem katolickim na warunkach istoty dogmatów nie naruszających, ale nadających kościołowi polskiemu pewną odmienną cechę. Taka reforma, ambicyi i pychy czy próżności Uchańskiego, jeżeliby niemi miał się kierować, nie zadawalniałaby; nie niemi się téż prymas powodował, cel reformy: pokój religijny, który chciał zaprowadzić w kraju, jako zadośćuczynienie obowiązkom swego stanowiska, dowodzi tego; jeżeli obok patryotycznych pobudek powodował się i ambicyą, to była to ambicya chwalebna. W dążeniu tylko do téj reformy Uchański, jak i każdy podobny jemu, spotkał się z trudnościami, z nieprzychylnymi sobie i przeciwnikami, z gorliwcami takimi, jak Hoziusz i Commendoni, którzy inaczéj jego dążności i pobudki ich pojmowali, którzy innemi środkami przeciw dysydentom działać chcieli a od proponowanych przez niego dalecy, zdyskredytować je chcieli, fałszywie tłómacząc, nieprawdziwe

rozgłaszając pogłoski, których nie ma powodu powtarzać dziś z wiarą.

Powracam jeszcze do roli Uchańskiego w sprawie o rozwód Zygmunta Augusta z Katarzyną. Wiem, że był on z początku za rozwodem, późniéj jednak zmienił zdanie i w roku 1566, kiedy ta sprawa podczas sejmu miała się traktować, przeszedł na stronę przeciwników. O téj zmianie roli mówi p. S.: „Trudno dociec, jak do tego Uchański przyszedł; wolno wszakże postawić przypuszczenie, że chcąc rozwodu dla soboru i kościoła narodowego, odrzucanych przez króla, pragnął utrzymać w Polsce królowę, pragnął, aby cały naród przemówił słowa za przyjęciem jéj w małżeńskie pożycie, aby król naciskowi oprzéć się nie mogąc, zażądał od niego soboru i rozwodu z żoną" (str. CXXI). Po raz drugi łączy tu p. S. rozwód i sobór, bez słusznéj do tego podstawy; powody i cel soboru a rozwodu były różne i nie wiążące się z sobą, inicyatorem piérwszego był Uchański, inicyatorem drugiego Zygmunt August, sobór a rozwód mogły się dokonać oba niezawiśle jeden od drugiego, można było przeprowadzić jeden tylko, gdy drugi mógł zostać niezałatwiony, a nadewszystko dla dania królowi rozwodu, jeżeliby do tego ostatecznie przyszło, Uchański nie potrzebował zwoływać soboru, gdyż dostatecznem byłoby porozumienie się tylko z biskupami, o które zresztą król sam mógł się postarać, rozwód téż ani był powodem, że Uchański dążył do zwołania soboru narodowego, ani na nim, jak można widziéć z powiedzianego wyżéj, kwestya rozwodu miała być postawioną lub rozbiéraną. Kto mieszał te dwie sprawy razem i w jakim celu, powiedziałem już o tém poprzednio. Niezgodném także jest z rzeczywistością objaśnianie wstawiennictwa Uchańskiego za Katarzyną sympatyami jakiemiś, których on nie miał, tém bardziéj zaś naród. Sympatye podobne istniéć nie mogły, bo Katarzyna na nie nie zasługiwała, nie starała się ich czémkolwiek pozyskać, przeciwnie, postępowaniem swojém, jeżeli je u kogo miała, straciła. Sympatye, jakie wypowiedziano dla niéj na sejmikach w Gnieznie i Sądowéj Wiszni, były zupełnie sztuczne, wywołane agitacyą Dudycza, podobne do słomianego ognia, który na parę sekund tylko wybuchnął płomieniem, by zaraz zniknąć, który aż do ostatniéj iskry zgasł za jednem dmuchnięciem królewskiém! Dla czegóż p. S. wyprowadza tu na scenę *cały naród* i przypisuje mu chęć mówienia za królową, kiedy o parę stronic niżéj (str. CXXVII) mówi, że Katarzyna przed wyjazdem z Polski „napisała list do *jednego* może w Polsce człowieka, który ją rozumiał i szanował, jak należało (!!), do kardynała Hoziusza!" *Jeden* więc był tylko taki! — czyż to nie najlepszy dowód, ile ona zasługiwała na szacunek i miłość *narodu*?

Powody różnego obecnie postępowania Uchańskiego były wcale nie te, które podaje p. S., ale wcale inne i według mnie dwa mianowicie: 1) słaby charakter prymasa i uległość obcym wpływom, które w nim zauważyć można, obok obywatelskiéj gorliwości służenia krajowi i patryotyzmu. W danym razie interesa kraju i dynastyi wymagały rozwodu, i w imię ich gotów był popełnić względem prawa kanonicznego *abusus* i dałby go, tak jak arcybiskup paryski Napoleonowi I w nowych czasach, jeżeliby Zygmunt August z niezłomném postanowieniem do rozwodu dążył, jeżeliby w nim prymas mógł znaléść dostateczną a silną podporę. Ale gdy Uchański widział, że król nie jest dość silny, że ulega przedstawieniom Commendoniego i uznawać się zdaje, że rozwód sprowadziłby oderwanie się Polski od katolicyzmu, jak to miało miejsce w Anglii, sam także, ile że łatwiéj naginać się dający, ulegać począł i ulegał wpływowi Commendoniego i Hoziusza, jako teologów, wpływowi Dudycza, jako zręcznego polityka; 2) w roku 1566 Uchański nabliższym był soboru, gdy sejm się odbywał i sprawa królowéj była traktowaną, w Rzymie przygotowywał papież bullę, pozwalającą Uchańskiemu zwołać synod prowincyonalny, czyli jak go nazywamy, sobór narodowy; otóż on, chcąc by tenże łatwiéj przyszedł do skutku, chcąc zaprzeczyć wieściom, posądzającym go o chęci oderwania się od Rzymu, widząc jednocześnie, że król nie silnie napiéra na rozwód, postanowił wystąpieniem za królową i przeciw rozwodowi zaświadczyć wszem w obec i Rzymowi swoję ortodoksyą, istotném naruszeniem któréj nie miał być i sobór i zawarta z dysydentami zgoda.

Mówiłem już wyżéj, że w poglądach pana S. na wypadki XVI wieku, przebijają się jego zapatrywania na położenie dzisiejsze. W szkicu niniejszym wierność obrazu wiele na tém szkoduje. Bezstronnemu historykowi niepodobna tak względnie, jak p. S., sądzić Katarzyny, nie ledwie, że nie zamykać oczu na jéj wady, nie dosyć wyraźnie i z należytą siłą przedstawiać jéj rolę i osądzić, za jéj losy kogo innego a nie ją samę jedynie winić. Autor boleje nad jéj opuszczeniem i cichemi cierpieniami, zapominając, że ona sama je spowodowała; z pewnym przekąsem mówi p. S. o „włoskiéj" polityce Zygmunta Augusta względem Katarzyny, chociaż jéj i Maksymiliana II polityka względem Polski i drogi, któremi ona kroczyła, bardziéj jeszcze były „włoskie;" marszałek królowéj, donoszący Zygmuntowi Augustowi o tém, co się dzieje na jéj dworze, dla p. S. jest tylko „ajentem policyjnym" a służenie królowéj *polskiéj* interesom *austryackim*, intrygi jéj przeciw mężowi na współkę z austryackimi posłami, praktyki tychże w Polsce rozwijane, burzenie szlachty przeciw królowi, omal że nie zyskują jego pochwały a przynajmniéj zdają mu

się naturalne i na miejscu. Stanowisko, z jakiego p. S. zapatruje się na przeszłość, zmusza go do ubolewania nad tém, że plamy Habsburgów w drugiéj połowie XVI-go stólecia co do pozyskania polskiego tronu nie udały się, gdyż ziszczenie ich „byłoby zupełnie inny tor naszym dziejom nadało.“ Być może. Ale czy ten inny tor byłby dla nas korzystnym, o tém zupełnie wątpię. Jeżeli można robić jakieś przypuszczenia w tym względzie, to chyba te jedynie, że w takim razie rokosz Zebrzydowskiego pod innném jakiém nazwiskiem mielibyśmy o kilkanaście lat wcześniéj i w skutek niego albo dynastya Habsburgów pozbawionąby została tronu, albo by nas spotkała jaka „Biała góra“ i dostalibyśmy się pod takie jarzmo germanizmu, pod jakie dostali się Czesi. Habsburgowie, zdobywając ościenne arcyksięstwu swemu korony, robili to jedynie, w imię swych własnych dynastycznych interesów, w imię rozszerzenia germanizmu, którego wówczas byli przedstawicielami, ale nie dla dobra tych narodów, które pod swą władzę zagarnęli lub zagarnąć usiłowali. Czystą niemożebnością jest przypuszczać, ażeby oni w XVI wieku na tron mogli się dostać i na nim utrzymać, gdyż w takim razie trzebaby było, albo żeby Polska poddała zupełnie swoje losy w nieżyczliwe ręce, podporządkowała swoje interesa i sprawy obcym, zrezygnowała ze swego historycznego posłannictwa i samodzielności, swojemi siłami służyła innym, albo też żeby Habsburgowie na tronie polskim zerwali z tradycyą i interesami swojego domu, stali się dynastyą narodową. Ażaliż było to możebne? Obecnie orędować i bronić rakuskich planów w XVI w. względem Polski jest to odrzucać naukę, jaką nam daje historya Czech a niestety i nasza, choćby nie bardzo dawna: jest to odmawiać naszemu narodowi w XVI w. samowiedzy, bo choćby ten naród, jak mówi sam p. S. (Roztrząsania i opowiadania historyczne str. 257), nie wiedział, czego chce, to wiedział przynajmniéj czego *nie chce*, dodam, że wiedział *dla czego* nie chce, że z zupełną świadomością przewidywał, iż od chwili koronacyi Habsburga na króla zaczęłaby się między tronem a narodem zasadnicza walka prawdziwie o „być albo nie być,“ że w takim już razie walka dla niego, narodu, prowadzonaby była w niekorzystnych warunkach i może przegranąby być musiała, gdyż dynastya habsburska miałaby po swéj stronie część choć bardzo małą konserwatywnych magnatów, obce siły całego cesarstwa i własnych krajów, odżywione wszystkie żywioły germanizmu w Prusach i w Inflantach, że wreszcie taż dynastya nie zawahałaby się, choć może z owemi historycznemi łzami na oczach, dla pokonania narodu szukać pomocy u wschodniego sąsiada i podzielić się z nim zdobyczą, uratować dla siebie choć część jéj przynajmniéj. Powtarzam więc w myśl p. Szujskiego jeszcze raz,

że naród wiedział, czego nie chce i że zawczasu, w samę porę, oddalał niebezpieczeństwo, które mu groziło: w czasie bezkrólewi jeszcze dając stanowczą odprawę rakuskim zachciankom.

Drugi szkic p. S. nosi tytuł: „Ostatnie lata Zygmunta Augusta i Anna Jagiellonka,“ tytuł dosyć osobliwy. Jakiż bowiem związek lub spólność między ostatniemi latami życia Zygmunta Augusta a Anną Jagiellonką? Absolutnie żaden. Infantka Anna nie tylko w ostatnich latach, ale przez cały ciąg panowania brata stoi zupełnie w cieniu, na widownię polityczną wcale nie występuje, zaledwie wtedy się z nią spotykamy, gdy żegna wyjeżdżającą do Włoch matkę, lub gdy nawiązują się układy o wydanie jéj za mąż; siedzi sobie ona spokojnie zazwyczaj w stolicy Mazowsza, gospodarując i rozrywając się korespondencyą z siostrami, rzadko widując się z bratem, nawet wtedy, gdy pod jednym dachem, na zamku warszawskim, z nim mieszkała, ledwo że mogąc się z nim pożegnać, gdy chory już po raz ostatni z Warszawy po śmierć wyjeżdżał do Kryszyna.

Przedmiotem niniejszego szkicu jest właściwie Anna Jagiellonka; obraz ostatnich lat Zygmunta Augusta jest tylko epizodem wstawionym w środek opowiadania, lubo z historyą Anny nie wiążącym się zupełnie.

Epizod ten po części jest dopełnieniem nowemi wiadomościami tego, co p. S. przedstawił już dawniéj w „Stosunkach Zygmunta Augusta z dworem austryackim“ (Roztrząsania, str. 242—257), po części zaś daje nam obraz dworskiego i domowego życia Zygmunta Augusta w ostatnich trzech latach przed śmiercią. Do skreślenia obrazu posłużyły autorowi głównie relacye cesarskiego posła w Polsce, Jana Cyrusa. Cyrus przebywał przy królewskim dworze od Września r. 1569 aż do saméj śmierci Zygmunta Augusta i przez ciąg tego czasu przesyłał Maksymilianowi II częste, niemal co tydzień, i obszerne, niekiedy kilkoarkuszowe sprawozdania o tém, co się działo w Polsce i w otoczeniu króla, czegokolwiek i od kogobądź potrafił się dowiedzieć, bez uwagi czy to była prawda, czy fałsz. Relacye te dochowały się dotąd i stanowią bardzo poważny objętością materyał, który, gdyby go warto było wydać w całości, złożyłby książkę przynajmniéj o kilkuset stronicach ścisłego drugu. Ze zdaniem p. S. o Cyrusie i wartości jego relacyi zgadzam się zupełnie: Cyrus zdolności na posła nie miał, dyplomatą wcale nie był, brakło mu bystrego oka i przenikliwości, postępować sobie właściwie nie umiał a odznaczał się łatwowiernością i śmiesznością nawet, których to braków przywiązanie do dynastyi zastąpić nie mogło. Relacye jego podobne są do brukowego pisma, w którém dużo fałszywych wieści i bajek,

często gęsto gruby skandalik, wiadomości ubarwione lub niedokładnie podane przez piszącego lub opowiadającego piszącemu, ale w którym obok tego dużo także i prawdziwych nowin lub szczegółów dnia, za świeża, jakby w locie zapisanych, wiadomości interesujących i ciekawych, których gdzieindziéj napróżnobyśmy szukali. Relacye te w archiwum państwowém w Wiedniu i ja przeglądałem i na téj podstawie twierdzę, że lepiéj i obszerniéj można je było zużytkować i wyżyłować, że się tak wyrażę, z nich to, co było godniéjsze uwagi i cenne. Powinien był p. S. uczynić to témbardziéj, iż miał określoną i jasno wypowiedzianą intencyą: „oszczędzenia przyszłym badaczom trudu szperania w tym materyale“ (str. CLXXVII), któremu to zresztą celowi jeszcze lepiéj odpowiadałoby ogłoszenie w dodatkach odpowiednich wyjątków.

Część piérwsza szkicu o Annie Jagiellonce, o ile się to tyczy jéj saméj, nie přzynosi nam nic nowego, opiérając się głównie na materyale, wydanym przez Przezdzieckiego w cztérech poprzednich tomach Jagiellonek. Znajdujemy tu w bardzo zręczny sposób połączone przez autora oderwane szczegóły o stosunku Anny do matki, brata i sióstr, o próbach wydania jéj za mąż, staraniach konkurentów, głównie zaś Magnusa, improwizowanego króla Inflanckiego, który chociaż, według wyrażenia saméj Anny, nie miał „jednego oka i ubogi pijanica“ był, pretendował jednak o rękę nadobnéj królewny.

Daleko ciekawszą jest druga połowa szkicu; raz dla tego, że zajmuje się peryodem, w którym Anna w naszych dziejach jest piérwszą osobą, a powtóre, że głównie i jedynie niemal opiéra się na nowych materyałach z archiwum wiedeńskiego. Wyczerpanie przedmiotu, t. j. napisanie monografii, nie było zadaniem p. Szujskiego; w takie małe ramy, osiemdziesięciu kilku stronic, wyczerpującéj tak obszerny przedmiot rzeczy nie możnaby wstawić; p. S. przedstawia nam tylko Annę na tle nowém burzliwego czasu bezkrólewi, przysparza „przyszłemu historykowi elekcyi rysów i obrazów dostatecznie popartych źródłowo,“ chociaż, co prawda, odnośniki i wskazówki na źródła nie bardzo są dostateczne.

O zaletach szkicu mówiłem już wyżéj, dodam jeszcze, że w porównaniu z poprzednim o tyle jest lepszy, o ile mniéj w nim widać polityczne uprzedzenia. Nie przedsiebiorąc szczegółowego rozbioru, postawię tylko autorowi dwa zarzuty, których kto inny może nie mógłby zrobić.

1) P. S. nie wyczerpał z materyałów archiwum wiedeńskiego tego wszystkiego, coby się do historyi Anny wyczerpać dało, mimo że korzystał z wypisów i odpisów a) Al. Przezdzieckiego, b) swoich własnych, c) p. W. Zakrzewskiego, co pozwalałoby się spodziéwać

wyczerpania materyałów wiedeńskich. Mianowicie w listach posłów cesarskich Wilhelma Rozenberga i Wratysława z Persztyna, Marcina Gerstmanna, Andrzeja Dudycza, w listach cesarza do nich wiele można znaléść odnoszących się do Anny ustępów niezużytkowanych przez autora. Niesłusznie ubolewa p. S., że z czasu sejmu elekcyjnego w r. 1575 „nie mamy żadnych bezpośrednich o królewnie Annie wiadomości“ (str. CCXXXII), albowiem w działach *Polonica* i *Hungarica* z owego czasu, znajdujących się w archiwum wiedeńskiém, czytaliśmy: a) ustęp, tyczący się Anny, w instrukcyi, danéj przez cesarza 26 Października posłom na sejm elekcyjny; b) list Anny do cesarza z 15 Listopada w odpowiedzi na list, wręczony jéj przez posłów; c) w brulionie listu Gerstmanna do cesarza z 13 Listopada wiadomość a audyencyi, jaką posłowie u niéj mieli dnia tego; d) nazwiska tych senatorów, co głosowali za królewną; e) w brulionie listu Gerstmanna do Maksymiliana z 15 Grudnia wiadomość o tém, jako szlachta 13 Grudnia, gdy cezaryanie ogłosili już królem Maksymiliana II, zaczęła radzić o tém, czyby nie wybrać; f) zapewnienie co do małżeństwa Anny z Ernestem, wydane przez posłów cesarkich Litwie razem z przyrzeczeniem innych warunków, pod dniem 9 Grudnia; g) w pactach conventach ułożonych między cezaryanami a posłami § 27, traktujący o témże małżeństwie; h) usprawiedliwienie się posłów, z przyjęcia warunku małżeństwa, w liście do cesarza 19 Grudnia. Na podstawie tych materyałów możnaby nie jedno powiedziéć o roli i stosunkach Anny do drugiéj elekcyi? Nieznane są również p. S. listy Anny do cesarza z owych paru lat, mianowicie zaś z 27 Czerwca 1573, 27 i 30 Lipca, 17 Października 1574, 15 Listopada 1575 r. jak również cesarza do niéj z 10 Maja 1575 i 3 Kwietnia 1576 r. Nie wszystkie one są zarówno ważne, zdaje mi się jednak, że wydając V-ty tom *Jagiellonek* należało je w nim pomieścić zamiast tylu innych dokumentów (w oddziale V), które do Anny wcale się nie stosują a które z obszernego zbioru dokumentów, odnoszących się do czasów elekcyjnych, powyrywane są i tu podane bez wyboru. Zamiast tych należałoby także ogłosić listy: królewny z 19 Grudnia 1575 do cesarza, cesarza do niéj 29 Sierpnia 1575 i 8 Stycznia 1576 r., które z treści p. S. znane były, jak to widać z ciągu opowiadania.

2) W tym szkicu p. S. popełnił kilka błędów, pochodzących czy ze zbyt pośpiesznego korzystania ze źródeł wiedeńskich, czy z mylek znajdujących się w wypisach i niedostatecznego przerobienia archiwalnych zasobów. Wskażę ważniejsze tylko:

Str. CCV—CCVI. Cyrus na własną rękę podróży do Anny nie przedsiębrał, gdyż oddany był przez cesarza pod rozkazy większych jego posłów Wilhelma z Rozenbergu i Wratysława z Persztyna, *oni*

mu wyraźną dali instrukcyą, jak ma załatwić to poselstwo, gdy im samym do Anny jechać nie pozwolono. Owa instrukcya w dobréj redakcyi ogłoszoną została przez Noaille'a, łatwo więc było ustrzedz się w przedstawieniu téj sprawy niedokładności i wątpliwości.

Str. CCXXIII. Wolfgang Rumpf in Wichlross był przez cesarza wysłany nie do Anny Jagiellonki, jak chce p. S., ale do Henryka Walezyusza, odpowiedni list wierzytelny z 9 Września r. 1574 żadnéj wątpliwości nie dopuszcza w tym względzie. Zdaniu p. S. przeczy i ta okoliczność, że na początku drugiego bezkrólewia Maksymilian przeciwny był wszelkiemu wchodzeniu z Anną w dyplomatyczne stosunki i pertraktacye dla zyskania z jéj strony poparcia, coby było możebne tylko w razie udzielenia Annie zobowiązań co do małżeństwa z Ernestem, którego sobie cesarz nie życzył. Abstynencyjna polityka jego względem Anny, dostatecznie zaświadczona w listach jego Dudycza z 7 i 19 Lipca, 7 Sierpnia i osobliwie w liście z 15 Października r. 1574. Dudycz tylko napiérał na cesarza o pozyskanie Anny, na swoję rękę nawiązywał stosunki za pośrednictwem Albrechta Starozrzebskiego, biskupa chełmskiego, i Eustachego Wołowicza, kasztelana trockiego jak to widać z jego listów z 7 i 8 Lipca t. r. O tém wszystkiém jednak p. S. nie wzmiankuje.

Str. CCXXV. P. S. twierdzi, że do wysłania Mateusza Ryglera do cesarza należeli trzéj Radziwiłłowie, Eustachy Wołowicz, Mikołaj Naruszewicz i Mikołaj Talwosz, wysłali zaś go, ażeby samego Maksymiliana namówić do przyjęcia korony. Niezupełnie tak było. List który Rygler przywiózł Maksymilianowi nosi tylko podpis: „humilimus serviter,“ pod którym samego Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, marszałka nadwornego litewskiego, ukrywa się osoba. On i Chodkiewicz, główni przywódzcy Litwy, bez wątpienia opiérali się na niektórych senatorach, ale żeby powyżéj mianowani właśnie do wysłania Ryglera należeli, to zdaje mi się wcale pewném nie być. Nie ma téż wcale w liście owym mowy o ofiarowaniu korony samemu cesarzowi; przeciwnie, powiada się tam, że Litwini niczego sobie bardziéj nie życzą, jak wyboru arcyksięcia Ernesta, o czém także sądzić można i z odpowiedzi Maksymiliana na ten list, datowanéj 25 Kwietnia 1575, w któréj tenże zachęca ich do wytrwania w dotychczasowym zamiarze a uczuciach. Polacy, mówi daléj p. S., także radzili wybranie Maksymiliana. Po części prawda, ale nie radził tego Łaski, albowiem on, jako stronnik rakuski pieniędzmi kupowany, musiał chcieć tego, czego cesarz, t. j. oświadczać się za Ernestem; jakoż rzeczywiście za Ernestem publicznie nawet w senacie przemawiał (list Stanisława Leżeńskiego do cesarza z 2 Grudnia 1574), a powtóre, zdanie Ła-

skiego, jako jurgieltnika, za objaw przekonań partyi brane być nie może. Najznakomitszymi z pomiędzy cezaryanów (nie biorących za to pieniędzy) byli: Mielecki, Ossoliński, Uchański prymas i nie wielu innych.

Str. CCXXVI. W moich kopiach i wypisach nie znajduję wcale listu cesarza do Dudycza z *1 Marca 1575*, na który się p. S. powołuje. Być może, że uszedł on mojéj uwagi; dodam jednak, że wiadomości podane z niego przez p. S. ja znajduję w listach tegoż do tegoż z 14 i 21 Kwietnia i 20 Maja. Polecenie cesarza Dudyczowi, żeby nie powoływał posłów na sejm, dopókiby Henryk nie był wykluczony, znajduje się w liście nie 1-go ale z 10 Maja. Listu Dudycza do cesarza z 14 Maja również nie znam; według moich informacyj z tego dnia istnieje tylko list Dudycza do posłów, czekających na granicy, Marcina Gerstmanna i Bertolda z Lipy. Bądź co bądź jednak zdaje się mi, że już *14 Maja* nie mógł jeszcze Dudycz donosić, jak twierdzi p. S., o psuciu się interesów austryackich, bo sejm dopiéro 12-go Maja się zaczął i nie można jeszcze było w dwa dni potém spodziewać się, że te interesa tak bardzo na nim się zepsują. Powiedziałbym raczéj, że ów list Dudycza, z gorączkowym pośpiechem pisany, tchnie nadzieją, że sprawa pomyślnie załatwioną zostanie.

Str. CCXXVII. Twierdzenie p. S., że posłowie na wezwanie Dudycza nie pośpieszyli do Stężycy, będąc „lepiéj widać poinformowani“ (a któż lepiéj niż Dudycz mógł ich poinformować?), dowodzi, że p. S. nieznane są listy Gerstmanna do cesarza 25, 26, 28 Maja, 7 i 17 Czerwca, z których widać, że na skutek listu Dudycza i wysłania Bogusza, Bertold z Lipy wjechał w granice Polski 25 Maja, nazajutrz zaś po nim Gerstmann; że ten ostatni 28-go był w Krzepicach, oba zaś 1 Czerwca przybyli do Boguszowéj Woli pod samę Stężycę, do któréj jednak obawiali się wjeżdżać i, z powodu sporów między stanami, cofnęli się o milę do Borowéj, tam wyczekując, ażali do elekcyi nie przyjdzie. Gdy sejm się rozszedł, z niczém powrócili nazad do domu.

Na str. CCXXXII pisze p. S.: „Mamy przekonanie, że Dudycz zbyt niepochlebnie wyrażał się o ówczesnéj walce politycznéj. Zebrała się za kandydatem austryackim imponująca większość senatu, z programem obioru Piasta popłynęła cała powódź wymownych i z zapałem słuchanych głosów szlacheckich, wśród których jak głos Kasandry utonęło zdanie Jana Kochanowskiego, uwagami Sienickiego przerywane.“ Piérwsze zdanie dosyć niejasne; jeżeli ono ma wyrażać, że Dudycz przedstawiał sobie zastępy stronnictwa austryackiego mniejszemi, niż one były w rzeczywistości, to z prawdą nie jest zgodne; listy Dudycza przekonywają, że on różowo nie patrzył,

że przedstawiał prawdę; jeżeli to co mówi, zdaje się p. Szujskiemu niepochlebném, to nie jego wina, bo rzeczywistość pochlebną nie była: stronnictwo austryackie było słabe, w części znacznéj niezbyt godziwemi środkami zebrane, nie mające pod sobą gruntu trwałego, historycznemi racyami utworzonego zwycięztwa rokować nie było mu można. Takie pojęcie, jakie ma o niém p. S., rzeczywiście jest nieco za „imponujące.“ Z obecnych na elekcyi senatorów za domem austryackim oświadczyło się wszytkiego 35; jeżeli dodamy do tego stronników nieobecnych otrzymamy liczbę co najwyżéj 50 i kilku, co względem ogólniéj liczby senatorów (139) imponującéj większości bynajmniéj nie stanowi. Porównanie Kochanowskiego z Kasandrą dosyć, żeby więcéj nie powiedzieć, śmiałe, nie wiem, czyby nawet uszło p. S. jako poecie. Kochanowskiego w danym razie, jako powagi przytaczać nie można, albowiem on jako polityk zdrowego sądu o rzeczy nie miał: (1) jego rada wystawienia korony na słupie, żeby kandydaci do niéj gonili (2) lub mowa na sejmie warszawskim, w któréj powiada, że wstydem byłoby dla Polaków wybiérać króla z pośród siebie (3) są prawie naiwne. Kochanowskiemu zresztą wszystko jedno było kto będzie królem, Batory czy Maksymilian, chodziło mu tylko o to, by kraj był szczęśliwy (4). Miał mowę za rakuszaninem, bo do tego potrafił go zapewne pobudzić zręczny przyjaciel (5) jego Dudycz, który przypuszczał, że słowa popularnego i lubianego poety podziałają na masy i stronników przysporzą.

Str. CCXXXVII. Memoryał jak Polskę opanować nie odnosi się wcale do początku roku 1576, jak twierdzi p. S., gdyż nosi datę 27 Września, i nie był przysłany z Polski, ale podany cesarzowi na sejmie w Ratyzbonie, a nadto nie „prawdopodobnym“, lecz *pewnym* autorem jego był Krzysztof Warszewicki. *Autograf* tego memoryału odnalazłem w jednym z wiedeńskich zbiorów rękopismów (6).

---

(1) Porów. „Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen,“ von R. Loewenfeld str. 54.

(2) Dzieła Kochanowskiego, wyd. Turowskiego tom I str. 13.

(3) Orzelski. Dzieje bezkrólewia II. 257.

(4) Wypowiedział to w odzie VI. „In conventu Varsoviensi.“

(5) Że Kochanowski był w przyjacielskich stosunkach z Dudyczem, dowodzi tego elegia 16 ks. III, napisana na zaślubiny Dudycza ze Straszówną. Znajdujące się we Wrocławskiéj uniwersyteckiéj bibliotece, wydanie elegij Kochanowskiego pochodzi „ex libris Andreae Dudithii“, jak mi o tém okolicznościowo p. Loewenfeld dowiéść był łaskaw.

(6) Część tego memoryału z właściwém nazwiskiem autora i datą ogłosił już pan Stanisław Tarnowski w Rozprawach i sprawozdaniach wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie w tomie I, o czém p. S. zdaje się przepomniał. Mimojazdem napomknę, że p. T. wydał tylko *drugą* część tego memoryału i to według bardzo błędnéj kopii i jeden ustęp z *piérwszéj* jego części, jako wyjątek *innego* memoryału téjże treści.

Pozostaje mi wspomnieć o dokumentach, w tym tomie Jagiellonek wydanych. W ogóle są one bardzo ciekawe i głównie piérwszorzędnéj wartości; jest ich 187 z lat 1518—1596; rozdzielone są na pięć oddziałów jako dodatki do szkiców. Dodatkowy oddział dokumentów stanowią relacye posłów cesarskich, pisane z sejmu Lubelskiego r. 1569; nie odnoszą się one właściwie do Jagiellonek, tém nie mniéj jednak wdzięczni tylko możemy być zarówno wydawcy jak i nakładzcom, Konstantemu i Gustawowi hr. Przezdzieckim, że je przez ogłoszenie drukiem uprzystępnili.

Tekst dokumentów oddany bardzo poprawnie; porównywając ten i ów dokument z oryginałem, mało znajdowałem ważnych błędów; przytoczę parę ich exempli gratia: str. 187 wiersz 2 od dołu zamiast „m. propria" winno być „proprium;" str. 192 w. 15 od góry zam. „harum literarum testimonio nostra subscriptione munitarum" ma być „harum literarum testimonio manuum nostrarum subscriptione et sigillorum nostrorum appressione munitarum;" str. 250 w. 17 od d. zamiast „est" winno być „esse;" w. 14 od d. zamiast „propemodi" —„propemodum," w. 9 od d. zamiast „ne dic"—„nedum." Korekta także staranna; uszły jednak jéj oka czasami i większe omyłki jak np. *vito* zamiast *vita* (str. 210 w. 6 od g.); *indicant* zam. *iudicant* (252 w. 11 od d.); *hoc* zam. *hac* (354, w 6 od d.); *prosequam* zam. *prosequar* (360 w. 16 od d.); *certatum* zam. *certatim* (354 w. 5 od d.) w ostatnim np. razie omyłka o jednę literę zupełnie zmienia znaczenie.

Pod innemi względami zauważyć można niekiedy brak wskazówek, gdzie się znajduje oryginał dokumentu (oddział IV N. 5, V. 1, 3, 4, 10), brak w wielu miejscach imion i nazwisk osób, jeżeli one wspomniane w dokumencie tylko z tytułów lub urzędów (np. na str. 242, 251, 270, 318, 334); w pewnych razach zdałyby się bliższe topograficzne objaśnienienia, lub rozwiązania takich np. dat, jak „proximo die Veneris vel Sabbati" str. 290; „proximo die Sabbato" (tak zapewne a nie *Sabbate* str. 298) względnie do daty dokumentu. Co się tyczy szczegółów, zauważyć mogę, że na str. 187 sekretarz cesarza mylnie nazwany „Bernburger," podpisywał się on zaś „P. Obernburger", jak zresztą dobrze nazwany jest na str. 294; przy niektórych dokumentach opuszczona kontrsygnacya vice-kanclerza nadwornego cesarskiego: „vidit J. B. Weber" (V. 24, VI 28); wskazany tylko z imienia (str. 209) sekretarz Łaskiego nazywał się Emeryk Sontag; list Łaskiego, na str. 210 podany na pół w skróceniu, na pół *in extenso*, pisany nie z Łucka, ale z Łaska; wyraz „Consa" (ut Mosci vocant, hoc est, non magnae considerationis nuntius"), oznaczony przez p. S. znakiem zapytania (str. 298), jest przekręconym bez wątpienia przez piszącego Niemca z wyrazu „gońca;" list Poselwissa do Wilhelma, bi-

skupa ołomunieckiego, pisany był, jak się zdaje, z Lublina „in Eil“ t. j. „w pośpiechu, na prędce,“ wydawca to „Eil“ wziął za początkowe litery nazwy miejscowości.

Na końcu wszystkich dokumentów podany jest spis ich z krótkiém wskazaniem treści. Wykaz podobny jest na swojém miejscu, obok niego jednak powinien być także dokładny indeks osób. Życzyćby sobie można, ażeby taki indeks do wszystkich tomów Jagiellonek wydany został; ułatwiłby on niezmiernie korzystanie z zawartych w nich dokumentów.

*Teodor Wierzbowski.*

---

Stanisław Wawrzyniec Staszic, jako założyciel towarzystwa rolniczego Hrubieszowskiego i jako autor „Ziemiorodztwa“ założyciel górnictwa krajowego, wraz z krótkim zarysem życia i zasług ogólnych dla kraju. Przez Justyna Wojewódzkiego (z drzeworytami testamentowych podpisów i pieczątki, tudzież laski podróżnéj składanéj Staszica).—Warszawa, 1879 str. II, 60, IV; w 8-ce wiel.—Odbitka z Encyklopedyi Rolnictwa, pomnożona streszczeniem „Ziemiorodztwa“ i stanu górnictwa krajowego i t. d.

Nieraz ubolewać nam wypada nad tém, iż tak mało znamy przebieg życia ludzi, którzy w społeczeństwie naszém wybitną i ważną odegrywali rolę. Wielki obywatel, wymowny rzecznik sprawiedliwości w stosunkach społecznych, autor dzieł politycznéj treści, promotor przemysłu i górnictwa w kraju, orędownik wszelkiéj naukowéj pracy, przez całe swe życie oddany sprawom publicznym, medytujący nad ulżeniem losu ubogich i cierpiących, *Stanisław Staszic*, pomimo kilku prac ulotnych poświęconych jego pamięci, nie doczekał się jeszcze biografii, któraby odtworzyła dla potomności wierny jego portret.

Niniejsza praca p. W., który tyle złożył dowodów swéj czci dla pamięci Staszica, niejest jeszcze tém, czegobyśmy żądać mogli. Jednakże autor zebrał kilka nieznanych dotąd biograficznych szczegółów, które podaje w rozdz. I-m. W rozdz. II-m zgrupował razem wszystko, co mu się po rozpierzchniętych dokumentach znaléść udało o założeniu i późniejszych losach Towarzystwa rolniczego hrubieszowskiego. Dobra Hrubieszów, nabyte w roku 1811, Staszic w roku 1816 podarował miejscowéj ludności, tworząc z niéj wedle swéj myśli i planu Towarzystwo rolnicze hrubieszowskie, w celu ratowania się wspólnie w nieszczęściach; w roku 1822 ustawa tego Towarzystwa została zatwierdzona p. Najjaśniejszego Cesarza i Króla Aleksandra I.

Wszystkie paragrafy ustawy mają na celu podniesienie zamożności wśród téj gminy, która, jeżeliby mądre myśli i gorące żądze filantropa mogły się spełnić dokładnie, dzisiaj po latach sześćdziesięciu istnienia powinnaby być najszczęśliwszym zakątkiem kraju. Widać jednak, że słabość ludzka spełnić może tylko pewną cząstkę tego, do czego jest powołaną. Staszic zmarł w roku 1826, a już od roku 1827 zaczyna się cały szereg korespondencyj pomiędzy władzami administracyjnemi, z powodu niespełniania niektórych warunków ustawy, nadużyć lub niedbałości.

W roku 1822 Staszic obliczał dochody Towarzystwa na 58.687 złp.; w r. 1824 wynosiły one 68.583 złp., w roku zaś 1859—14.738 rubli. Pieniądze te, po opłaceniu podatków i kosztów administracyi, używane były na pożyczki lub zapomogi dla stowarzyszonych.

Co się dzieje obecnie w Hrubieszowie, jaki jest stan miejscowéj ludności, jakie dochody ma Towarzystwo i jak ich używa, tego szanowny autor nie mógł zbadać, i dla tego nie znajdujemy o tém żadnéj wiadomości. Szkoda wielka, bo los Tow. hrub., jak również losy innéj podobnéj instytucyi, założonéj w Augustowskiém w Sztabinie przez drugiego filantropa, Karola Brzostowskiego, bardzo są ciekawe. Dokładne sprawozdanie o stanie tych instytucyj mogłoby wskazać o ile w kraju naszym skuteczne są wielkie nieraz ofiary, przez filantropów dla ludzkości przynoszone.

Nakoniec w rozdziale III a ostatnim jest przedstawiony obraz działalności Staszica jako geologa i założyciela górnictwa krajowego. Autor nie będąc specyalistą bardzo słusznie postąpił, że przy kreśleniu zasług Staszica dla ziemioznawstwa krajowego sam w ich ocenę nie wchodził, ale tylko zdania geologów naszych w tym względzie przytoczył. Jeden wszakże wypada tu uczynić zarzut, że streszczenie „Ziemiorodztwa“ Staszica, które zajmuje większą połowę rozdziału, jest całkiem niepotrzebnym trudem autora.

Wiadomo, że dzieło „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski“ jest piérwszą książką polską, która opis geologiczny całego kraju naszego objęła. Dzieło to jednak już w swoim czasie (w. r. 1815) nie było pracą popularną, przeznaczoną dla szerokiego koła czytelników. Dzisiaj zaś stało się ono jeszcze więcéj niepopularną książką, powiemy, niełatwą do czytania nawet dla geologów, a to w skutek zmian, jakie z powodu późniejszych poszukiwań i odkryć geologicznych zaszły w saméj nauce i jéj terminologii. Łatwo więc zrozumiéć, że streszczenie „Ziemiorodztwa“ zwłaszcza takie, które jest tylko zestawieniem różnych ustępów z dzieła tego dosłownie wypisanych, ogółowi dzisiejszych czytelników nie przyniesie żadnego pożytku. O specyalistach byłoby znowu zbytecznem mówić,

bo ci przecież nie w wyciągu, ale w samém dziele Staszica zawsze szukać będą potrzebnych dla siebie wiadomości.

Sprostować także winniśmy małe niedokładności, wyjątkowo zauważone w niektórych tytułach, jako to: *Kilka prac geologicznych Stanisława Staszica* (str. 31), zamiast „Prace geologiczne Stanisława Staszica, znajdujące się w bibliotece uniwersytetu warszawskiego;“ Uwagi nad poszukiwaniem pożytecznych ciał kopalnych *w kraju* (str. 55), zam. „w Królestwie Polskiém.“

Lecz mimo powyższych uwag przyznajemy, że praca p. W. pod niejednym względem uzupełnia dawne monografie i dla każdego, ktoby w przyszłości pragnął już wyczerpująco i krytycznie przedstawić różnostronną działalność Staszica, może być przydatnym materyałem. Jéj zaś szczególnie ostatni rozdział zalecamy tym wszystkim, których ojczysty przemysł i bogactwa kopalne kraju obchodzą, albowiem znajdą w nim niektóre ciekawe szczegóły, dotyczące stanu górnictwa polskiego w r. 1816, 1823 i 1824.

*S. R.*

# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Odpowiedź na artykuł pana H. W. — Wybory na sędziów gminnych i przedwyborowa agitacya. — Pogłoski: Ustawa dla towarzystw rolniczych, projekta komisyi leśnéj.—Zamierzona wystawa przemysłowo rolna w Płocku.— Osada poprawcza w Studzieńcu. — Szkoła w Koninie. — Wnioski ze statystyki wyższych szkół technicznych w Europie.—Gazeta Sądowa.

W kronice miesięcznéj, zamieszczonéj w zeszycie kwietniowym pisma naszego, uważaliśmy za stosowne zwrócić uwagę czytelników na artykuł pana H. W. w N-rze 36 „Gazety Polskiéj“ r. b. i na odpowiedź p. Prószyńskiego, którą w N-rze 46 téjże gazety znaleźliśmy. Przedmiotem sporu było pytanie: czy można stawiać zarzut inteligencyi wiejskiéj, że się od udziału w sprawach gminnych usuwa?

Według zdania naszego, kwestya ta góruje nad wielu sprawami bieżącemi, znaczenie jéj doniosłe jest i nieprzemijające; dla tego, nie poprzestając na streszczeniu zdań p. Prószyńskiego, które podzielamy, dołączyliśmy kilka uwag nad artykułem pana H. W. Powiedzieliśmy tam, że klasie większych właścicieli ziemskich, jako naturalnéj przewodniczce mas kmiecych, należy czuwać nad biegiem spraw gminnych i na dobre drogi je zwracać, ile razy z tych lub owych powodów zboczenie jakiekolwiek nastąpiło. Powiedzieliśmy daléj, że zadanie to wymaga bezstronności w sądzie, wytrwałości w praktyce; że jest ono i dla interesu ogólnego i dla samychże właścicieli większych zadaniem piérwszorzędnéj wagi; że ubolewania nie zdatne są na materyał budowlany; że napotykane trudności od podejmowania ciągłych usiłowań nie zwalniają; że gdy przykłady takich usiłowań tu i owdzie widzimy, w możliwość ich przeto jesteśmy zmuszeni wierzyć; że prasa nie dopuszcza się żadnego wykroczenia, gdy na owe przykłady wskazując, ogół ziemian do naśladowania ich wzywa.

Twierdzenia powyższe zwróciły na się uwagę pana H. W. Nie znajdując ich słusznemi, wystąpił z repliką w N-rze 113 „Gazety Polskiéj,“ gdzie wytyka nam rozliczne błędy, których przed czytelnikami taić nie chcemy.

Szanowny nasz oponent uderza przedewszystkiém w to „że znaczna część zarzutów, jakie zrobił inteligencyi wiejskiéj kronikarz „Ateneum,“ użytą jest żywcem z odpowiedzi p. Prószyńskiego.“ Przyznajemy to uroczyście, z tą małą poprawką, że nietylko „znaczną część,“ ale *wszystkie* zarzuty p. Prószyńskiego staraliśmy się podać treściwie, tak samo jak przytoczyliśmy pokrótce *wszystkie* twierdzenia pana H. W., przyczém własność literacka stron obu została uszanowaną najskrupulatniéj. Indukcya sprawy w każdym sądzie musi się zawsze poczynać od wysłuchania głosów powoda i pozwanego; po zestawieniu ich dopiéro, wolno nam było przychylić się ku jednéj lub drugiéj stronie, co też uskuteczniliśmy.

Pan H. W. oświadcza daléj, że nie występował przeciwko odpowiedzi p. Prószyńskiego dla tego „bo jedyną jéj wadą było nieuwzględnienie warunków, wśród których obracają się nasze codzienne sprawy;“ zresztą najzupełniéj się z nią zgadza. Zdawałoby się z tego, że i z nami zgoda nie powinnaby oponentowi przedstawiać trudności, gdyż biorąc „żywcem,“ nie mogliśmy dopuścić się błędu większego, aniżeli źródło z którego czerpaliśmy. Przyznaje to i szanowny nasz przeciwnik; tylko, ponieważ, jak twierdzi, „nie zachowaliśmy spokoju równego ze swym piérwowzorem,“ ponieważ pismo nasze „pełne jest uprzedzeń, niechęci i wniosków fałszywych, a ton nasz przypomina groźne *quos ego*,“ więc nasz oponent „staje do walki.“ Przyjmujemy rzuconą rękawicę, bo mamy nadzieję, że walka *avec des armes courtoises* niechęci między nami nie rozbudzi a do wyjaśnienia obustronnych zapatrywań i — daj Boże — do zgładzenia przeciwieństw może choć cokolwiek przyczynić się. Z tego względu, winszować byśmy sobie powinni owego „braku spokoju,“ który do dyskusyi pana H. W. nakłonił, bo kiedy co boli, na nic się nie przyda milczéć o słabości. W niniejszym przypadku, gdyby to nie trąciło próżnością, powiedzielibyśmy, że dyagnoza musiała być trafną, że się nam powiodło miejsca bolącego dotknąć. Nie poczuwamy się jednak do téj zasługi, czy winy. Odczytaliśmy jeszcze raz kronikę kwietniową, i zdaje nam się żeśmy w niéj spokój zachowali, granic grzeczności nie przekroczyli, a do insynuacyj nie posunęli się, o czém zresztą sąd stanowczy zostawiamy czytelnikom.

W kronice pytaliśmy pana H. W. do kogo swe żale adresuje, gdyż nie widzieliśmy praktycznego ich celu; obecnie dowiadujemy się ze zdziwieniem, że to do nas: „ton bowiem kroniki dowodzi, jak

dalece uprzedzenia pewnéj klasy pracowników pióra zakorzeniły się w ich umysłach.“ Gorliwość w karczowaniu umysłu naszego z uprzedzeń oceniamy jak należy, żałując wszelako, że ten tak pożyteczny dla nas osobiście proceder, w zbyt jest odległym stosunku do uprawy pola spraw gminnych. Nie weźmie nam pewnie za złe oponent, jeśli mu przypomnimy, iż normalny kamerton istnieje tylko w muzyce; dla artykułów dziennikarskich dotąd go nie wynaleziono, i każdy z piszących kierować się w téj mierze musi własném poczuciem przyzwoitości, względami miejsca i czasu, przepisami cenzuralnemi i t. p. okolicznościami. Jaki wirtuoz, jaki instrument, taką zwykle i muzyka. Z tego stanowiska wychodząc, nie zwracaliśmy uwagi na ton w odpodziedzi pana H. W. panujący. Dodaćby jeszcze można, że na efekt muzyczny składają się zawsze dwa piérwiastki: piérwszym jest dźwięk, drugim — ucho, które ten dźwięk przyjmuje.

Ubolewamy nad tém, że pan H. W. znalazł u nas „ton groźnego *quos ego*,“ tuszymy jednak, że wsłuchawszy się uważniéj, nutę bolesną raczéj tam dosłyszy.

Niesłusznie też zarzuca nam przeciwnik „niechęć i uprzedzenia“ względem jego towarzyszy po pługu. Polemizując z panem H. W., jeśli uwagi w kronice kwietniowéj mają już koniecznie uchodzić za polemiczne, nie mieliśmy zamiaru ubliżyć ani jemu, ani jego towarzyszom. Niechęcią nie możemy tchnąć do tych, których, jak oświadczyliśmy wyraźnie, pragniemy widzieć u steru. Niechętny raczéjby zaakceptował przytoczone przez pana H. W. powody, mające usprawiedliwić usuwanie się inteligencyi, i ucieszyłby się z tego, że klasa, do któréj czuje niechęć, wyzuwa się dobrowolnie z wszelkiego wpływu. My wszakże postąpiliśmy wprost przeciwnie, protestując gorąco przeciw czyjéjkolwiek abdykacyi w téj sferze. Również i uprzedzeń względem obywateli ziemskich chyba nie żywimy, jeśli upornie twierdzimy, że mają oni środki moralne i materyalne do zjednania sobie słusznego wpływu i jeśli użycia tych środków pragniemy.

Z kolei zwracamy się do zarzutu, jakoby wystąpienie nasze „pełne było wniosków fałszywych.“ W zasadzie, nie mamy nic przeciwko temu. Mylić się jest rzeczą ludzką. Nie wierząc w zupełną nieomylność czy to jednostek, czy całych nawet sfer społecznych, nie możemy też sobie przymiotu tego przypisywać, i krytykę zdań naszych przyjmujemy z wdzięcznością, nie dopatrując w niéj ani niechęci, ani uprzedzeń; rozumiemy bowiem, że kto z nami w spór wstępuje, tém samém już okazuje nam dowód szacunku, uznając za godnych siebie przeciwników. Mogliśmy niejednokrotnie pobłądzić i zawsze gotowiśmy to przyznać, byleby nas przeciwnik „o fałszywości naszych

wniosków“ przekonał. Mamy téż nadzieję, że pan H. W. zechce nam *w tym względzie* „oczy otworzyć,“ gdyż w N-rze 113 „Gazety Polskiéj,“ otwarcie mówiąc, zaniechał tego. Nie jest to przecię otwiéraniem przeciwnikowi oczu, jeśli się powiada, że kronikarz „i ludzie podobnych jemu przekonań są obcy stosunkom, o których prawią, że inkryminują *niemiłą* sobie klasę ludności za złe, któremu nie winna.“ Nierównie dobitniej byłby oponent myśl swą wyraził, gdyby był zwrócił przeciw nam znany dwuwiersz Krasickiego:

Kolego i bracie,
Na rzemiośle się nie znacie.

oczywiście, nie biorąc w zbyt literalném znaczeniu wyrazów w piérwszym wierszu stojących. Pan H. W. poskąpił nam jakoś uczucia braterskiego i koleżeńskiego, na które przecież mielibyśmy prawo rozliczać, gdyż od chwili, w któréj wystąpił z piórem w szranki dziennikarskie, uważamy go za kolegę i brata, nie po pługu wprawdzie, ale po piórze.

Sam oponent powiedział, a na zdanie jego piszemy się bezwarunkowo, że „każdy obznajmiony z przedmiotem w sporze będącym ma obowiązek do prostowania pojęć przyczyniać się;“ niechże więc raczy nam wykazać, który z ustępów naszéj kroniki zdradza nieznajomość przedmiotu, niech nam przedmiot należycie wyświetli, a wyrzeczemy się błędnych lub spaczonych pojęć natychmiast. Dopóki jednak tego nie uczyni, niech nam pozwoli używać świętego prawa, służącego każdemu człowiekowi, prawa wygłaszania swych opinij o tém, co się dzieje, nie domagając się od nas świadectw legitymacyjnych, nie wkraczając w tajniki duszy, tego jedynego nieraz wolnego przybytku; niech wreszcie nie pożycza nam uczuć, gdy o pożyczkę nie prosimy i obchodzimy się bez niéj wybornie. Żadna klasa nie jest nam *niemiłą;* wierzymy, że altruizm, nie egoizm, prowadzi ludzkość ku postępowi, że gdy bliźni bliźniego przestrzega, nie jest to dowodem *niemiłości.* Czyliż i ojciec, gdy karze syna, może być posądzany o nienawiść? Stanowiska naszego do ojcowstwa zresztą nie równamy; ale mamy prawo zapytać: czy ten, co wzywa inteligencyą wiejską do ujęcia steru gminy w swe dłonie, tém samém już „stawia tę klasę pod pręgierz opinii publicznéj?“ Alboż krytyka jest równoznaczną z pręgierzem? Alboż to istnieją klasy usunięte z pod krytyki publicznéj?

Pan H. W. utrzymuje, że uwagi w naszéj kronice zamieszczone (których jednak nie poszczególnił) „podkopują zaufanie do prasy, jakiém się ona od pewnego czasu cieszyć poczęła.“ Miałożby to znaczyć, że zaufanie jest nagrodą milczenia lub bezmyślnego wtórowa-

nia wszelkim jeremiadom? Zaiste, zaufanie czytelników cenimy sobie wysoko, ale w powyż wskazany sposób nawet o tę nagrodę dobijać się nie będziemy, a gdy się okaże potrzeba i póki głosu starczy, wołać nie przestaniemy: *Caveant consules!* W niezbyt dawnych dziejach naszéj prasy pamiętamy czasopismo, którego działalność tylko utrwalić nas zdolna w tém postanowieniu. Wspomione pismo dawało wtedy zbyt gościnny przytułek parafialnym korespondencyom, zaczynającym się zawsze od narzekań na stan pogody, na posuchę lub deszcze; przewidującym z tego powodu i nieurodzaj pewny i jeszcze pewniejszy upadek cen na zboże. Mimochodem żartowało sobie z Liebiga i la Ville'a, sumiennie zawiadamiało o nieudanych próbach ulepszeń, co o niedorzeczności wszelkich teoryj miało przekonać. Lament na rozpuszczenie służby, na bezczelność czeladzi, domagającéj się corocznie podwyższenia zasług, był obowiązkowym w owych artykułach finałem. Redakcya przyświadczała temu wszystkiemu; dobrodusznie wzorem anegdotycznego wójta przyznawała każdemu racyą, nie domagając się za to złożenia dwuzłotówki i poprzestając na prenumeracie.

Trwało to lat kilka ku powszechnemu uczestników téj roboty zadowolnieniu. Korespondentom lżéj było na sercu, gdy się z dolegliwości swoich wywnętrzyli, a redakcya cieszyła się „zaufaniem" i prenumeratą. Zdrowy rozsądek rolników dopomniał się wreszcie o swoje prawa: popularność pisma rozwiała się jako znikomy dym i wszelkie wysiłki zmienionéj następnie redakcyi nie zdołały utraconego zaufania odzyskać. Ile ztąd wynikło pożytku dla gospodarstwa wiejskiego, ile wpłynęło to na podniesienie produkcyi krajowéj, szanowny oponet, jako rolnik, lepiéj od nas ocenić potrafi; ile w tém było godności, ile zrozumienia stanowiska prasy, na to i niespecyalista każdy bez trudu odpowié.

Żeby nie zostawić żadnego punktu bez odpowiedzi, dotkniemy jeszcze pewnéj kwestyi podrzędnéj. Artykul w N-rze 36 „Gazety Polskiéj" podznaczony był tylko dwoma literami; wskazywało to jeno, że nie pochodził od redakcyi, że był jéj nadesłanym, bezimiennym jednak nie mniéj przeto pozostał. Nie gorsząc się tém wcale, wzięliśmy pod rozbiór rzecz, nie pytając o nazwisko piszącego. Obecnie pan H. W. kładzie, jeśli się nie mylimy, pewien nacisk na bezimienność kroniki kwietniowéj w „Ateneum." Nam się zdaje, że dla celu głównego, t. j. dla wyjaśnienia spornego pytania, całkiem jest obojętném czy pod kroniką podpisze się Kazimierz lub Wojciech, Salomon czy Stańczyk. Istota rzeczy zależy nie od tego kto mówi, ale od tego co mówi, do czego zmierza, na czém się wspiéra. W czasopismach

zwykle rubryka kroniki sporządzaną jest w redakcyi, a podpis redaktora znajduje się w końcu każdego zeszytu „Ateneum.“

Ale przystąpmy do jądra przedmiotu. Gazeta Polska w kilku wyrazach wstępnych jasno wskazała, że osią obrotową obecnego sporu nie to jest, co orzekła ustawa, ani to, o ile wykonawcy przepisów pilnują, ani wyliczenie napotykanych trudności, ale to czy te ostatnie są do zwalczenia. Według naszego zdania, są one takiemi, a najdzielniejszym środkiem prowadzącym do tego celu, jest czynny udział inteligencyi w zebraniach gminnych. Stopień skuteczności tego środka, w różnych miejscach może być niejednostajnym, o czém tylko przez praktykę dowiemy się, *a priori* zaś przesądzać dzisiaj byłoby ryzykownćm. Stajemy w obec takiego dylematu: albo wszelka praca w zebraniach gminnych jest nie możliwą, wszystkie usiłowania bezowocne, wtedy nie ma co myśléć o żadném ulepszeniu, i jutro tylko gorszém być może niżli wczoraj; albo ciężkim pługiem cierpliwości orać niwę społeczeństwa gminnego, a wtedy, choćby wszystkie bóstwa opuściły ziemię, zostanie zawsze jedno z nich—nadzieja. Zarzucono nam różne uprzedzenia. Istotnie, pielęgnujemy w sobie jedno „uprzedzenie,“ że nie ma tak rozpaczliwego położenia, w którém nie możnaby się dobić choć małéj ulgi, co zawsze warto jest starań; położenia, w którém nie pozostawałoby nic innego, jak siadłszy „nad rzekami babilońskiemi, zawiesić lutnie i płakać;“ mamy uprzedzenie, że nie ma niebezpieczniejszego wroga, jak zwątpienie, jak rozpacz, że na opędzanie się od nich ostatnich sił dobywać trzeba. Uprzedzenie to wydaje nam się niezbędném do tego stopnia, że podtrzymywać je będziemy w sobie i w tych, którzy nas słuchać zechcą, nawet wówczas, choćby przeciwności życia zupełnie nas z niego wyzuły.

Pan H. W. zgadza się na to „że oświata ludu, obecność światlejszych ludzi na zebraniach gminnych, ufność mas do klas oświeceńszych, są to rzeczy nie tylko pożyteczne, ale konieczne dla dobra ogólnego. Mimo całego uznania prawd powyższych, nie może jednak brać odpowiedzialności za to, co się dzieje.“ My też mówiliśmy tylko o odpowiedzialności za to, co się nie dzieje. Według pana H. W. inteligencyi wiejskiéj równie winić nie można, jak na dziennikarzy, skarżących się na złą wodę po miastach, na liche braki i t. p. nikt brzemienia odpowiedzialności za to nie wkłada. Porównania tego nie nazwiemy dość szczęśliwém. Szanowny oponent zapomniał, że miasta samorządem się nie cieszą, a gminy od lat 15 go posiadają. W mieście więc rzecz musi ograniczyć się na wytykaniu usterek, w gminach zaś i naprawa, choćby cząstkowa, choćby minimalna jest możliwą, bodaj za pośrednictwem téj „jedynéj szczeliny,“ przez któ-

rą wpływ inteligencyi przedostawać się może (1). Zachodzi tu więc kapitalna różnica wsi od miast, która możliwość wszelkich porównań wyklucza.

Nie twierdziliśmy bynajmniéj, że zaniedbanie przepisów szarwarkowych, chybiony cel szkółek wiejskich, niezdatność ludności starozakonnéj w gubernii Lubelskiéj do noszenia broni, lub lichwa gnębiąca włościan, są winami spadającemi na inteligencyą. Obrona jéj przeto była całkiem zbyteczna, zwłaszcza, że niektóre z powyższych przedmiotów nie należą do atrybucyi samorządu gminnego, a tylko o nim jest mowa. Swoją drogą winować o te uciążliwości ani „Zorzy," ani elementarzów niepodobna.

Nie winiliśmy inteligencyi wiejskiéj o to, że wybory gminne nie zawsze i nie wszędzie korzystnie wypadają, ale wypowiedzieliśmy za p. Prószyńskim przekonanie, że choćby przyszło zawsze zostawać w mniejszości, uczęszczać pomimo to na zgromadzenia gminne i brać udział w debatach należy. Powtarzamy to i obecnie: W starożytności znaną była piękna maksyma: *stando mori*; Rzymianie zwracali ją nie do szeregowców, lecz do wodzów. Że to hasło nie jest tylko frazesem szumnie brzmiącym, ale maksymą praktyczną, przekonywa drobna garstka wybrańców z nad dolnéj Warty, gdy przeciw pochłaniającym ją falom większości walczyć nie ustaje. Podobne zapatrywania wyczytujemy w zajmujących korespondencyach p. Macieja Czeronki, które z Koziéj Wólki pisuje (ostatnia była w N-e 110 „Gaz. Pol.").

Na ostatek, jak przyznaliśmy się do jednego uprzedzenia, tak przyznajemy i do jednéj winy. Z artykułu w N-e 36 „Gazety Polskiéj" wyprowadziliśmy wniosek, że wyrażone w nim żale świadczą o głębokiém zniechęceniu autora. Wniosek istotnie był zbyt pośpiesznym, lubo, rzecz prosta, stosował się do słów korespondencyi, bynajmniéj zaś do osoby, pełniącéj funkcye sądowo-gminne. Pan H. W. odpowiedzią swoją w N-e 113 przekonał nas najzupełniéj, że wcale się nie poddał zniechęceniu, występując do walki..... przeciwko nam, pokazał, że nie da orężowi zardzewiéć w pochwie; owszem pełen jest otuchy a nawet dobrego humoru, bo oto żartobliwie proponuje nam, abyśmy osiedli na wsi i własnym przykładem okazali jak to sprawy gminne załatwiać należy. Po tym argumencie *ad hominem* poznajemy dzielnego w nim szermierza. Niestety, propozycya jego, lubo wielce pociągająca, niepodobna jest jednak do wykonania, brakuje nam bowiem głównego warunku, niezbędnego dla uczestniczenia

(1) Że ta, „jedna szczelina" nie jest wcale jedyna, dowodzi p. Prószyński nowym artykułem w N-e 116 „Gazety Polskiéj."

w zebraniach gminnych: nie posiadamy na własność ani piędzi ziemi, lubo nie gorzéj od innych ją kochamy. Pozwoli więc szanowny oponent, że za żart jego odpłacimy równą monetą, prosząc, aby tę fatalną dla nas trudność usunąć raczył.

Żartowi temu jednobyśmy tylko mieli do zarzucenia, mianowicie to, że wzywanie kronikarza do pokazania przykładu klasie inteligentnéj mogłoby wprowadzić nieświadomych na mylny wniosek, jakoby inteligencya wśród własnego grona wzorów stosownych nie miała. Otóż, mówiliśmy w Kwietniu, mówimy to i dzisiaj, że tak nie jest: wzorów po wsiach nie brakuje, kraj wié o nich, a prasa ocenić umié...

Spawą, która w obecnéj porze największe winna budzić zajęcia są, bez żadnéj wątpliwości, nadchodzące wybory na urzędy w sądach gminnych. Sądy te, jak tylko ich organizacyą poznano, zainteresowały mocno ogół kraju. Pokładano w nich zaufanie zanim jeszcze funkcyonować zaczęły: rokowano sobie po nich wiele, ciesząc się, że ich otwarciem, pochmurne czasy sądów wójtowskich, kiedy wymiar sprawiedliwości z imienia tylko był wymiarem, nareszcie „utoną w zapomnienia fali.“ Nastrój taki rodzić mógł poniekąd obawę, bo zbyt różowym nadziejom rzeczywistość nader rzadko na tym padole płaczu wyrównać może. Tym razem losy były dość łaskawe, bo jeżeli oczekiwania nie w zupełności się ziściły, nie doznaliśmy przynajmniéj goryczy zupełnego zawodu i rozczarowania. Istotnie, w ciągu kończącego się trzechlecia, piérwszego od wprowadzenia do kraju naszego nowych ustaw sądowych, przeważna większość sądów gminnych zjednała sobie prawdziwe uznanie we wszystkich warstwach ludności: wszędzie, gdzie wybór padł na osoby wykształcone, sądy gminne wywiązywały się z zadania swego zadawalniająco. Wszystkie zdania w tym względzie zlewają się w jeden chór pochwał, a rezultaty działań sądowo-gminnych w gubernii Lubelskiéj za $2\frac{1}{2}$ ubiegłe lata, ujęte w cyfry, które ogłosiła miejscowa gazeta, są nowym słuszności tych pochwał dowodem. Z cyfr tych widzimy, że procent spraw, ukończonych w sądach gminnych pojednaniem stron, był w tym czasie dwa i trzy razy wyższy od takiegoż procentu u sędziów pokoju, i przeciwnie, stosunek spraw zaapelowanych, tj. takich, gdzie strony niezadowolnione były z wyroku, okazał się w sądach gminnych, w porównaniu do sądów pokoju, dwa razy niższym, a więc dwa razy lepszym.

Atoli pochwały, oddawane sądom gminnym w ogólności, nie do każdego z nich po szczególe w równéj się mierze stosują; niektóre musiałyby same wyśpiewywać sobie hymny pochwalne, gdyż ich nikt

w tém wyręczyć nie chciał i, co prawda, przy największéj pobłażliwości nie mógł. Smutne te wyjątki były bezpośredniém i zupełnie naturalném następstwem nietrafnego wyboru osób w sądzie uczestniczących i powinny posłużyć za przestrogę przy zbliżających się nowych wyborach, przestrogę tém niezbędniejszą, że osoby, które najmniéj posiadają przymiotów, zalecających je wyborcom, postarają się niewątpliwie na innéj drodze o utrzymanie się na urzędach, a potrzebnéj w tym celu energii agitacyjnéj pewnie im nie zabraknie. Wiadomości nadchodzące z dwóch różnych punktów potwierdzają nasze obawy. W niektórych okolicach gubernii Kieleckiéj wre agitacya, w któréj najżywszy biorą udział wcale niepożądane indywidua, jednające sobie wyborców najrozmaitszemi uprzejmościami. W Rypińskiém znowu oryginalnie sformowane listy kandydatów obejmują wójtów, pisarzy gminnych i organistów, przy zupełném wykluczeniu osób stanowiących klasę inteligentną.

Agitacya przedwyborcza, sama w sobie uważana, jest rzeczą zupełnie słuszną i potrzebną; stanowi ona przygotowanie do wyborów. W krajach, w których zasada samorządu znalazła szersze zastosowanie, agitacya jest działaniem uorganizowaném, trzymającém się form tradycyą lub doświadczeniem wskazanych, a stosującém swą taktykę do potrzeb chwili. Formują się komitety z notablów miejscowych, które ruchem kierują. Rozbijają się rozmaite afisze i ogłoszenia, drukują wyznania polityczne, programy przyszłych działań i obietnice ziszczenia pewnych celów. Zwoływane są wieca, odbywają się mityngi, kandydaci stają przed wyborcami i wykładają publicznie swe zasady: przemawiają do przekonań, poruszają namiętności. Tłum słucha, rozważa lub unosi się, przyświadcza lub oponuje: z jednéj strony dają się słyszéć oklaski, z drugiéj sykania przerywają słowa mówcy. A w szeregu kandydatów, obok kupca oswojonego z gwarem giełdowym, obok lekarza, co przed chwilą opuścił salę kliniczną, adwokata, dla którego sztuka przemawiania do licznych zgromadzeń nie ma już żadnych tajemnic, obok rzemieślnika, który biegnąc na zgromadzenie nie miał czasu otrząsnąć się z pyłu warsztatowego, stoją dziedzice najświetniejszych imion, potomkowie krzyżaków, posiadacze wielkich dóbr i mitr hrabskich a nawet książęcych. Stoją oni częstokroć przed synami tych, nad któremi ich przodkowie panowali; nie zraża ich konieczność ociérania się o bluzę robotnika, o rzemieślniczy fartuch. Robią to częstokroć bez nadziei nawet zwycięstwa, wiedzą, że panujący prąd czasu odwrócił się od nich, a jednak stoją na wyłomie.

U nas takiéj uorganizowanéj i namiętnéj agitacyi być nie może, cała działalność zamknąć się musi w granicach wpływów i starań

indywidualnych każdego z osobna; nie grożą żadne niebezpieczeństwa walki, ściśléj mówiąc walki nawet nie ma i potrzebną ona nie jest; potrzeba tylko spokojnych usiłowań.

Ale, powié nam kto może, kandydaci niepożądani, agitując obecnie, nie przebiérają w środkach: prożbą i groźbą, namową i pochlebstwem, obietnicami i poczęstunkiem tym argumentem najwymowniejszym dla prostaków. Inteligencya przecie zniżyć się do takich niegodnych środków nie może. I nie potrzebuje się zniżać, dodamy. W żadnym kraju, w żadnym przypadku, starania przedwyborcze nie przedstawiają tyle szans powodzenia, jak u nas w obecnym czasie. Z jednéj strony stają wszyscy oświeceńsi, zamożniejsi, z dobrych inintencyj a nawet z wzorowéj praktyki sądowo-gminnéj dostatecznie wyborcom znani; z drugiéj ambicyusze podrzędni, ani z piérza ani z mięsa nie zaletni, choćby tam czyjąś protekcyą osłonięci. Pomimo wszelkich trudności, łatwiejsze tu zwycięztwo, aniżeli w tych krajach, gdzie są istotne stronnictwa, gdzie siły intelektualne rozrzucone są po wszystkich obozach.

Zapewne osiągnąć cel bez podjęcia trudów jest przyjemniéj; dla miłości własnéj może być ponętném liczyć na to, że bez starań z naszéj strony, jednomyślny okrzyk powoła nas na urząd; ale nie zawsze na to liczyć wolno. Agitacya przynosi pewne niezaprzeczone pożytki: bez niéj wyborom groziłaby koteryjność; ona przytém odzwyczaja od zdawania wszystkiego na los, od naiwnego liczenia na nieznaną przyszłość. Ludzie zwolna wpajają w siebie to przekonanie, że tyle naszego, ile sobie zapracujemy. Przynosi to wprawdzie liczne kłopoty ale patrząc na kraje, żyjące pełnią życia publicznego, widzimy, że tych kłopotów jest tam bez porównania więcéj, a ludzie ochotnie je podejmują. Nigdzie życie publiczne nie jest życiem na różach; na zachodzie bywa ono zwykle walką gorącą, namiętną, czasem zacichłą, posuwającą się niekiedy do krwawych bójek. Ciosy, w takiéj walce pod zacną chorągwią odniesione, stanowią najpiękniejszy order zasługi obywatelskiéj.

U nas ciosy takie nikomu nie grożą, że się tam komu przyjdzie narazić, to zapewne nie bardzo rzecz przyjemna, ale znowu nie zbyt straszna. Trzechletnie doświadczenie i ciemnym nie jednę rzecz już wyjaśniło; ludzie zacni wyjaśnią i resztę. Listy kandydatów na zarządy potrzebują w nie jedném miejscu sprostowania i to powinno być piérwszym przedmiotem obywatelskich zabiegów. Niegodni nie powinni na nich figurować; mający słuszne prawo nie powinni być pomijanemi. W sąsiedzkiéj pogawędce z wyżéj umysłowo rozwiniętym wieśniakiem można doskonale rozstrząsać przymioty kandydatów i o wybór się porozumiéć. Wahającym lub trwożliwym można prze-

cież, z ustawą w ręku, wyjaśnić, że wybory prawo chce mieć wolnemi, że nie ma w tém przestępstwa, gdy kto z nadanego mu przez ustawę prawa, w całéj obszerności korzysta.

Troskliwe gatunkowanie kandydatów i odsiewanie ziarna od plewy z dwóch powodów jest niezbędném; raz, że w ten sposób tylko zapewnić gminie można należyty wymiar sprawiedliwości, i powtóre dla ochronienia całości zasady wyborczéj od interwencyi administracyjnéj, która w nietrafnych wyborach, znajdowałaby bodziec do wystąpienia samodzielnego i naznaczała na urzędy swoich wybrańców.

Oto nowa serya projektów i nadziei.

Podobno ministeryum dóbr państwa, na skutek licznych podań o zezwolenie na zawiązywanie się towarzystw rolniczych, ma zamiar opracować ustawę wzorową dla tego rodzaju stowarzyszeń. Kiedy ustawa zostanie ułożona, kiedy i z jakiemi ograniczeniami nasze rolnictwo korzystać z niéj będzie? odpowiedziéć nie potrafimy. Jedna przecie rzecz jest pewna, oto: że znajdujemy się w przededniu obszernych i głębokich reform ekonomicznych, ponieważ państwo ponosi wielkie wydatki, a siły krajowe nie są tak rozwinięte, aby je dźwigać mogły.

Uwaga ta odnosi się do rolnictwa w ogóle, a do naszej własności większéj w szczególności. W mowie o potrzebie reformy podatkowéj w Niemczech ks. Bismarck powiedział, że trzeba ulżyć większéj własności ziemskiéj w Prusach, gdyż ta opłaca podatki wyrównywające 20%—30% od swoich dochodów, a więc bardzo ciężkie, nieznane gdzieindziéj. W odpowiedzi na to „Gazeta Warszawska“ nadmienia, że jeszcze posiadacze dóbr rycerskich w Prusach nie ponoszą ciężarów zbyt wielkich, nasza bowiem własność większa płaci średnio 66% od dochodu. Chociaż w Cesarstwie podatki nie obciążają tak dalece własności większéj, za to mała własność zdaje się tam być nad siły obciążona, mianowicie w więcéj oddalonych od nas guberniach; dla zapobieżenia więc ruinie rolnictwo musi się wznieść na wyższy szczebel produkcyi, otrzymać jakąś pomoc, aby mogło się rozwijać i spotęgować swoje siły. Im prędzéj to nastąpi, tém rychléj ukończy się dzisiejsza stagnacya.

Pogłoska o owéj ustawie wzorowéj dla towarzystw rolniczych nastręcza inną jeszcze uwagę. W motywach powiedziano: „ponieważ z różnych stron napływają prożby o zezwolenie na zawiązywanie się towarzystw rolniczych, więc“... i t. d. Znaczy, że napływ próżb w pewnym przedmiocie przyczynia się do wywołania odpowiednich rozporządzeń. Jest to rzecz naturalna, liczne bowiem prożby w jednéj kwestyi dowodzą, że istnieje jakaś ogólniejsza potrzeba, którą należy uwzględnić.

Potrzeb tego rodzaju jest u nas bardzo wiele, że przypomnimy: kasy pożyczkowe, instytucye przezorności dla czeladzi wiejskiéj i rzemieślniczéj, kwestye językowe w szkole i sądach i t. d. Ale próźb o uwzględnienie potrzeb wysyła się nader mało, natomiast zaś dużo mówi się o trudnych warunkach i przeszkodach.

Współcześnie donoszą, że towarzystwo leśne (czy nie będzie to komisya leśna, obradująca w Warszawie?) ma przedstawić do decyzyi ministeryum dóbr państwa uwagi o sposobach ulepszenia straży leśnéj. Między niemi czytamy życzenie, aby niektóre leśnictwa zajęły się przysposobieniem stróżów leśnych znających się na pielęgnowaniu i uprawie drzew, aby osady poprawcze (np. w Studzieńcu) zaprowadziły u siebie wykłady początkowe leśnictwa i aby w seminaryach nauczycielskich wykładano elementarne zasady leśnictwa i ogrodnictwa.

Projekta mające na celu ukształcenie niższéj służby leśnéj dobre są, ani słowa. Dziwnie jednak wygląda odosobnione żądanie wykładu leśnictwa i ogrodnictwa w seminaryach nauczycielskich. Więc nauczyciel wiejski tylko o leśnictwie i ogrodnictwie powinien mieć wyobrażenie, a już gospodarstwo rolne, chów bydła, pszczolnictwo i t. d. nie są mu potrzebne?

Wprawdzie komisya leśna odpowiedzieć może i słusznie, że: „ja jestem tylko od drzew, a nie od roślin zbożowych, albo bydła.“ To prawda, ale też i całe nieszczęście polega na tém, że na projekta nie istniejącéj komisyi „od zboża i bydła“ czekać musimy bardzo długo, a tymczasem dzieci wiejskie uczyć się będą tylko ogrodnictwa i leśnictwa, jak gdyby w tych dwu gałązkach pracy zamykał się cały obszar potrzeb życia wiejskiego. Bardzo smutny stan!

Nareszcie „Korespondent Płocki“ zapowiada na rok przyszły rolniczą-przemysłową wystawę w Płocku, w któréj nie tylko właściwa gubernia, ale i inne a nadto: sąsiednie powiaty Prus i Poznańskiego przyjąć mogą udział. Przyczem „Korespondent Płocki“ zachęca obywateli ziemskich, aby za pomocą jakiegoś liczniejszego zebrania się potwierdzili swoje dawniejsze życzenia, że chcą mieć wystawę własną a zarazem, aby tym sposobem poparli projekt władz gubernialnych.

Krok zalecony przez „Korespondenta Płockiego“ wydaje się tém niezbędniejszy, że konieczne jest, aby kierunek i urządzenie wystawy wzięli w ręce ludzie fachowi, a więc: rolnicy, rękodzielnicy i przemysłowcy. W przeciwnym razie, zamiast obrazu produkcyi gubernii Płockiéj, możemy mieć jakąś administracyjną uroczystość ozdobioną festonami, gdzie będą buraki, kilka gatunków grochu, nie licząc skrzynek i łyżek wyrobionych przez domorosłych rzeźbiarzy,

co może i ciekawém będzie dla kogoś, ale na co znowu szkoda pieniędzy i czasu.

W dniu 17 Maja r. b. w Studzieńcu, osadzie poprawczéj dla małoletnich przestępców, obchodzono rocznicę otwarcia téj instytucyi. Skreślimy w niewielu słowach rozwój jéj, stan obecny i widoki przyszłe, opiérając się na mowie profesora Białeckiego, jednego z głównych inicyatorów i filarów osady.

Przed kilkoma laty w miejscu owém znajdował się las; dziś jest tam kilka wybornych budowli murowanych, kaplica, pola, ogród, warsztaty i szkółka. Od trzech lat przebywało tam 116 wychowańców, z których 11 uwolniono i umieszczono w rzemiosłach lub służbie, jeden umarł a 95 kształci się dotychczas.

Wszystkie rzeczy potrzebne, począwszy od uprawy jarzyn do szycia odzieży i obuwia, od pieczenia chleba do wyrobu sprzętów, są dziełem rąk samych wychowańców pod opieką, dozorem i kierunkiem, wielkich przymiotów i zasług, dyrektora p. Zajewskiego. Ciągła praca fizyczna, urozmaicona nauką, przerywana krótkim snem, wojskowa karność i ojcowska troskliwość są formami, w których się leczy i prostuje skrzywiony przez zaniedbane wychowanie duch młodego przestępcy.

Rękodzielnicze wyroby wychowańców osad, a mianowicie: stolarskie i kołodziejskie, podziwialiśmy na wystawie Muzeum przemysłowego. Okazy te były nie tylko chlubą zakładu, ale i ciężkiém oskarżeniem przeciw systemowi terminowania w rzemiosłach, który pochłania dużo czasu a stosunkowo niewiele terminatorów uczy.

W rezultacie, chłopiec opuszczający zakład studzieniecki wynosi ze sobą: odzież, bieliznę, książki z kasy oszczędności, znajomość jakiegoś fachu, trochę wiedzy i w każdym razie lepsze nałogi, aniżeli te, jakie ze sobą przyniósł. Zarząd wyszukuje mu miejsce i otacza go w dalszém życiu opieką.

Ponieważ liczba wychowańców opuszczających kolonią wzrastać musi z każdym rokiem, zarząd więc osad uprasza publiczność o zgłaszanie się po jego pupilów. Powtarzamy prożbę, dodając ze swéj strony, że ogół nie powinien obawiać się tych chłopców, jako „karanych.“ Przechodzą oni bowiem dobrą szkołę i nie jeden z nich może przedstawiać więcéj moralnych rękojmi, aniżeli „niekarani“ chłopcy z domów rodzicielskich.

Prócz ziemi i budynków zarząd posiada: 4.000 rs. gotówką i 30.000 rs. w papiérach procentowych. Ta okoliczność stanowi odwrotną stronę medalu i zarząd lęka się, aby mu nie zabrakło funduszów.

Rachnnek jest prosty. Przekonano się, że całkowite utrzymanie wychowańca kosztuje rs. 150 rocznie. Liczba chłopców dosięgnie wkrótce 120 a późniéj 200, potrzeba więc 18.000—30.000 rocznie na wydatki. Już w roku bieżącym osady muszą wydać 24.000 rs., na co spodziewają się ze składek, odczytów, zwrotu części kosztów przez rząd i t. d. 20.000 rs. Brakuje więc 4.000 rs.

Przy okazyi podniesiemy tu okoliczność, którą prof. Białecki w mowie swéj pominął, a mianowicie, że co roku mnóstwo członków zalega w opłacie składek. Zaniedbania takie, w gruncie rzeczy niewinne i mimowolne, szkodzą jednak instytucyi. Zwracamy na nie uwagę, w nadziei, że może wzmianka ta przemówi do serca którego z mniéj punktualnych płatników.

Dodać w końcu wypada, że zarząd nosi się z projektem rozszerzenia swéj działalności, chciałby mianowicie utworzyć podobne osady dla małoletnich dziewcząt, a co ważniejsza, ufundować w każdéj gubernii instytucyą wychowawczą dla małych włóczęgów, żebraków i wszelkiego rodzaju dzieci opuszczonych. Myśl znakomita, ma ona bowiem na celu wprost — zatamować źródło występków!

Do obrazu tego niewiele już dodać możemy. Te pięknie prowadzone, kwitnące, kształcące osady rolne, mimowoli budzą w nas uczucia przykre, gdy pomyślimy o dziesiątkach i setkach tysięcy dzieci nieskazywanych przez sądy, które się ani rzemiosł, ani czytania i pisania, ani karności i porządku nie uczą. Dziwna rzecz; u nas dwie instytucye wychowawcze rozwijają się pomyślnie: osady rolne dla kalek moralnych i instytut głuchoniemych i ociemniałych — dla kalek fizycznych. Co prawda, każda z nich jest dziełem ogółu i utworem ludzi wielkiego poświęcenia lub inicyatywy. Nieugięta wola jednostek jest niezmierném bogactwem narodu!

Inny, mniejszy co do zakresu, lecz nie mniéj chlubny przykład samopomocy społecznéj, daje nam Konin. Miasto owe przez długi czas nie posiadało szkoły, pomyślało zaś o niéj dopiéro wówczas, gdy obywatel Walenty Modrzejewski zapisał mu w testamencie murowany dom na zakład naukowy.

Dom ten oddano czasowo p. Łagowskiemu, który otworzył w nim szkołę 4-ro klasową. Niebawem jednak zamknąć ją musiał, z powodu braku uczniów.

Wówczas za inicyatywą p. Chorążego, inżyniera, utworzyło się stowarzyszenie 50 osób, z których każda płaci 10 rs. rocznie na szkołę. Wyjednano pozwolenie władzy, otwarto nowy zakład i dodano mu komitet nadzorczy z 7 osób. Wybrano zdolnego inspektora, 5 nauczycieli z pensyą 650 rs. na jednego, miejscowemu dziekanowi powierzono wykład religii za wynagrodzeniem 150 rs. rocznie.

Komitet wyznacza etat dla nauczycieli, wysokość wpisu, kontroluje wykłady, może zmienić całą służbę szkoły.

Fundusze są następne: Z wpisów od 70 uczniów (10 uczęszcza bezpłatnie) po 40 rs. rocznie— 2.800 rs.; składki 50 członków — 500 rs.; z widowisk, teatru amatorskiego i t. d.—rs. 500; razem rs. 3.800 to jest tyle, ile potrzeba na wydatki bieżące. Lokal, jak już wiadomo, szkoła posiada własny. Edukacya każdego chłopca kosztuje średnio około 48 rs.

Oto jest piérwsza szkoła, któréj podobnych wiele widziećbyśmy w kraju naszym pragnęli; społeczeństwo utrzymuje ją i czuwa nad nią. Gdybyśmy kiedy doszli do tego, żeby program nauk, tudzież sposób ich wykładu zależał od społeczeństwa, zbliżylibyśmy się do ideału szkoły.

Nim to jednak nastąpi, róbmy przynajmniéj co można i zakładajmy szkoły tam, gdzie ich brak, a nadewszystko czuwajmy nad niemi.

Najgorszy program przy dobrych nauczycielach pomyślniejsze wyda rezultaty, aniżeli źli nauczyciele przy najlepszych programach. Dobór zaś nauczycieli, jak to Konin pokazał, zależy od społeczeństwa. I rzecz prosta. W chwili bowiem, w któréjby się stan rzeczy zmienił na złe, rodzice mogą wycofać swoje dzieci, ogół przestałby wspomagać szkołę i zły zakład musiałby nieodwołalnie upaść.

Niezbyt dawno w „Wieku“ p. St. Orn., streszczając inauguracyjną mowę rektora wyższéj szkoły technicznéj w Wiedniu, prof. H. F. Brachellego, przytoczył bardzo interesującą statystykę zakładów naukowych technicznych w Europie. Praca powyższa obejmuje nazwisko każdego po szczególe zakładu téj kategoryi, ilość profesorów, studentów, a nareszcie koszta nauki przypadające na jednego słuchacza, wyrażone w guldenach austryackich.

Zapożyczymy z pracy téj cyfr dotyczących krajów ważniejszych i zestawimy je z ich rozległością i ludnością. I tak.

| | Ilość zakładów. | Ilość prof. | Ilość studentów. | Koszt nauki jednego. | Jedna szkoła przypada na | Na milion ludności wyp. stud. |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Niemcy | 10 | 535 | 6.434 | 197,5 | 54,5 kil.□ | 150 |
| Włochy | 8 | 157 | 2.113 | ? | 37 „ | 78 |
| Austrya | 7 | 345 | 4.073 | 218,74 | 89 „ | 113 |
| Belgia | 6 | 66 | 693 | ? | 4,8 „ | 138 |
| Rosya europejska | 6 | 226 | 2.315 | 582,78 | 833 „ | 32 |
| Szwajcarya | 3 | 128 | 1.056 | 182,36 | 13,6 „ | 352 |
| Francya | 3 | 155 | 1.161 | 482,39 | 176 „ | 32 |

W Anglii, aczkolwiek inżynierowie jéj należą do najlepszych, szkół technicznych rządowych nie ma. Tam wszystko zostawia się inicyatywie prywatnéj, rząd zaś rozwiązuje zagadnienia najogólniejsze i całości społeczeństwa dotyczące.

Z cyfr przytoczonych widzimy, że koszta edukacyi technicznéj najniższe są przeciętnie w Niemczech, gdzie np. nauka w szkole politechnicznéj hanowerskiéj kosztuje 98 guldenów, w berlińskiéj akademii budownictwa 140 gul., w berlińskiéj akademii rzemiosł 200 gul. rocznie jednego słuchacza. Najdroższa zaś nauka udziela się w Rosyi i we Francyi. W instytucie np. technologicznym w Petersburgu jeden słuchacz kosztuje państwo prawie 813 gul., zaś w szkole dróg i mostów w Paryżu—1.724 gul. Rzeczywiście są to podobno zakłady naukowe urządzone z przepychem.

Gdy pomyślimy, że Niemcy i Belgia mają dostatek techników i że w krajach tych przypada 138—150 słuchaczy zakładów technicznych na milion mieszkańców, skłonni będziemy do przypuszczenia, że cyfra powyższa odpowiada potrzebom krajów przemysłowych. W Szwajcaryi widzimy wprawdzie 352 słuchaczy na milion ludności, ale téż do technik szwajcarskich, znakomicie prowadzonych, zbiega się mnóstwo cudzoziemców. Z drugiéj strony we Francyi znajdujemy tylko 32 słuchaczy na milion ludności; trzeba jednak pamiętać, że we Francyi jest dużo szkół fachowych niższych, jéj zaś trzy zakłady techniczne wyższe (szkoła politechniczna, szkoła dróg i mostów, szkoła centralna sztuk i rzemiosł) są, bodaj czy nie najwyższe w świecie i stanowią rodzaj uniwersytetów technicznych, jeżeli wolno użyć podobnego określenia.

Nie mniéj ciekawym jest stosunek ilości szkół do powierzchni kraju. Gdyby w państwach wymienionych rozłożono szkoły techniczne jednostajnie na całem terytoryum, wówczas Niemiec miałby zakład wyższy techniczny najwyżéj o 110 kilometrów odległy, mieszkaniec Austryi o 150 kilom., Rosyanin o 450 kilom., Belgijczyk o 36 kil. Łatwo pojąć, że blizkość szkoły jest jednym z czynników ułatwiających naukę.

Pominąwszy Szwajcaryą, średnia ilość słuchaczy szkół technicznych w reszcie krajów, któreśmy przytoczyli, wynosi 90 na milion mieszkańców. Że zaś Królestwo Polskie posiada dziś około 7 milionów ludności, dla postawienia więc naszych sił technicznych na poziomie europejskim, powinniśmy mieć szkołę techniczną z 630 słuchaczami. Nie posiadamy jéj, to téż młodzież nasza wydaje dużo pieniędzy na odległe podróże, a pomimo to rzemiosła są zacofane i sprowadzamy mnóstwo techników z zagranicy.

Średni koszt nauki jednego technika (z cyfr przytoczonych wyżéj) wynosi 333 gulden y. Bez względu na kurs licząc gulden po 60 kop., znaczy to 200 rs. Tym sposobem na kształcenie 630 słuchaczy potrzebowalibyśmy 126.000 rs. rocznie, przypuściwszy, że wpisy pokryją piątą część téj sumy, 100.000 rs. rocznie, samego obrotowego kapitału na utrzymanie szkoły, przedstawia to 5% od 2.000.000 rs., o które musiałby się kraj postarać, chcąc mieć przyzwoitą szkołę techniczną. Ani na chwilę nie wątpimy, że sumy takiéj odrazu zebraćby nie można, że na utworzenie jéj dziesiątki lat czekaćby należało. Wyższéj zatém szkoły technicznéj własnemi siłami założyć nie potrafimy, kto wié jednak, czybyśmy nie byli zdolni założyć niższą; stopniowo zaś rzecz taka rozwinąćby się mogła i dojść do pożądanéj granicy, miałaby zaś tę zaletę, że nie byłaby żadnym wytworem sztucznym, ale instytucyą stworzoną przez ogół, do jego obecnych środków i potrzeb najlepiéj przystającą.

Zresztą, gdybyśmy porachowali piéniądze wywożone co roku przez młodzież na naukę i dodali do tego piéniądze wywożone przez techników cudzoziemskich, prawdopodobnie okazałoby się, że 2 a nawet 4 miliony rubli, wydanych na ufundowanie podobnego zakładu, jest wydatkiem zyskownym, bo umożliwiającym zatrzymanie setek tysięcy rubli w kraju.

Na nieszczęście między narodami tak jak i jednostkami, tylko zamożni chodzić mogą po drogach najprostszych, obrabiać pola najzyskowniejsze, płacić małe procenta obcym i zaprowadzać u siebie oszczędności!

W 14 N-rze „Gazety sądowéj“ znajdujemy ciekawy artykuł. Oto redakcya przedstawia w nim swoję sześcioletnią działalność w streszczeniu, przytacza cyfry prenumeratorów z każdego roku i dochodzi do wniosku, że im więcéj ona dba o rozwój „Gazety sądowéj,“ tém czytelnicy względem pisma tego okazują się chłodniejszymi.

Oto owo zestawienie:

| Rok. | 1873 | 1874 | 1875 | 1876 | 1877 | 1878 |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Liczba współpracowników Gazety . . | 97 | 97 | 90 | 109 | 123 | 151 |
| Liczba rozsyłanych egzemplarzy . . . | 1.012 | 895 | 685 | 870 | 747 | 707 |

Z zestawienia tych cyfr niewiele wniosków wyprowadzić można. W r. 1873 „Gazeta Sądowa“ była zjawiskiem nowém, rzucono się więc do jéj czytania; w r. 1875 w łonie redakcyi zaszła jakaś ka-

tastrofa, ubyło bowiem 7 współpracowników i prenumerata gwałtownie spadła. W r. 1876 wzmocniono zastęp współpracowników i znowu prenumerata wzrosła; w roku zaś 1877 wielu z czytelników Gazety straciło posady, co także musiało się odbić na prenumeracie.

Biorąc najgorszą cyfrę z r. 1875, domyślać się wypada, że „Gazeta Sądowa“ w każdym razie liczyć może na 600 prenumeratorów a dla takiéj cyfry czytelników jak 600, już pismo wydawać należy.

Rzecz szczególna: w Warszawie wychodzi peryodycznie pięć wydawnictw lekarskich; nie zbyt liczni technicy mają dwa organa specyalne („Przegląd Techniczny“ i „Inżenierja cywilna i budownictwo“), do którego dodawane są tablice z rysunkami, podnoszące znacznie koszta nakładu; pismo „Wiadomości farmaceutyczne“ utrzymuje się, chociaż właścicieli aptek liczymy w mieście tutejszém tylko 38. Handel podtrzymuje swoję gazetę. Tymczasem pisma, poświęcone jurysprudencyi, mało znajdują prenumeratorów. Zsumowawszy, według wykazów w kalendarzu Ungra na rok bieżący, liczby adwokatów przysięgłych i ich pomocników, daléj pełnomocników prywatnych przy sądach okręgowym i handlowym, obrońców i notaryuszów, urzędujących w Warszawie, otrzymamy piękną doprawdy cyfrę 236 osób. Jeśli przyjmiemy drugie tyle na prowincyi i dodamy pewną część urzędników sądowych etatowych, wypadnie nam coś około liczby 600, to jest akurat tyle, ilu „Gazeta Sądowa“ liczy prenumeratorów. Kwestya rachunkowa, w ten sposób pozornie wyjaśniona, komplikuje się jednak wielce tą okolicznością, że w poczcie prenumeratorów bardzo poważny zastęp stanowią władze gminne, które przecież do prawników fachowych nie mogą być wliczane. Rzecz to dziwna której nie podejmujemy się wytłómaczyć, zwłaszcza, że nie przypuszczamy, aby odezwa „Gazety Sądowéj“ przebrzmiała bez skutku. Prawnicy, którzy nie zapomnieli o muzeum Kopernika w Rzymie i o jubileuszu Kraszewskiego, podtrzymają bez wątpienia „Gazetę sądową,“ nie dadzą się wyręczać dobrym chęciom jednego człowieka, jak to miało miejsce względem „Biblioteki umiejętności prawnych.“

---



Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor, **J. Trejdosiewicz.**

# SPIS RZECZY.



---


*Druk ukończono 31 Maja r. 1879.*

# ATENEUM,

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

**wychodzi na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawiérającemi.**

---

W „Ateneum“ pomieszczane są: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa, oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

**Rocznie** . . . . . . . . . . . . . . . . . . Rs. 12.
**Półrocznie** . . . . . . . . . . . . . . . . „ 6.
**Kwartalnie** (tylko w Warszawie) . . . . . . . . . „ 3.

Prenumerować można głównie

**w REDAKCYI ATENEUM,**
**Niecała, Nr. 7,**
**oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.**

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

**DO REDAKCYI.**

---

Дозв. Цензурою, Варшава, 19 Мая 1879 г. Druk. K. Kowalewskiego, Królewska 23.